

OD MONTE CASSINO DO BOLONII

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

 Śląskie. Pozytywna energia

Nr 11 (205) • ROK XVIII • LISTOPAD 2012

GRZEGORZ SZTOLER – Ajza, czyli złom dla zuchwałych
MAREK KOSMA CIEŚLIŃSKI – Pasje i dzieło ANTONIEGO HALORA
TADEUSZ SIERNY – Prymat administracji nad polityką kulturalną
Poemat F.G. LORKI w przekładzie FELIKSA NETZA
„Wstyd” – opowiadanie MICHAŁA SZALONKA
WIESŁAWA KONOPELSKA o Memoriale Żydów
Zagłębia Dąbrowskiego w Tel Avivie
MARIAN BUCHOWSKI – Białogłowa umysłowa



ISSN 1425-3917



9 771425 391202

11

Redaktor naczelny „Śląska” Tadeusz Kijonka, publicysta i poeta oraz prof. dr hab. Daniel Kadłubiec zostali laureatami tegorocznej edycji Śląskich Szmaragdów – laurów przyznawanych przez Diecezję Katowicką Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP. Uroczystość wręczenia odbyła się 31 października w katedrze ewangelickiej Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach, podczas ekumenicznego nabożeństwa z udziałem duchownych różnych wyznań w obecności licznie przybyłych gości, wśród których obecni byli m.in. prof. Jerzy Buzek i prezydent Katowic Piotr Uszok. Śląski Szmaragd jest wyróżnieniem przyznawanym wybitnym przedstawicielom Śląska za szczególne osiągnięcia w dziedzinie ekumenizmu, tolerancji, pojednania między narodami i integracji europejskiej.

Na zdjęciu: laureaci nagrody oraz biskup diecezji ewangelicko-augsburskiej Tadeusz Szurman.



Fot. Zbigniew Sawicz

Fot. Wiesława Konopelska



Pierwszy w Polsce Konsulat Honorowy Republiki Serbii został otwarty 24 września br. w Katowicach. Uroczystość wręczenia listu nominacyjnego konsułowi Ranko Tomoviciowi odbyła się w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim 24 września br. O znaczeniu otwarcia tej dyplomatycznej placówki mówili ambasador Serbii w RP Radojko Bogoević, minister rozwoju regionalnego Elżbieta Bieńkowska i wojewoda śląski Zygmunt Łukaszczyk.

Siedziba Konsulatu mieści się w Czeladzi.

Na zdjęciu: List nominacyjny Ministra Spraw Zagranicznych skierowany do konsula Radko Tomovicia odczytuje zastępca dyrektora Departamentu MSZ ds. Bałkanów Zachodnich Anna Sochańska.

13 października Teatr Śląski uroczystie i wzruszająco obchodził 105. urodziny gmachu teatralnego i rozpoczęcie 91. sezonu polskiej sceny w Katowicach. Dyrektor naczelna Krystyna Szaraniec i dyrektor artystyczny Tadeusz Bradecki nie szczędzili słów podziękowań pod adresem mecenasów, członków Rady Programowej a także swojej wiernej i niezawodnej publiczności. Gratulacjom i życzeniom nie było końca. Uroczystość zakończyła się popisem aktorskiego kunsztu, przy dźwiękach znakomitej muzyki, czyli spektaklem „Moja ABBA” Tomasza Mana w reżyserii Katarzyny Deszcz. Na zdjęciu: dyrektorzy Teatru Śląskiego: Krystyna Szaraniec i Tadeusz Bradecki w towarzystwie członków Rady Programowej Teatru Śląskiego, którzy obdarowani zostali książką prof. Andrzeja Linerta pt. *Śląskie sezony. Teatr Katowic 1907-2012* – symbolicznym podziękowaniem za wieloletnią pracę i wkład w budowanie wizerunku Teatru Śląskiego.



Fot. Krzysztof Lisiak

Fot. T. Zakrzewski



Po raz czwarty w dziejach Opery Śląskiej w Bytomiu na scenę powróciła „Tosca” Giacomo Pucciniego. Premiera odbyła się 20 września, a wykonawcami głównych partii byli: Ewa Vesin (Tosca), Maciej Komandera (Mario Cavaradossi), Adam Woźniak (baron Scarpia). Kierownictwo muzyczne objął Tadeusz Serafin. Spektakl został pokazany w reżyserii i inscenizacji Tadeusza Bradeckiego, ze scenografią i kostiumami zaprojektowanymi przez Jagnę Janicką. Na zdjęciu: scena z I aktu – Tosca (E. Vesin) i baron Scarpia (A. Woźniak).



Pomnik Wawrzyńca Hajdy zwanego śląskim Wernyhorą, poety i działacza patriotycznego, został odsłonięty we wrześniu br., w Piekarach Śląskich. Monument wielkiego piekarzanina stanął na placu przed Miejskim Domem Kultury. W uroczystości udział wzięli przedstawiciele władz miejskich, związkowcy z NSZZ Solidarność, którzy ufundowali pomnik oraz pozostali zaproszeni goście.

Fot. Arch. Urzędu Miasta w Piekarach Śl.

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Nr 11 (205). Rok XVIII. LISTOPAD 2012 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13

Tel. 32 253-62-21

e-mail: redakcjask@onet.pl, slask@neostrada.pl

www.gtl.org.pl

WSPÓŁWYDAWCA: BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

plac Rady Europy 1

40-021 Katowice

Tel. centr. 32 20 83 700

informacja: info@bs.katowice.pl

sekretariat: bs@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA

redaktor naczelny

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA

sekretarz redakcji

MARIA SZTUKA

dział kulturalny

BOGDAN WIDERA

dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

dział graficzny

MIROSLAW KORBEL

nadzór techniczny i poligraficzny

e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA

ANNA STRUMIŁOWSKA

korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 32 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrowia 15/12, tel. 32 354-09-88,
32 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega
sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przy-
jętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury
„RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpłatnie – w sekretaria-
cie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokony-
wać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO
PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenume-
rata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest do-
starczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT).

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo „Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny” jest dostępne
w wersji elektronicznej w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ pod adresem:
<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

ŚLĄSKI MIESIĄC	2
ŚLĄSZCZYŃNA JEST ODMIANA DIALEKTALNĄ JĘZYKA POLSKIEGO	3
Anna Tokarz ŻYCIE ALBO CHLEB	4
Grzegorz Sztolcer AJZA, CZYLI ZŁOM DLA ZUCHWAŁYCH	6
Tadeusz Sierny PRYMAT ADMINISTRACJI NAD POLITYKĄ KULTURALNĄ!	10
Anna Wróblewska TOŻSAMOŚĆ ŚLĄZAKÓW W GRONIE MIĘDZYNARODOWYM	13
Krzysztof Brożek LEKARKI BATALIONOWE W TRZECIM POWSTANIU ŚLĄSKIM W 1921 ROKU	14
Michał Szalonek WSTYD	18
Wiesława Konopelska PAMIĘTAJ!	22
Grzegorz Słobodnik WIERSZE	25
Marian Kisiel ŻEGNAJ, HETMANIE! Włodzimierz Wójcik (1932-2012)	26
Federico Garcia Lorca LAMENT NA ŚMIERĆ IGNACIA SÁNCHEZ MEJÍASA. Poemat z hiszpańskiego przełożył Feliks Netz	28
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYŚZA Marek S. Szczepański ODCZYTYWANIE REGIONALNEJ TOŻSAMOŚCI	33
Zbigniew Kapała OD MONTE CASSINO DO BOLOGNII	34
Józef Wycisk „ANI ŻYWYCH, ANI UMARŁYCH”	37
Ryszard Bednarczyk Z ZIEMI WŁOSKIEJ I SZKOCKIEJ	40
Rozmowa z Mikołajem Góreckim Z DAŁA OD POLSKI ZE ŚWIADOMOŚCIĄ SWYCH KORZENI	42
Elżbieta Piersiakowa GNIAZDO ŚLĄSKICH PIASTÓW	44
POZA KADREM Feliks Netz JESTEŚ BOGIEM	47
Witold Turant KLEMENTYNA – MATKA PIĘKNEGO KAROLA	48
Marek Kosma Cieślinski PASJE I DZIEŁO ANTONIEGO HALORA	51

Pismo wspierane finansowo
przez
ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO



Projekt objęty
mecenatem
MIASTA
KATOWICE



KATOWICE



Zrealizowano w ramach
PROGRAMU
OPERACYJNEGO
PROMOCJA
CZYTELNICTWA
ogłoszonego
przez
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

W kolorze

• Ewa Błaszak – malarstwo. Wy-
stawa w galerii „Na Żywo” Ra-
dia Katowice (str. A) • Erwin
Sówka – malarstwo. Muzeum
Śląskie w Katowicach (str. B)
• Znaki i Twarze Miasta Katowi-
ce. Nowa дума miasta (str. C)
• Opole (str. D) • Rafał Pomor-
ski – malarstwo (III str. okładki)

Na okładce:

Odsłonięcie pomnika – ławeczki
Stanisława Ligonia przy gmachu
Polskiego Radia Katowice z oka-
zji 85-lecia rozgłośni. Urocz-
ystości towarzyszył występ Ze-
spółu Pieśni i Tańca „Śląsk”,
19 września 2012.

Fotografia:

Zbigniew Sawicz

Rozmowa z dr hab. Beatą Gaj z Uniwersytetu Opolskiego

BIAŁOGŁOWA UMYSŁOWA	54
Karol Rafał Bula 100 LAT CHÓRU „HEJNAŁ”	56
Dariusz Demarczyk EMOCJE KSZTAŁTUJĄ OBLCIZE MIAST	58
BIBLIOTEKA NOCĄ Krystian Gałuszka SALA NR 10	59
Henryk Bielas LEKCJA GOMBROWICZA W SZKOLE POLSKIEJ	60
ŚLĄSZCZYŃNA POLSZCZYŃNA Jan Miodek POLSZCZYŃNA WROCŁAWIA	61
EKOLOGIA Jolanta Karmańska PAMIĘTAJCIE O OGRODACH	62
Wiesława Konopelska LA PITTURA DI EWA BŁASZAK	64
Bogdan Widera ŚLĄSK JAKO OGRÓD ROZKOSZY ZIEMSKICH	65
Rozmowa z Andrzejem Sośnierzem, dyrektorem Muzeum Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie SKANSEN MUSI STAĆ SIĘ INSTYTUCJĄ NAUKOWĄ	66
TEATR Joanna Warońska ŚWIAT WEDŁUG POLONISTY	67
Maria Szuka MONODRAM NIE DLA PONURAKÓW	68
Feliks Netz WIELKI CZŁOWIEK TEATRU (Jerzy Jaroński 1929-2012)	69
Anna Polewiak WILK ZABIJA I CIERPI	70
Magdalena Dziadek MIĘDZY NUTAMI	71
KSIAŻKI Anna Pojda WSZYSCY JESTEŚMY VOYEURYSTAMI	72
Adriana Urgacz TEATR Z KLUCZEM	73
Bogdan Widera TO WSZYSTKO PRZED NAMI	74
Aneta Głowacka TEATR ŚLĄSKI W PIGUŁCE	75
Dariusz Kozłowski O CZŁOWIEKU PO LUDZKU	76
Mirella Siedlaczek-Mikoda W PODRÓŻY ZA (CZASEM Z) FLAUBERTEM	77
Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH	78
PODKOPKI	79
Z ŻYCIA BIBLIOTEK Małgorzata Kępka MIEJSCE, KTÓRE INSPIRUJE	80
NOTATNIKI KULTURALNE Janusz Wójcik OPOLE	81
Wiesława Konopelska KATOWICE	82
Jan Picheta BIELSKO	84
Joanna Kotkowska CZĘSTOCHOWA	85
Jacek Sikora ZAOLZIE	86
(MS) TYSKIE MUZEUM W NOWEJ SIEDZIBIE	87
(MS) SZLAKIEM KOŚCIOŁÓW DREWNIANYCH ZIEMI GLIWICKIEJ	87
TWÓRCY KATOWICKIEJ ASP Michalina Wawrzyczek-Klasik RAFAŁ POMORSKI – MALARZ ŚLĄSKIEGO PEJZAŻU	88

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31.

www.ruch.com.pl

■ PO raz pierwszy w historii Uniwersytet Śląski zorganizował w Katowicach Ligocie zjazd wszystkich absolwentów, którzy opuścili mury uczelni w ciągu jej 45-letniej historii.

■ NA stanowisko sprzątaczkę w nowym przedszkolu w Mszanie zgłosiło się ponad 70 chętnych. Dwie szczęśliwe kandydatki wybrano dzięki... losowaniu. – Uznaliśmy, że to będzie najsprawiedliwsze. Nie spodziewaliśmy się aż takiego zainteresowania – mówi lekko zaszokowany wójt Mirosław Szymanek.

■ MSZĘ połową odprawił 3 IX w Jastrzębiu metropolita abp Wiktor Skworec w 32. rocznicę zakończenia strajków. – Czas „Solidarności” się nie skończył. W przeszłości wolałmy: „Nie ma wolności bez „Solidarności” a potem: „Nie ma „Solidarności” bez miłości”. Teraz w kontekście powszechnego wołania o odnowę Rzeczypospolitej trzeba wołać: „Nie ma „Solidarności” bez uczciwości” – mówił podczas uroczystości przy kop. „Zofiówka”.

■ POMYSŁ założenia Muzeum Hutnictwa w Katowicach nie wypalił, ale władze sąsiedniego Chorzowa chcą stworzyć taką placówkę na terenie dawnej Huty Królewskiej.

■ OD Zawiercia aż po Lelów mają swoje – nie gorze od śląskich – smakołyki. Certyfikowane przez Jurajską Organizację Turystyczną pyszności wyznacza nowy kulinarny smak „Smaczna Jura”, na którym turyści smakosze odwiedzają gospody, browary, pastwiska i gospodarstwa.

■ PLACKI ze szpyrkami, kita w kapuście, wspólne wypieki z gospodynią, piękny ogród z placem zabaw i wspaniałe widoki na Beskidy – na to mogą liczyć goście wypoczywający w najlepszym gospodarstwie agroturystycznym w woj. śląskim. – Wygrana i to, że zostaliśmy docenieni jest bardzo miłe. Ale najlepszą nagrodą jest to, że goście dobrze się tu czują i do nas wracają – cieszy się Aneta Nogowczyk, która wraz z mężem Marcinem prowadzi w Wiśle gospodarstwo „U Gazdy”.

■ CZELADŹ świętuje 750-lecie założenia miasta. W poszukiwaniu miejskich legend odkurzone historie z 1740 roku gdy na rynku pod ratuszem kat uciął toporem głowę mieszczanin Katarzyn Włodczykowiec. Posądzono ją o konszachty z diabłem i sprowadzenie na Czeladź 73-dniowej ulewę, w której Brynica zatopiła miasto. Niewinną przelano krew – orzekł biskup siewierski na skargę synów straconej wdowy. Żeby symbolicznie zadośćuczynić zamordowanej współczesne władze wypłaciły 93 tys. zł i zamówiły u znanego rzeźbiarza odlew Włodczykowiec z brązu. Miał ozdobić skwer przed kościołem pw. św. Stanisława biskupa i męczennika. Niestety pobożni czeladzianie zwietrzyli antykościelną prowokację, ubiegli władze i czym prędzej odsłoniли na skwerze trzej cherubiny. Miejsca, w którym ma stanąć rzeźba czarownicy wciąż nie udało się ustalić.

■ LAIK powie o nim, że to piękny bydełek, naukowiec westchnie i z zachwytem nad aparaturą, którą dysponuje. W Katowicach otwarto 7 IX Śląskie Centrum Radiometrii Środowiskowej GIG. To jeden z najnowocześniejszych tego typu ośrodków w Europie. Goście z zainteresowaniem zwiędzali supernowoczesne laboratoria.

■ MIMO nie najlepszej pogody i organizacyjnych wpadek przez dwa dni tysiące ludzi bawiło się na imprezie „Kocham Katowice”, zorganizowanej z okazji 147. urodzin miasta. Główna scena stanęła w Dolinie Trzech Stawów.

■ MEODSZY aspirant Adam Wasilewski z komendy w Żorach, mł. asp. Mariusz Grolak z komendy w Tychach oraz asp. Robert Szymanek z Częstochowy wygrali konkurs na najlepszego policjanta ruchu drogowego w woj. śląskim.

■ GÓRA Zamkowa to wizytówka Cieszyńska. Jej rewalizację doceniono w konkursie na najlepiej zagospodarowaną przestrzeń publiczną w Polsce. Ogólnopolski konkurs zorganizowało Towarzystwo Urbanistów Śląskich.

■ ZGROMADZENIE Generalne Światowego Stowarzyszenia Technopolii (WTA) rozpoczęło się 10 IX w Gliwicach. Przez dwa dni Gliwicz gościli przedstawicieli miast i ośrodków z całego świata, które postawiły na rozwój zaawansowanych technologii. Jednym z najważniejszych wydarzeń była konferencja poświęcona walce z kryzysem poprzez promowanie innowacji.

■ PROFESOR Marian Zembala kardiochirurg i szef Śląskiego Centrum Chorób Serca otrzymał Medal „Pro Ecclesia et Pontifice” najwyższe odznaczenie przyznawane przez urząd papieski osobom świeckim. Uroczystość wręczenia odznaczenia odbyła się 11 września w rodzinnej miejscowości profesora w kościele św. Jakuba Apostoła. Watykański Medal Honorowy Benemerenti wręczył lekarzowi metropolita częstochowski abp Wacław Depo.

■ NAJWYŻSZA Izba Kontroli sprawdziła jak wygląda u nas dostęp do publicznych toalet. Wyniki są porażające, a sensownego pomysłu na rozwiązanie te-

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

go problemu jak nie było tak nie ma. Przykład ul. Mariackiej, że ciężko nieraz znaleźć złoty środek między potrzebą fizjologiczną a estetyką.

■ ZMARŁ Zygmunt Lubandy wieloletni realizator obrazu Telewizji Katowice.

■ SPOD pomnika przy kop. „Wujek” w Katowicach wyruszyła 13 września rano VII Pielgrzymka Biegowa do grobu bł. ks. Jerzego Popiełuszki na warszawskim Żoliborzu. 23 uczestników sztafety ma do pokonania 320 km.

■ PRZED Grobem Policjanta Polskiego na terenie komendy wojewódzkiej w Katowicach odbyły się 14 IX obchody 72. rocznicy zbrodni katyńskiej. W 1940 r. NKWD pomordowało kilka tysięcy polskich oficerów, którzy zostali więzieni do niewoli po wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski. Wśród ofiar zbrodni było 2000 funkcjonariuszy śląskiej policji, czyli 90 proc. całego ówczesnego korpusu policji woj. śląskiego.

■ MIESZKANIEC Sosnowca Dariusz Nowiński kilka lat procesował się z dostawcą prądu, który zarzucił mu kradzież. Wydał na adwokata kilka razy więcej niż wynosiła zasądzona początkowo kara. Ale jest zadowolony: nikt nie będzie nazywał go złodziejem. Po 26 rozprawach sąd oczyścił go z zarzutu kradzieży.

■ JUŻ po raz trzeci przeciwnikom prezydenta Gliwic nie udało się go odwołać. Na 19. rocznicę rządów Zygmunt Frankiewicz nie mógł dostać lepszego prezentu.

■ KILKASET osób zgromadziło się 17 IX w hali „Kapelusz”. – Wreszcie mamy wydarzenie na którym będzie się mówić tylko o naszym życiu i naszych problemach – mówili goście przed inauguracją Kongresu Obywatel Senior.

■ PIERWSZE pociągi wjechały na peron 3 w Katowicach po kilkumiesięcznej przerwie. Został on praktycznie wybudowany od nowa. W tym samym dniu ponownie został zamknięty peron 1. Robotnicy wrócili tu, żeby wybudować brakującą zadaszenie. Prace mają trwać do końca miesiąca.

■ ŚLĄSKA Policja pozbysła się niepotrzebnych nieruchomości. Do końca roku odda samorządom, zamiast lub przekaże na sprzedaż m. in. posterunki, komisariaty a nawet jedną komendę. Roczny koszt utrzymania tych budynków wynosi prawie 900 tys. zł, które teraz mają być przeznaczone na zakup nowego sprzętu.

■ ŚLĄSKA Karta Usług Publicznych, jeden z największych projektów aglomeracji, ma opóźnienie. Konsorcjum, które pracuje nad elektronicznym biletem, do tej pory nie uruchomiło dwóch centrów przetwarzania danych w Katowicach i specjalnych instalacji w ponad 650 autobusach.

■ POD Magurką powstała tama. Będzie tu zbiornik retencyjny. Gdy w górach znowu nastąpi susza to dzięki tej inwestycji mieszkańcy nie będą musieli marzyć się o wodę. Prace przy budowie zbiornika dobiegają końca, ale zostanie napelniony dopiero w przyszłym roku.

■ E-NAUCZYCIEL, zarządzanie parafią, negocjacje kryzysowe. Na rynku edukacyjnym znaleźć można setki ofert studiów podyplomowych, które pomagają stawać się lepszymi specjalistami w wykonywanych zawodzie albo zdobywać zupełnie nowe kwalifikacje. W dobie kryzysu warto zainwestować w doskonalenie.

■ OSOBY ćwiczące w siłowni w Parku Śląskim będą mogły skorzystać z pomocy fachowego instruktora. Pomysł „Siłowni dla każdego” będzie czynny

przez rok. Na parkowych urządzeniach 2-3 razy w tygodniu będą się odbywały bezpłatne treningi pod okiem fachowca.

■ KAŻDE dziecko chce się uczyć i ma ku temu potencjał – uważają naukowcy z Uniwersytetu Śląskiego. Dlatego od nowego roku akademickiego będą prowadzić wykłady i ćwiczenia dla dzieci upośledzonych, autystycznych, ale także wybitnie uzdolnionych.

■ POCZĄTEK jesieni to ostatni dzwonek na spokojne, górskie wędrówki. W Bieszczadach zachwycają kolorowe połoniny, w ukraińskich Gorganach – dzikie pustkowia, a w Słowackim Raju – spektakularne szlaki. Jednak uwaga – w wyższych partiach Tatr spadł już śnieg.

■ POLACY najchętniej spędziliby starość w swoich własnych mieszkaniach pod opieką rodziny. Nie najlepiej oceniają domy opieki. Być może niebawem będą mieli więcej możliwości wyboru, bo deweloperzy wreszcie zaczynają zwracać na nich uwagę.

■ ROK akademicki zaczyna się za tydzień, ale publiczne uczelnie wciąż mają problem z zamknięciem list na niektóre, nawet bardzo atrakcyjne kierunki. Nawiska przyjeżdżających na część z nich będą ogłaszane już po inauguracji lub w jej trakcie.

■ WŁADZE Jaworzna chcą wesprzeć niepełnosprawnych mieszkańców. W dotarciu do sklepu lub załatwianiu spraw urzędowych będzie im pomagał asystent. Program pomocowy potrwa do 29 listopada. Asystent będzie pomagał przez 5 dni w tygodniu – od poniedziałku do piątku w godzinach od 8.00 do 22.00. Pomoc asystenta jest bezpłatna.

■ PO raz kolejny w Beskidach zorganizowano Ogólnopolski Bieg Kelnerów. Historia imprezy sięga 1938 r. Wtedy do Wisły zjechało ponad 100 kelnerów z całej Polski. W 2009 r. udało się reaktywować tradycję zawodów. Podobnie jak przed wojną uczestnicy muszą się prezentować nienagannie i elegancko.

■ ŚLĄSKI Uniwersytet Medyczny ma centrum symulacji za 30 mln zł. – To największe i najnowocześniejsze takie centrum w Polsce, a prawdopodobnie i w Europie – powiedział 24 IX prof. Przemysław Jawłowicki nowy rektor SUM podczas otwarcia Centrum Dydaktyki i Symulacji Medycznej przy ul. Medyków w katowickiej Ligocie. To właśnie profesor 7 lat temu, jeszcze jako prorektor ds. szpitali klinicznych wpadł na pomysł budowy ośrodka, w którym studenci w warunkach niemal identycznych jak w szpitalu mogliby ćwiczyć udzielanie pierwszej pomocy, znieczulanie, odbieranie porodu, wykonywanie badań czy zabiegów.

■ ARCHITEKCI nie garną się do projektowania katowickiego rynku. W sprawie projektu na jego przebudowę są dwie nowe wiadomości: dobra, że do władz miasta swoją ofertę zgłosiło 6 firm; zła, że niedawno podobnych ofert było znacznie więcej a i tak skończyło się niczym. – Tym razem zapowiada się podobnie – mówią znający kulisy architektki.

■ GDY burmistrz Strumienia obiecał, że w każdym sołectwie gminy wybuduje plac zabaw wielu nie dowierzało, ale właśnie dotrzymała słowa. Na otwarcie kilka dni temu placu zabaw w Pruchnej są m.in. karuzela, ruchomy mostek, piaskownica. Wszystkie urządzenia są kolorowe, nowoczesne i zapewniające bezpieczeństwo najmłodszym. A takich placów w całej gminie jest już 6. Pruchna była już ostatnim sołectwem w którym realizowano projekt „Plac zabaw w każdej wsi”.

■ DO końca października Kompania Węgłowa będzie pokrywała koszty wynajmu lokali dla poszkodowanych w katastrofie budowlanej w Karbiu, którzy do tej pory nie otrzymali mieszkania zastępczego. To efekt ugody jaką kompania zawarła z władzami Bytomia.

■ CZY można stworzyć eliksir młodości i dla czego e-papieros nie jest bezpieczną alternatywą dla tytoniu? Odpowiedzi na te pytania poznały osoby, które 28 IX odwiedziły Wydział Farmaceutyczny Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Sosnowcu. Śląska Noc Naukowców odbyła się również w innych miastach.

■ BURMISTRZ nie zgodził się na imprezę charytatywną. Przygotowania trwały kilka tygodni, a cel był szczytny: pomóc 24-letniej Marcie cierpiącej na rzadki nowotwór krwi. Twarde „nie” organizatorzy meczu usłyszeli jednak od burmistrza Wojkowie. Najwyższa władza w mieście uznała, że zawodnicy futbolu amerykańskiego mogliby zniszczyć trawę boiska.

■ DAMIAN Bartyła w drugiej turze wyborów został prezydentem Bytomia, pokonując 30 IX Halinę Biedę (PO).

■ PRZEDSTAWICIELE szkół nauki jazdy przyznają, że zainteresowanie kursami jest większe. Wszystko przez nowe zasady zdawania egzaminu teoretycznego, które zaczęły obowiązywać w styczniu.

■ TERAZ coś „pro domo sua”: to już po raz dwudziesty ukazuje się „Śląski Miesiąc”, o czym przypomniał.

KRONIKARZ

Do takiego wniosku można sprawać stanowisko Rady Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk, przekazane Ministrowi Spraw Wewnętrznych i Administracji w Warszawie. W skład rady wchodzi aktualnie 32 czołowych językoznawców polskich i historyków literatury. Jest to więc najbardziej kompetentne ciało o niepodważalnym autorytecie. Publikując niniejszy tekst mamy nadzieję, że spotka się z zainteresowaniem naszych czytelników w kontekście toczącej się dyskusji na temat „języka śląskiego”.

Odpowiadając na prośbę Pana Ministra z dnia 8 marca 2011 r. o wyjaśnienie, czy język używany tradycyjnie przez mieszkańców Górnego Śląska powinien być traktowany jako dialekt śląski języka polskiego, czy też jako odrębny język śląski, przedstawiam opinię Rady Języka Polskiego w tej sprawie.

1) Granica między językiem a dialektem jest płynna zarówno diachronicznie (niektóre odmiany terytorialne jakiegoś języka, uważane początkowo za dialekty dojrzejają, rozwijają się i z czasem uzyskują status osobnego języka), jak i synchronicznie (ta sama odmiana języka bywa pod pewnymi względami lub przez pewnych badaczy uznawana za dialekt, pod innymi względami lub przez innych badaczy traktowana jako odrębny język). W wielu wypadkach o przyznaniu dialektowi statusu odrębnego języka decydują względy polityczne.

2) Mowa rodowitych mieszkańców Śląska uważana była i jest przez badających wszystkich polskich językoznawców za dialekt języka polskiego, obejmujący wiele różnych gwar. „Językowo – bowiem – dzieli się Śląsk na południowy i północny, czasem wyróżnia się także środkowy, bądź na Cieszyński, Górny i Opolski” (Encyklopedia języka polskiego pod red. S. Urbańczyka i M. Kucały, Wyd. trzecie poprawione i uzupełnione, Wrocław 1999, s. 71). „Terminy gwara i język bywają używane wymiennie, ale na ogół przez gwarę rozumie się zwykle odmianę językową terytorialnie mniejszą niż dialekt czy narzecze, a zatem w stosunku do dialektu podrzędną. Język narodowy dzieli się terytorialnie na dialekty czy narzecza, a te dopiero na gwary” (Z. Gołąb, A. Heinz, K. Polański: Słownik terminologii językoznawczej, Warszawa 1968, s. 127). **Jak z tego wynika, język używany tradycyjnie przez mieszkańców Górnego Śląska jest tylko częścią dialektu śląskiego.**

3) Badania mowy Ślązaków jako dialektu języka polskiego zainicjowały polską dialektologię. Początek dała jej rozprawa Jerzego Samuela Bandtkiego „Wiadomości o języku polskim w Szląsku i o polskich Szlązakach” opublikowana w Warszawie w r. 1821, a więc przed 190 laty. Mniej więcej pół wieku później (w r. 1873) w Lipsku ukazała się praca Lucjana Malinowskiego („Beiträge zur slavischen Dialektologie: Über die oppelnsche Mundart in Oberschlesien”) uważana dziś za pierwszy nauko-

wy opis gwary polskiej na Śląsku (por. też jego „Studia szląskie. O samogłoskach nosowych w gwarach polskich na Szląsku”, 1882). Badania gwar polskich na Śląsku kontynuował później Kazimierz Nitsch (por. jego Dialekty polskie Śląska, Kraków 1909). Badania nad dialektem śląskim, prowadzone były także już po Kazimierzem Nitschu; dysponujemy bogatym dorobkiem, będącym wynikiem tych badań i poświadczających, że odmiana językowa, którą posługują się rodowici Ślązacy jest polskim dialektem. Dialekt ten w latach międzywojennych i po drugiej wojnie został gruntownie zbzdany i opisany przez ję-

RADA JĘZYKA POLSKIEGO

Śląszczyzna jest odmianą dialektalną języka polskiego!

zykoznawców ze środowisk naukowych Wrocławia, Opola, Krakowa i Katowic. Dysponujemy dziś opracowaniami monograficznymi, m.in. Stanisława Bąka „Mowa polska na Śląsku” (1974), Jana Miodka „Śląska ojczyzna-polszczyzna” (1991), Daniela Kadłubca „Cieszyńsko-zaolziańska polszczyzna” (1994), a ponadto ośmiotomowym „Atlasem językowym Śląska” (mapy i komentarze do map; 1969-1996) Alfreda Zaręby, zbiorami śląskich tekstów gwarowych S. Bąka (1939) i A. Zaręby (1961) oraz języka mówionego mieszkańców miast Górnego Śląska i Zagłębia pod red. W. Lubasia; (1978-1980). Istnieją również rzetelne publikacje o przeszłości językowej Śląska autorstwa Stanisława Rosponda i Aliny Kowalskiej, a także o śląskim nazewnictwie (m. in. prace S. Rosponda, Henryka Borka i Roberta Mrózka). Są też współczesne prace na temat zróżnicowanej kompetencji językowej Ślązaków oraz sprawności językowej uczniów szkół śląskich. **Dostarczają one argumentów za tym, że śląszczyzna jest odmianą dialektalną języka polskiego.** Warto tu przytoczyć opinię językoznawcy pochodzącego ze Śląska, Henryka Borka: „W mowie Ślązaków nie znajdziemy

żadnych poważniejszych cech gramatycznych, które by nie występowały równolegle czy to w Małopolsce, czy w Wielkopolsce – odrębność gramatyczna tego narzecza polega tylko na innym wewnętrznym powiązaniu i układzie tych cech. Jest to decydujący fakt dla określenia polskiego charakteru narzecza tej dzielnicy, które mimo politycznej izolacji rozwijało się w głębokiej łączności i pod wpływem podobnych tendencji rozwojowych, co sąsiednie dialekty polskie” (H. Borek: Czy istnieje odrębny język śląski, „Opole” 6, 1971). Obecnie za centrum badań dialektu śląskiego można uznać Instytut Śląski w Opolu, gdzie pod red. Bogusława Wyderki ukazuje się *Słownik gwar śląskich* (dotychczas ukazało się 10 tomów).

4) Dialekt śląski jest stosunkowo bardziej zróżnicowany niż pozostałe polskie dialekty. Do chwili obecnej nie wytworzyła się jeszcze ponadgwarowa odmiana (koine) ani mowy Ślązaków w ogóle, ani Górnoszlązaków. Brak też kodyfikacji ortografii, która jest w świetle ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym ważnym elementem funkcjonowania języka regionalnego jako języka pomocniczego. Jednakże obserwując zaangażowanie części mieszkańców Górnego Śląska, można się spodziewać, że brak kodyfikacji zapisu mowy i standaryzacji słownictwa zostanie w ciągu najbliższych kilku lat uzupełniony.

5) Na status mowy terytorialnej jako gwary, dialektu czy osobnego języka wpływa świadomość nosicieli i użytkowników. Jeżeli znaczna ich część uważa swą mowę za odrębny język, fakt ten przemawia za przyznaniem jej statusu języka. Z drugiej strony jednak nie powinna być całkowicie pomijana świadomość językowa użytkowników języka, którego odmianą miałyby być owa mowa pretendująca do statusu języka. To znaczy, że **status mowy Ślązaków powinien zależeć od tego, jak ją traktują sami Ślązacy, ale także i od tego, jak jest ona postrzegana przez użytkowników ogólnego języka polskiego.** Naszym zdaniem obecnie mowa Ślązaków czy Górnoszlązaków **uważana jest przez użytkowników języka polskiego – także na Śląsku – za jego odmianę terytorialną.**

6) Na pytanie, czy język używany tradycyjnie przez mieszkańców Górnego Śląska jest dialektem śląskim języka polskiego, będącemu zgodnie z art. 27 Konstytucji RP językiem urzędowym w Rzeczypospolitej Polskiej, jeżeli nie wszyscy, to niemal wszyscy polscy językoznawcy odpowiedzą twierdząco. A dialektolodzy dodadzą, że „język używany tradycyjnie przez mieszkańców Górnego Śląska” jest częścią śląskiego dialektu języka polskiego. **Tym samym nie spełnia formalnych warunków ani art. 19 ust. 1 pkt. 2 ustawy z dnia 6 stycznia 2005 r. o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym, ani art. 1 Europejskiej karty języków regionalnych lub mniejszościowych.**



Życie albo chleb

ANNA
TOKARZ

Chociaż po Kopalni Zabrze pozostały tylko zgłiszcza, na jej terenie wciąż trwa wydobywanie. Ryzykując życiem mieszkańcy okolicznych domów zarabiają na chleb. Na dziko fedrowany nie jest jednak węgiel, lecz skryte pod ziemią metalowe konstrukcje i resztki zabezpieczeń kopalnianych zabudowań.

Tego Zaborza już nie ma

W marcu 1998 z Kopalni Zabrze wyjeżdża ostatni wagon węgla. Istniejący od ponad dwustu lat zakład będący źródłem zatrudnienia większości mieszkańców dzielnicy Zaborza-Zaborza przestał funkcjonować. Unieruchamianie kopalni i zasypywa-

nie szybów zakończono dokładnie dwa lata później. Przez wiele miesięcy budynki i urządzenia niszczały, rozszabrowywane z metalowych części. Za dnia kopalnię rozbierały wynajęte do tego celu firmy, a późnym popołudniem na jej teren wchodziła ludność z pobliskiego osiedla, którego mieszkańcy kontynuowali rozbiórkę „w czynie społecznym”.

– W kolejności rozbierano elementy metalowe, potem były usuwane drewniane, a na końcu rozbierano budynki cegła po cegle. To była bardzo dobra XIX-wieczna cegła, po którą przyjeżdżali ludzie z daleka. Materiały takie jak stal, metale kolorowe były sprzedawane w punktach skupu złomu – opowiada starszy kustosz Muzeum Górnictwa Węglowego, mgr Adam Frużyński.

Infrastruktura kopalniana zniknęła z dnia na dzień, tak jak i budynki przylegające do niej. Jednym z takich przykładów jest dawna szkoła, która w okresie powojennym została przekształcona w kopalniany ośrodek zdrowia.

– Przejeżdżając któregoś dnia ulicą Lompy zobaczyłem, że jest zablokowana. Mieszkańcy rozebrali dwie ściany boczne. Zostały dwie ściany, na których wspierał się dach. Ponieważ padał deszcz osoby pracujące przy nielegalnej rozbiórce budynku rozpalili w środku ognisko żeby nie było im zimno. W efekcie spowodowali zawalenie się dachu opartego na naruszonej konstrukcji. To cud, że nikomu nie się nie stało! – dodaje Frużyński.

Pochodzącemu z Zaborza, Jackowi Okoniowi z MGW w Zabrzu, ulica Lompy zapadła głęboko w pamięć.

– To była ulica tętniąca życiem. Były sklepy, apteka, biblioteka, ko-

ściół ewangelicki... Co ciekawe, w czasie okupacji na ulicy św. Filipa był obóz alianckich jeńców. Tam było ich około pięćdziesięciu, pracowali przy nasypie kolejowym. Dziś Lompy i jej okolice okupują złomiarze. Tego Zaborza, które pamiętam, już nie ma.

Wszyscy kopią

Czarny chleb się skończył. Bieda-szyby na Górnym Śląsku przestały żyć. Jednak dziesiątki mieszkańców zabrzańskiej Poręby wciąż ryzykują życie, by zapewnić swoim rodzinom pieniądze na chleb. Las wokół ulicy Lompy nadal skrywa pozostałości po Kopalni Zabrze. Kopią praktycznie wszyscy, jednocześnie pilnując by dzieci w te rejony się nie zapuszczały. Jak dowiadujemy się później, kopią nie tylko miejscowi, ale przychodzą też bezdomni. I tak praca wre...

Wjeżdżając w niecieszące się dobrą sławą, pokopalniane osiedle rzucają się w oczy punkty skupu złomu. Przejeżdżając obok jednego z nich czuje się jak auto zostaje rozebrane wzrokiem. To jedyny biznes, który może liczyć na dobre prosperowanie w tej okolicy. Klienci skupów rozmawiają niechętnie. W końcu w jednej z bocznych uliczek, udaje się namówić pchającego pusty wózek Witolda.

– Jak się panu tutaj żyje?

– A o czym tu rozmawiać... Kilka lat temu straciłem pracę i trzeba było sobie jakoś radzić. Sam jestem, rodziny nie mam, a dla siebie zawsze coś się ueziera. Tu większość jest takich jak ja. Inni to mają jeszcze rodziny. Ale patrz pani, jaka to przyszłość. Bajtla latają po podwórkach, do szkoły nie chodzą. Tutaj nie ma przyszłości...

– Da się w ten sposób zarobić?

– Wiadomo, jest ciężko. Jak jest gorszy dzień to po prostu nic nie ma. Ale tutaj zawsze da się coś znaleźć.

Witek nie chce mówić więcej, bo największe dochody pochodzą z nielegalnego źródła. Las wokół Porębskiej hałdy, gromadzi plastikowe odpady po demontowanych autach. Jednak nie wszyscy działają aż na taką skalę.

Wiele rodzin sytuacja życiowa zmusiła do wykopywania złomu. Pod skupem stoi jeszcze dwóch mężczyzn.

– Panowie, wy też tu kopiecie?

– Ano, kopiemy. Wszyscy kopią.

– Idzie z tego wyżyć?

– Zawsze jest, co do garnka włożyć, a jak dobrze pójdzie to jeszcze na jakąś flaszkę starczy.

– A co jak się skończy?

Wzruszyli tylko ramionami...

Boję się tylko strażników

Aby dostać się na miejsce, przemierzaliśmy las z zaroślami sięgającymi kolan. Długo, długo nic, aż naszym oczom ukazał się potężny, głęboki na ponad siedem metrów wykop. Nie było nikogo, niedawno zarabował się tam strop. W dole leżała tylko ogromna betonowa płyta. Droga usłana była mniejszymi i większymi wykopanymi dołami, z których wystawały jeszcze nieodspawane pozostałości metalowych konstrukcji. Widok przerażający. Parę miesięcy wcześniej widywano tam koparki, które pogłębiały pozostałości po szybach. Kilkadziesiąt metrów dalej kopał Jacek. Szczupłej postury, mężczyzna w sile wieku. Na Porębie mieszka od lat. Jego przodkowie pracowali w Kopalni Zabrze, a dziadek pomagał przy budowie osiedla. Pan Jacek, z wykształcenia brukarz, stracił pracę trzy lata temu gdy firma, w której był zatrudniony, redukowała etaty. Jak wspomina, pierwszy raz przyszedł kopać zaraz po likwidacji kopalni.

– Razem ze wszystkimi, nikt wtedy nie zabraniał, straż nie ściagała. Chcecie – to bierzcie. Na wariackich papierach to było rozbierane. Wcześniej chodziłem też na hałdę, ale od dłuższego czasu przestali sypać i już nie ma czego tam zbierać. A jakoś trzeba zarobić. Jak tu pokopię tak z sześć, może osiem godzin to będzie z pięćdziesiąt złotych. Za kilogram płacą teraz tylko siedemdziesiąt groszy, a ja mam na utrzymaniu bezrobotną żonę i ośmioletnią córkę. Żona pracowała w szpitalu, ale skończyła jej się umowa i jest na zasiłku.

– Wrzesień ciężki miesiąc, prawda?

– Ciężko. Wszystko kosztuje. Ale jakoś żyć trzeba, coby tylko w długi nie powpadać.

Nie zdaje sobie sprawy jak bardzo ryzykuje, a może po prostu nie chce.

– Nie boi się pan, że to się zawali? Przysypie pana i kto tu pana znajdzie?

– Ja tutaj już chodziłem. W każdej pracy jest ryzyko. W domu się nie wysiedzi. Kilka dni temu byłem w urzędzie pracy i nic nie ma. Już nawet w Gliwicach, Bytomiu szukałem. Nie ma. Tutaj to się tylko strażników boję. Wiosną mi pięć stów mandatu wlepili.

Rozległy teren po Kopalni Zabrze często nadzorowany jest przez Straż Miejską w Zabrze.

– My patrolujemy ten teren i staramy się zapobiec nieszczęściu, ponieważ ci ludzie mogą tam zostać zasypani. Jeżeli do tego wszystkiego zaprowadzają tam dzieci, które uczestniczą w tym procederze, mamy do czynienia z demoralizacją. Jeśli nie pilnują dzieci na podwórkach, mogą one skrócić nogę, a nawet stracić życie. Jest tam bardzo dużo niebezpieczeństw, bo teren jest niezabezpieczony, nieogrodzony. My rozumiemy, że ludzie nie mają z czego żyć, ale powodują oni ogromne zagrożenie dla życia swojego i innych osób. Takie sukcesywne pobieranie elementów metalowych prędzej czy później doprowadzi do zawalenia. Na Porębie zawsze mieszkali bezrobotni i oni tam fedrowali, wyciągając elementy metalowe. Ten problem istniał zawsze. Działamy prewencyjnie, bo jeżeli tam się złapie kilka osób i przykładnie ukarze, to oni odpuszczają i przez pewien czas już się nie pojawiają. Problem jest szerszy. Ten teren powinien zostać zabezpieczony. Z tego co wiem, to zostały podjęte już jakieś działania. Ale to już na poziomie województwa, bo są tu potrzebne ogromne nakłady finansowe. W kontaktach z mediami, próbujemy apelować o uwagę do tych najmłodszych, by zachowali zdrowy rozsądek – komentuje zastępcę komendanta Straży Miejskiej w Zabrze, Mirosława Uziel-Kisińska.

– Przed wakacjami dostałem informację od osoby mieszkającej niedaleko terenu po Kopalni Zabrze, która zauważyła osoby wjeżdżające na jej teren. Byli kompleksowo przygotowani. Mieli butle z gazem, palniki, kilofy i łopaty. Zaczęli wydobywać spod ziemi metalowe konstrukcje.

Wszyscy, z którymi rozmawiałem, tłumaczą się standardowo, że zmusiła ich bieda. Oni żyją też z hałdy, wydobywają tam kostki brukowe, zbierają węgiel, elementy metalowe. Byłem tam niedawno, w sumie to myślałem, że już się nic nie dzieje. Ująłem dwóch dziko fedrujących. Jeden pilnował na górze, drugi już fedrował na dole. – mówi funkcjonariusz Komendy Straży Miejskiej w Zabrze, Marcin Budzich. – To trwa cały czas. Dopóki będzie złom, będą kopać...

Imiona i nazwiska osób zostały zmienione. Dziękujemy Muzeum Górnictwa Węglowego oraz Straży Miejskiej w Zabrze, za pomoc w realizacji materiału.

Ajza, czyli złom dla zuchwałych

GRZEGORZ
SZTOLER

– Z czego żyć, z tej roboty za 700 zeta? A przyjmujom ino modych, do 25 lat, a jo mom 43 i nikaj nie chcom mi dać roboty...

I co, kuźwa, musza iść kajś po AJZA! Tam kaj miyszkom, kaj sie kiedyś nie wdepło, boła robota, a terazki – psinco... – To głos jednego z „metalowców”, „zbieraczy”, „czyścicieli”, „szruciorzy”, „kolekcjonerów”, czyli popularnych złomiarzy, którzy od lat są trwałym elementem górnośląskiego krajobrazu, zwłaszcza tego poprzemysłowego.

A owa ajza, to po prostu złom. Jej definicję przytaczam za śląską wikipedią: „Ajza to sům wśyske metalowe klamoto kere ný nadowajům sie dużyj do užytku a ino do pftopijńo we huće. To mogům być abfale, wyroby kere sům popsute, tajle uod maśynůw, stare auta, konštrukcyje ze rozbjůrki a inkše”.

Złomiarze

nie chcą rozmawiać. „Czas to pieńiądz” – słyszę rezolutnie od jednego z synków, którzy koło czechowickiej kopalni Silesia zbierają złom. Po co pchać się na kopalnię, urobić się za psie pieńiądze, skoro można łatwiej użyć.

– Masz papierosa? – pyta, a ponieważ nie kurzę rozmowa się urywa. I ze starszym zbieraczem znikają za zakrętem, bo tam, zaraz za familokami, jest punkt skupu.

Złomiarz w bytomskim Karbiu dyskretnie mnie unika (zajęty zbieractwem), kiedy próbuję podejść bliżej. Nie zauważa, ignoruje. Kolejny, któremu się przedstawiam, przyśpiesza kroku, rzucając na odchodne „jo nic nie wiym, jo tu nie miyszkom, jo tu ino przechodza”, choć wiem, że idzie „węszyć”, co jeszcze metalowego można „wyłowić”. Niektórzy są agresywni, bluzgają na czym świat stoi...

Tam, kaj ajza bydzie rajza

Próbuję więc „podejść temat” z innej strony. Podjeżdżam do jednego z punktów złomu. Akurat nie ma ruchu. Facet umazany smarem, w niebieskim „arbacie”, podchodzi do przymkniętej bramy i pyta, czy ze złomem. Odpowiadam, że nie i przedstawiam się. Działa jak odgromnik, widzę, jak człowiek czmycha.

– Właściciela, nie ma – rzuca.

– A po ile macie złom – zagaduję.

– Różnie, ostatnio ceny spadły, 70 groszy za kilo – słyszę.

– A ruch spory jest? – brnę dalej.

– Właściciela nie ma, zresztą rzadko tu zagląda, a ja tu tylko pracuję – powtarza.

– Właśnie o kogoś takiego mi chodzi – i tłumaczę, że zapewniam dyskrecję. Ostatecznym argumentem okazuje się przysłowiowy browar.

– Panie, my ino złom zakładów pracy bieremy – zapewnia mnie niejaki pan Erwin. – I rolnicy głównie jeszcze przyjeżdżają. Jest też poru tych z wózkami. Tu nie przejdzie żadna nowa rura, czy dekel ze studzienki. Wszystko się rejestruje, kto, ile i skąd przywozi. Ruch całkiem spory, jak na tak mały skup złomu. Ale niedużo przywożą... Widzi pan tą kupkę, o tyle dziennie jest mniej więcej. Niedużo, prawda? Trzeba to przesortować, przejrzeć... Konkurencja, kawałek dalej, ma specjalne maszyny, co to prasują i paczkują ten złom z aluminiowych puszek. To i cenę wyższą dostają. Na złom jest popyt, nasz to i do Czech, i do Niemiec idzie. Przez pośredników, oczywiście. Bo my jesteśmy małym punktem. Są i naprawdę duże, które mają umowy bezpośrednio z hutami, ale

tam trzeba mieć obrotu po pięć, osiem tysięcy ton miesięcznie. My tyle nie wyrabiamy, bo i tu duża konkurencja, w okolicy działa przecież osiem złomowisk.

– A co się bardziej opłaca? – dociekam.

– Kolor... Na kolorze jest dobre przebiecie. Złom stalowy to 70-80 gr za kilo i ciągle spada. Miedź na dzień dzisiejszy jest po 18 zł, mosiądz po 9 zł, aluminium, 3,20 zł, a z puszki 2,50 zł – u nos w skupie. Gdzie indziej ceny są zróżnicowane, 50 groszy więcej do złotówki różnicy nawet dochodzi, niy... My mamy z tego z 20 groszy przebiecia na kilo, a też to trzeba posegregować, załadować, zawieść, to wszystko są koszty paliwa, koszty pracowników... Wiadomo, nikt tego bezinteresownie nie robi. No, ale z kolorem jest problem większy... Tak i tak trzeba wszystkich spisywać. Ale dużo kradzieży jest... Także lepi nie kupować i mieć świnyty spokój.

– Jak przywożą coś podejrzanego... to co robicie? – prowokuję.

– Ale co na przykład? – irytuje się mój rozmówca. – No, nowe rury, powiedzmy... uściłam.

– Tymi rurami, to fakt, handlują... – przyznaje niechętnie. – Ale głównie się kratki ściekowych nie skupuje, pokryw ze studzienek, bo to ryzyko. Owszem, jak przywozi partię uszkodzonych pokryw firma, która dajmy na to, remontuje drogę, a są one pogięte, połamane, czyli złom po prostu. Wtedy spokojnie można kupić, spisuje się firmę.

Wózkarzy stworzyła bieda

Pan Kazimierz, który stracił pracę w kopalni, wspomina:

– W lombardzie zastawiłem ślubne obrączki, wróciłem do domu i zobaczyłem, jak moje córki uczą się przy świeczkach, ubrane w kurtki, bo nam prąd wyłączyli. Zupełnie się załamałem.

Wtedy właśnie wraz z kolegami wziął się za zbieranie złomu. Jako starzy górnicy dobrze wiedzieli gdzie go szukać. Teren zamkniętej kopalni był pełen „takich skarbów”. Trafiało się i kilkadziesiąt kilogramów „urobku” na dwóch, trzech. Pieniądze dzielono sprawiedliwie między wszystkich. Połowa szła na życie, reszta na przepicie. Bo nie umieli pracować na trzeźwo.

– Czuliśmy się straszliwie upodleni przez to wszystko – mówi. – Ludzie patrzyli na ciebie, jak na złodzieja, a przecież musimy z czegoś żyć. Też mamy rodziny. A takich starych, jak my, do roboty nie chcą...

Właśnie, takich już nie chcą... Tacy funkcjonują poza społeczeństwem, które traktuje ich jak złodziei, wyrzutków, malwersantów, margines.

– Złodziej zawsze sobie wytłumaczy, że zabiera zły przedmiot – irytuje się internauta Ada z Orzesza, gdzie złomiarze wynieśli dziesięciometrową szynę z nieczynnej trakcji. – I jesteśmy pobłażliwi, do czasu aż jakieś dziecko spadnie z rozkradzionego mostku, po którym nikt



nie chodził, nie tracimy koła na rzadko uczęszczanej drodze, nie przerwą nam dopływu wody, gazu, ciepła, prądu do naszego domku. Ta szyna stanowiła na pewno środek trwały kolei i miała swoją wartość. Nie była niczyja, jak się potocznie uważa. I być może tor, po którym już dawno nie jechał pociąg, stanowi drogę objazdową w razie wypadku, katastrofy na głównym szlaku. Przez takie myślenie giną tory, linie kablowe, studzienki.

Jedynie Sływa (po śląsku to pijok) broń siebie i kompanów:

– Dajcie odpowiednie ustawy regulujące osłony socjalne dla bezrobotnych, przecież złomiarz nie każdy jest złodziejem i nie każdy złomiarz całe życie był złomiarzem...

Lista przewinień

złomiarzy jest rzeczywiście porażająca. Nie ma przedmiotu, ba obiektu, który uszedł by ich uwadze. Nie znają żadnej świętości. Oto przykłady z ostatnich miesięcy. W Zawierciu złomiarz recydywista połakomił się na słup wysokiego napięcia (wysokie ryzyko). W Chorzowie w tym sezonie giną kable telekomunikacyjne i szyny. Siemianowiccy zbieracze wrzucili za płot pocisk artyleryjski, nie mogąc go pociąć. Postawili w stan gotowości wszystkie możliwe służby z saperami włącznie. Rumuńscy złomiarze grąsowali na terenie bytomskich ogródków działkowych kradnąc rury wodociągowe.

Bezsilni są policjanci w Gliwicach, którzy walczyć próbują z kradzieżami in-

frastruktury kolejowej. Takie złodziejstwo zagraża już bezpieczeństwu podróży. We wrześniu sześciu mieszkańców Knuruwa kradło tory na ulicy Okrężnej w Gliwicach, a dwóch gliwiczian z kolei ujęto, jak demontowali 63 sztuki wkrętów mocujących szyny... po których jeżdżą pociągi...

Także w Gliwicach przebrani za robotników złomiarze, na terenie byłej stacji paliw, próbowali skraść potężną bramę powołując się na zezwolenie mitycznego „pana Zbyszka”. Wzbudziło to uzasadnione podejrzenie miejskich strażników. Kiedy dociekam, ile jest w tym mieście punktów skupu „żłomu stalowego, żeliwa i metali kolorowych”, dowiaduję się, że 27. Tamtejsi urzędnicy zapewniają, że są systematycznie kontrolowane – to najczęstszy i najtańszy sposób „walki” ze złomowym szabrownictwem. I skuteczny, skoro „zdelegalizowano” dwa działające w centrum miasta złomowiska (wcześniej były tylko miejscami skupu surowców wtórnych). Najczęściej giną, oczywiście, pokrywy ze studzienek kanalizacji deszczowej i sanitarnej, do końca sierpnia straż miejska odnotowała 52 zgłoszenia o ich „brakach” – czyli zabrali je złomiarze. Najwięcej, bo 10 pokryw, zaginęło w dzielnicy Szobiszowice. Kontrole przynoszą efekt, bo – jak czytamy w sprawozdaniu – odzyskuje się skradzione mienie: „w bieżącym roku ujawniono 5 żeliwnych elementów infrastruktury drogowej i 2 inne (na jednej ze złomnic ujawniono element urzędze-

nia blokującego koła pojazdu, zniszczonego na szkodę jednej ze straży miejskich, w innej zniszczone pokrywy studzienek na szkodę jednego z przedsiębiorstw miejskich)...” Poza tym przy strażnicy ujawniono dwa przypadki opalania kabli.

Mekka złomiarzy?

Bytom posiada chyba najwięcej złomowisk w całym regionie – działa tu 91 oficjalnie zarejestrowanych punktów skupu metali. Większość działa w dzielnicy Łagiewniki. I w tym mieście, można to z przykrością stwierdzić, kradnie się na potęgę:

„Kradzieże elementów stalowych – czytam w informacji przesłanej przez bytomskich urzędników – szczególnie nasilają się w budynkach wyłączonych z użytkowania (belki, elementy stalowe klatek schodowych, belki biegów schodowych, balustrady), zauważalny wzrost kradzieży odnotowuje się w czasie weekendów oraz innych dni wolnych. Stosowane zabezpieczenia są nieskuteczne ze względu na masowość i intensywność kradzieży. Przypadki kradzieży są zgłaszane na policję, jednakże z uwagi na małą szkodliwość społeczną czynu oraz brak sprawców, sprawy przeważnie podlegają umorzeniu. Złodziejski proceder napędzają działające w mieście skupy złomu, przyjmujące złom stalowy bezkrytycznie i bez zastrzeżeń. Straty są znaczne, gdyż często kradzież elementu metalowego wiąże się z dewastacją ścian, stropów,



tynków i innych elementów budynków, jak również mogą skutkować szkodami osobowymi”.

W Bytomiu z miejskich budynków giną nagminnie drzwi do klatek schodowych, elementy okuć stolarki, klamki, szyldy, balustrady stalowe, tralki (również z ozdobnymi detalami o charakterze zabytkowym), drzwiczki piwniczne, kraty okienne, elementy zabudowy instalacyjnej – rury wodne (na połączeniu lokalu z budynkiem). A z pustostanów znikają metalowe części pieców (ruszty, blachy, drzwiczki), istniejących instalacji (baterie zlewozmywakowe). Popytem cieszą się żeliwne odcinki pionów kanalizacyjnych, rury, złączki, stałych amatorów mają pokrywę studzienek kanalizacyjnych, kratki ściekowe. Złomiarz nie ominie ocynkowanych rur spustowych, żeliwnych gajgerów, drzwiczek zabezpieczających główne zawory gazowe. Kradnie się nawet... piorunochrony. Samych tylko znaków drogowych i barierek znika około 20-30 sztuk na rok, natomiast kratek wpustów kanalizacyjnych skradziono w 2011 roku 129 sztuk. „Wartość skradzionych elementów wynosi dla znaków średnio ok. 6 000 zł na rok, dla wpustów w 2011 roku to 39 500 zł, do czerwca 2012 roku to 10 000 zł”. I to się nazywa niską szkodliwością społeczną.

Znikające zabytki

Nieodwracalnie dewastowana jest przemysłowa spuścizna całego nasze-

go województwa. Częstochowscy „kolekcjonerzy” rozkradają powoli tamtejsze muzeum zapalek. Regularny szaber przyczynił się do zniknięcia m.in. części dachu, wiat, wciągarek, elementów wózków widłowych oraz ciągnika. A walka z nimi prowadzona przez prezesa muzeum Eugeniusza Kałamarza przypomina, jako żywo, walkę Don Kichota z wiatrakami. I jest tak chyba wszędzie, gdzie stoją opuszczone obiekty przemysłowe, których nie uchroni nawet uznanie za „spuściznę cywilizacyjną regionu”. Nikogo z władz nie interesuje ochrona tych dóbr kultury, zawsze kończy się na słownych deklaracjach. A tu trzeba po prostu pieniędzy, których nigdy nie było...

Ilu obiektów już nie ma? W wyniku działalności „złomiarzy” niemal całkowicie zniknęły z powierzchni ziemi szyby kopalni „Polska” w Świętochłowicach. Mocno ucierpiała najstarsza na terenie województwa śląskiego – powstała w 1871 roku – wieża ciśnień w Zabrze mieszcząca się na terenie dawnej huty Donnersmarcka. Łupem „złomiarzy” padły tam piękne spiralne, kute schody. Skradziono część dachu z wieży ciśnień z 1909 r. stojącej przy ul. Zamoyskiego w Zabrzu. To jeden z największych i najbardziej nietypowych takich obiektów na Górnym Śląsku. Zagrożony był również Szyb Krystyna w Bytomiu. Kolejki wąskotorowe w Bytomiu i Rudach stale borykają się z kradzieżami metalowych elementów infrastruktury kolejowej. O ich ocalenie walczą ofiarnie członko-

wie Stowarzyszenia Górnośląskich Kolei Wąskotorowych, którzy nieustannie patrolują okolice parowozowni i torowiska, by ustrzec je przed grożącym im szabrem. Dzięki interwencji bytomskiej policji odratowano od unicestwienia zabytkową XIX-wieczną bramę z ul. Józefczaka. Rozkradane są również obiekty byłej huty Uthemanna w Katowicach. Bezmyślnością, a raczej ignorancją godną złomiarzy wykazali się decydenci pozwalając na legalny szaber zabytkowego żurawia stojącego od 1937 roku w gliwickim porcie. Ta lista wciąż się powiększa, niestety...

Krzyże też są warte zachodu

W Lyskach koło Rybnika podejrzewano złomiarzy o zniszczenie kilkudziesięciu nagrobków, z których ktoś skradł metalowe krzyże. Nie wspomnę tu o kradzieży metalowych rynien wokół świątyń. A ostatnio giną z samochodów... katalizatory, które łatwo wymontować, w skupie „dobrze” je cenią...

Zdesperowani ludzie dostrzegają, że kradnie się wszystko i wszędzie. I nic się nie zmienia.

„Kolejny raz nasze działki pracownice zostały огоłocone z kranów wodnych i instalacji elektrycznych – alarmuje jedną ze śląskich gazet W. Strawiński z Tarnowskich Gór. – I tak co roku: włamanie, policja, umorzenia spraw. Zmierzam do sedna: administracja państwowa nie panuje nad tym procederem. Nie liczy się obywatel, liczy się siła przebiecia złomowni i dziurawe przepisy.”

Potwierdza to Małgorzata z Katowic:

– Sama poniosłam ogromne straty z powodu złomiarzy, którzy nigdy nie zostali znalezieni, tym bardziej moje mienie. Złomiarze to prawdziwa plaga.

Stanisław Kowalewski:

– Należy stworzyć dla ludzi pracę to nie będą się kusili na te parę groszy za złom. Nawet jak złapiesz takiego złomiarza-złodzieja, to i tak jesteś bezsilny – MAŁA SZKODLIWOŚĆ. A spróbuj mu wymierzyć swoją sprawiedliwość, to polski sąd cię dopiero skarże na grzywnę. On, złomiarz, jest bezkarny.

Internauta AJ zauważa trafnie i żartobliwie, że w tym „systemie” pewną pracę mają: „1. Złomiarz. 2. Policja. 3. Pan w skupie złomu. 4. Kierowca, który wiezie złom do huty. 5. Wielu ludzi w hucie. Ale rzecz ukradzioną trzeba kupić. A więc: 1. Handlowiec, 2. Wytwórca, 3. Dystrybutor. Rzecz zostaje kupiona. Kółko się zamyka i kręci się dalej. A więc chwała złomiarzom!”. Coś w tym jest...

Walka z wiatrakami

Jak walczyć ze złomiarzami? Patrole straży miejskiej, policji, sokistów już chyba nie wystarczają. Władze Rudy Śląskiej zaniepokojone nagminną już kradzieżą wszelakich słupów energetycznych, studzienek kanalizacyjnych, czy znaków drogowych (a nawet tablic z nazwą miasta) postanowiły blokować powstawanie nowych złomowisk, bo roczne straty spowodowane przez złomiarzy idą już w setkach, a nie dziesiątkach tysięcy złotych. Ale ciężko to „ograniczyć”, wiadomo bowiem, że popyt napędza podaż. Natomiast zdesperowane Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Rudzie Śląskiej wpadło na pomysł znakowania najczęściej kradzionych metalowych studzienek specjalnym kodem numerycznym. Pomysł jest w naszym regionie świeży i nowatorski (choć na świecie stosuje się go od lat dwudziestu). Dlaczego go zastosowano? Bo, jak przyznaje dyrektor Zbigniew Domżański, roczne straty przedsiębiorstwa sięgały 50 tysięcy złotych. Tylko w tym roku ofiarą złomiarzy padło już ponad 61 pokryw studzienek deszczowych, hydrantów, włączników kanalizacyjnych, których wartość przekracza 20 tysięcy złotych. Na czym polega ta niezwykła metoda, zwana przewrotnie DNA? Wyjaśnia to redaktor Adam Podgórski z serwisu obywatelskiego www.wiadomosci24.pl:

„Na jednej praktycznie niewidzialnej cząsteczce polimeru, umieszczonych jest 21 sekwencji kodu DNA. Cząsteczki wraz z substancją klejącą są nanoszone na chronione elementy urządzeń, maszyn, pojazdów, dowolnych przedmiotów np. telefonów komórkowych przez rozpylanie. Po wyschnięciu są niezniszczalne. Ich trwałość wynosi co najmniej 20 lat. Kod przyznany indywidualnie znajduje się oczywiście w rejestrach firmy i centrali. Oznakowanie po-

twierdza przyznany certyfikat. Identyfikacji dokonuje osoba wyposażona w latarkę emitującą strumień światła ultrafioletowego i mikroskop bądź lupę gwarantującą 40-krotne powiększenie. Właśnie w zestawy takich przyborów, latarki i mikroskopy zostali wyposażeni rudzcy policjanci i strażnicy miejscy.” Może warto polecić to znakowanie innym?

Śląska policja

nie prowadzi osobnego rejestru złomiarzkiego proceduru. Wynika to z przyjętej formy statystycznego ujmowania tych „zajść” – podlegają pod zbiorczą rubrykę „inne kradzieże”, bez rozbicia czy chodzi o kradzież węgla, czy złomu. Jedynie kradzieże samochodów „zaskoczyły się” w policyjnej statystyce na osobną kategorię. Tak więc trudno powiedzieć, o jakiej skali „szabrowania”, dewastacji publicznego majątku mówimy. I jak tu skutecznie walczyć z tą patologią, skoro nie znamy jej skali?

Kiedy pytam o to starszego aspiranta Marka Wręczyckiego z zespołu prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji, ten stwierdza kategorycznie, że policji nie stać na pilnowanie pokrywy każdej studzienki przed kradzieżą. Trudno się z tym nie zgodzić. Policja jest od systematycznej kontroli złomowisk, ich właścicieli i to przynosi efekty, ale w skali rocznej – w której widać jak na dłoni, właściwą proporcję działalności złomiarzy. I tu, ku mojemu zdziwieniu, okazuje się, że trudno mówić o nawet „dużej skali” działalności złomiarzy w naszym województwie. Zdaniem mojego rozmówcy, na pewno kradzieże pokryw, kabli, szaber złomu z opuszczonych zabudowań przemysłowych, pustostanów utrzymują się na podobnym, niezmiennym poziomie od dłuższego czasu, co najmniej kilku już lat, szczególnie w miastach aglomeracji. I usłyszałem też, iż jednym poważniejszych zmartwień policji jest to, że szabrujący zagrażają własnemu... bezpieczeństwu, a także zdrowiu i życiu osób postronnych.

Jesteśmy zgodni z panem Markiem w tym, że podstawową rzeczą powinno być współdziałanie samorządów, policji, straży miejskich. Współdziałanie (czyli prewencja, zapobieganie „przed” – a nie „po”) i wymiana informacji, rzeczy najprostsze, a przynoszące efekty. Pytam, o sposoby zabezpieczeń pokryw studzienek. Otóż pomysł ich znakowania wcale nie jest taki nowatorski.

– Wiem, że znaki drogowe znakowano specjalną farbą widoczną w świetle ultrafioletowym, co już poważnie utrudniało ich kradzież – przypomina pan Marek. – Poza tym, by utrudnić skup najczęściej kradzionych pokryw ze studzienek wystarczy je po prostu oznakować: herbem miasta albo nazwą, tak żeby od razu widać było, do kogo należą. Na pewno zmniejszy się liczba chętnych na nie.

Ile jest złomowisk?

Kiedy pytam o złom, szaber, znikające zabytki przemysłowe w naszym regionie w Urzędzie Marszałkowskim słyszę, że „poruszana tematyka zdecydowanie wykracza poza ich kompetencje”. Może i wykracza, ale pozostaje, przynajmniej powinna, w kręgu ich decyzyjności (a co by było, gdyby tak rozsądzano modernizujący się nieustannie Stadion Śląski?). Cytuję informację marszałkowskiego biura prasowego „według danych posiadanych przez Wydział Ochrony Środowiska UMWS w Wojewódzkim Systemie Odpadów 220 podmiotów zadeklarowało prowadzenie działalności w zakresie zbierania metali żelaznych i nieżelaznych. W 2011 roku masa tych odpadów wynosiła 140 084, 5426 Mg. Prowadzący punkt zbierania odpadów metali winni posiadać zezwolenie na prowadzenie tej działalności. Zezwolenie takie wydaje w drodze decyzji właściwy organ ochrony środowiska zgodnie z art. 28 ustawy o odpadach, tj. – regionalny dyrektor ochrony środowiska – dla przedsięwzięć i zdarzeń na terenach zamkniętych, – starosta – dla pozostałych przedsięwzięć. Dodatkowo ustawa o odpadach w art. 43a nakłada na prowadzącego punkt zbierania odpadów metali dodatkowe obowiązki związane z ewidencją tych odpadów. Kontrole przestrzegania warunków określonych w zezwoleniach prowadzi Wojewódzki Inspektor Ochrony Środowiska”.

Eko-ajza

– Zbieracze puszek po piwie i innego złomu są bardzo potrzebni. Bez nich całe obrzeża dróg byłyby śmietnikiem – uważa internauta o wdzięcznym nicku „Sołtys Miłówki”.

To prawda. Bo „zbieractwo”, nie oznacza przecież wyłącznie „szabru”. To również ekologiczny biznes, który przysławiany jest trochę przez patologiczne zjawisko „szabrowania woskowego, co metalem jest” przez złodziei. Po śląskich miastach, wsiach krążą ciężarówki „szruciorzy”, jak się ich nazywa, którzy szukają niepotrzebnego złomu po domach, gospodarstwach, skupiają go i zwożą do złomowisk. Więc są pożyteczni i ekologiczni.

A w lasach, nad rzekami, łąkami przeczesywane są dzikie wysypiska, gdzie szuka się „metali” – od puszek, przez garnki, po odpady z budownictwa (pręty, druty, blachy). Robią to, odsądzani od czci i wiary, złomiarze. Grzebią w koszach na śmieci, przeczesują zarośnięte pobocza w poszukiwaniu „kolorowych” opadów (głównie puszek). Nikt tych śmieci nie chce, nie sprzęta, tylko ci ludzie – przymuszani przez życiową sytuację – oni z tego „żyją”. I dzięki temu nasze środowisko jest czystsze. Paradoksalnie, właśnie dzięki ich biedzie.

Prymat administracji nad polityką kulturalną!

TADEUSZ
SIERNY

I.

W przeszłości Katowice były miejscem ważnych spotkań ludzi świata kultury. Tutaj odbywały się m.in. Zjazdy Pisarzy Ziemi Zachodnich. Sławnej ale i niesławnej pamięci Zjazdy Związku Literatów Polskich, zjazdy ludzi sztuk plastycznych, teatru i in.

W pamięci społecznej utrwalił się nie odbyty – zaplanowany na 19 grudnia 1981 roku – **Śląski Sejmik Kultury**, na którym przedstawiony miał być *Raport o stanie kultury i sztuki w województwie katowickim* zredagowany ostatecznie przez **Tadeusza Kijonkę** i napisany z inspiracji Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach. Jego tekst ocalony z jedyne go zachowanego egzemplarza maszynopisu został opublikowany w 1998 roku.

Kolejny **Kongres Kultury na Górnym Śląsku** odbył się w dniach 26 – 27 września 1998 roku. Był to pierwszy tego typu Kongres Kultury zorganizowany w Polsce.

Siedem lat później z inicjatywy Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, redakcji miesięcznika „Śląsk” przy współpracy Biblioteki Śląskiej zwołano **Konferencję** zatytułowaną: *Stan – Wyzwania – Perspektywy kultury w Województwie Śląskim*.

Ostatnie uroczyste spotkanie ludzi kultury odbyło się w dniach od 23 do 25 września 2010. Obszerne sprawozdania i materiały z **Kongresu Kultury Województwa Śląskiego** zostały opublikowane w monumentalnym wydawnictwie w 2011 roku.

II.

Analiza ocalałych dokumentów z 1981 roku dowodzi, że najważniejszymi sprawami dla ludzi kultury w Katowicach były kwestie związane z wolnością twórczą. Cały rozdział II **Raportu** poświęcono *Polityce kulturalnej*, a IV rozdział *Środowiskom twórczym i życiu artystycznemu*. Autor **Raportu** określa dwie podstawowe zasady kreujące politykę kulturalną ówczesnego okresu, mianowicie zasadę:

a) dystansowania kultury przez faworyzowane, bez względu na straty społeczne, potrzeby inwestycyjne ciężkiego przemysłu (...), i

b) stałe rozmijanie się polityki kulturalnej tej deklarowanej (...) – a polityki kulturalnej rzeczywiście realizowanej.

Konkluzją historycznej i socjologicznej analizy zamieszczonej w **Raporcie** jest próba krytycznego zsumowania założeń polityki kulturalnej – realizowanej w województwie od 1945 do 1980 roku – dobitnie rejestrująca podstawowe negatywne zjawiska tego okresu, takie jak: traktowanie kultury jako instrumentu propagandy, podporządkowanie jej strategicznym celom polityki społecznej, bezpośrednie kierowanie przez aparat partyjny procesami upowszechniania i powstawania dzieł sztuki oraz dóbr kultury za pomocą rozbudowanego systemu zamówień i mecenatu, oddziaływanie na środowiska twórcze poprzez konsultacje ich planów artystycznych, organizację regularnych konkursów tematycznych o wyraźnie sprecyzowanych celach ideowych, a także rzadko i wybiórczo udzielanych stypendiach (s. 38).

Tadeusz Kijonka podsumowuje swoje rozważania: „*Tak pojęty model polityki kulturalnej, który zachował wszystkie jej podstawowe wyróżniki strukturalne z lat pięćdziesiątych, zakładał jedność polityki kulturalnej państwa i partii, nie uwzględniał i nie tolerował zróżnicowania ideologicznego i światopoglądowego, ani wielonurtowego i wieloźródłowego charakteru kultury polskiej (...)*”

Refleksję nad ówczesnym stanem środowisk twórczych rozpoczyna krytyczną tezę, cyt.: „*(...) środowiska twórcze w naszym regionie, funkcjonują w stanie znacznego rozproszenia sił i energii oraz postępującego zaniku więzi międzyśrodowiskowych, ongiś żywych i powszechnie odczuwanych jako niezbędne.*”

We **Wnioskach i założeniach programowych** postulowane jest przede wszystkim odzyskanie tożsamości kulturowej regionu i integralności życia kulturalnego oraz wprowadzenia adekwatności anachronicznych już wówczas form organizacyjnych do rodzących się nowych warunków społecznych i politycznych, przede wszystkim poprzez uznanie zasady pluralizmu kulturowego i politycznego.

Autor w tekście **Raportu** podkreśla jednoznacznie, iż cyt.: „*Główną słabością kultury na Śląsku jest bowiem – i to nie od dziś – jej prowincjonalizm*”. Postuluje otwarcie dyskusji nad tą kwestią, apelując jednak o dążenie do cyt.: *uniwersalizacji wartości lokalnych*, tzn. o *wyartykułowanie treści lokalnych przy pomocy uniwersalnych środków wyrazu*.

Warto zaznaczyć, że poza sprawami politycznymi i ideologicznymi **Raport** zawiera szereg ważnych z antropologicznego punktu widzenia postulatów dotyczących zachowania tradycji, poszanowania ciągłości procesów w kulturze, wyeksponowania treści kształtujących tożsamość regionalną i narodową, formułuje żądanie skierowane do polityków i administratorów kultury postrzegania sfery kultury przede wszystkim poprzez aktywne współdziałanie ze środowiskami twórczymi w jej upowszechnianiu i propagowaniu jej treści, wartości, form zachowań integrujących społeczność regionalną. Pomimo upływu więcej niż ćwierćwiecza wiele postulatów – odnotowanych w owym nigdy nie ogłoszonym raporcie – do dziś, pozostaje aktualnych.

III.

Kongres Kultury na Górnym Śląsku we wrześniu 1998 roku odbywał się tuż przed o wejściem w życie ustawy o samorządzie powiatowym, ustawy o samorządzie województwa

oraz ustawy o administracji rządowej w województwie – obowiązującej od dnia 1 stycznia 1999 roku. Rodziło się wówczas *nowe, samorządowe województwo śląskie* integrujące region górnośląski z powiatami północnymi, wcześniej funkcjonującymi w ramach województwa częstochowskiego i powiatami południowymi związanymi z ówczesnym województwem bielsko-bialskim. Ta nadchodząca reforma administracyjna i erygowanie samorządu regionalnego o znacznych uprawnieniach budziło wówczas wiele nadziei i oczekiwań – także środowisk twórczych, ludzi kultury.

Inicjatywa zwołania Kongresu wywodziła się jeszcze z tradycji działań i postulatów wspomnianego wyżej Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach oraz przychylności grupy radnych z Podkomisji do spraw Kultury ówczesnego Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego. Powołano 21-osobową Radę Programową Kongresu na czele z przewodniczącym Kazimierzem Kutzem i Tadeuszem Kijonką jako jej wiceprzewodniczącym. Kongres inaugurowali: minister kultury i sztuki: Joanna Wnuk-Nazarowa, wicepremier Leszek Balcerowicz, a obradował pod patronatem ówczesnego wojewody katowickiego, przewodniczącego Sejmiku Samorządowego Województwa Katowickiego, z udziałem delegata metropolity górnośląskiego, gości z województw bielsko-bialskiego, częstochowskiego, opolskiego oraz z Zaolzia.

Referaty plenarne wygłosili prof. dr hab. Wiesława Korzeniowska (*Żyłki dziedzictwa kulturowego na Górnym Śląsku*), Tadeusz Kijonka (*Kultura na Górnym Śląsku – sytuacja i dylematy*), dr Łucja Ginko (*Raport wojewody katowickiego o kulturze*), prof. dr hab. Wojciech Świątkiewicz (*Przemiany wzorów uczestnictwa w kulturze*). Obrady toczyły się w ośmiu Zespołach problemowych. Efektem prac Kongresu jest jego obszerna „Uchwała” i ponad 150 wniosków szczegółowych przyjętych na posiedzeniach Zespołów Problemowych oraz 7 wniosków indywidualnych zgłoszonych przez uczestników debaty plenarnej. Wszystkie materiały opublikowało Górnośląskie Centrum Kultury w styczniu 1999 roku.

W *Uchwale* podkreślano negatywne skutki toczących się w województwie procesów likwidacyjnych instytucji kultury, prowadzących do poszerzenia skali degradacji i ograniczenia dostępu do kultury; zwracano uwagę na „*pogarszające się warunki materialne bytu kultury i sztuki*” i regres źródeł finansowania kultury. Jednoznacznie stwierdzano, że „*Najważniejsza*



W drugim dniu Kongresu Kultury na Górnym Śląsku w 1998 roku, obradom przewodniczył Tadeusz Kijonka – wiceprzewodniczący Rady Programowej. Obok niego zasiadli Kazimierz Kutz i Michał Lubina – dyrektor Biura Sejmiku.

kwestia śląskiej rzeczywistości to rozwój edukacji, ze szczególnym uwzględnieniem dostępu do szkół średnich a zwłaszcza ogólnokształcących”, apelując o stworzenie strategicznego programu rozwoju oświaty w województwie. Szczególnie krytycznie Kongres wypowiedział się w swej uchwale o procesie bezwzględnej komercjalizacji i żywiołowej inwazji kultury masowej, epatującej scenami przemocy i deprawacji, zagrażającej zakłóceniami w sferze tożsamości i patologią zachowań społecznych. Zasadniczą uwagę poświęcono koniecznemu – ale nie respektowanemu przez władze – współudziałowi środowisk kultury i sztuki w formowaniu programów rozwoju kultury, absencji tych środowisk w procesach planistycznych, zaprzeczając koncepcji budowania trwałych podstaw społeczeństwa obywatelskiego. Przywołano tu casus pominięcia tych środowisk przy konstruowaniu Kontraktu Regionalnego, w którym kwestii kultury w ogóle nie uwzględniono. Akceptowano samorządowy, zdecentralizowany, „*polientryczny model polityki kulturalnej stwarzającej optymalne warunki rozwoju ognisk lokalnych i regionalnych centrów, w oparciu o rodzime źródła...*”. Żądano stworzenia warunków, w których Katowice stałyby się autentyczną metropolią wyposażoną w pełny zestaw instytucji i obiektów o ponad regionalnym oddziaływaniu i zasięgu.

Jednym z wielu konkretnych postulatów Kongresu było powołanie **Funduszu Rozwoju Kultury Śląskiej** i **Spółecznej Rady Kultury** reprezentatywnego ciała, opiniodawczego i planistycznego, które byłoby głosem twórców i konsumentów kultury prowadzącym dialog z administracją regionalną oraz wspierającym władze samorządowe i wojewodę w ich działaniach na szczeblu centralnym.

Warto tutaj wspomnieć odosobnione wystąpienie radnego Sejmiku Samorządowego Jerzego Chmielewskiego, który w imieniu Sejmiku poinformował uczestników Kongresu, iż „*nowe władze samorządowe nie będą słuchały założeń Kongresu, a kultura nie jest najważniejszą kwestią*”, przed którą stoi region. Z tym stanowiskiem stanowczo polemizowali m.in. Marian Słowicki i Marek Szafranec.

IV.

W grudniu 2005 roku z inicjatywy GTL, redakcji „*Śląska*” i Biblioteki Śląskiej odbyła się konferencja z udziałem *przedstawicieli środowisk twórczych artystycznych i naukowych oraz animatorów życia kulturalnego w nawiązaniu do Kongresu Kultury na Górnym Śląsku w roku 1998*. We wprowadzającym do dyskusji referacie wygłoszonym przez Tadeusza Kijonkę, mówca przypominał m.in. o bogatym dorobku Kongresu, o zainicjowanych po zakończeniu Kongresu pracach Społecznej Rady Kultury i uchwalonym na jej posiedzeniu w dniu 29 marca 1999 „*Przesłaniu do władz samorządowych, administracyjnych i mieszkańców województwa*” oraz powołaniu w tym także dniu dwunastoosobowej **Rady Kultury Województwa Śląskiego**.

Mówca podkreślał dobroczynny charakter wielu realizowanych i zrealizowanych w ciągu minionych 7 lat inicjatyw zarówno inwestycyjnych (Centrum Sztuki Filmowej w kinie Kosmos; Kinoteatr „Rialto”, nowy status NOSPR, wmurowanie kamienia węgielnego pod Centrum Nauki i Edukacji Muzycznej „Symfonia” in.) jak i społecznych (Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Katowicach), oraz dokonania artystycznych teatrów, filharmonii i innych instytucji, a także efektów uporczywych prac animatorów

kultury: m.in. Rajmunda Hankego, Lecha Szarańca i in. T. Kijonka podkreślił, iż cyt.: „*Po 7 latach które upłynęły pomiędzy rzeczywistością roku 1998 w tej sferze (kultury: przyp. T. S.) – a rokiem 2005 zaszły istotne różnice choć większość ocen i wniosków (...) nie utraciło swej surowej wymowy.*”, co więcej gorzko konstatawał, iż: z upływem czasu kapitał i dorobek społeczny Kongresu (...) *tracił na znaczeniu, stał się jedynie świadectwem zbiorowego porwy i dokumentem zmarnowanych szans.* Jednym z dowodów na tak postawioną tezę był paraliż powołanej w wyniku decyzji tamtego Kongresu Rady Kultury Województwa Śląskiego; dla administracji ciało uciążliwe, bo utrudniające absolutną urzędową władzę. Towarzyszyło temu całkowite fiasko zamiaru powołania Funduszu Rozwoju Kultury Śląskiej. Czyżby radny J. Chmielewski przewidział proroczo przyszłość?

Z tezami referatu T. Kijonka polemizowała dr Łucja Ginko, referując osiągnięcia ostatnich lat, wskazała także na nowe obowiązki samorządów powiatowych i gminnych; na nich bowiem spoczywa piecza nad działaniami w sferze kultury. Inni uczestnicy dyskusji zwracali uwagę na problemy badawcze dotyczące kultury, zagadnienia komunikacji z publicznością, edukacji dla kultury. Profesor Eugeniusz Knapik podkreślił w swym emocjonalnym wystąpieniu konieczność sięgania w twórczości po „*Najwyższy poziom – to początek pracy nad sobą. Spójrzmy w siebie, jak mało dajemy ludziom...*”. Apel prowadzącego konferencję by: „*konferencja uświadomiła potrzebę spotkania ludzi kultury i sztuki, by to oni mieli większy, partnerski wpływ na podejmowane decyzje w sprawach kultury*” przywołał aktualne, ale i znane od kilkunastu lat zagadnienie.

Warto tutaj przypomnieć, że już po owej konferencji, 28 sierpnia 2006 roku została przyjęta przez Sejmik Województwa Śląskiego *Strategia rozwoju kultury w województwie śląskim na lata 2006-2020*”. Strategia została przygotowana jako opracowanie badawczo rozwojowe wykonane na zlecenie Województwa Śląskiego przez firmę *Public Profits Sp. z o.o. z Poznania* (sic!), a w pracach warsztatowych i seminariach uczestniczyło łącznie 77 osób, z których 52% reprezentowało instytucje kultury, 27% administrację samorządową, 12,0% stowarzyszenia i fundacje, 9% jednostki naukowe i badawcze.

Kiedy zagłębimy się w lekturę *Strategii rozwoju kultury w województwie śląskim na lata 2006-2020* skonstatujemy, że w rozdziale zatytułowanym „*Diagnoza kluczowych aspektów funkcjonowania kultury*” znajdziemy pra-

wie wyłącznie zestawienia statystyczne dotyczące instytucji kultury w naszym województwie (teatry, kina, muzea, galerie, zabytki itp.). W żadnym wypadku nie negując potrzeby istnienia owych instytucji, a raczej mocno podkreślając wagę i konieczność stabilnego finansowania ich działalności, stwierdzić można, że te dane – w świetle sporów toczonych na wspomnianych wyżej konferencjach – na pewno nie „*obrazują kluczowych aspektów funkcjonowania kultury*”.

V.

Kongres Kultury Województwa Śląskiego we wrześniu 2010 roku był kilkudniową imprezą zorganizowaną z rozmachem i z udziałem wielu znakomych gości, osobistości z świata kultury, polityki, gospodarki, przedstawicieli duchowieństwa.

Wystąpienia plenarne referentów wielokrotnie podejmowały trudną i wywołującą emocje tematykę rozumienia kategorii kultury śląskiej, (prof. Ewa Kosowska) i w tym kontekście regionalnej tożsamości kulturowej (prof. Marek Szczepański, prof. Jolanta Tambor), zagadnienia rozwoju społecznego, innowacyjności, funkcji przemysłów kreatywnych były przedmiotem kilku niezwykle interesujących wystąpień (prof. Wojciech Świątkiewicz, prof. Andrzej Klasik, prof. Marian Oslisło); analizę stanu edukacji kulturalnej przedstawiła prof. Katarzyna Olbrycht, problemy bibliotek zaprezentował w merytorycznym wystąpieniu prof. Jan Malicki. W trakcie Kongresu odbyły się emocjonalne rozmowy w ramach dwunastu paneli dyskusyjnych. Zwróćmy uwagę, że wśród referentów nie ma tym razem w ogóle przedstawicieli środowisk twórczych i artystycznych, znamienna zmiana o istotnych konsekwencjach.

Prof. Ewa Kosowska słusznie przestrzegała w swym wystąpieniu przed utożsamianiem kultury wyłącznie „*z życiem kulturalnym zorganizowanym instytucjonalnie, w określony sposób finansowanym, kontrolowanym i opisywanym*”. Przypomniała, że przywołana w *Strategii rozwoju kultury w województwie śląskim na lata 2006-2020* definicja kultury jest wybraną z kręgu tych odwołujących się do tzw. szerokiego, antropologicznego rozumienia kategorii kultury. Pytania postawione przez referentkę m.in. o to „*co kultura instytucjonalna na poziomie europejskim finansowana z grantów unijnych i krajowych, sponsorowana – może oferować*” ludziom wychowanym w tradycyjnej, rodzimej kulturze lokalnej „*oraz co lokalna, tradycyjna kultura*” może oferować wszystkim miesz-

kańcom województwa w pierwszej połowie XXI wieku – są nie tylko zagadnieniami teoretycznymi, ale przede wszystkim praktycznymi zagadnieniami aktywnej regionalnej polityki kulturalnej.

Kongres zajmował się także szczególnie sprawami dotyczącymi poszczególnych środowisk twórczych, dyscyplin sztuki, form upowszechniania, finansowania kultury, w tym wielu zagadnień od lat nierozwiązanych na Śląsku; zrealizowanych i będących w toku realizacji, wielomilionowych inwestycji finansowanych ze środków własnych, ale przede wszystkim z funduszy unijnych. Zdołał sformułować także wiele pytań dotyczących samej istoty, treści i stylu kultury regionalnej oraz moderującej ją polityki kulturalnej.

VI.

Jedną z konkluzji Kongresu, nawiązującą do występujących we wszystkich poprzednio omówionych konferencjach konstatacji jest teza, iż nawet najlepsza administracja bez zaplecza społecznego nie jest w stanie samodzielnie wpłynąć modernizacyjnie i wzbogacić zasobów kapitału symbolicznego kultury regionalnej. A to ten kapitał stanowić będzie o tożsamości i identyfikacji naszego regionu wśród innych regionów w Polsce, o poziomie i standardzie jakości życia w naszym regionie.

Ciągłe inspirowanie i organizowanie wielowątkowego sporu o kierunki modernizacji tegoż kapitału, krytyka zjawisk patologicznych, to są zadania nowoczesnej polityki kulturalnej. Do takiej działalności potrzebna jest horyzontalna wizja rozwoju społeczeństwa i jego kultury oraz wysokie kompetencje merytoryczne personelu. **Działalność sprowadzająca się wyłącznie – jak to ma miejsce – do rozdzielania środków przy pomocy niezwykle sformalizowanych procedur a później nadzoru i kontroli ich wydatkowania oznacza właśnie rychłą śmierć „polityki kulturalnej”.**

Problematyka kongresów i konferencji ulegała charakterystycznym zmianom, od rygorystycznych analiz społeczno-politycznych, instytucjonalnych zestawień potrzeb inwestycyjnych, rachunków krzywd i zaniechań, do antropologicznej refleksji nad sensem i zasadami budowania zrębów społeczeństwa obywatelskiego. Zawsze jednak postulowano demokratyczną współpracę administracji z szerokim zapleczem społecznym, w tym ze środowiskami artystycznymi, animatorami kultury, publicznością, oraz z troskliwą pamięcią o zastanej już i utrwalonej tradycji.

Tożsamość Ślązaków w gronie międzynarodowym

ANNA
WRÓBLEWSKA

Tożsamość Ślązaków już od paru dobrych lat jest gorącym tematem nie tylko w prasie lokalnej. Swoją rozgłos zawdzięcza między innymi spisowi ludności z 2011 roku. Wówczas zaczęto powszechnie rozważać – czy istnieje coś takiego, jak narodowość śląska czy tylko przynależność etniczna, czy istnieje język śląski, a może to tylko gwara, dialekt? W polityce (i publicystyce) temat tożsamości Ślązaków wywołuje wiele kontrowersji i sporów, ale uczestnicy Szkoły Letniej organizowanej we współpracy przez Uniwersytet Śląski i Uniwersytet Bremeński postanowili zanalizować ten problem inaczej – w sposób zobiektywizowany, z perspektywy zarówno polskiej, jak i niemieckiej.

Od 24 do 29 września studenci Uniwersytetu Śląskiego oraz Uniwersytetu Bremeńskiego brali udział w Szkole Letniej – projekcie naukowo-badawczym „Tożsamość narodowa i regionalna na przykładzie Górnego Śląska”. Projekt finansowała Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, dzięki której możliwe było zakwaterowanie w Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym Rybniku-Stodołach, który stanowił bazę uczestników. Wydarzenie odbyło się pod patronatem Adama Fudali, prezydenta miasta Rybnik. Większość zajęć odbywało się w Ośrodku Dydaktycznym Uniwersytetu Śląskiego w Rybniku.

Wykłady, prowadzone przez naukowców z Polski, Niemiec oraz USA podejmowały analizę problemu tożsamości Ślązaków z wielu perspektyw. W wykładzie rozpoczynającym zajęcia Zdzisław Krasnodębski przedstawił problematykę identyfikacji z perspektywy filozofii i socjologii. Yvonne Pörzgen z Uniwersytetu Bremeńskiego omówiła wzajemny wizerunek Niemców i Polaków w literaturze, szczególnie w twórczości Horsta Bienka, a także w kulturze masowej na przykładzie programów rozrywkowych Stefana Mollera oraz the Popolski show. Dirk Hoeder z Uniwersytetu Stanu Arizona opisał proces kształtowania tożsamości u emigrantów. Alojzy Czech z Uniwersytetu Ekonomicznego przedstawił rozwój przemysłu na Górnym Śląsku od XVIII wieku do czasu PRL, zaś Małgorzata Płomińska z Instytutu Filologii Germańskiej zapoznała uczestników Szkoły Letniej z biografią Josepha von Eichendorffa oraz omówiła główne motywy w twórczości tego poety. Reprezentujący Uniwersytet Halle/Wittenberg Reinhold Sackmann porównał mentalność Niemców i Polaków, by ukazać różnice między narodami. Po każdym wykładzie odbywała się dyskusja, podczas której zadawano pytania oraz rozważano wcześniej omówione zagadnienia. Drugiego dnia po zajęciach wyświetlono film „Perła

w koronie” w reżyserii Kazimierza Kutza, ukazujący życie na Śląsku w latach 30 XX wieku. Film wywarł wrażenie nie tylko na studentach z Niemiec – dla studentów z Polski również była to okazja do wsłuchania się w gwara i prze-myślenia sytuacji Ślązaków w dwudziestolecie międzywojennym.

Oprócz wykładów odbywały się zajęcia w terenie. Zorganizowano między innymi wyjazd do Sztolni Czarnego Pstrąga. Następnie studentów i wykładowców ugościł przewodniczący rady miasta Stanisław Kowolik – wygłosił dla nich wykład o kształtowaniu się ośrodka miejskiego – Tarnowskich Gór. W Katowicach zwiedzano Muzeum przy Kopalni Wujek, po którym uczestników oprowadził Krzysztof Pluszczyk, przewodniczący Społecznego Komitetu Pamięci Górników KWK Wujek, uczestnik wydarzeń z Grudnia 1981. Szczególnie przejmująca była projekcja filmu dokumentalnego „Życiorys z bliznami”, w którym wypowiadali się świadkowie wydarzeń z 16.12.81. Film niezwykle prawdziwie ukazał tragizm sytuacji oraz okrucieństwo władz. Następnie uczestnicy zapalili znicze pod krzyżem, chcąc upamiętnić dziewięć śmiertelnych ofiar pacyfikacji KWK Wujek. Nazajutrz miał miejsce wyjazd do Łubowic, miejsca urodzin Josepha von Eichendorffa. Studenci recytowali jego utwory po polsku i niemiecku przy ruinach zamku w Łubowicach, domu rodzinnym poety. Możliwość obcowania z twórczością Eichendorffa w miejscu jego urodzin, rodzinnych stronach była niezwykle przeżyciem, a bliskość pejzażu, opiewanego w wierszach dodatkowo ubogacała interpretację.

Ostatniego dnia Szkoły Letniej zwiedzano Rudy Raciborskie – Pocysterski Zespół Klasztorno-Palacowy oraz Park Krajobrazowy, założony na terenach, które od XIII wieku do XIX wieku należały do zakonu cystersów. Część uczestników przejechała na rowerach szlakiem edukacyjnym, mijając stare opactwo, pozostałości fosy usypanej przez zakonników oraz miejsce mobilizacji powstańców śląskich. Wysłuchano również koncertu chóru gregoriańskiego zespołu Schola Cantorum Minorum Chosoviensis, który poprzedził wykład Sławomira Witkowskiego i Wojciecha Radziejewskiego dotyczący muzyki dawnej. Szkoła Letnia umożliwiła również wymianę doświadczeń między studentami z Polski oraz Niemiec, pogłębienie zdobytej wcześniej wiedzy, a dodatkowo nawiązano wiele nowych znajomości.

Uczestników Szkoły Letniej zaszczycili obecnością poseł na sejm RP Marek Krzakała, dziekan Wydziału Nauk Społecznych prof. zw. dr hab. Wiesław Kaczanowicz, dyrektor Instytutu Socjologii prof. zw. dr hab. Wojciech Świątkiewicz.



Relacja z wydarzenia wraz ze zdjęciami dostępna w Internecie pod adresem <http://www.facebook.com/SzkolaLetniaUS>

Lekarki batalionowe w trzecim powstaniu śląskim w 1921 roku

KRZYSZTOF
BROŻEK

W latach 2003-2009 powróciły do Polski archiwalia powstań śląskich, które w 1939 r. ewakuowano z Warszawy. O tym, że dokumenty te zostały uratowane, historycy dowiedzieli się od katowiczana, profesora UJ Andrzeja Brożka, który odkrył je w 1979 r. w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Sprowadzenie archiwaliów do Polski możliwe było w trzeciej Rzeczypospolitej. Obecnie znajdują się w postaci elektronicznej i mikrofilmów w zasobach Archiwum Państwowego w Katowicach i Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie. Można z nich również korzystać w Czytelnii Mikroform Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Oryginały znajdują się nadal w Nowym Jorku.

Nowojorska część archiwum powstań śląskich pozwoliła historykom na rozszerzenie bazy źródłowej. W 1973 r. autor opublikował książkę o służbie zdrowia w powstaniach śląskich i plebiscycie. Po udostępnieniu dokumentów z Nowego Jorku, postanowił wypisać uzupełnienie na książkę. Stał do konkursu Wydziału Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Katowicach o dofinansowanie. Trzykrotnie komisja konkursowa projekt odrzuciła. Wśród dokumentów znajduje się 11-stronicowe sprawozdanie: *Historia służby zdrowia wojsk powstańczych*, napisana przez szefa sanitarnego III powstania śląskiego, mjr. lek. Alfreda Kolszewskiego, ur.

w 1885 r. w Katowicach, zm. w 1944 r. w Sochaczewie, podczas ewakuacji po powstaniu warszawskim.

W sprawozdaniu Kolszewski napisał:

„Do specjalnie zasłużonych lekarzy, którzy swe obowiązki należycie zrozumieli i wykonywali, należą: por. lek. dr Kujawski szef sanitarny Grupy Północnej, kpt. lek. dr Nowak szef sanitarny Grupy Środkowej, kpt. podlek. (podlekarz – tytuł studenta medycyny w WP – K. B.) Górny i ppor. Kamiński z szefostwa sanitarnego Grupy Wschodniej, kpt. lek. dr Wilimowski dca Głównego Szpitala Naczelnej Komendy Powstańczej w Mysłowicach, kpt. lek.

dr Torchalski dca Szpitala Czerwonego Krzyża, Katarzyna (w Sośnowcu – K. B.) – jak wreszcie dwaj lekarze batalionowi – Panie Zdziarska i Baraniecka, które wyróżniły się specjalną osobistą odwagą na froncie”.

Wśród wyróżnionych są późniejsi lekarze katowiccy: Kazimierz Kujawski, lekarz powiatowy w Katowicach, Jan Górny, laryngolog, Maksymilian Wilimowski, chirurg a Ignacy Nowak był ginekologiem w Chorzowie. Przedstawię lekarki Wandę Baraniecką i Marię Zdziarską, które jako ochotniczki, studentki medycyny z Warszawy przybyły na Górny Śląsk.

Wanda Baraniecka-Szaynok urodziła się 6 lipca 1896 roku we wsi Rudenka pod Kijowem, jako córka Ignacego, inżyniera leśnika, administratora dóbr Branickich. Ukończyła w 1915 r. w Kijowie polskie gimnazjum i rozpoczęła studia lekarskie na tamtejszym uniwersytecie. W 1917 r. przerwała studia i związała się ze służbą wywiadowczą Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Od 1920 r. kontynuowała studia w Warszawie. W marcu 1921 r. była lekarką zabezpieczającą sanitarne pociągi z Warszawy do Zabrza wiozące Górnoszlązaków na głosowanie plebiscytowe. Została w Zabrzu i uczestniczyła w szkoleniu sanitarnym oddziałów żeńskich POW. W maju tego roku wzięła udział w trzecim powstaniu śląskim na szlaku od Zabrza po Kędzierzyn jako lekarz 2. baonu Zabrzejskiego Pułku Powstańczego im. Tadeusza Kościuszki. W roku 1921 wyszła za mąż za Władysława Szaynoka, powstańca śląskiego, z którym miała córkę Halinę. Dyplom doktora wszech nauk lekarskich otrzymała w 1925 r. na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Specjalizowała się w psychiatrii. Od roku 1928 pracowała jako lekarz szkolny. Wstąpiła do Organizacji Przeposobienia Wojskowego Kobiet do Obrony Kraju (PWK). W 1933 r. objęła komendę Okręgu PWK w Przemyślu. Od 1936 r. pracowała w Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przeposobienia Wojskowego w Warszawie. Podczas okupacji niemieckiej była kurierką i wywiadowczynią Oddziału II Komendy Głównej ZWZ/AK na Wschód. Posługując się dokumentami na nazwisko Halina Sobolewska, pod którym występowała do końca wojny, wyjeżdżała

do Kijowa, gdzie w 1943 r. została aresztowana przez gestapo. Więziona w Kijowie, Lwowie i obozie koncentracyjnym Auschwitz. Od 1944 r. przewieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Po wojnie pracowała jako lekarz w Anglii, otrzymała uprawnienia kombatanckie, jako kapitan AK. W 1966 r. wróciła do kraju i zamieszkała w Konstancinie. Zmarła 6.06.1971 r. w Warszawie. Była odznaczona m.in. Krzyżem Niepodległości (1921 r.), Śląską Wstęgą Walczą i Zasługą I Klasy (1921), Orderem Virtuti Militari V kl. (1945) za udział w ZWZ – AK. W 1969 r. na prośbę dr Szajnoka napisała wspomnienia z trzeciego powstania śląskiego. Rękopis wspomnień autor złożył do Działu Zbiorów Specjalnych Biblioteki Śląskiej.

Maria Zdziarska-Zaleska urodziła się 3 lipca 1898 roku w Grotowicach, koło Rawy Mazowieckiej, była córką Kazimierza, ziemianina i inżyniera. Podczas pierwszej wojny światowej jako harcerka współpracowała z POW. W 1916 roku rozpoczęła studia lekarskie w Warszawie, przerwane udziałem w obrocie Lwowa i w wojnie polsko-sowieckiej. Uczestniczyła w pracach plebiscytu górnośląskiego i była lekarzem w 1. baonie Tarnogórskiego Pułku Powstańczego. Dyplom doktora wszech nauk lekarskich otrzymała w 1923 roku na Uniwersytecie Warszawskim. W 1924 r. wyjechała na studia podyplomowe do Paryża, gdzie wyszła za mąż za Zygmunta Zaleskiego, krytyka literackiego i poetę; miała czworo dzieci: Andrzeja, Kazimierza, Romana i Monikę. Podczas wojny była por. AK. W 1944 r. aresztowana, m.in. więźniarka obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Po wojnie mieszkała w Paryżu, gdzie m.in. kierowała ZHP francuskiej Polonii. W 1961 r. awans na kpt. WP otrzymała z rąk generała Władysława Andersa. Ostatnie dwa lata życia spędziła w Warszawie, gdzie zmarła 13 lipca 1987 r. Uhonorowana m.in. Krzyżem Niepodległości, Orderem Virtuti Militari V kl. (1921), za udział w wojnie polsko-sowieckiej. W 1934 r. opublikowała: *W okopach. Pamiętnik kobiety lekarza batalionu*, który wznowiono w 2000 roku.

Publikuję wybór fragmentów dotyczących Górnego Śląska.

„W kwietniu (1921 r. – K. B.), w czasie przerwy semestralnej,



Ranni powstańcy w szpitalu w Rydułtowach.

jeździłam z innymi koleżankami i kolegami na Śląsk, na plebiscyt. Pracowaliśmy jako siły pomocnicze przy spisywaniu głosów. Mnie wysłano do Tarnowskich Gór. (...) Na święta zdażyłam wrócić do domu. (...) W połowie maja Zarząd Koła Medyków zwołuje nadzwyczajne zebranie Koła i oznajmia, że Departament Sanitarny zapytuje, czy koledzy, którzy znają służbę sanitarną wojskową, nie zechcieliby zgłosić się na ochotnika na wyjazd na Górny Śląsk, gdzie powstańcom brak lekarzy batalionu. Puszczono listę w obieg. Zapisano się kilkanaście osób. Koledzy i koleżanki. Oczywiście i ja też się zgłosiłam. W Departamencie Sanitarnym z wdzięcznością przyjęto usługi kolegów. Natomiast niewiast postanowiono nie wysyłać. Jedynie moje nazwisko umieszczone na liście zwróciło czyjąś uwagę, (...) razem z trzema kolegami ochotnikami wsiałam do pociągu. Tę pierwszą czwórkę stanowili koledzy: Barylski (Tadeusz Barylski, późniejszy lekarz dermatolog w Katowicach – K. B.), Widmański, Wierzbicki i ja. (...) W Sosnowcu zameldowaliśmy się we wskazanej ekspozyturze i dostaliśmy przepustki do Szopienic. (...) Dnia następnego powędrowaliśmy piechotą do Szopienic, gdzie zameldowaliśmy się w sanitariacie Naczelnego Dowództwa Powstania. Koledzy dostali natychmiast przydział na lekarzy batalionów do grupy południowej. Mnie szef sanitarny nie chciał dać przydziału na lekarza batalionu i »mruczał«, że

mu przysyłają z Warszawy niewiasty zamiast lekarzy batalionu, o których się prosił. Próżno mu tłumaczyłam, że w Departamencie Sanitarnym przeznaczyli mnie właśnie na to stanowisko, znając moją służbę dawniejszą. Nic nie pomogło. Uparł się i nie chciał o niczym słyszeć. Mruczał i mruczał, wreszcie kazał mi sformować pociąg sanitarny. Przez dwa dni zajmowałam się tym, a gdy rzecz była gotowa, dostałam rozkaz, aby wraz z pociągiem, jako jego komendant, zameldować się u szefa sanitarnego grupy północnej, w Tworogu. Wyjechaliśmy z Szopienic na Herby do Tworogu. Dopiero w południe następnego dnia byliśmy na miejscu. Wedle otrzymanego rozkazu zameldowałam się szefowi sanitarnemu, który objawszy pociąg, przydzielił mnie na lekarza batalionu, do I batalionu 8 Pułku Piechoty Tarnogórskiej. Zameldowawszy się u lekarza pułkowego dr. Zająca-Holewy, dostałam doskonałą kwatery i dobry obiad wieczorny w dowództwie. Wypałam się »pierwsza klasa« i na drugi dzień rano lekarz pułkowy odwiózł mnie samochodem do batalionu do Biskupic. Poszłam obejrzeć lokale na izbę chorych; uznałam, że lepiej będzie urządzić ambulatorium i izbę chorych w gmachu zarządu leśnego, gdzie były duże i widne sale.

Zauważyłam, że wszyscy oficerowie przyjęli mnie ironicznymi uśmieszkami, toteż nie odzywałam się wcale, załatwiałam jedynie sprawy służbowe, jak sprawę wydostania robotnic do mycia sal, zarekwir-



Grupa rannych powstańców razem z personelem medycznym.

rowania łóżek itp. Po obiedzie natychmiast zajęłam się urządzeniem izby chorych i ambulatorium, przejrzałam inwentarz sanitarny batalionu i stwierdziłam, że właściwie wszystkiego brak, napisałam za potrzebą do lekarza pułkowego. Dostawszy konia, pojechałam razem z adiutantem na pozycję. Ponieważ spostrzegłam, iż ów uśmieszek ironiczny z dnia poprzedniego znikł, podjęłam w drodze rozmowę z adiutantem, dowiadując się przede wszystkim o stan kompanii, pozycji itd. W kompaniach stwierdziłam: po pierwsze, że są chorzy: kazałam ich wszystkich odesłać do Biskupic do izby chorych; po drugie, że wcale nie ma sanitariuszy: zaledwie był jeden w jednej, jedynej kompanii.

Po porozumieniu się z adiutantem prosiłam, aby kazał dowódcy kompanii powynaczyć po dwóch ludzi na sanitariuszy i na jutro rano przyjść im do Biskupic. Przejeżdżaliśmy w pobliżu 3 kompanii. Nie chcąc nadkładać drogi, wypadało nam przejechać szosą przed naszymi okopami. Szosa była dość mocno ostrzeliwana przez Niemców i tu znów adiutant z ironicznym uśmieszkiem zapytał, którędy pojedziemy; odpowiedziałam, że oczywiście prosto i przejechaliśmy owe pół kilometra pod kulami, do czego zresztą byłam przyzwyczajona. Podobało się to żołnierzom i zdobyło mi od razu trochę uznania.

Na wieczór dopiero wróciliśmy do Biskupic. Przy kolacji oficerowie na wyjściu prześcigali się w uprzej-

mościach. Winszowano mi, że tak prędko zorganizowałam służbę sanitarną.

Następnego dnia po zrobieniu wizyty lekarskiej i rozdzieleniu chorych, którzy napływali, ciężko chorych wysłałam do lekarza pułkowego. Urządziłam kurs jednodniowy dla sanitariuszy, aby choć zasadniczych rzeczy ich nauczyć. Chłopcy okazali się pojętni i bardzo chętni, tak że w ciągu jednego dnia jako tako nauczyli się robić opatrunki i przenosić rannych. Ponieważ szczęśliwie wrócił mój sanitet ze środkami opatrunkowymi, mogłam od razu dać każdemu sanitariuszowi chlebak z opatrunkami, jodynę i nosze na każdą kompanię. Przed wieczorem wyprowadziłam ich do kompanii.

Umówiłam się z dowództwem batalionu, że natychmiast mnie zawiadomią o każdym alarmie, abym mogła dojechać do atakowanego odcinka i osobiście dopilnować mych nowych sanitariuszy.

Mieliśmy dogodnie kwatery, niezłą kuchnię, a dla mnie duża uciecha i niemały pożytek – koń wierzchowy. Codziennie bez zmęczenia odwiedzałam każdą kompanię, pomimo że mieliśmy odcinek pięciu kilometrów, w razie alarmu w ciągu piętnastu minut byłam na zagrożonym miejscu.

Dnia 3 czerwca atak niemiecki na cały nasz odcinek. Od pierwszej chwili byłam na pozycjach. Rannych sporo, nakładałam sama opatrunki i sprawdzałam nałożone przez sanitariuszy. Odsyłałam wszystkich do Biskupic, gdzie jeden z sanitariuszy da-

je im gorącej kawy i kładzie na izbę chorych. W ten sposób idzie normalna praca przez kilka godzin. Wtem dają mi znać, że w 1 kompanii jeden ciężko rannych został przed naszą linią i że nie można do niego dojść, tak Niemcy ostrzeliwiają z maszynki, gdy tylko ktoś się wysunie, by go zabrać. Dochodzę na miejsce, badam położenie.

Rzecz tak się przedstawia. Po odparciu Niemców, nasi wybiegli z okopów z samorzutnym kontratakiem. Ponieważ przedpole stanowiły odkryte zbocza wzgórz, a niemieckie pozycje były na szczycie, więc gdy tylko Niemcy dobiegli do swych okopów, zaczęli siać maszynką i ogniem karabinowym. Mieliśmy zaraz kilku rannych. Gdy nasi się cofnęli, lżej ranni wycofali się również. Jeden tylko ciężko ranny został na owym przedpolu w połowie drogi między okopami niemieckimi a naszymi. Stwierdziwszy, w którym kierunku leży ranny, kazałam jednemu z trzech sanitariuszy iść ze sobą na ochotnika. Wzięliśmy nosze i poszliśmy. Gdy tylko Niemcy nas ujrzeli, zaczęli swoją muzykę, biorąc nas za cel. Kule tylko bzykały. Biegliśmy prędko, niedaleko rannego natrafiwszy na rowek, kazałam się sanitariuszowi w nim położyć, a sama doszłam do rannego. Ciężka rana w udo, bardzo krwawi. Założyłam prowizoryczny opatrunek, a Niemcy, choć widzą, że chodzi o rannego, biją »jak cholera«! Że mnie wtedy nie uśmiercili, to tylko opieka Boska. Spódniczka moja, chlebak, a nawet czapka były podziurawione w kilkunastu miejscach.

Gdy skończyłam opatrunek, skinęłam na sanitariusza i zabrałami rannego na nosze, i znowu biegiem z powrotem. Na jakieś sto metrów od naszych okopów czterech żołnierzy wybiegło i wzięło od nas rannego. Dobrze, bo rzeczywiście oboje z sanitariuszem porządnie byliśmy zmachani.

Cała kompania, na której oczach to małe zdarzenie się odbywało, oświadczyła mi swój podziw i podziękowania. Ujęło to pocziwych Ślązaków. Ludzie, którzy przeszli twardą szkołę wielkiej wojny w wojsku niemieckim, ze łzami w oczach, złą polszczyzną, wyrażali swą wdzięczność i zapewniali, że »teraz już niczego nie będą się bać, bo są pewni że ja ich zawsze wyratuję«.

Dnia 26 VI 1921 r. w Rozkazie dziennym nr 48 Dowództwa Grupy „Północ” znalazła się pochwała:

„Plek. Marię Zdziarską z 1 b. 8 pp. (tarnogórski) zwalnia się z szeregów armii powstańczej (28 VI 1921 – K. B.) na studia. Plek. Zdziarskiej niniejszym wyrażam uznanie za odwagę jaką kilkakrotnie okazywała w walkach I baonu bandażując w ogniu kulomiotów rannych i wyciągając ich własnoręcznie na miejsce bezpieczne, dając przez czyn ten przykład bohaterstwa walczącym powstańcom”.

W powstaniu śląskim w 1921 r. uczestniczyła trzecia lekarka batalionowa, która jako studentka medycyny z Warszawy, ochotniczka, przybyła na Górny Śląsk 15 czerwca, w końcowej fazie powstania.

Była to **Zofia Rzeczycka-Wykowska**, urodzona 15 IX 1899 r. w Kijowie. Harcerka, podczas wojny polsko-sowieckiej była kierowniczką herbaciarni żołnierskiej na dworcu kolejowym w Kijowie. W III powstaniu śląskim została lekarzem 4. baonu Zaborskiego Pułku Powstańczego. Dyplom doktora wszech nauk lekarskich uzyskała w 1923 r. w Warszawie. W latach międzywojennych pracowała w Pionkach w Państwowej Wytwórni Prochu, w 1944 r. w Zamościu a po wojnie była lekarzem ogólnym w Lublinie, gdzie zmarła 24 I 1975 r.

Szef sanitarny trzeciego powstania śląskiego miał do dyspozycji: lekarzy – 49, medyków – 48, aptekarzy 10, sióstr Czerwonego Krzyża – 44, sanitariuszy 987, pielęgniarek – 78, ochotniczej służby sanitarnej – 980. Sześćdziesiąt procent personelu lekarskiego stanowili ochotnicy, głównie studenci medycyny z wydziałów lekarskich uniwersytetów w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu. Średni personel był prawie w stu procentach rodzimy, górnośląski. Był to personel sanitarny dla 16 pułków w trzech grupach operacyjnych: „Północ”, „Wschód” zwanej „Środkową” i „Południe”, 5 kolumn sanitarnych, 6 pociągów ewa-

kuacyjnych, Głównego Szpitala Wojsk Powstańczych w Mysłowicach i 9 szpitali polowych. Korzystano ze szpitali cywilnych na terenie powstańczym w których lekarze niemieccy zachowali się lojalnie względem władz powstańczych oraz ze szpitali cywilnych i wojskowych na terenie państwa polskiego, gdzie rozpraszano rannych i chorych. Straty 60-tysięcznej armii powstańczej wynosiły około 2 tys. poległych, 3 tys. rannych i 1 tys. chorych.

We wspomnianym sprawozdaniu szef sanitarny napisał:

„Służba sanitarna tak przed powstaniem jak i w okresie najcięższych walk stała na wysokości swego zadania, a to należy przypisać sprężystej organizacji, celowej współpracy całego personelu lekarskiego, jak wreszcie wydatnej pomocy Czerwonego Krzyża. (...) Braki, na jakie szef sanitarny mógłby się skarżyć, były właściwie minimalne a powodowały je głównie z początku samodzielne, Naczelnej Komendzie Wojsk Powstańczych nie podlegające, oddziały bojowe, jak wreszcie w pierwszej chwili mała ilość lekarzy, którzy jednak w późniejszych dniach garnęli się

ochoczo do Wojsk Powstańczych. Pewną obawę wzbudziło kilka przypadków ospy, na szczęście ograniczyły się wyłącznie do ludności cywilnej. Innych chorób zakaźnych prócz 200 wenerycznych nie było zupełnie. (...) Dobrze zorganizowana służba zdrowia, dostateczny i fachowy personel sanitarny, wystarczająca ilość szpitali i materiału sanitarnego, to wszystko należałoby zaliczyć między innymi do czynników, które wysiłek armii walczącej wybitnie podtrzymały.

Warto nadmienić, że na przeszło 26 tys. odznaczonych Orderem Wojennym *Virtuti Militari* w latach 1792 – 1945 jest ponad 30 kobiet. Wśród nich są: Wanda Baraniecka-Szaynok i Maria Zdziarska-Zaleska.

Posłowie

Maria Zdziarska-Zaleska w pamiętniku *W okopach*, zawarła w 1934 r. przesłanie, które do dzisiaj jest aktualne, zwłaszcza, że do ofiar o których pisze Zaleska, dołączyły te z drugiej wojny światowej:... „Dziś (1934 – K. B.), po wielu latach, tak żywo stają mi w pamięci wizerunki ludzi drogich, bliskich, którzy oddali życie swe za wolność Kraju, że z bólem głębokim myślę, iż mogliśmy dojść w tak krótkim czasie do całkowitego zapomnienia o nich wszystkich. Dzisiejsza nienawiść między różnymi blokami, obozami, stronnictwami i partiami wydaje się mi świętokradztwem wobec tego świetlanego szeregu młodych istnień złożonych na ołtarzu Ojczyzny. Przecież każdy z nas ma swoich drogich czy bliskich w tym długim szeregu istnień pełnych zapału, miłości, poświęcenia, które odeszły, aby ofiarą życia swego okupić dla nas wolność. Pamiętajmy, jak bardzo, jak głęboko powinno nas to bratać. Nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć.”



Anna Woźnik – sanitariuszka.

Fot. ze zbiorów Muzeum w Rybniku

WSTYD

MICHAŁ SZALONEK

Nikommu się nawet nie śniło, że za cztery lata padnie mur. Byliśmy zamknięci w mieście jak tłuste karpie w stawie, każdy zajęty własnym żerem. Wyleciałem z magła na rok przed maturą. Dyscyplinarnie. Ona wyprowadziła się od fagasa.

Facet nie zdzierzył, groził mi śmiercią, a przecież nawet jej nie dotknąłem. Słów na wiatr nie rzucił. Rok temu podczas balangi dwa razy podjeżdżała bryka z krzyżem. Krew na śniegu przed Polskim Centrum w Berlinie.

Początkowo musiałem przyznać: chyba ma klasę: znalazł jej mieszkanie i wynajął ciężarówkę. Później przejrzałem na oczy:

- Mogliśmy sami...
- Błagał...
- Będziesz go miała na karku.
- Wiem. Boję się.

Wzruszyłem ramionami.

Nie mogliśmy się widywać, póki nie opadło. Facet był nielegalnie, tylko ona miała pobyt. Wstydiłem się własnych myśli, żeby go podkablować.

Póki co pozostawał telefon, a wieczorami chodziłem i zaglądałem w jej okna, spięty jak młody kocur, który wlaź na obszczany teren. Koleś szalał. Dwa razy rozpoznałem go z daleka, jak nachyla facjatę do domofonu. Dalej nie doszedł. Tym razem. Żyła w swoim mieszkanku jak mysz w dziurze niepewna, czy go nie spotka na schodach, pod drzwiami, w sklepie... Nigdy nie podniósł na nią ręki, ale lubił wypić, a takiemu – wiadomo, dużo nie trzeba... Łkała do słuchawki, że znowu próbował ją rozmiękczyć. Tym razem oświadczynami. Brylantowym pierścionkiem.

Nawet trochę żał mi go było, ale co mogłem na to, że mój 19-letni kutas okazał się twardszy od diamentu? Nie tak

nie pociąga kobiet, jak bycie pierwszą. Była. Właściwie jej też się bałem. Tęgo nadrabiałem miną.

Po dwóch miesiącach okazało się, że nie ma czego. Facet odpuścił, chyba znalazł nową. W wigilię, pod choinką rozwiązałem wstążkę. Myślałem „już po niej” tak się darła. Przybiegli sąsiedzi. A to ci dopiero. Dobrze, że nie zadzwonili po straż.

Rano, mrucząc, nazwała mnie swoim mężczyzną.

Siedziałem w jej domu nabzdyczony jak indor, udając przez cały styczeń, że szukam roboty. Zastanawiałem się, co dalej. Kelnerzyła w knajpie, gdzie nie wyrobiłbym z mamoną nawet na wodę z kranu. Rzygać mi się chciało, ale przynosiła kasę, wino i żarcie. Żyliśmy z napiwków, bo pensja łądowała na koncie. Chciała postawić dom w kraju. Ot – emigranckie marzenia. Ja do niedawna mieszkalem na squacie i nawet w najczarniejszym śnie nie przyszłoby mi coś takiego do głowy. „Własność to Kradzież” miałem wypisane flamastrem na zmaltretowanym chlebaku. Bryknąłem od starych, kiedy słowo „matura” zaczęło pojawiać się w co drugim zdaniu. Chciałem zostać spawaczem, murarzem, chodzić do roboty w grubych butach ze stalową podeszwą, w watowanej, kraciastej kurtce i mieć odciski na rękach. Chciałem rewolucjonizować świat! Cała władza w ręce rad!

Póki co poszedłem za jej radą, żeby przezimować w ciepłej norce.

Dużo czytałem, a w przerwach robiłem porządki w domu. Nauczyłem się trochę gotować. Z książek. Ja – wbrew atawizmom. Ona – z początku reagowała typowo:

– Mężczyzna w kuchni?

– Krem pieczarkowy, spaghetti carbonara i na deser rolada z sosem waniliowym – odpierałem łapiąc się w kroczo.

Klaskała z radości.

Brakowało nam pralki. Nie żeby coś z kasą. Za małe mieszkanie. Ani w niszy kuchennej, ani w łazience architekt nie przewidział miejsca na sprzęt. „Exelsior” – szary transoceanik z lat 60. był eksperymentem szkoły Le Corbusiera, więc najszerzej zaprojektowano w nim korytarze i klatki schodowe, żeby zmordowani klaustrofobią mieszkańcy mogli się dzielić swoimi lękami po sąsiedzku. Pralnia na parterze też była wspólna, dopóki nie wykupiła jej sieć. Na ścianie został źle zatynkowany ślad po wejściu od strony domu. Nowe, przeszkłone drzwi wmontowali od frontu ulicy. Wstawiono automaty na żetony, proszek. Interes szedł całodobowo i bez obsługi.

Dopiero teraz pralnia stała się miejscem spotkań – tak jak chcieli tego funkcjonałści. Wielki Boże, co to były za spotkania! W zimowe dni drewniane ławki zajmowały różnego rodzaju indywidua. Brudna pianka wypchnięta na brzeg pływami kapitalizmu: pijacy, narkomani, kłoszardzi i szaleńcy. Różnej narodowości, koloru skóry – Berlin. Przez sztuczną woń detergentów żywo przebiegał autentyczny bukiet niemytych ciał, alkoholu i gnijących zębów.

Ewą trzęsła sama myśl, że musiałyby przyjść tu sama, więc wziąłem to na klatę. Razem zjeżdżaliśmy windą i kiedy czekałem, aż bęben zwróci czyste, ona szła na zakupy, do fryzjera, do kosmetyczki. Wracając, nie przekraczała progu. Dawała mi znaki z drugiej strony zaparowanej szyby.

Tego dnia zapomniałem gazety. Brałem zawsze coś ze sobą, żeby się oddzielić od freaków przynajmniej papierem. Wcale się nimi nie brzydziłem. Ich cierpienie i desperacja mnie onieśmiały. Były prawdziwe – zero masek, za którymi większość z nas ukrywało swoje myśli, zero lewych uśmiechów. Wszystkie to mieli już za sobą. Żyli wolno.

W tamtych czasach nie było dla mnie nic bardziej krępującego.

45 minut może trwać nieskończenie długo, kiedy się ma dziesięć lat, kiełbie we łbie, a w dupie silnik odrzutowy.

Wchodząc, zauważyłem tylko jednego. Stary z wełnianą czapką na uszach przytulony do grzejnika. Już go tu widziałem. Robił wrażenie nieobecnego, patrzył gdzieś przed siebie i skubał skołtunioną brodę, trochę Grek Zorba, trochę Dziadek Mróz. Był obszarpany bardziej od innych, ale robił wrażenie wyjątkowo czystego. Raz widziałem nawet, jak wyciąga z bębna pranie. Myślałem, że kradnie – gównu mnie to obchodziło, ale nie – zaniósł wszystko do suszarki, spokojnie siadł i czekał. Tak nie zachowują się złodzieje.

Nie odklejając głowy od grzejnika uchylił powiekę i sięgnął do kieszeni po sznapsa. Korn. O takie świństwo nie zahaczylbym w sklepie nawet butem. Mruczy:

– Gdzie twoja piękna pani, mały?

Udaję, że nie słyszę, ale krew bije do twarzy, jakby mnie spoliczkował. Powtarza pytanie. Nie ucieknę.

– Bitte?

Wyprostował się, podciąga nogi i siada po turecku na drewnianej ławce. Nie posądzam go o tyle gibkości.

– Nie gniewaj się. Jesteś Polakiem? – macha do mnie butelką. Kiwam głową na „nie”. Jakies koronkowe majtki wypadają z torby na podłogę i teraz czuję się już kompletnie obnażony.

– Taa – wychodzi ze mnie półgębkiem.

– A skąd?

– Katowice.

– Hm, Schlesier... Znasz Warszawę?

– Byłem.

– Ja też. Dawno. Już takiej nie ma...

Nadstawiam uszu.

– Bo widzisz, wtedy na wschodzie... – patrzy pod nogi i szuka czegoś pośród niekończącej się szachownicy białych i czerwonych kafli. Wyciąga z kieszeni tytoń i, oparłszy łokcie na kolanach, zaczyna skręcać.

– Dawali nam urlopy frontowe takie po trzy, cztery dni. Póki dobrze szło... e, no... póki szło do przodu. – podnosi do mnie wzrok. Unoszę się z kucek i włączam program. Nie patrzę na niego wprost, tylko kątem oka rejestruję, jak zapala ćmika. Przelotnie mierzę jego wiek. W 43., 44. musiał mieć jakieś 22, 23 lata. Lustruję go uważniej i zatrzymuję się na głębokiej bruździe w czole, zakończonej rozgwiazdą. Za gruba na zmarszczkę. Wygląda jak kometę.

Dotyka jej palcami i śmieje się w głos:

– Dobrze kombinujesz, mały! – śmiech jest serdeczny, nie nachałny. Podchodzę i ze zniszczonej, czerstwej ręki wyciągam niezakreconą butelkę.

– Prosit...

– Wal śmiało mały, mam jeszcze jedną.

– Byłeś tam?... – Przecieram dłońią i dostawiając ją do ust patrzę na ulicę za szybą, na śnieg, ludzi, reklamy, dachy domów, po których stacza się zimowe słońce. Z pamięci staram się wyłowić sylwetkę Warszawy, taką jak lubię – z prawobrzeża. Ale skojarzenia ograniczają to wszystko do ruin. Przełykam. Tamni fuzel ledwo toruje sobie we mnie drogę. O zgrozo! Stary wciąż siedzi po turecku i macha ręką: pij, pij.

– Akurat palili Getto.

Jacy „oni” kurwa? Cały wasz naród grzał się przy tym ognisku – czuję jak mi się nieświeżo odbija. Jest dopiero 11, a ja już walę w hejnał z tym zdiadziałym szkopem. Pytanie samo ciśnie się na usta:

– A ty?

– Byłem w Wehrmachcie, Sanitäter – odpowiada odrobinkę za głośno, jak gdybym mógł sobie pomyśleć coś innego – wplatać go w tę aferę z gettem.

– Rotes Kreuz, verstehst du? – palcem robi znak krzyża, widząc doszedł do wniosku, że nie rozumiem, że trzeba na migi. Po co to zacząłem? Czuję narastające obrzydzenie. Musimy uciec od tej Warszawy, bo się to źle skończy. Ale milczę, a on jedzie dalej:

– Siadź no tu. Coś ci opowiem. To mi się wydarzyło w twoim kraju, dawno, dawno temu...

Jak w bajce, myślę nastroszony, ale siadam, znowu biorę flaszkę, przecieram, przechylam. Łyk ognia nurkuje w trzewia. Obrzydlistwo. Kątem oka spoglądam, jak gmera wzrokiem w płytkach podłogi.

– Miałem wtedy 22 lata i byłem, no, może trochę niższy od ciebie. Grama tłuszczu. Setka w 11,3, skok w dół, skok w wznwyż, pchnięcie kulą. Mogłem mieć każdą dzidzię, tak jak ty pewnie. Krucze włosy, szare oczy... Też masz ładną, widziałem. Taka... Żydóweczka trochę. Czarnulka. Nie lubi przychodzić tu między dziadów, co?

Kiwam głową.

– Piękne macie kobiety. Tyle wdzięku... a wymagań!

Spotykamy się wzrokiem, i znowu parska bezzębnie. Czuję kropelki śliny na twarzy, ale muszę się uśmiechnąć. Trąca mnie łokciem, potem nagle poważnieje. Trochę na pokaz.

– Żebyś sobie nie myślał, że ja... wtedy..., o nie, one wszystkie były takie dumne, nawet chłopki, zdrowe, jasnowłose, rumiane, z nogami ciosanymi jak kołki w zagrodzie. Zdarzało się, że nam podawały dzban wody, ale wszystko bez słowa, bochen chleba, a było, że samogon z kartofli, albo buraków cukrowych. Nie takie gówno... – patrzy pod światło w butelkę.

– Wy potraficie zrobić wódkę nawet z... no nie wiem, w każdym razie zero kaca. Następnego dnia można było maszerować i człowiek nawet trafiał ze stu, stu trzydziestu... – składa się tak wprawnie i szybko, że na plecach czuję smagnięcie dreszczem.

– Coś tak pobałdł, mały? To wojna. Straszne czasy i zarazem piękne, bo byliśmy wtedy młodzi. Adolf wyprał nam mózgi, ale dał moc, wiarę w siebie. Sugestia, autosugestia, wiesz co to? Wydawało się, że przeniesiemy na barkach świat, tanecznym krokiem w nabitych ćwiekami butach. Ha! Piękni, zgrabni. Tak się wtedy czuliśmy. Kwiat cywilizacji. Pół-bo-

gowie. Już za życia Breker stawiał nam pomniki. Znasz Brekera? Mieśliśmy za to zapłacić wysoką cenę. Porwała nas burza i najpierw dostaliśmy skrzydeł, a potem zmieliło nas razem z tym całym zasranym kurnikiem. Wiesz co to – przesada?

Spogląda mi prosto w twarz, jednym trzeźwym, drugim pijanym okiem, potem palcami puka w moją torbę – nierozłączkę.

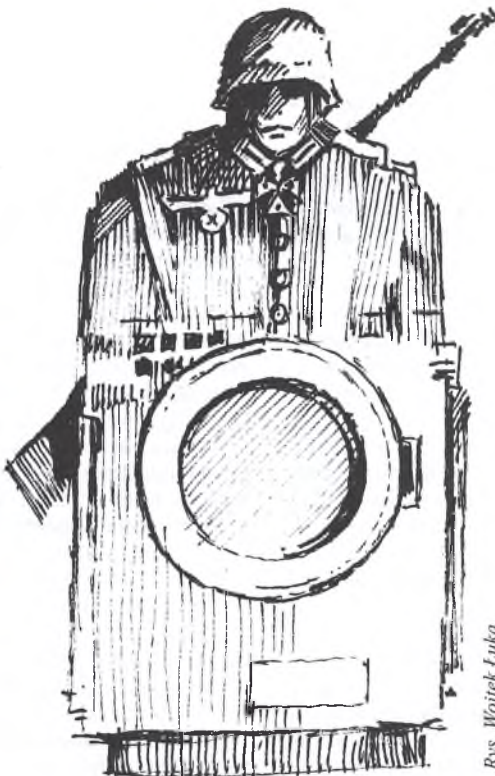
– „Własność to Kradzież”, wiesz, o czym mówię! Rewolucja to taka operetka, co nie? Ha ha!

Czuję się urażony.

– Do nikogo nie strzelam.

Przestaje się śmiać i patrzy na mnie milcząco. Nie ma w tym złości, jest szczypta smutku, może pytanie. W końcu zagląda do flaszki jak w okular mikroskopu i zaczyna mówić:

– Rozpalona chłodnica była tak, że musieliśmy w nią szczać, bez przerwy zmieniając taśmy, bez przerwy palec na spuście, a oni szli i padali jak łany, a za nimi wyrastali z ziemi nowi i szli. Najpierw widziałem ich twarze jak plamy ocienione hełmem i usta otwarte. Setki



Rys. Wojtek Łuka

otwartych ust. Potem można było rozpoznać odznaczenia na piersiach, migotliwe paćki, a z upływem czasu zobaczyć że to gwiazdy i okrągłe takie... Żadnych krzyży. Wieczór zbliżał nas do siebie ich milowymi krokami i za plecami gasło słońce. Nasze cienie rosły w długie sztylety gotowe ich przyjąć, a kiedy widzieliśmy już prawie kolory tęczówek w tych wyszczerzonych oczach, oni tłukli w nas, czym się dało i padali, a zza ich pleców pojawiali się następni, jak gdyby zabici powstawali za plecami tych, których właśnie kładliśmy, i pochyleni wszyscy niczym dzikie zwierzęta: nieśmiertelny żywioł. Walec. Włosy stawały nam dęba. Szcząłem do mojej chłodnicy, ale już nie miałem czym. Widzę jak ziemia wokół nas, wzbija się do góry coraz wyższymi fontannami, coraz więcej jej – rozbitej na piasek w okopie i w naszych ustach, oczach, uszach. W zagłębieniach hełmów, a oni idą i idą dalej tak do samego wieczora, na zachód, tylko my... falochron.

Nagle raca, jedna, druga – wystrzelona w ciemniejące niebo. Wszystko cichnie, jak gdyby nigdy... jak gdyby zły sen tylko. Słyszę własny oddech, puls w skroniach, ale boję się zamknąć oczy, padam na piach, głuchy i otepiony. Milczę. Wszyscy milczą. Patrzmy po sobie ukradkiem, nikt nie zapala papierosa, wszyscy z wytrzeszczem leżymy na dnie tego cholernego rowu jak w grobie, a kiedy tylko opadają powieki, znów widzę jak idą: zdeterminowani i głodni naszych gardeł, naszych parujących wnętrzności, serc, mózgow i oczu, które będą rozgniatać w zdrowych dużych zębach, jak ja sam jeszcze przed rokiem rozgniatałem winogrona, patrząc z winnicy mego wuja na wijącą się u stóp Mozelę...

Przerwał, a ja wpatruję się w ten obraz: chłopiec w płytkim grobie okopu śpiący pośród innych. Sierociniec. Każdy z szeroko otwartymi oczami...

Bęben nierówno pierze, będzie wirował, odwodzi moją uwagę...

– Cofamy się... Mały, wypij... Za... No pij...

W tym „wypij” nie ma prośby, jest rozkaz.

– Z kompanii wróciło nas tylko dwóch.

Łoję.

Wyciąga nową. Jego mina mówi mi, żebym sobie nie myślał. Marka ta sama. Odbija ją znanym mi dobrze uderzeniem: jak kiedyś bili niesforne dziecko – w tył głowy. Pralka odpompuje. Ja też.

Przymykam oczy. Na moment wyobraźnia płata mi figla i widzę Rosjan. Innych. Poukładani leżą w rzędzie wzdłuż głównej alei mojego miasta. Dziadek, który trzyma mnie za rękę w pierwszomajowym pochodzie, mówi półszepem do sąsiada idącego obok, że połowa z nich zapiła się na śmierć. „Znaleźli w piwnicy na Warszawskiej dziesiątki skrzynek przemysłowego spirytusu. Jak bomba zegarowa, proszę ja pana. Tu wzdłuż leżeli, widzisz pan?” Ja – drugoklasista z papierową chorągiewką w dłoni i smakiem waty cukrowej w ustach – zobaczyłem ich wtedy. Z medalami na piersiach w pełnym rynsztunku leżą wyprostowani i uśmiechnięci. Wycinanka z bukwaru. Tylko oczy mają zamknięte.

A teraz to...

Pralka wyje. Coś w niej zaczyna stukać, bić o metalowe ściany. Tętent myśli potęguje nowa fala alkoholu. Bez słowa przytykam gwint do ust. Tym razem bez ocierania.

– I dlatego, to? – robię niezdecydowany, ogarniający pralnię ruch z nadgarstka. Niezgrabnie.

Wydaje się nie rozumieć, gmera patyczkiem w podeszwie trampków, tam gdzie między lamelę gumowego bieżnika wbił się niepozorny kamień. Pewnie zgrzyta na każdej posadzce.

– Nie, to nie tak. Tam mogłem coś zrobić: lać do chłodnicy karabinu, podawać taśmę, opatrywać rany, znosić ich do ziemianki albo chociaż podawać morfinę. W polu dużo się nie myśli, czasami we śnie przyjdą, rozumiesz? Pozostaje film. Z wiekiem blaknie. Trochę sepii i takie biegające figurki. Potem wszystko traci ruchomość, drży, rwie się. Sam zobaczysz, mały... Zostają zdjęcia przestrzelonych hełmów, rąk, nóg. Nawet Iwany, o których ci opowiadałem, powolnieją,

a potem nagle – w jednej chwili przestają biec – stają. Wreszcie samych zdjęć jest coraz mniej. Na końcu potrzebują słowa, jak kryki – czasem obrazów z drugiej ręki, opowiadań innych, to wszystko się miesza, człowiek idealizuje siebie i towarzyszy. Kameraden... To pewny znak, że stałeś się starym pierdołą. Ha ha! Pamiętam mojego dziadka opowiadającego o powstaniach Herero i ojca pierdołającego o frontach pierwszej wojny. Zapomnienie wybawia, dlatego większość frontowych przeżyć nie powoduje odejścia od siebie, rozwarcia tej szczeliny między tobą a innymi ludźmi – stania się odszczepieńcem. W przeciwnym razie wszyscy wracalibyśmy w kaftanach bezpieczeństwa.

Kiwam głową.

– Ale są inne obrazy...

Ma nagle taki wzrok – wierzący mury. Zmienił mu się głos. Czuję żeżenie włosów na karku.

– W lazarecie zdążyli mi zapiąć Żelazny Krzyż drugiej klasy, bez awansu. Tak jak Hitlerowi podczas pierwszej wojny z dopiskiem „brak właściwości przywódczych”. Też wyciągał ludzi z pola – dodaje bez przekonania i uśmiecha się blade.

– Obejrzałem, więc wpadł urop. To była wschodnia Polska, może Ukraina, czterdzieści kilometrów od Żytomierza chyba. Lazaret polowy. Dzień i noc huczał front jak przewalające się bałwany w sztormie. Chłodne majowe dni, piękna okolica, tylko ptaki wszystkie trzymały dzioby, albo wyniosły się... Tam są lessowe gleby, najlepsza ziemia – tak twierdził mój koleżka. Miał na imię Heinz i był chłopem, rolnikiem z Badonii. Znał się na tym. Leżał na pryczy obok i opowiadał o gospodarstwie. Piechota. Odstrzelone dwa palce. Obydwaj widzieliśmy gorsze rzeczy. Przepijaliśmy zbunkrowanym wermutem. Karty szły na okrągło. Dyktował mi listy do domu. Miałem owinięty łeb, więc przylgnęło „Muezin”. Ja jemu waliłem per „Heini” – trochę się wkurwiał, ale co z tego. Podleczeni zaczęliśmy wypuszczać się na spacer, to tu, to tam. Heini tłumaczył typy ziemi i reguły obsiewania. Cały ten kram. Często się schylał, brał w zdrową rękę grudę ziemi, rozcierał, wąchał i patrzył w niebo. Taki świr. Dobry chłopak. Było mu brak gospodarki, tych wszystkich odgłosów zwierząt, maszyn rolniczych... Tęsknił. Mnie to wtedy fascynowało. Wychowałem się niedaleko doków Hamburga i wierzy mi – mały – tamte odgłosy były inne.

Stary na moment przerywa, międli dolną szczęką. Ciężą mu słowa. Nie wie jak się do nich zabrać. Stęka coś, ciśnie. W końcu wysapuje jedno, jakby mu się odbiło:

– But.

I chrypie:

– Od czterdziestu lat widzę dziecięcy but. Pochwycony przez błoto jak żuk. Wbity w rzekę śladów w glinie ich wgłębien przed wejściem do drewnianego kościółka. Rozwiązane sznurówki, jak... jak wasy rozrzucone w obydwie strony. Jeszcze pewnie ciepły od brudnej stopy dziecka...

Głos mu się łamie. Szuka flaszki. Podaje. Ani jednego drżenia na twarzy. Tylko oczy nagle zapadłe. Ciągnie.

Nie chcę żeby opowiadał dalej.

– Wyszliśmy na wzgórze. Za daleko... Jęk dochodzący z wnętrza. Intonują śpiew. Ich strach. Boże, można go było kroić nożem... Stoimy na górze i Heini trąca mnie łokciem. Dwu chłopców, takich jak my, w mundurach niesie z samochodu kanistry... Zauważyła nas postenkette. Gwizdek. Podbiega najbliższy. Niższy rangą, ale nie patrzy na epolety, tylko zaczyna mówić, że tu nie wolno. Heini drze się: „Soldat, Haltung annehmen!”, ale ten ma to w dupie mimo że niższy szarż. Jesteśmy bez niczego, a to Einsatzgruppe. Sondereinsatz. Kumas? Chodziły jakieś plotki... Mają swoje rozkazy. Ci na dole z kanistrami nas widzą i zatrzymują się. Starszy SS z ręką na kaburze drapie się pod górę. Heini chyba ma ochotę dać w łeb gówniarzowi, który zagradza nam drogę. Ten z dołu ślizga się po zboczach i drze ryja. Widzę rangę – SS Unterscharführer. Heini ryczy, że nie po to tu przyjechalibyśmy, nie po to gnić w okopach ostatnie dwa lata, nie po to EKII mit Laub i awans, żeby jakiś dupek niższy rangą nie stawał przed nim na bacność, i tak dalej. Nie mogą się ruszyć... Ciągle ten but... Nie mogę... Wessał mnie. Unterscharführer kładzie

mi na ramieniu dłoń w brązowej skórzanej rękawiczce i grozi: jak komukolwiek powiemy, tu na przepustce albo po powrocie do domu, to..."sprawa państwowa" – dyszy. W końcu przystawia Heinemu gnata do łba z pytaniem, czy się wreszcie uspokoi.

– Wracamy. Za naszymi plecami czernieje słup dymu.

Dostawiam sobie flaszkę. Leje mi się po brodzie, kiedy do salonu wmaszerowuje Ewa. Stuka wściekle obcasami. Pranie się skończyło. Wrywa mi z ręki torbę i bez słowa przejeżdża nad maszyną.

Podchodzę chwiejnie.

– Walisz z gwinta z tym, z tym... a potem... ja, chyba śnię... – syczy.

– Nie bądź niemądra. Alkohol... stelizy, steryzuli... – uśmiecham się pojednawczo. Trochę otrzeźwiałem.

– Jeszcze sobie żartuj. To wstrętne. Nie musisz w ogóle...

– Co?

– Jak chcesz, możesz sobie zostać i popijać z nim dalej.

W oczach łzy, usta w kreskę. Czuję, jak mi w gardle staje złość.

– To weteran. Złamany. Rozmawialiśmy o... – próbuję tłumaczyć szeptem. Płaczę, ledwo prześlizgując się obok banału.

– Imponuje ci? To sobie z nim zamieszkaj.

– Nic nie kumasz.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Ja cię gównu obchodzę? Mam być inny? Takim, jak sobie wymarzyłaś?

Robi się głośno. Pewnie jestem teatralny. Zły – przede wszystkim na siebie. Wychodzę na niezłego idiotę.

– Nie, ale to...

– No to się odpiędl ode mnie. Umyję zęby i już.

– Co?

– Gówno – czuję, że jestem górą.

– Nic nie kumas, to przynajmniej trzymaj... Nic nie mów i nie obrażaj! To człowiek... Słyszysz?

Spakowała bety i wróciła, skąd przyszła. Pojechałbym po niej dalej, ale stary nagle daje mi znaki:

– Idź za nią.

Wybiegłem.

– Ewa!

Nawet się nie odwróciła.

Miałem trochę drobnych. Kupiłem jeszcze jednego korna. Kiedy po kwadransie wróciłem ze sklepu – już go nie było. Poszedł sobie.

Spędziłem dwa dni na squatcie, próbując utopić całe to gówno w picu i paleniu gandzi.

Trzeciego dnia usłyszałem wołanie Małpizzona.

– Dzidziuś, do ciebie.

Pod bramą Ewa w sztucznym futrze. Na obcasach. Ekipa powychylała łby z okna na klatce.

– Niezła. Zamówiłeś w katalogu? Wrzucisz nam na kwaterę?

– Hej laluniu, piękna jesteś! Przyjdiesz na bibkę?

– Przyniosłaś rzeczy?

– Chcę, żebyś wrócił.

W domu zacząłem jej tłumaczyć, co i jak.

– I uwierzyłeś mu? – uśmiecha się z ironią.

Zacząłem się zastanawiać. Zabiła mi ćwieka, cholera.

Minęło parę tygodni. Śnieg przeszedł w ciapę, i dla odmiany od dwu dni padał deszcz. Wróciliśmy do sielanki. Gotowa-



Rys. Wojtek Łuka

nie, sprzątanie. Gniazdko. Chodziłem z praniem. Stary nie pokazał się już ani razu. Reszta czeredy też się wykruszyła – na znak, że wiosna tuż.

Pewnego popołudnia ktoś energicznie zapukał do drzwi. W judaszu zobaczyłem sylwetkę faceta i kobietę, mocno umalowaną. „Pewnie z Polski” – drgnąłem.

Ewa podeszła do drzwi.

– O – przez moment się wahała. – Proszę, wejdźcie.

Okazało się, że to siostra jej byłego fagasa. Już prawie o nim zapomniałem. Gość, który jej towarzyszył, nie podał mi ręki. Znałem go z widzenia. Zwałisty kawał byka. Nie podobala mi się ta wizyta. Siedliśmy w fotelach, podczas gdy Ewa nalewała drinki.

– To pan jest właśnie tym..., brat mi opowiadał. – uśmiechnęła się krzywo.

Była odpicowana jak na dyskotekę.

– Taa...

Facet przyglądał mi się bez słowa. Nie trzymałem wzroku, żeby go nie prowokować. Było coraz gorzej.

Kiedy Ewa wniosła szkło, usłyszałem jak bardzo dzwoni w jej rękach. Nikt nie ruszył. Kobiety zaczęły wymieniać zdawkowe uwagi na temat przeszłości i wspólnych znajomych, podczas gdy facet rozglądał się cały czas leniwie po pokoju. Wkurwiał mnie. Rejestrował wszystko, jakby był u siebie.

– Może ciasta?

– Nie, nie. – pudernica wstała z fotela. Przewiesiła sobie przez rękę płaszcz.

– Nie chcieliśmy wam robić kłopotu.

Odetchnąłem. Wstaliśmy wszyscy.

– Ewa, pozwól tu jeszcze na chwileczkę – zrobiła parę kroków w stronę drzwi i odwróciła się.

– Chciałam ci coś powiedzieć – w cztery oczy. – zobaczyłem znów ten jej uśmiech wymierzony we mnie zza pleców Ewy. Nagle złapała ją za włosy. Zerwałem się, ale na moim ramieniu zatrzasnęły się kleszcze. Ołowiany ciężar zepchnął mnie na fotel.

– Siedź. Nie twoja sprawa... – szepnęła.

– Bo co?

– Nie chcesz tego sprawdzać.

– Ty kurwo! – widzę jak Ewa szarpie się z nią w drzwiach. Tamta jest silniejsza. Grzmoci ją z pięści w twarz. Poprawia.

– Za to, co zrobiłaś mojemu bratu.

– Proszę przestać... – nic więcej mi nie wychodzi.

Jestem sparaliżowany. Widzę i... nie mogę drgnąć, czując przez cały czas uścisk faceta, który już nawet mnie nie dotyka. Stoi tylko odwrócony plecami i spokojnie przygląda się scenie. Mógłbym mu przyłożyć. Kop w jaja. Poprawka. Nie ma mocnych. Ale siedzę na fotelu, jak wystraszona kura na grzędzie.

Oddalają się niespiesznie długim korytarzem, nie oglądając się za siebie. Podbiegam i podnoszę Ewę z podłogi. Ma rozbity wargę i krwiak na lewym oku. Biorę ją na ręce i nogę zatrzaszkuję drzwi.

Leżąc w łóżku słyszę jej oddech. Nie mogę spać. Noc w noc tak samo. Opowiadam jej o tym wciąż od nowa. Przepraszam, przynoszę kwiaty.

– Dobrze, że się nie ruszyłeś – macha ręką. – To w sumie nie twoja sprawa – uśmiecha się, a ja wciąż tylko odwracam od niej wzrok.

Pomiędzy Tel Avivem
a Jerozolimą,
w pobliżu nowoczesnego,
liczącego zaledwie
siedemnaście lat miasta
Modi'in rozpościera się
Memoriał Zagłębia
poświęcony pamięci Żydów
Zagłębia Dąbrowskiego.
Górują nad nim
potężne litery
składające się
na hebrajskie słowo
zachor, czyli:



Zachor znaczy pamiętaj!

Tekst i zdjęcia:
WIESŁAWA
KONOPELSKA

Pamiętaj!

Ponad dziesięć tysięcy drzew – po jednym dla każdej ofiary Holocaustu – dziś brakuje już terenu dla kolejnych dziesiątek drzew, które powinny tu zostać posadzone. Ale jest grupa macew wykonanych z miejscowego piaskowca – każda z nazwą miejscowości, z której wywodzili się zagłębiowscy Żydzi. Jest więc Sosnowiec, Zawiercie, Będzin, Czeladź, Sławków, Dąbrowa Górnicza i wiele innych dziś będące dzielnicami tych miast jak Niemce, Gołonóg czy Piaszki. Są ogromne marmurowe tablice z wrytymi nazwiskami – osobna dla każdej miejscowości – to ciągle otwarty rozdział tragicznych losów Żydów z Zagłębia. Nieustannie towarzyszy im murowana modlitwa za zmarłych – kadisz. Jest plan będzińskiego getta, skąd wywożono Żydów do Auschwitz – Birkenau, nawet makietę unaoczniającą oświęcimskie krematorium... Nazwiska, nazwiska... lista ciągle nie mająca końca. Nie tylko krewnych tych, którzy po Holokauście lub po roku 1968 znaleźli się w Izraelu, to także pamięć o tych, którzy pozostali w kraju ojców – w Zagłębiu, często na zawsze.

Zagłębie czyli dom

Zagłębiowscy Żydzi w Izraelu skupiają się w zdecydowanej większości – już od trzech pokoleń w Świątym Związku Żydów Zagłębia Dąbrowskiego, który swą siedzibę ma na Wzgórzu Wiosny, czyli w Tel Avivie. Jest ich ponad 100 tysięcy. Działają

od maja 1979 roku z inicjatywy urodzonego w Czeladzi Abrahama Greena, najpierw (do 1996 roku) pod przewodnictwem będzinianina Arieha Ben-Tova. Byli i są obywatelami Państwa Izrael, ale kiedy tylko nadarza się okazja zjeżdżają do Zagłębia, co najmniej raz na dwa lata, składają hołd poległym i wszystkim zmarłym, odwiedzają miejsca, skąd pochodzą – wracają jak ptaki do gniazd.

– *Abram nie może żyć bez Czeladzi* – mówi pani Blanka Green. *Jego życie to Czeladź*. Pamięci o swoim Zagłębiu nie sprowadził do postawienia obelisku, jak to uczynili inni Żydzi w Izraelu. Utworzył ogromną organizację, w której członkowie do dziś – lepiej lub gorzej posługują się językiem polskim, a jeśli niektórzy z nich – zwłaszcza ze względu na młody wiek – jeszcze w Zagłębiu nie byli, to z pewnością tu przyjadą i poznają te święta miejsca, które odwiedzają z flagami Izraela i swojego Związku, odmawiając kadisz, układając kolejne kamienie na macewach, wspominając i mówiąc o ludziach ukrytych wyłącznie pod nagrobkami napisami jakże często w języku jidysz – dziś niezrozumiałym dla zdecydowanej większości. Ich językami są hebrajski, angielski i polski.

Memoriał to dzieło życia Abrahama Greena, to niezwykle pomnik pamięci rozpoczarty na wielu hektarach między Tel Avivem a Modi'in. – *Zapraszamy tu nasze wnuki i prawnuki, przywozimy młodzież z Zagłębia, rozmawiamy z nimi, by wiedziały i pamiętały...* Dopisu-

jemy ciągle nazwiska na tych marmurowych tablicach, by nie zapomnieć – Abraham Green ogromnie wzruszony opowiada o tym miejscu, Jego miejscu. Bo tu jest Jego prawdziwe Zagłębie... Prawie dziesięć lat życia zabrały mu starania, by w 1988 roku otworzyć Las Pamięci i Memoriał. Kosztowna inwestycja, także w utrzymaniu, na którą składają się Żydzi z całego świata.

Korzenie rodzinne Abrahama Greena znajdują się w Strzemieszycach, jednak on sam urodził się w 1923 roku w Czeladzi. Od 1983 roku odwiedza z grupą członków Związku Zagłębie. Swą podróż zawsze zaczyna od cmentarza – kirkutu w Czeladzi. Wie o tym, doskonale Ariel Yahalomi – urodzony także w 1923 roku, jako Artur Dimant, organizujący od lat wyprawy do Polski – najpierw Marsze Żywych i uroczystości związane z 40-leciem likwidacji warszawskiego getta, a potem wyjazdy z innymi grupami, także ze Świątowym Związkiem Żydów Zagłębia Dąbrowskiego.

Artur Dimant czyli Ariel Yahalomi

W odróżnieniu od Abrahama Greena kilka lat temu, w 2007 roku wydał skromną autobiografię. Jej lektura, jak i rozmowy z Arielem Yahalomim ukazują świat, w który trudno uwierzyć, ogrom dramatycznych przeżyć i doświadczeń, których starczyłoby na życiorysy wielu osób. Na jego drodze było za-

wierciańskie getto, obozy pracy: dolnośląski Auenrode, Osiek Grodkowski koło Strzelec Opolskich, potem Doerfless, Floessingen koło Pławniowic Chołdonów koło Tychów, Nordhausen, I obozy koncentracyjne Auschwitz, Fuenfteichen – obecnie Jelcz, Gross Rosen, Buchenwald, Dora Mittelbau, i Dritte Bergen Belsen. Koleje losu zawiodły go do Belgii, Palestyny, brytyjskiego obozu Atlit. W jego życiorysie są też obecne Holandia, Belgia, Francja, a potem już Izrael i udział w wojnach o niepodległość. Wiele lat związany był z pracą w Magen Dawid Adom – Czerwona Gwiazda Dawida czyli organizacja Pierwszej Pomocy – Czerwony Krzyż, która zawiodła go na Czarny Łąk – do Afryki, – Nigeru, Czadu, Togo.

Szewach Weiss mówił o Arielu Yahalomim: – *Artur Diman – Żyd, Ariel Yahalomi – Izraelczyk, nie zapomniał i pomaga innym nie zapomnieć. Nie żywi jednak rozgoryczenia do narodu polskiego, obce mu są stereotypowe uprzedzenia. Jest człowiekiem kultury, wykształconym. Potrafiącym rozróżnić między dobrem i złem, umiejącym dobro cenić, a zło zwalczać.* Yahalomi jest obywatelem świata – jego najbliższa rodzina rozsiana jest po świecie i Europie. Mieszka i w Polsce, i w Izraelu. Wszędzie jest u siebie, w domu. Jednak najbliższe jego sercu pozostaje Zawiercie – przed laty doprowadził do corocznych spotkań chasydów w Lelowie, z czego dziś jest bardzo dumny. Pamięta o tamtejszym cmentarzu, ale także ma w pamięci swoich rodziców – Leona Dimanta i Salę z domu Federman. W Zawierciu mieszkali też rodzice matki – Szmuel i Dora. Ich groby pozostały na tutejszym kirkucie. Znakiem zapamiętane życie, przez wiele lat wypierane z pamięci powróciło w książce „Przeżyłem...”. Dlaczego zaczął spisywać swoje życie tak późno? – *Nie byłem gotów na psychiczny powrót do tych okropnych czasów. Chciałem zapomnieć, dlatego zbudowałem swoistą ochronną barierę, odgradziłem się od przeszłości,*



Macewy upamiętniające miasta zagłębiowskie

by móc prowadzić „normalne życie” – powie Ariel Yahalomi przy okazji spotkania z nim, jako autorem książki. Imię jego ojca – Leona Dimanta nosi od 2010 roku Niepubliczna Szkoła Muzyczna w Zawierciu, której przekazał w darze portret ojca i ostatni, jedyny egzemplarz nut z biblioteki Dimanta – „Polki” napisanej na skrzypce i fortepian. Leon Dimant był skrzypkiem koncertującym z własnym zespołem „The Dimant's Jazz”. Przez dwa lata (1929-1931) koncertował w Polskim Radiu w Warszawie – miał dwa koncerty dziennie. Stryj Ariela – Zygmunt Dimant był również muzykiem, ale wykształconym w Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach (wtedy Śląskie Konserwatorium Muzyczne), a następnie królewskie konserwatorium w Belgii. Osiadł w Londynie, gdzie był muzykiem w najlepszych orkiestrach.

Abraham Green – jego życie to Żagłębie

Co dwa lata organizuje pobyt członków Światowego Związku Żydów Żagłębia Dąbrowskiego, którzy

przybywają tu pod przewodnictwem Abrahama Greena. Nie są to wyłącznie prywatne spotkania. Nawiązują kontakty z władzami samorządowymi, troszczą się o zachowanie pamięci, o cmentarze, obeliski upamiętniające miejsca, w których niegdyś stały synagogi zburzone przez wojska hitlerowskie lub – jak w Czeladzi – rozebrane cegła po cegle przez miejscową ludność żydowską pod groźbą rozstrzelania. – *Mieszkałem wtedy, jako dziecko tuż przy tej synagodze – przyglądałem się jak starsi ode mnie moi bracia płakali i rozbierali synagogę pilnowani przez hitlerowców z wymierzonymi w nich karabinami* – wspomina Abraham Green podczas jednej ze swych wędrówek po swoim ukochanym mieście. Dokładnie pamięta miejsca i ludzi, sąsiadów, swoje wielokrotne powroty. To mieszkali Gelbardowie, tam Chajda, tam Schweitzer i wielu innych jeszcze. Na czeladzkim kirkucie odwiedza grób swojej babki – z Chajdów. Okazała, piękna macewa porośnięta mchem, przypomina mu dzieciństwo, jakże szczęśliwe, niezależnie od losu, jakiego doświadczył, bo w Czeladzi... Dla Abrahama Greena nie ma ważniejszego miejsca na ziemi...

Jego matka była ławnikiem w Radzie Miejskiej oraz przewodniczącą Żydowskiej Organizacji Kobiet, aktywnie działała w kasie dobroczynnej i towarzystwie opieki nad chorymi, zarządzała także ochronką dla dzieci. W 1942 r. Green wraz z innymi Żydami znalazł się w czeladzkim getcie. Doświadczył tragedii pobytu – jako więzień – obozu przejściowego pod Wrocławiem, łagru w Markstedt, obozów w Gross Rosen, Weimarze, Buchenwaldzie, a także jako robotnik przymusowy w zakładach Kruppa. Matkę i najbliższą rodzinę Abrahama Greena dotknął dramat holocaustu. Pisany im był obóz zagłady w Auschwitz. Ukochana siostra Henia widnieje tylko na rodzinnych zdjęciach, które przed laty przekazał do nowojorskiego Muzeum Historii Żydów, zanim jeszcze powstał jerozolimski Yad Vashem, w którym dziś jedna



Abraham Green (z lewej) i Ariel Yahalomi podczas pobytu na kirkucie w Czeladzi, 2012

z przewodniczek jest ciągle świetnie mówiąca po polsku Adina Shtoyer, która na pytanie o to, jak znalazła się w tym Instytucie odpowiada, że z całej 63-osobowej rodziny ocalała tylko ona... Oprawdza po ulicach warszawskiego getta, którego autentyczne fragmenty znajdują się w tym niezwykłym muzeum. Adina Shtoyer nie jest zagłębianką, ale choć urodziła się w pobliżu Stalowej Woli zna Zagłębie i wielu ludzi stamtąd przyjeżdżających.

Zagłębiowski Memoriał, którego budowę zainicjował i doprowadził do jego realizacji Abraham Green, to nie jedyny ślad pamięci o ukochanym Zagłębiu, o holokauście i wszystkich którzy zginęli w czasie II wojny światowej, podczas pogromów żydowskich i w wyniku zamachów oraz wielu innych dramatycznych sytuacji, jakie dotyczyły Żydów w owym czasie.

Kiedy po wojnie wyemigrował do Izraela i po zakończeniu 12-letniej służby wojskowej w armii izraelskiej, założył firmę w branży gazowniczej, zaczął też działać na rzecz integracji środowiska zagłębiowskich Żydów w Izraelu. 25 lat po zakończeniu II wojny światowej w Dolinie Zagłady, na górze Syjon w Jerozolimie, odsłonięty został pomnik Pamięci Ofiar Zagłady z Zagłębia. Na tym potężnym obelisku widnieją nazwy miast zagłębiowskich. Jest też w Jerozolimie pomnik wzniesiony ku czci polskich żołnierzy żydowskich walczących w czasie II wojny światowej.

W 1979 roku założył Światowy Związek Żydów Zagłębia Dąbrowskiego i objął funkcję wiceprzewodniczącego, a następnie funkcję przewodniczącego po zmarłym w 1996 roku Arieihu Ben Tovie.

Ulica Gmina Zagłębia w Tel Avivie

Lecz po oddaniu Memoriału odwiedzającym Abraham Green nie spoczął. Odkąd znalazł się w Izraelu mieszka w Tel Avivie. I tu



Drogowskaz w Tel Avivie

postanowił pozostawić widomy ślad obecności Żydów zagłębiowskich. Dwa lata zabrały mu starania o nadanie jednej z ulic Tel Avivu imienia Gmin Zagłębiowskich – Kehilot Zaglembie. Dziś jest dumny ze swojego sukcesu. Żadna grupa Żydów, z żadnego innego kraju nie ma tu swojej ulicy. Ma Zagłębie! Z pewnością łatwiej było mu rozmawiać o Zagłębiu, odkąd wicemercem Tel Avivu jest Dan Lahad, którego korzenie rodzinne tkwią w Sosnowcu. Tu, w Izraelu, na każdym niemal kroku zjawia się niespodziewanie ktoś, kogo dziadkowie lub ktoś z rodziny, czasem rodzice są rodem z Zagłębia. Często nigdy tu nie byli, ale po nawet krótkiej rozmowie są zaciekawieni. Nie zawsze mówią po polsku, językiem swych przodków. Ale pewnie wybiorą się w tę podróż, by zrozumieć to, co robi Abraham Green otaczany tu wielką estymą i szacunkiem. Przed Abrahamem Greenem nie ma zamkniętych drzwi. Jego praca jest ogromnie szanowana i podzi-

wiana. Kiedy pojawia się w Czeladzi zawsze przypomina podczas pobytu na kirkucie, gdzie ogarnia go wielkie wzruszenie, że o ten mały czeladzko-będziński memoriał dbał przez wiele lat Moniek Stawski, od lat mieszkaniec Frankfurtu, którego matka spoczywa na tym miejscu. Stawski przez kilkadziesiąt lat restaurował ten cmentarz, łącząc na ten cel prywatne pieniądze.

Honorowy Obywatel czyli powrót do gniazda

Światowy Związek Żydów Zagłębia wydaje swoją gazetę, a której przeczytać można nie tylko o bieżących sprawach Związku, ale wspomnienia i informacje o kolejnych pobytach w Zagłębiu. Autorem wielu publikacji jest Abraham Green, ciągle żywo zainteresowany historią i dniem dzisiejszym nie tylko Zagłębia, ale i Polski. Przez cały czas robi wszystko, by w Izraelu nie zaginęła pamięć o Zagłębiu, a w Zagłębiu by pamiętano o ludziach stąd. W 2006 roku Abraham Green został honorowym obywatelem tego miasta. Wtedy, podobnie jak podczas kolejnych pobytów, a także i w tym roku, odwiedzał miejsca, które pozostały w jego pamięci, wspominał tak bliską mu matkę Chanę Hajdę Grin, do której ciągle żywi najczulsze uczucie. Tamo wydarzenie, w obecności ówczesnego ambasadora Izraela Davida Pelega, miało nadzwyczajne znaczenie. Oto ponownie stał się obywatelem swojego miasta, powrócił do gniazda...

Poeta żydowski Stanisław Wygodzki pisał w jednym ze swoich wierszy z tomu *Podróż zimowa* wydanym w Londynie w 1975 roku:... *kiedy znikniemy, / kto zatrześnie drzwi? Zatrześnięte drzwi po latach, dzięki takim ludziom jak ocaleni z holokaustu Abraham Green, Ariel Yahalomi czy Moniek Stawski, znów są szeroko otwarte.*



Tablica informacyjna i Memoriale

GRZEGORZ SŁOBODNIK

Rys. Wojtek Łuka



Budzenie snu

Ktoś nie mógł
zasnąć
i przez całą noc
czytał poezję
a poranek wcale
nie był jaśniejszy od
zmroku
a słowa były
jak ruchliwe skrzydła
pogody
kołysały się niby
myśli skłcone z
obłoków
ktoś nie mógł zasnąć
i czekał do jutra
na wiersze

Powrót II

Wzruszyłem ramionami
i spadłem najniżej
do piwnicy wspomnień
pajęczyny są jak
stare firanki
kiedy się je rozsunie
tracą kształt swój
i stają się tylko
domysłami
znikają niby duchy
niespodzianie
wyzwolone z niewoli
wilgoci i mroku
ażeby jeszcze raz
od nowa od początku
spróbować życia
jak uzdrawiającej cierpkiej
pigulki

Akcent

Wszedłem w niedzielny
spokój
w odpoczynek
dnia i nocy
tylko wczesne poranki są
niespokojne
bo nie wiedzą
co z nimi będzie
dokąd mają iść
niedaleko niebliisko
wszędzie
i jak młode sowy
niecierpliwie czekają na
zmierzch

Przystanek na żądanie

Znam to miasto
jak własną kieszeń
a w głowie
mi się różowi od
wspomnień
znam to miasto
urodzone wczoraj
w zaułku pstrokatym
od zmyśleń
znam to miasto
gdzie szyn połyskliwość
jeszcze dźwięczy
konnym tramwajem
znam to miasto
jak chmurę nad
dachem
która czasem
odezwie się deszczem
znam to miasto
bo przecież jest
obce
jak ja obcy
dla niego wciąż
jestem

Do Nieznajomej

Jestem święty i
biedny
co na jedno
wychodzi
a Ciebie co kręci
najbardziej
bo mnie karuzela
z Tobą na jednej
huśtawce
odgryzam kawałek
księżycy
smakuje jak wigilijna
kolacja
i nie chce mi się zupełnie
spać
przez Ciebie

Jesień

Park jak zielone i
żółte
słowa piosenki
jak zabawa w
klasy
kto podskoczy
rażniej
gałąź nęci
oczy
liście gubią
ścieżki
tylko wczesne
zmroki
pędzą coraz
prędzej



Rys. Wojtek Łuka

Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko to się stanie. Jeszcze w maju i czerwcu hucznie obchodziliśmy jubileusz osiemdziesięciolecia urodzin Profesora, jeszcze w lipcu kreśliliśmy plany na najbliższe miesiące i lata. Choroba – wróg podstępny – uderzyła nagle. 30 września nad ranem prof. Włodzimierz Wójcik zasnął. Pożegnaliśmy go 4 października. W katowickiej Archikatedrze Chrystusa Króla mszę żałobną koncelebrował abp Damian Zimoń. Ciało spoczęło na cmentarzu parafialnym w Łagiszy, północnej dzielnicy Będzina. Był piękny słoneczny dzień, zaczęła się złota polska jesień.

zeniu Górnym. W 2010 roku został profesorem honorowym Uniwersytetu Śląskiego.

Tych kilka faktów z bogatego życiorysu nie pokazuje osobowości Profesora. Pisać o nim, to jakby dotykać własnej biografii. Nie było uroczystości, żeby na niej nie był obecny. Starał się uczestniczyć we wszystkich spotkaniach, zabierać głos w ważnych sprawach. Był jednym z najbardziej szanowanych mentorów naszego środowiska.

Jego naukowe i literackie zainteresowania skupiały się głównie na literaturze polskiej XX wieku, choć czynił on wycieczki także w wiek XIX i wcześniej. Wiek XX był wszakże ogromną pasją Profesora. Rósł wraz z nim, poznawał jego tajemnice, a także go współtworzył. To stulecie, które wywróciło wcześniejszy porządek świata, przyniosło dwie straszliwe wojny światowe i wiele konfliktów lokalnych, zdezonizowało królów i cesarzy, a człowieka prostego uczyniło nowym władcą, było dla Profesora teatrem bezustannie objawiającej się śmierci, absurdów istnienia, okrutnych namiętności, zżerających emocji, niechcianych rozstań i tęsknoty za porządkiem. Literatura dwudziestowieczna uwieczniała to, co w tym teatrze sam przeżywał.

To była jego współczesność – nie daleka, lecz bliska.

Zobaczył ją w wielkiej prozie Zofii Nałkowskiej. Napisał o autorce *Medalionów*: „Żył (...), problemami swojej współczesności, była świadkiem tej współczesności, stworzyła nieprzemijające literackie wizje człowieka dwudziestego wieku. Człowieka znękanego historią i wewnętrznymi powikłaniami, a mimo to szukającego nadziei, sensu i szczęścia”. Identyczne słowa mógł Profesor odnieść do Zofii Romanowiczowej, którą czytał z przejęciem, a także do polskich emigrantów, których gorzkim wierszom poświęcił osobną książkę. O okrutnej prozie idola swojej młodości, Tadeusza Borowskiego, napisał: „Pełna jest bólu i wiary, zwątpienia i nadziei, a nade wszystko wielkiej troski o los świata i ludzi uwikłanych w sytuacje ostateczne”.

Te słowa warto zapamiętać, ponieważ manifestuje się w nich humanistyczna formacja Profesora. W piarstwie naukowym Włodzimierza Wójcika zawsze na plan pierwszy wysuwało się pytanie o człowieka, jego los. Ta sama troska, która kierowała nim w życiu, chciała odnaleźć swoje miejsce również w literaturze. Odpowiedzialność za poznanie świata, jaka spoczywa na każdym z nas, twierdził Profesor, musi wiązać się z podjęciem ryzyka wobec świata.



Fot. Zbigniew Sawicz

Żegnaj, hetmanie!

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

MARIAN KISIEL

Włodzimierz Wójcik urodził się 29 maja 1932 roku w Łagiszy. Tuż ukończył w 1947 roku szkołę powszechną. Później uczył się w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych w Katowicach, a w latach 1951-1956 studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Związany ze szkolnictwem średnim Krakowa i Nowej Huty, po doktoracie na krakowskiej WSP (1967) został adiunktem na UJ (1969-1973). W 1973 roku – jako docent kontraktowy – podjął pracę

w Uniwersytecie Śląskim. Tutaj się habilitował (1979), otrzymał profesurę (1988) i profesurę zwyczajną (1992). Współorganizował nowo powołany Wydział Filologiczny, którego został prodziekanem (1973-1975, 1977-1978) i dziekanem (1984-1987). Był dyrektorem Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987-1991), twórcą i kierownikiem Zakładu Literatury Współczesnej (1981-2002). Przez wiele lat pełnił funkcję opiekuna naukowego Muzeum Emila Zegadłowicza w Go-

Tę fenomenologiczną zasadę wyprowadzał z faktów codziennego życia. Nie lubił podierać się autorytetami, twierdził, że każdą prawdę moralną da się uzasadnić obecnością zaangażowaną w egzystencję.

W książce o skamandrytach zanotował: „Egzystencja człowieka jest w istocie rodzajem kręgu, którego początek wyznacza data i miejsce urodzenia, koniec zaś – dzień, miesiąc i rok śmierci. I miejsce ostatniego tchnienia. Sprawą najważniejszą w tej dość schematycznej konstrukcji ludzkiego losu staje się jakość oraz intensywność śladu, jaki pozostawia się na wspomnianym kręgu (...)”.

Odnajdywanie w literaturze śladów egzystencji było dla Profesora, w istocie rzeczy, poznawaniem konkretnego życiorysu. Bardzo dbał o to, by każda biografia miała swój niepodrabialny rysunek. Czytając jego książki, zauważamy, z jak wielkim szacunkiem pochylał się nad szczegółem, który w historycznoliterackiej narracji indywidualizował opisywaną twórczość, a przede wszystkim twórcę. W poincie książki *Powrót do Nałkowskiej* pisał o walce przemijania i trwałości; że wprawdzie *vita brevis*, ale *ars longa*... Mam nieodparte wrażenie, iż – żyjąc literaturą – Profesor stał jednak po stronie uciekającej, skazanej na rychły kres egzystencji codziennej, nieliterackiej.

Z bogatej biblioteki współczesności wybierał tych twórców, którzy nie dali się zamknąć w sztywnej konwencji i unikali programowego przyporządkowania do nurtu czy zjawiska. Wyżej cenił dykcję ekspresjonistyczną niż chłodną, surową powagę analityczną. W poranieniu słów chciał widzieć ścieranie się namiętności ludzkich, okropność i urodę świata. Za Nałkowską można by powiedzieć, że pochylał się nad „węzłami życia”, zamkniętymi w słowach, by lepiej rozumieć człowieka „wrzucanego” w życie. Ten kierunek był wreszcie obustronny: czytał literaturę o życiu, bo znał życie; poznawał życie zaś lepiej, ponieważ znał wielką literaturę o życiu.

Profesor pisał o różnych formach artystycznego wyśłowienia, najwyżej chyba jednak cenił prozę. Nie każdą, ale tę, która w realizmie przedstawić dawała podstawę do mierzenia się z nią jak z życiem prawdziwym. Nie powinno dziwić, że na półce jego „biblioteki serdecznej” miejsce trwale zajmowały książki Zofii Nałkowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, Marii Kuncewiczowej, Tadeusza Borowskiego, Zofii Romanowiczowej, Józefa Wittlina, Tadeusza Różewicza i skamandrytów. Biblioteka ta miała wreszcie wiele poziomów. Wymieniając wszakże tych kilka nazwisk, nieko-

niecznie przecież szeroko obecnych w naukowym piśmarstwie Profesora, chcę powiedzieć, że z piśmarstwa tych autorów łączywie czerpał mądrość o świecie. Wielokrotnie powtarzał, że literatura jest zapisaną formą życia.

Pisząc to krótkie wspomnienie, przed moimi oczyma przesuwają się różne obrazy, ale jeden jest szczególnie intensywny: Profesor jako osoba, wokół której grupują się inni. Uczni i ludzie prości, ci o „postawie wprostowanej” i połamani, pokaleczeni przez świat. Przychodzili do niego, a on znajdował dla nich miejsce w swojej biografii. Nawet jeśli irytowały go małość, a czasami podłość, które przecież nie są rzadkimi przywarami człowieka, starał się odsuwać je gdzieś za ostatni kurhan, jakby w myśl przykazania św. Franciszka: „strzeżcie się, bracia moi, grzechu niewdzięczności”. Spotkanie z drugim Profesorem zawsze bowiem traktował jako wartość największą. Był wdzięczny, że mogło do niego dojść.

Wdzięczność ta najmocniej wybrzmiała w przemówieniu jubileuszowym z okazji osiemdziesięciolecia urodzin. Powtarzające się w nim słowo „dziękuję”, poprzedzało zdanie: „Zdaje sobie (...) sprawę z tego, że nie nie jesteśmy w stanie dać Najwyższemu, prócz **dziękczynnej** modlitwy i godziwego postępowania”. Pamiętając o tym, że w życiu codziennym powinniśmy postępować godnie, nadaliśmy księdze przygotowanej na siedemdziesięciolecie urodzin Profesora tytuł *Godność i styl*. Zdawało się nam, że te dwa słowa doskonale oddają to, co w biografii Włodzimierza Wójcika było najwyrazistsze – właśnie „godne” życie i „styl” współżycia z innymi.

Wspominając Profesora człowieka, nie zapomnijmy o nim jako wielkim patriocie. Wielokrotnie cytowany przez niego wiersz Tadeusza Różewicza o ojczyźnie (tej wielkiej, i tej małej), bardzo dobrze oddawał jego rozumienie obecności w kręgu wartości najwyższych: „ojczyzna to kraj dzieciństwa / miejsce urodzenia / to jest ta mała najbliższa / ojczyzna [...] na początku ojczyzna / jest blisko / na wyciągnięcie ręki // dopiero później rośnie / krwawi / boli”. Włodzimierz Wójcik kochał Polskę, ojczyznę większą i kochał Zagłębie, ojczyznę najmniejszą. Polsce i Zagłębiu poświęcił wiele pięknych stron swojego emocjonalnego piśmarstwa. Twierdził, że ten, kto nie czuje głębokiej więzi z miejscem urodzenia, nie odnajdzie się w świecie.

Z umiłowania polskości wyrosła jego znana książka o legendzie Józefa Piłsudskiego w literaturze międzywojennej. Napisał: „Moje, idące przez

lata, pisanie o Józefie Piłsudskim zrodziło się z buntu przeciwko nieczym praktykom minionych czasów deptania jego dobrego imienia i realnej, bardzo wymiernej zasługi dla Ojczyzny, z poszukiwania prawdy o naszej narodowej przeszłości. Istotną rolę odegrał też klimat życia rodzinnego oraz domowa legenda przejawiająca się w szczerym kulcie osoby Marszałka”.

Z umiłowania Zagłębia wyrosły jego trzy ostatnie książki, w których pochylał się nad codziennością, kulturą materialną i aspiracjami mieszkańców tej ziemi. Mimo, iż Profesor odszedł, o Zagłębiu wciąż pisze. Na różnych portalach internetowych, w prasie codziennej, w tekstach jeszcze nieogłoszonych ukrywa się jego kolejna książka o Zagłębiu Dąbrowskim. Warto o niej pamiętać.

Bogate i twórcze, oddane ludziom życie Profesora zamknęło się w poczuciu spełnienia. Przeświadczenie to towarzyszyło wszystkim nam, którzyśmy tłumnie stawili się, by odprowadzić doczesne szczątki znakomitego uczonego na rodzinny cmentarz w Łagiszy. Temu, który poświęcił polskim porom roku piękne eseje, złota jesień październikowa słońcem i kolorami odwdzięczyła się tak, jak mogła najlepiej.

Mistrzów swojej naukowej młodości Profesor nazywał „hetmanami polonistyki”. Retorycznie modulowanym głosem, podniesionym do góry palcem, konieczną pauzą między słowami, owych „hetmanów” wynosił do wieczności. Nie zdarzyło się, by ktoś usłyszał od niego to określenie w odniesieniu do badaczy niższej rangi. Było ono przypisane wyłącznie do największych naukowych wzorów.

Dla nas, którzyśmy kończyli zagłębowską polonistykę, a teraz tworzymy polonistykę śląską, prof. Włodzimierz Wójcik ma swoje ważne miejsce w panteonie wybitnych uczonych. Nie zapomnimy jego ogromnej pracy na rzecz świetności uniwersyteckiej humanistyki, jego troski o słabszych, jego zwykłej, ludzkiej przyzwoitości i zacności.

W jednym z ostatnich tekstów napisał: „Mimo zawirowań historii życie obeszło się ze mną przyzwoicie. Byłem nagradzany, wyróżniany, odznaczany i honorowany przez władze państwowe i samorządowe, uczelnie i organizacje oraz związki twórcze. Nie mogę narzekać. Przeżyłem wiele radości i trochę dojmującego cierpienia. Ale taka jest ludzka egzystencja. **Dziękuję** losowi za różnorodność i bogactwo doznań (...)”.

I my dziękujemy za Ciebie!
Żegnaj, hetmanie!

LAMENT NA ŚMIERĆ IGNACIA SÁNCHEZ MEJÍASA

WZIĘCIE NA ROGI I ŚMIERĆ

(*La cogida y la muerte*)

O piątej po południu.

Była dokładnie piąta po południu.

*Chłopiec przyniósł białe prześcieradło
o piątej po południu.*

*Kosz z wapnem był na swoim miejscu
o piątej po południu.*

*Reszta była śmiercią i tylko śmiercią
o piątej po południu*

*Wiatr porwał strzępy bawełny
o piątej po południu.*

*Tlenek porozsiewał kryształ i nikiel
o piątej po południu.*

*Już walczą ze sobą lampart z gołębicą
o piątej po południu.*

*Udo się zмага z śmiercionośnym rogiem
o piątej po południu.*

*Już słyszeć dźwięki na najniższej strunie
o piątej po południu.*

*Biją dzwony z arszeniku i dymu
o piątej po południu.*

*Na rogach ulic przystaje milczenie
o piątej po południu.*

*I tylko byk słyszy bicie swego serca!
o piątej po południu.*

*A kiedy wystąpił pot biały jak śnieg
o piątej po południu,*

*I kiedy arena pokryła się fioletowym jodem
o piątej po południu,*

*Śmierć złożyła jajeczka w otwartej ranie
o piątej po południu.*

O piątej po południu.

Dokładnie o piątej po południu.

*Jego łóżkiem jest trumna na kółkach
o piątej po południu.*

*W uszach dźwięczą mu kości i flety
o piątej po południu.*

*Ryk byka przebił na wskroś jego czoło
o piątej po południu.*

*Pokój się mienił wszystkimi barwami agonii
o piątej po południu.*

*Już z daleka przybywa gangrena
o piątej po południu.*

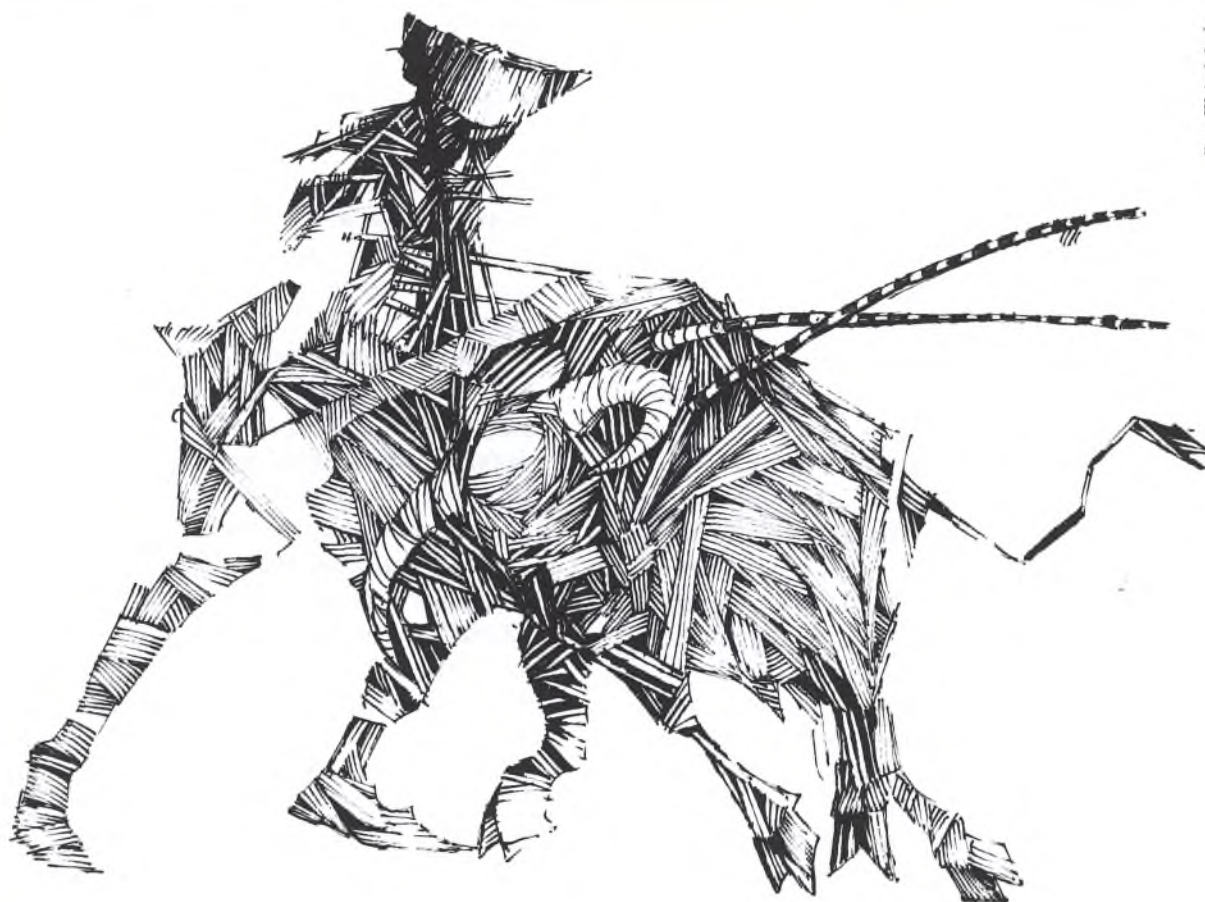
*Trąba irysów przeszła przez zielone pachwiny
o piątej po południu.*

*Rany płonęły jak słońca
o piątej po południu,*

*I tłum napierał na okna
o piątej po południu.*

O piątej po południu.

*Och, jakże okrutna piąta po południu!
Była piąta na wszystkich zegarach!
Była piąta w cieniu popołudnia!*



PRZELANA KREW (La sangre derramada)

Bo nie chcę jej widzieć!

*Powiedz nocy, niech przyjdzie,
bo nie chcę widzieć krwi
Ignacia na piasku areny.*

Nie, nie chcę jej widzieć!

*Księżyc otwarty na oścież,
koń spokojnych obłoków,
szary plac hardych marzeń
wierzby płaczą w półmroku.*

*Nie, nie chcę jej widzieć!
Niech się pamięć spopieli!
Upredźcie jaśminy,
by strzegły swej kruchej bieli!*

Nie chcę jej widzieć!

*Krowa starego świata
lizala smutnym jęzorem
pysk unurzany we krwi
przelanej dziś przed wieczorem,
a byki z zagród w Guisando,
– śmierć i kamień na poły –
ryczały jak dwa stulecia
znużone ziemskim padołem.*

*Nie!
Nie chcę jej widzieć!*

*Ignacio wchodził po stopniach,
śmierć dźwigał jak blok granitu,
wypatrywał jutrzeńki, ale
dla niego nie było już świtu.
Szukał swojego profilu,
lecz sen go mamił i zwodził:
szukał rzeźby swojego ciała,
a znalazł krew na swobodzie.
Nie każcie mi patrzeć na nią!*

FEDERICO GARCÍA LORCA

FEDERICO GARCÍA LORCA

*Nie chcę słyszeć strumienia
który sączy się coraz słabiej:
lecz blaskiem swym opromienia
miejsca przy bandzie i spada
na plusz i skórę tłumów
usychających z pragnienia.*

*Kto mnie woła, bym się pokazał?
Nie każcie mi patrzeć na nią!*

*Nie zamknął oczu, gdy ujrzał
rogi z tak bliska, gdy nawet
najokrutniejsze matki
nieco podniosły się z ławek.
I poprzez zagrody tajemne
głosy zdążyły przebiec,
i wzbiły się ku pasterzom
pasącym byki na niebie.*

*Nie było księcia w Seville,
który by z nim mógł się mierzyć,
ni takiej szpady, ni serca
jak serca dawnych rycerzy.
Muskul Ignacia były
jak lwy sprężone i lwice,
i niczym tors z marmuru
rozwagi mądre granice.
Wiatr Andaluji zdobił
głowę na kształt aureoli,
jego śmiech był miksturą
inteligencji i soli.
O, jakież to torreador na arenie!
Jaki góral wśród kamiennych kolosów!
Jakże twardy w ostrogach!
Jakże łagodny wśród kłosów!
Jak pieścił rosę, jak błyszczał,
Gdy na festynie zagościł!
I jakaż srogość w ostatnich
banderillach ciemności!
Ale już zasnął na wieki.*

*Już mchy, trawy i traszki,
otwierają sprawnymi palcami
zamknięty kwiat jego czaszki.
Krew jego płynie śpiewając:
o trzęsawiskach i łąkach,
po zziębniętych ślizga się rogach,
we mgle, bez duszy się błąka;
potykając się o tysiące racic,
jednej kropli nie chce uronić,
aby blisko Guadalquiviru
uformować kałużę agonii.
O, biały murze Hiszpanii!
O, czarny byku goryczy!
O, ciężka krwi Ignacia!
O, tętnic trylu słowiczy!
Nie.*

Nie chcę jej widzieć

*Nie ma kielicha, który by ją pomieścił,
nie ma tylu jaskółek, które by ją wypity,*

*nie ma szronu blasku, który by ją ochłodził,
nie ma pieśni ni potopu białych lilii,
nie ma kryształu, który by ją okrył srebrem
Nie.*

Ja nie chcę jej widzieć!



Rys. Wojtek Łuka

CIAŁO OBECNE

(Cuerpo presente)

*Kamień jest czołem, za którym lamentują sny,
odcięte od rwących wód i zamarzniętych cyprysów.
Kamień to są barki zdolne udźwignąć czas
z drzewami leż i wstęg i wirujących planet.*

*Widziałem szare deszcze biegnące po falach,
gdy unosiły wysoko podziurawione ramiona,
aby nie dopadł ich kamień o mięśniach napiętych,
który rozluźnia swe członki, zanim nasiąkną krwią.*

*Bo kamień zabiera nasiona i burzowe chmury,
szkielety skowronków i wilki półmroku;
ale nie rodzi dźwięków, ni kryształów, ni ognia,
tylko areny, areny, areny bez murów.*

*Ignacio z dobrego rodu już leży na kamieniu.
To już koniec; co teraz? Patrzcie na jego ciało:
śmierć je pokryła bladą, bezbarwną siarką
i zamieniła głowę na byczy łeb Minotaura.*

*To już koniec. Deszcz wdziera mu się do ust.
Oszalałe powietrze porzuca zapadniętą pierś,
A miłość nasiąknięta łzami z lodu i śniegu
ogrzewa się na szczycie pośród stada byków.*

*Co mówią? Cisza i smród ucięły sobie drzemkę.
Jesteśmy z ciałem obecnym, które się rozplywa,
z formą tak czystą, właściwą tylko słowikom,
widzimy jak się napełnia otworami bez dna.*

*Kto marszczy całun? Nieprawdą jest to, co mówi!
Tutaj nikt nie śpiewa, nie płacze ukryty w kącie,
nie bodzie ostrogami, ani nie płoszy węża;
ja tu nie chcę niczego oprócz okrągłych oczu,
abym widział to ciało, które nie zazna spoczynku.
Chcę tutaj widzieć mężczyzn o głosie jak dzwon,
którzy ujeżdżają konie i poskramiają rzeki:
mężczyzn, których szkielety dźwięczą i którzy
śpiewają ustami pełnymi słońca i krzemieni.*

*Tutaj chcę ich zobaczyć. Tutaj, przed kamieniem.
Przed tym ciałem z poszarpanymi cuglami.
Chcę, aby mi pokazano gdzie jest to wyjście
dla takich jak on mężów spętanych przez śmierć.
Chcę, aby mi pokazano płacz jak wielka rzeka,
i żeby miał słodkie mgły i ciemny, głęboki nurt,
i żeby porwał ciało Ignacia i aby je zgubił, tak,
by już nie usłyszał podwójnego oddechu byków.*

*Niech się zabłąka na okrągłej arenie księżycy,
i niech jak chore dziecko udaje martwego zwierza;
niech przepadnie w nocy, pośród milczących ryb,
w białych zaroślach zamrożonego dymu.*

*Nie, nie chcę, aby na jego twarz zarzucono chustę,
iżby się oswoił ze śmiercią, która nadchodzi.
Idź, dalej, Ignacio: nie słuchaj gorących ryków,
śpij, leć, odpoczywaj: morze także umiera!*



Rys. Wojtek Łuka

FEDERICO GARCÍA LORCA

FEDERICO GARCÍA LORCA

DUSZA NIEOBECNA

(Alma ausente)

Nie zna cię byk, ni drzewo figowe,
ni konie, ni mrówki z twojego domu.
Nie zna cię dziecko, ni popołudnie,
Bowiem umarłeś na zawsze.

Nie zna cię napięty grzbiet kamienia,
ani czarna satyna, w której się rozpadasz.
Nie zna cię twoja milcząca pamięć,
bowiem umarłeś na zawsze.

Przyjdzie jesień ze ślimakami,
gronami mgieł i zastępami gór,
ale nikt nie zechce spojrzeć ci w oczy,
bowiem umarłeś na zawsze.

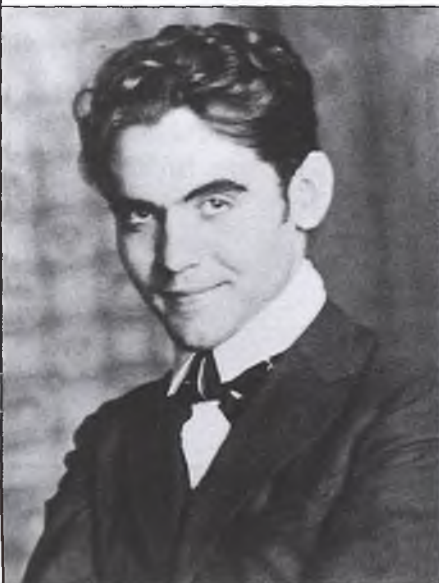
Bowiem umarłeś na zawsze,
jak ci wszyscy, co zmarli na Ziemi,
jak ci wszyscy do cna zapomniani
na wysypisku uśpionych psów.

Nikt cię nie zna. Nikt. Ale ja cię opiewam:
tвій profil i wdziek, by nie minął bez śladu,
dojrzałość i bystrość twojego umysłu,
twoje pragnienie śmierci i jej wybredny gust,
cierpki smutek twojej mężnej radości.

Minie wiele lat, nim się urodzi tak jasny
Andaluzyjczyk, tak bogaty w przygodę.
Opiewam jego czar słowami, które jęczą,
I wspominam powiew oliwkowych gajów.



Rys. Wojtek Łuka



FEDERICO GARCÍA LORCA (1898-1936),
poeta i dramaturg hiszpański,
jeden z najwybitniejszych pisarzy XX wieku,
tłumaczony na setki języków. Prezentowany poemat
powstał w roku 1935, a jego bohaterem jest przyjaciel poety,
którego śmierć na arenie była wielkim wstrząsem
nie tylko dla F. G. Lorki i okryła żałobą cały kraj.
W rok później, na początku wojny domowej,
F. G. Lorca został zamordowany.
Zabójcom przypisuje się motyw polityczny,
równie prawdopodobny jest jednak motyw obyczajowy.
Poeta nie tylko miał lewicowe poglądy,
lecz był zdeklarowanym homoseksualistą.
Pochowany został w nieoznakowanym grobie
w pobliżu Grenady.

■ Wstęp do pentalogu

Od blisko trzydziestu lat ważnym problem naukowym, ale nie wyłącznie, jest odczytywanie zrewidowanej tożsamości regionalnej w odniesieniu do tradycyjnie definiowanego terytorium. To rezultat procesów globalnych, które wyraźnie rzutują na przeobrażenia w sferze identyfikacyjnej. Najważniejszym jest fakt, że w społeczeństwach włączonych w system ogólnoswiatowej sieci informacyjnej coraz wyraźniej traci znaczenie terytorium, a miejsce staje się tylko złudzeniem. Realna przestrzeń staje się niczym, a obieg wirtualny triumfuje. Taki świat wymaga spojrzenia na tożsamość społeczną poprzez pryzmat pięciu przynajmniej elementów.

■ Wspólnota wyobrażona, a zatem jaka?

Wspólnota wyobrażona, czyli wspólnota oparta na posiadaniu wspólnych cech, które nie łączą się z określonym terytorium. Najczęściej nie mają obiektywnych desygnatów. Istnieje wspólnota ducha i zbiorowo podzielaną sferą symboliczną. Wyznawcy jednej religii są przykładem wspólnoty religijnej, w której wielu nie podejmuje praktyk religijnych, ale zdecydowanie kultuwywa ważną dla nich wspólnotę ducha. Ludzie wierzą, bez względu na konteksty, że tworzą trwałą wspólnotę, choć rzeczywiste przesłanki mogą być naprawdę dyskusyjne.

■ Miejsca znaczące, czyli ikony

Ikoniczne miejsca, ich unikatowość, budują symboliczny system jednostkowej i zbiorowej tożsamości. To w istocie, używając metaforycznego określenia, kotwice zbiorowej pamięci. Cmentarz z grobami bliskich, miejsca historyczne, kościoły czy szkoła, która stanowi ważny element biografii jednostkowej. Czasami miejsca przemawiają, czasami milczą, mają swoje epifanie i swoje sekrety. Do miejsc, które przemawiają wracamy lub nosimy je głęboko w pamięci a na pytania „Po co przemierzacie ten świat? Po co szukacie nowych miejsc”, pada odpowiedź „Aby powrócić do miejsc, które przemawiają do mnie”. Te miejsca to również tkwiące w umysłach ludzkich obrazy z przeszłości. Pejzaże, ulice, drzewa, domy a także krajobrazy i przestrzenie, które pozwalają podróżować do światów, które często już nie istnieją, ale stanowią trwałe elementy ludzkiej pamięci.

■ Wymyślić tradycję, oto jest zadanie

Tradycja wynaleziona, czy też wymyślona, obejmuje zarówno tradycje naprawdę wprowadzone w życie, jak również takie, które powstają w trudniejszy do zidentyfikowania sposób w krótkim, konkretnym okresie czasu. Przykładem pierwszego typu tradycji wynalezionej jest orędzie bożonarodzeniowe prymasa Polski, a przykładem drugiego rodzaju wynalezionej tradycji jest zjawisko „małyszomanii” czy gasnącej już dzisiaj „kubicomanii”. Tradycja wymyślona to zespół działań o cha-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Odczytywanie regionalnej tożsamości

rakterze rytualnym lub symbolicznym rządzonych zazwyczaj przez jawnie bądź milcząco przyjęte reguły: działania te mają wpajać ludziom pewne reguły i normy zachowania przez ciągłe repetycje, co siłą rzeczy sugeruje kontynuowanie przeszłości. Sytuacjami sprzyjającymi zjawisku tradycji wynalezionej jest transformacja (rozwoj, zmiana), kiedy niszczone bądź modyfikowane są dotychczasowe wzory zgodnie z którymi zaprojektowane były dawne tradycje. Ale wiele jednostek pozostaje wiernych dawnym tradycjom, chociaż nie przystają one do współczesnej sytuacji. Równocześnie w nowej sytuacji powstają nowe tradycje (wzory, reguły), które stają się bardziej adekwatne do zmieniającej się rzeczywistości. To wykorzystanie starych środków do nowych celów. W sytuacji zmiany tradycja wymyślona pełni rolę kontynuacji określonej rzeczywistości społecznej między innymi trwania regionu, narodu czy państwa. Walka o czystość języka polskiego czy uznanie mowy śląskiej za język regionalny są dobrym tego przykładem, podobnie jak kultuwanie polskich tradycji przez Rodaków przebywających na emigracji.

■ Trauma jednostkowe i zbiorowe

Ważnym wymiarem zrewidowanej współcześnie tożsamości wydają się być traumy zarówno grupowe, jak i indywidual-

alne. Wciąż trwające wojny zmuszają wielu do ucieczki, a opuszczone miejsce pozostaje w umysłach uciekinierów przede wszystkim jako utrata bezpieczeństwa czy miejsce naznaczone śmiercią bliskich. Przestrzenie te mogą się kojarzyć również z życiem szczęśliwym, ale zgodnie z koncepcją degradacji ludzie pamiętają przede wszystkim przeżycia złe. Ważne są traumatyczne przeżycia jednostek i społeczności związanych z wszelkimi kataklizmami, jak powodzie, trzęsienia ziemi czy wybuchy wulkaniczne. Zwołanie szczytu państw G8, w lipcu 2009 roku, w L'Aquila, włoskim mieście zniszczonym przez trzęsienie ziemi w kwietniu 2009 jest dobrym przykładem politycznego traktowania kataklizmów we współczesnym świecie. Wyeksponował go również, niezależnie od intencji, znany aktor George Clooney, wizytujący równolegle do spotkań G8, ludzi i miejsca dotknięte tragedią. Ponadto jednostki naznaczają swoją tożsamość przeżyciami związanymi ze śmiercią bliskich i miejscem ich pochówku. Ale musimy również podkreślić ważność spektakularnych sukcesów i porażek zarówno zawodowych, jak i prywatnych. Sukcesy i porażki w sposób znaczący kształtują tożsamość jednostkową, ale również i społeczną, gdy odnoszą się do określonej społeczności.

■ Dotknąć, powąchać, czyli regionalna organoleptyka

Ważnym wymiarem współczesnej tożsamości jest zapach, który często sprowadza się do skojarzeń z dzieciństwem. Zapach pieczonego ciasta, świątecznych przygotowań, ulicy, podwórka pozostaje na zawsze. To w dużej mierze dzięki zapachom powracamy pamięcią do rodzinnego domu i wspomnień z minionych lat. Dzisiaj mówimy metaforycznie o zapachu bogactwa i zapachu biedy. Najczęściej twierdzenie to odnosimy do osiedli i przestrzeni zamieszkiwanych przez zamożnych lub, a contrario, slumsów czy ubogich dzielnic zamieszkiwanych przez ludzi ubogich. Powracamy do miejsc gdzie pachnie ładnie, unikamy tych miejsc gdzie pachnie brzydko. Zapachowi towarzyszy często dotyk. Dotyk domu, drzewa, miejsc symbolicznych ale przede wszystkim dotyk ludzi ważnych dla każdej jednostki. Zapach i dotyk zabieramy ze sobą opuszczając określone miejsca a dzięki temu pozostają one na zawsze w ludzkich umysłach.

■ Duch miejsca na zakończenie

Świat uwikłany w procesy globalne wzmógł między innymi ruchy migracyjne, które sprzyjają opuszczaniu przez ludzi jednych miejsc i obierania kolejnych. Zjawisko to zasadniczo zmieniło dotychczasowe rozumienie tożsamości społecznej, w którym fundamentalne znaczenie przypisywano terytorium. Jak pokazaliśmy powyżej, dzisiaj tożsamość rodzi się w oderwaniu od miejsca, chociaż to właśnie genius loci, osobliwy duch miejsca, tworzy w pamięci ludzi obrazy składające się na współczesną tożsamość społeczną

Felieton powstał we współpracy
z prof. UO dr hab. Anną Śliz

Od Monte Cassino do Bolonii

ZBIGNIEW
KAPAŁA

Ślązacy w walkach z Korpusu Polskiego we Włoszech

Bitwa pod Monte Cassino, w której okrył się w maju 1944 roku wielką sławą 2. Korpus Polski, zajmuje w historii II wojny światowej miejsce szczególne. Stanowiła ona bowiem punkt kulminacyjny kampanii włoskiej 1943-1945. W walkach, jakie stoczył tam przed niemal przeszło siedemdziesięciu laty 2. Korpus Polski, brali również udział mieszkańcy Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego.

W przypadku Ślązaków tragiczny los zrzucił, że przyszło im walczyć w tej bitwie po obydwu stronach frontu (szerzej o udziale polskich Ślązaków w tej bitwie pisałem w artykule *Ślązacy i Zagłębiacy pod Monte Cassino*, zamieszczonym w tomie drugim „Silesia Superior. Śląskie Zeszyty Humanistyczne” 1995, s. 11-24; też w *Śląsk pamięci Monte Cassino*, pod red. W. Zdanowicza, Katowice 1999, s. 513-523. Dlatego też groby poległych w niej Ślązaków spotykamy zarówno na polskim, jak i niemieckim cmentarzu pod Monte Cassino.

Ślązacy dali również wiele dowodów męstwa i poświęcenia w dalszych walkach 2. Korpusu Polskiego we Włoszech, znacząc w nich krwią i mogiłami swój udział. M.in. w dniu zdobycia Castelfidardo, tj. 4 lipca 1944 roku, poległ ppor. Paweł Blacha z Chorzowa. Był on absolwentem Państwowego Gimnazjum im. Odrowążów w Chorzowie. Do 2. Korpusu Polskiego na Bliskim Wschodzie przybył z Anglii, dokąd trafił przez Rumunię i Francję; w Coetquidan ukończył podchorążówkę. We Włoszech był dowódcą 8 baterii w 7. pułku artylerii przeciwpancernej. Pułk był wypo-

sazony w działa samobieżne na podwoziach czołgowych „Shermana”. Kiedy ppor. Blacha, rozpoznając teren nad rzeką Musone, otworzył klapę wjazdu i wychylił się z wieży, nieprzyjaciel rozpoczął ogień z moździerzy i spandauów. Odłamek pocisku moździerzowego trafił porucznika w kark. Ranny zmarł, zanim dowieziono go do punktu opatrunkowego. Pośmiertnie został odznaczony Orderem Virtuti Militari. Trzy dni później w akcji nad rzeką Musone pod Casa Nuova zginął trafiony odłamkiem pocisku artyleryjskiego ppor. Józef Burzywoda z Rydułtów, zastępca dowódcy 1 plutonu 4 szwadronu 15. Pułku Ułanów Poznańskich, odznaczony za udział w walkach pod Monte Cassino Krzyżem Walecznych.

Po zdobyciu w dniu 18 lipca 1944 roku Ankony 2. Korpus kontynuował natarcie autostradą nr 16 w kierunku linii Gotów. Po zajęciu Falconara Maritima ścigający wroga Pułk Ułanów Karpackich napotkał opór Niemców w rejonie wioski Marzaco. Tutaj na drodze równoległej do autostrady nr 16 spalili się żywcem w wozie pancernym typu „Staghound” st. ułan Józef Dreja, urodzony 15 marca 1933 roku w Pawłowie, syn powstańca ślą-

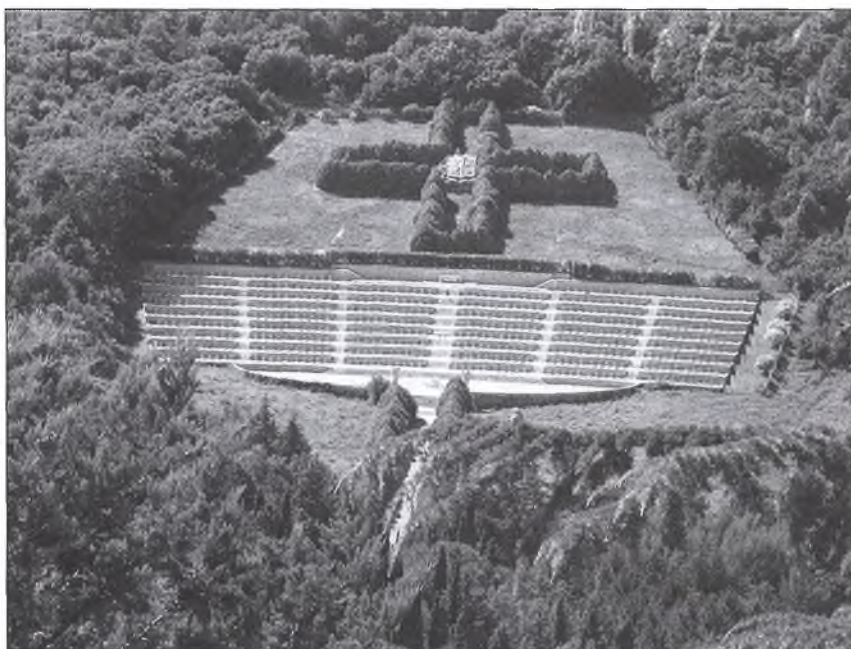
skiego, pośmiertnie odznaczony Krzyżem Walecznych.

Kilku dalszych Ślązaków poległo podczas walk w Apeninie Emilijskim, prowadzonych od połowy października 1944 roku w bardzo trudnych warunkach terenowych, w czasie ulewnych deszczów, które zmieniły górskie drogi w grząskie bajora. Już na początku tych walk, 18 października, zginął st. strz. Stefan Poloczek, urodzony w Chorzowie 26 grudnia 1922 roku. Pełnił służbę w 15 batalionie strzeleckim. W dniu 14 listopada poniósł śmierć, pochodzący z Chorzowa Batorego, ppor. Jerzy Michał Chmielewski z Batalionu Strzelców Karpackich. Dnia 31 grudnia 1944 roku zginął w Forli, w mieście przy linii kolejowej Rimini – Bolonia, kpr. Edmund Rak z Chorzowa Starego, żołnierz 4. Pułku Pancernego „Skorpion”, który do polskiego wojska wstąpił w ZSRR i wraz z nim przeszedł jego ewakuację do Iranu, następnie szkolenie w Iraku, Palestynie i Egipcie, od wiosny 1944 roku biorąc udział w jego walkach we Włoszech. Był odznaczony brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Monte Cassino.

W natarciu na Faenzę, leżącą między Forli a Bolonią, pod Casa de Gatti padł kpr. Józef Kąsek z Rownia koło Rybnika. To tylko kilka przykładowych nazwisk Ślązaków, którzy uczestniczyli w działaniach bojowych 2. Korpusu Polskiego na szlaku od Monte Cassino do rzeki Senio.

Na linii rzeki Senio front zatrzymał się do kwietnia 1945. Korpus po wyczerpujących walkach, w których poniósł duże straty osobowe, zbierał siły, by wiosną podjąć dalsze działania przeciwko wojskom hitlerowskim na froncie włoskim. Rozpoczęto je 9 kwietnia 1945 roku. Ruszyła wówczas generalna ofensywa wojsk sojusznicznych, której głównym celem było zniszczenie wojsk hitlerowskich na obszarze na południe od rzeki Pad. W ramach zamierzonej operacji zadaniem 2. Korpusu Polskiego było przełamanie obrony na rzece Senio na odcinku między Faenza a San Severo, opanowanie przyczółków na zachodnim brzegu miejscowości Santerno i kontynuowania natarcia w kierunku zachodnim na miejscowość Medicina i Castel San Pietro. Kierunek natarcia wyprowadzał 2. Korpus Polski na Bolonię i na skrzydło nieprzyjaciela broniącego się przed 5. armią amerykańską.

W marszu na Bolonię wzięły udział już całe brygady złożone przeważnie z Polaków z Pomorza i Śląska, niedawnych żołnierzy armii niemieckiej. Stanowili oni dla 2. Korpusu Polskiego do końca wojny jedyne rezerwy osobowe, którymi można było uzupełnić olbrzymie straty jakie poniósł Korpus w trakcie walk od maja do grudnia 1944 roku. „Niektórzy, wiele ryzykując, sami się przedarli do linii alianckich, inni zostali wzięci do niewoli na różnych polach bitew”. Między innymi wielu wzięło do niewoli Brytyjczycy pod Ortoną i Amerykanie na przyczółku Anzio – Nettuno. Już do czerwca 1944 roku napłynęło do 2. Korpusu Polskiego z tamtej strony frontu około 2500 ochotników. W następnych miesiącach dezercje Polaków z Wehrmachtu przybierały coraz większe rozmiary. A nie brakowało na froncie włoskim jednostek niemieckich, które w znacznym procencie składały się właśnie z przymusowo wcielonych na Górnym Śląsku i Pomorzu Polaków. Jako przykład może służyć broniąca rejonu Ankony w lipcu 1944 roku 278. „berlińska” dywizja piechoty, w której 10% stanu osobowego stanowili Volksdeutsche ze wschodniego Górnego Śląska i Pomorza. Jak stwierdzał jej dowódca gen. Harry Hoppe (*Die 278 Infanterie*



Cmentarz na Monte Cassino

Divison in Italien 1944/45, Bad Nauheim 1953) około połowa fałszywie potraktowała swoją przynależność narodową, a wojsko nie miało środków, by ten błąd naprawić.

Interesującą opinię na ten temat czytamy też w książce Gerharda Nebela *Unter Partosanem und Kreuzfahrern* (Stuttgart 1950). Dwukrotnie pisze on w swej książce o Polakach w armii niemieckiej. W dniu rozpoczęcia bitwy o Rzym zapisał w dzienniku: „Dowódca pułku, który nosił nazwisko znane w historii niemieckiej gastronomii, skarżył się na licznych Volksdeutsche w pułku, którzy wszyscy byli członkami zorganizowanego ruchu dezertersów. Spotykają się oni – mówił – nocami na oznaczonych miejscach i idą w gromadzie do Tomków lub Katanów. Nie mogę się dziwić temu zachowaniu, ponieważ ci ludzie w rzeczywistości są Polakami, do niemieckości zostali przymuszeni. Stracili swe posiadłości, przedsiębiorstwa, byli nieraz terroryzowani – jakże więc od nich wymagać, aby z zapalem walczyli i umierali za Niemcy? [W moim pułku służą żołnierze, których matki muszą nosić łaty polskie, a są mi znane wypadki, że żołnierze spacerujący ze swymi matkami lub siostrami w czasie urlopów bywali aresztowani przez SS za zdradę rasy i karani. Aby zapobiec dezercjom, wydałem rozkaz, żeby na każdej pozycji umieszczać Reichsdeutsche i Volksdeutsche obok siebie, ale i przez to ni-

czego nie dokonałem. Nocą trzeba donieść stratę. Jeśli po nią pójdzie Reichsdeutsch, to wróciwszy nie zostanie na stanowisku Volksdeutsche, jeśli zaś pójdzie Volksdeutsch, nigdy więcej nie wróci. Toteż skrupulatnie wycofałem z linii wszystkich Volksdeutsche” (Cyt. za J. Bielowicz, *Laur Kapitolu i wianek rutty* Londyn [1954], s. 166-167).

Baza uzupełnień 2. Korpusu Polskiego mieściła się w San Basilio na południu Półwyspu Apenińskiego. Stacjonowała tam 7. zapasowa dywizja piechoty. Jej dowódcą od maja 1944 roku był płk Józef Giza, były dowódca Górnośląskiej Brygady Obrony Narodowej, a we wrześniu 1939 roku dowódca piechoty dywizyjnej 55. rezerwowej dywizji piechoty. W maju 1945 roku 80% stanu osobowego dywizji stanowili Polacy – dezertersi i jeńcy z Wehrmachtu.

Alfons Mrowiec wspomina w książce *Od Monte Cassino do Polski* (Katowice 1959, s. 187): „w bazie był tłok, z północy bez przerwy napływali nowi ochotnicy do naszego wojska, przeważnie Ślązacy. Gdzie człowiek się nie ruszył wszędzie rozlegało się sierzyste pierona. Otrzymałem przejęściowy przydział do 21 batalionu piechoty. Była w nim wyłącznie śląska młodzież, ba, setki ludzi z mojej rybnickiej ziemi”. Podobną opinię znajdujemy również w *Sitwie Wileńskiej Brygady Żubrów* (t. II, Rzym 1943-1944, s. 131): „Tych z armii niemieckiej, z Pomorza, Poznańskiego i Śląska

mamy coraz więcej. W marszu naprzód potężnieją nasze szeregi, jak rzeka zbierająca po drodze potoki”.

Masowy napływ Ślązaków i Pomorzan do 2. Korpusu Polskiego pozwolił nie tylko uzupełnić straty w jednostkach liniowych, w wyniku czego w niektórych stanowili oni teraz większość, ale również sformować w dywizjach brakujące trzecie brygady (w 3. Dywizji Strzelców Karpackich – 3. Brygadę Strzelców Karpackich, a w 5. Kresowej Dywizji Piechoty – 4. Wołyńską Brygadę Piechoty), rozwinąć 2. Brygadę Pancerną w 2. Warszawską Dywizję Pancerną (brygada pancerna, brygada strzelecka, batalion komandosów, pułk rozpoznawczy, pułk artylerii oraz inne bronie wsparcia i służby), uzupełnić 2. Grupę Artylerii o dwa nowe pułki: 12. i 13. pułki artylerii ciężkiej, i wreszcie utworzyć nową 14. Samodzielną Wielkopolską Brygadę Pancerną (jednym z nowo sformowanych pułków, który wszedł w jej skład był 3. Pułk Ułanów Śląskich (Pancerny).

W monografii 15. Pułku Ułanów Poznańskich (*Dzieje 15 Pułku Ułanów Poznańskich / 1 Pułk Ułanów Wielkopolskich*, oprac. zbiorowe pod red. P. Zaremby, Londyn 1962, s. 434) czytamy: „Był to z nielicznymi wyjątkami element dobry, posiadał podstawowe wykształcenie i nieraz sporo doświadczenia bojowego i wdrożony był do dyscypliny wojskowej [...] Poza tym był to przede wszystkim element młody. 15 pułk ułanów poznańskich w porównaniu z innymi oddziałami Korpusu zawsze był młody pod względem przeciętnego wieku, teraz odmładzał się ponownie, uzupełnienie bowiem w głównej mierze należy do roczników poniżej 1920 ze zdecydowaną przewagą roczników 1924 i 26, chociaż zdarzał się także rocznik 1927”.

Piotr Medyna, kolejno oficer 5. pułku artylerii przeciwpancernej, 12. pułku ułanów i 7. pułku ułanów wspominał: „[...] Wszystkie uzupełnienia od Niemców, jak je nazywaliśmy, składały się z ludzi będących niewątpliwie dobrymi Polakami i patriotami. Co do szczerości ich uczuć nie można było mieć żadnych zastrzeżeń. Wielu z nich ranami i ofiarą własnego życia zadokumentowało swą polskość. Znali zwyczajnie i organi-

zację Wehrmachtu oraz niemieckie sposoby walki (np. w dziedzinie minowania) i służyli nam zawsze dobrą radą i pomocą. Tak było do końca działań wojennych we Włoszech” (P. Medyna, *Do Polski prze cały świat. Wspomnienia z 2 Korpusu*, Warszawa 1973, s. 179).

Bardzo wielu spośród nich znalazło się w 3. Brygadzie Strzelców Karpackich. W rok po walkach pod Bolonią jej dowódca płk Gustaw Łowczowski w skierowanych do nich słowach stwierdzał: „Z wielkim zainteresowaniem patrzyłem na Was. Rozumiałem Was lepiej, że i ja taką chwilę również przeżyłem wiele lat temu. Cieszyło mnie najbardziej to, że już po paru dniach w postawie, ruchach i zachowaniu się nie mogłem Was odróżnić od starych żołnierzy (S. B. SK. *W rocznicę zdobycia Bolonii 21 IV 45-21 IV 46*, Italia 1946, s. 31-33).

Formowane jesienią i zimą 1944 roku trzeciej brygady 3. DSK i 5. KDP zostały w marcu 1945 roku przesunięte do obszaru przyfrontowego i tegoż miesiąca wprowadzone w rejonie Faenzy na pierwszą linię frontu. W drugiej dekadzie kwietnia 1945 roku 3. Brygada Strzelców Karpackich i 4. Wołyńska Brygada Piechoty (zdaniem Olgierda Terleckiego [*Szkice i polemiki*, Kraków 1987, s. 105] obydwie brygady składały się głównie ze Ślązaków) uczestniczyły w składzie zgrupowania „Rud”, nazwanego tak od nazwiska jego dowódcy gen. Klemensa Rudnickiego, w walkach o Bolonię, stanowiącą ważny węzeł komunikacyj-

ny w północnych Włoszech. Dnia 21 kwietnia 1945 roku jako pierwszy wkroczył do Bolonii oddział wydzielony 9 batalionu 3. Brygady Strzelców Karpackich. Ks. Rafał Grzondziel, kapelan tego batalionu, który na ochotnika przyłączył się do oddziału wydzielonego jeszcze przed Bolonią biorąc na siebie obowiązki tłumacza, zatknął na bolońskim ratuszu biało-czerwoną flagę. Za sprawą ks. Grzondziela polska flaga zawisła również na najwyższej wieży miasta Torre degli Asinelli. Kilka godzin później obok generałów i pułkowników 2. Korpusu otrzymał on akt nadania honorowego obywatela Bolonii, a 9 batalion Strzelców Karpackich otrzymał nazwę Bolońskiego.

W bitwie o Bolonię, która była według określenia Olgierda Terleckiego (*Szkice i polemiki...*, s. 106) „zbiorowym tytułem Ślązaków do chwały”, poniosło śmierć wielu niedawnych przymusowych żołnierzy Wehrmachtu z Górnego Śląska. Niemal u kresu kompanii włoskiej 2. Korpusu Polskiego w dniu 19 kwietnia 1945 roku w czasie walk o miejscowość Zambonini w rejonie Bolonii zginął także ks. Gerard Fabian Waculik, ówczesny kapelan 2. Batalionu Komandosów Zmotoryzowanych, kapłan niezwykle popularny wśród żołnierzy 2. Korpusu. Pośmiertnie odznaczono go Orderem Virtuti Militari. **Ogółem na szlaku bojowym 2. Korpusu Polskiego we Włoszech poległo 337 mieszkańców Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Zdecydowaną ich większość stanowili Ślązacy.** Najwięcej, bo 196, zginęło w walkach o Bolonię (Opracowano na podstawie: *Wykaz poległych: zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie w latach 1939-1946*, Londyn 1952; *Przewodnik po polskich cmentarzach wojennych we Włoszech. Monte Cassino, Loreto, Bolonia, Casamassina*, oprac. D. A. Studziński OP, Warszawa 1994. Zob. także *Wyzwolenie Bolonii. Szlak bojowy 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech 1943-1945. Antologia tekstów historycznych i literackich*, oprac. R. K. Lewański, Bolonia – Warszawa 1994. Zdobycie Bolonii zakończyło też działania bojowe 2. Korpusu Polskiego we Włoszech.



Melchior Wankowicz „Monte Cassino”

Wydaje się, że osiemdziesiąt lat temu to w pewnym sensie niedawno. Są to przecież czasy naszych dziadków czy pradziadków. Z drugiej strony, jeśli weźmiemy pod uwagę to, co wydarzyło się przez osiemdziesiąt minionych lat – wówczas dochodzimy do wniosku, że są to czasy bardzo odległe.

Przypomnijmy więc, że osiemdziesiąt lat temu Kusociński i Walasiewiczówna zdobywają medale na Igrzyskach Olimpijskich w Los Angeles, w Polsce kończy się Proces Brzeski, ale rozpoczyna się proces Rity Gorgonowej. Na spotkanie ze swoimi zwolennikami przybywa do Bytomia Adolf Hitler, który, nie tyle szturmem, co swoimi szturmówkami, zdobywa sobie coraz silniejszą pozycję w niemieckim państwie. Górny Śląsk nadal jest podzielony. Na zachód od Rudy Śląskiej są już Niemcy, a takie miasta jak Zabrze czy Bytom określa się wtedy mianem – miasta Śląska Opolskiego. Górny Śląsk jest także podzielony politycznie, pomiędzy zwolennikami Wojciecha Korfanteo a sanacją. Walka tych opcji politycznych, jakbyśmy je dzisiaj nazwali, znajduje swój wyraz na przykład w ówczesnej prasie. Ukazująca się wówczas „Polska Zachodnia” prezentuje poglądy sanacyjne, „Polonia” natomiast należy do Wojciecha Korfanteo.

Katastrofa

W 1932 roku nadal trwa kryzys, redukcje czyli zwalnienia, obniżanie wynagrodzeń to zjawiska będące wówczas na porządku dziennym. Tym niemniej kopalnie i huty na Górnym Śląsku, tym polskim i niemieckim, pracują pełną parą. Również kopalnia Karsten Centrum w Bytomiu. Działa już od końca 1879 roku. Od grudnia 1881 po połączeniu kilku kopalń i pól górniczych, funkcjonuje pod nazwą Vereinigte Karsten-Centrum. Dodajmy, nie tylko dla kronikarskiej ścisłości, ale także i po to, aby ułożyć opisanie poniżej wydarzenia w przestrzeni, że od 1945 kopalnia nosiła nazwę Centrum, a od lipca 1950 r. – Dymitrow. Dzisiaj funkcjonuje pod nazwą KWK „Bobrek Centrum”.

Wracamy do 1932 roku, a właściwie do jego początku. Doszło wówczas na owej kopalni do wydarzenia, niestety częstego w ówczesnym górnictwie śląskim, czyli do zawału. Kiedy jednak przeglądaliśmy stare gazety, na przykład dziennik „Polonia”, możemy sobie

„Ani żywych, ani umarłych”

JÓZEF WYCISK

uzmysłować, jak bardzo odmienny od naszego był ówczesny świat. Nie chodzi tylko o to, że nie było telewizji, a radio nie realizowało relacji na żywo. Zupełnie inny był język dziennikarstwa prasowego, a i standardy stosowane wówczas były zupełnie odmienne od dzisiejszych. I wbrew powszechnemu mniemaniu, że kiedyś było lepiej, można dojść do wniosku, że – chyba jednak nie.

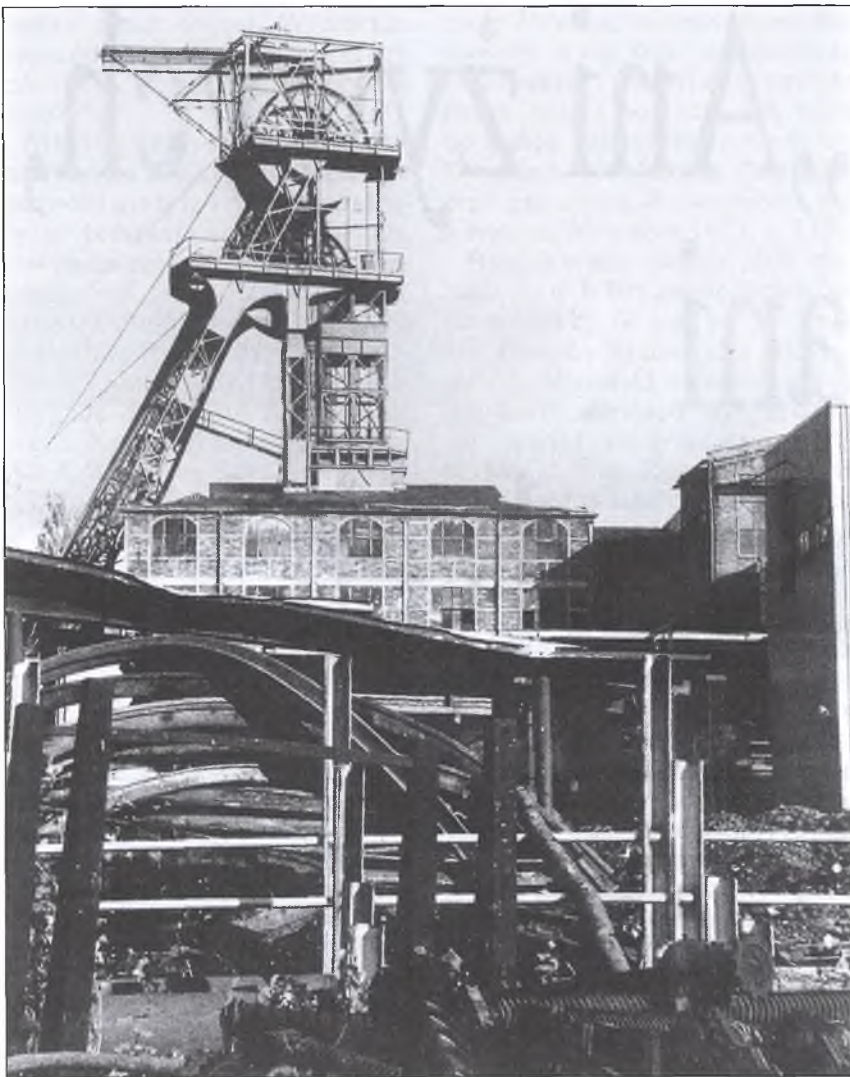
Pierwsza informacja na temat katastrofy w bytomskiej kopalni pojawia się szóstego stycznia, czyli w środę, a opisuje wydarzenia z poniedziałku. Opatrzona jest tytułem „Wielka katastrofa kopalniana” i podtytułem – „15 górników odciętych od świata”. Oto ona:

W poniedziałek o godzinie 18 na kopalni Karsten Centrum w Bytomiu nastąpił wybuch gazów, który spowodował zawalenie się dwóch odcinków odbudowy kopalnianej. 15 górników zostało zasypanych i odciętych od świata. Natychmiast wszczęta akcja ratunkowa doprowadziła do wydobywania spod gruzów tylko jednego górnika. W ciągu przeprowadzania akcji ratunkowej nastąpił drugi wybuch, co jeszcze bardziej utrudniało prace ratunkowe. Katastrofa miała miejsce na głębokości 774 metrów. Na miejsce katastrofy przybyli również przedstawiciele władz górniczych z Wrocławia. Pracowano przez całą noc i dzień następny, jednak dotąd bez rezultatu. W godzinach południowych nie natrafiono jeszcze na żadne ślady. Prawdopodobnie 14 górników zasypanych nie żyje już. Kopalnia obłożona jest przez członków rodzin zasypanych, jak rów-

nież wielu bezrobotnych. Agitatorzy komunistyczni podburzają zebranych, twierdząc, że winę katastrofy ponosi zarząd kopalniani. Ostatnia katastrofa na kopalni Karsten Centrum miała miejsce 8 października 1931 roku. Na pokładzie głębokości 787 metrów załamał się wówczas filar, grzebiąc i odcinając od świata pięciu górników. Uratowano wówczas też tylko jednego górnika, jednak ten wskutek przestraszenia uległ pomieszanemu zmysłom. Czterech górników poniosło śmierć.

Zanim pozwolę sobie na kilka słów komentarza, kilka fragmentów notatki zamieszczonej w „Polonii” następnego dnia, opatrzonej znamienym tytułem „Ani żywych, ani umarłych.”

Jak to wczoraj donosiliśmy, w kopalni Karsten Centrum w Bytomiu nastąpił wybuch gazów, który spowodował zawalenie się dwóch odcinków odbudowy kopalnianej, wskutek czego 14 górników zostało zasypanych i odciętych od świata. (...) Według wszelkiego prawdopodobieństwa zasypani górnicy nie żyją, gdyż załamały się oszalowania. Przypuszczano, że akcja ratunkowa zostanie ukończona w ciągu dnia wczorajszego, jednak wskutek stałego obsuwania się kamieni – akcja potrwa przypuszczalnie 2 do trzech dni. Zarząd kopalni wydał już spis tych, którzy, niestety, najprawdopodobniej zginęli. Są to przeważnie ludzie żonaci, którzy prócz żon osierocili dzieci (tutaj pojawia się lista górników, wymienionych z imienia i nazwiska oraz miejscowości zamieszkania) Jak obliczają, w czwar-



tek dotrze kolumna ratunkowa dopiero do tego miejsca, gdzie w dniu katastrofy uratowany został jeden z górników. A więc, jak dotąd – ani żywych, ani umarłych.

To prawda, że w tamtych czasach wypadki w kopalniach były na porządku dziennym. Jak wynika z pierwszej notatki, tylko w tej kopalni poprzedni wydarzył się raptem trzy miesiące wcześniej. Prawdą jest też i to, że duża liczba rannych i zabitych w przemyśle w ówczesnym czasie może powodować, że większość ludzi zakłada, iż także tym razem doszło do podobnej sytuacji. Jednak sposób, w jaki opisuje się katastrofę w kopalni Karsten, sposób, w którym wyraźnie sugeruje się, iż górnicy nie żyją, nie byłby dziś do zaakceptowania. Publikowanie listy (prawdopodobnie) zabitych, wyliczanie, ile pozostało wdów i sierot – ten standard dziennikarstwa nie jest dzisiejszy. Natomiast zupełnie „dzisiejsze” jest to, że wiele sił politycznych, jeszcze przed zakończeniem akcji ratowniczej, również założyło, że wszyscy zginęli, więc zaczęło wykorzystywać ten fakt do prowadzenia własnej agitacji.

Już na pewno zabici

Ratownicy w kopalni Karsten Centrum nadal pracują. W jednym z dzienników ukazuje się nawet fotografia członków kolumny ratowniczej w czasie akcji, na której widać ratowników w aparatach oddechowych.

Katastrofa wydarzyła się w poniedziałek. Mamy już piątek. W dzienniku „Polonia” ukazuje się – powiedzmy – wywiad z uratowanym górnikiem, pod znamienym tytułem: „Wstrząsające szczegóły katastrofy na kopalni Karsten Centrum w oświetleniu jedyne uratowanego górnika.” którym jest 18-letni ładowacz Stiller z Bytomia. Autor artykułu relacjonuje wspomnienia górnika:

(...) Strop zaczął trzeszczeć i poczęło się coś łamać. Jeden stempel wypadł z oszalowania i runął na wózki. Następnie spadł na wózki olbrzymi odłam węgla, który jednak nie roztrząsał się. Wózki i stemple podtrzymały odłam, to też powstała trochę wolnego miejsca, gdzie ja znalazłem się. Dzięki temu tylko ocalałem... Z otworu, jaki powstał wskutek wypadnięcia odłamu,

poczęły się sypać gruzy, zasypując przejście chodnika. Począłem krzyzczeć, a równocześnie usłyszałem wołanie odciętych od światła kolegów, proszących o światło. Niestety nie zdawali sobie jeszcze wówczas sprawy z tragizmu położenia. Przypuszczali widocznie, że tylko światło się popsusło. Pracując na pokładzie przy hałasie świrdrów etc, nie słyszeli widocznie huku i wiedzieli, że przejście zostało zawalone. Huk spadającego odłamu i następnie gruzów – usłyszał jednak starszy rębacz Kroll. (który wcześniej sprawdzał w tym miejscu postępek prac) Pobiegł on napowrót na miejsce, skąd niedawno wyszedł, lecz na miejscu, gdzie rozmawiał ze mną znajdowały się tylko gruzy, za gruzami zaś pogrzebanych żywcem 15 górników. Kroll zaalarmował oddziały ratunkowe, które natychmiast przystąpiły do pracy. Odciętych od światła słyszało jeszcze, jak wołali o światło. Akcję ratowniczą prowadził główny rębacz Waliczek. Po blisko dwóch godzinach mozolnej pracy, kolumna ratownicza dotarła do miejsca, gdzie byłem zasypany. Cudem uniknąłem śmierci, gdyż, jak już nadmieniałem, wózki i obalony stempel ocaliły mi życie.

Następnego dnia czyli w sobotę górnicy do tej pory „prawie” zasypani stają się w oczach dziennikarzy już na pewno zabici. A w gazecie ukazuje się artykuł opisujący dokładnie, choć cały czas jest to tylko hipoteza, gdzie zginął który górnik. Ich los jest przesądzony. Dziennikarz pisze:

Pierwszego wstrząsu słyszeć nie mogli i dopiero gdy zamilkły świrdry i gdy wołali o światło, poznali tragizm swego położenia. Jeżeli przy drugim wstrząsie filar się nie zawalił, to górnicy ci zginęli z braku powietrza.

W tej sytuacji trudno się dziwić reakcjom społeczeństwa.

Wśród górników na kopalni Carsten Centrum, po przygnębieniu, jakie zapanało wskutek tragicznej śmierci 14 ich towarzyszy, objawiło się obecnie wzburzenie. Twierdzą oni, że winni katastrofie są członkowie zarządu kopalni, którzy prowadzili gospodarkę rabunkową. Nie bez winy jest tutaj również rada zakładowa, złożona z centrowców i socjaldemokratów, która patrzyła przez palce na zaprowadzanie „oszczędności” na kopalni. Oszczędzono na drzewie i pracy robotnika, bo rzekomo przedsiębiorstwo w ostatnim czasie było deficytowe. Robotnicy odbyli szereg zebrania w sprawie katastrofy, na których mówcy napiętnowali zbrodniczą gospodarkę na kopalni. Protestacyjne zebrania górników odbyły się również na innych kopalniach. Na konferen-

cji rad załogowych w Zabrze, zebrani przedstawiciele górników nazwali katastrofę mordem górników.

Jak widać tak wtedy jak i dziś wszędzie wkrada się polityka.

Pukanie zza grobu

Nadchodzi niedziela, kiedy w akcji ratunkowej pojawia się przełom. Następnego dnia prasa donosi: *Żywcem pogrzebani żyją! Rewelacyjne wiadomości z kopalni Carsten Centrum*".

Z tego doniesienia prasy warto przytoczyć pewien fragment:

Katastrofa miała miejsce w poniedziałek. W sobotę wielu mających nadzieję ujrzenia przy życiu ofiar katastrofy – zdrowym rozsądkiem poczęło się bronić tej ułudzie. W niedzielę rano zastępy tracących nadzieję powiększyły się. Pracowano jednak niezmordowanie dalej. Większość górników kolumny ratunkowej niemal cały tydzień przebywała pod ziemią. Tutaj po złuzowaniu ich przez towarzyszy, przyjmowali posiłki i trochę drzemali, by набrać nowych sił. Sześć par oczu śledziło w tym czasie teren, gdzie odbywała się praca, łowiąc uszami każdy szmer. Ci – odpowiedzialni byli za bezpieczeństwo górników kolumny ratunkowej. Oni to dawali kilka razy hasło do odwrotu, po pochwyceniu zdradzieckich szmerów walącego się gruzu. I gdy w niedzielę o godzinie 15 z równym napięciem wsłuchiwali się w tajemnicę szmerów kopalnianych nagle zdrętwieli. Usłyszeli jakieś pukanie, pochodzące jakby zza grobu. Nie wierzyli swoim uszom również górnicy, pracujący w kolumnie ratowniczej. Każdemu z nich wydawało się pierwotnie, że to halucynacja. Lecz trwało to ułamki sekund. Niestłychana radość zapanowała wśród nich. Wkrótce przekonali się, że kilku z zasypanych ofiar katastrofy żyje.

Natomiast wtorkowy artykuł jest o wiele ciekawszy, a nosi tytuł: „Wzruszające chwile powrotu do życia”. Oto jego fragmenty:

Po usunięciu części gruzów rękami, trzeba było w dalszej akcji ratowniczej zastosować wiertarki dla przebicia wielkich złomów węgla, które zatrasowały chodnik. W niedzielę, przed godziną 15 górnik przebijający taki złom węgla spostrzegł, że świder przeszedł na drugą stronę, gdzie musiała być wolna przestrzeń. W kilka minut później usłyszano pukanie, na które zaraz odpowiedziano. Natychmiast rozpoczęto prace nad rozszerzeniem otworu

i gdy prace tak daleko się posunęły, że można było przez otwór zaglądnąć do środka, zaświecono w ciemności laski elektryczne. Ze zdziwieniem i nie-małą radością ujrano pięciu górników w pozycji siedzącej dwóch zaś leżącą. Oczywiście radość po stronie uratowanych była nie do opisania, lecz byli oni za słabi aby za popędem serca powitać i podziękować tym, którzy ich wybawili. Śmiech i płacz na przemian ogarnął w tej przedziwnej chwili wszystkich obecnych znajdujących się niemal osiemset metrów pod ziemią. Powoli wydobywano przez wąski otwór jednego górnika po drugim. Pierwszy wyniesiony został z kryjóweki 25 letni ładowacz Paweł Kulpok z Miechowic, żonaty i ojciec dziecka. Wydobyto go w kilka minut po 18. Przebywał razem z swoimi towarzyszami 14 godziny w zamkniętym grobie. Był on dość silny tak, że mógł zaraz być odwieziony na powierzchnię i do szpitala. Śmiał się i płakał, całując się ze swoimi wybawcami. Zapytany, kto jeszcze znajduje się w bezpiecznej kryjówce, odpowiedział, że Marek i Erber. Biedak nie wiedział nawet, z kim tak długi czas przebywał w grobie. Erber bowiem wcale między uratowanymi nie był i dotąd nic nie wiadomo o jego losie. Po Kulpoku wydobyto ładowacza Alojzego Starzyńskiego z Miechowic, żonatego, oraz układacza rur Alfreda Szlamę z Bytomia. I oni byli dość silni. Pierwszą ich prośbą były papierosy!

Szlama miał humor nadzwyczajny. On to w ciągu całego czasu pokrzepiał kolegów na duchu. Mimo tragicznego położenia Szlama w ciągu długich ciemnych godzin w których wahały się życia ludzkie sypał żartami, osładzając kolegom ciężkie chwile. Po posiłku obaj wyjechali na powierzchnię skąd za Kulpokiem powędrowali do szpitala. Tymczasem niebezpieczeństwo czyhało na wszystkich. Urzędnicy, sprawujący nadzór musieli nawoływać do ostrożności, ale górnicy nie zważali na niebezpieczeństwo. Zwłaszcza szwagier Nowaka, Zwirner uparł się i obiecał wydobyć swego szwagra żywego lub umarłego, chociażby miał sam przy tem zginąć. Zwirner dotrzymał słowa. Gdy zaś padł w objęcia rannego szwagra, ten mu rzekł ze łzami w oczach – Ja wiedziałem, że nas wydobędziecie...

Akcja w kopalni Karsten Centrum prowadzona jest nadal, jednak już nie przynosi niespodziewanego rezultatu. Natomiast prasa przynosi kolejne doniesienia, na przykład dość dokładnie opisujące mękę i okrutną śmierć towarzyszy uratowanych, którzy przyniesieni wielkimi bryłami węgla

umierali przez kilka dni. Po wypadku okazuje się także, że Alfred Szlama właściwie nazywa się Ślama. Poznaliśmy także problemy, na jakie trafiali polscy dziennikarze, którzy w niemieckim Bytomiu, a dokładniej – w niemieckim szpitalu chcieli skontaktować się z uratowanymi. W kilka tygodni po wydarzeniu okazuje się, że Ślama i jego koledzy mieli swoje „pięć minut”, stali się na krótko lokalnymi celebrytami, bywali na spotkaniach organizowanych w kawiarniach czy restauracjach.

Jedno się nie zmieniło

Jednak ani razu po katastrofie dziennikarze nie napisali ani jednego zdania, w którym staraliby się wyjaśnić, dlaczego pogrzebali żywcem wszystkich górników. Nie wyjaśnili, ponieważ dla nikogo wtedy takie postępowanie nie było czymś niestosownym. Być może dlatego, że katastrof w kopalniach i bieżących wypadkach było dużo, a wydarzenie, w którym wydobywa się żyjące ofiary po sześciu dniach to prawdziwa rzadkość. Być może dlatego, że inna była też w tamtych czasach wartość ludzkiego życia. Liczba ofiar wypadków w przemyśle, umarłych w wyniku braku pomocy medycznej, ofiar strzelanin, ofiar wypadków drogowych, morderstw, samobójstw jest po prostu olbrzymia. To był inny świat, który na szczęście się zmienił. Być może jest jednym z powodów, dla których prasa, na pewno nie brukowa, przynosiła takie sensacje. Na dobrą sprawę wiele z określeń, które cytowałem, dzisiaj w mediach nie znalazłoby opublikowanych. W żadnych mediach, czy to publicznych czy komercyjnych. Mamy zwyczaj dziś krytykować wszystko, opowiadać, że kiedyś było inaczej – w domyśle – lepiej, natomiast ten przypadek pokazuje, że jest akurat odwrotnie.

Natomiast nie zmieniło się jedno – podejście ratowników górniczych do prowadzonej akcji ratunkowej. Stwierdzenie, że „nadzieja umiera ostatnia” brzmi rzecz jasna dość banalnie, ale dla ratownika górniczego to zdanie jest najważniejsze. Było tak w kopalni Karsten Centrum, było tak w kopalni Rokitnica, było i jest tak za każdym razem, kiedy zastępy górniczych ratowników wchodzi do akcji. Warto o tym pamiętać, warto przed taką determinacją chylić czoło, nawet wtedy, kiedy – na szczęście – nie ma po temu żadnej okazji.

Z ziemi włoskiej i szkockiej

Kiedy czyta się opowiadania Stanisława Brodzkiewicza o tematyce włoskiej i szkockiej, ma się wrażenie jakby napisane były współcześnie. Do ich aktualności przyczyniają się wszechobecny humor oraz opisane przez prozaika groteskowe postacie i absurdalne sytuacje, które mają charakter ponadnarodowy i ponadczasowy.

Ale nie od razu Stanisław Brodzkiewicz, urodzony w 1926 roku w Warszawie, uznał ironię i groteskę za swoje życiowe i twórcze priorytety. Był synem wojskowego sędziego. Liceum ukończył w Częstochowie. Podczas okupacji spędzonej w Warszawie uczęszczał na tajne komplety, co raczej nie skłaniało go do drwin. Pozostałe epizody jego życia również bardziej układają się w opowieść tragiczną niż komiczną. Jako członek Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim, za co otrzymał Krzyż Walecznych. Po ucieczce z niemieckiej niewoli dostał się do 2. Korpusu Polskiego we Włoszech i walczył pod Anconą. Studiował filologię klasyczną na Uniwersytecie w Rzymie. Debiutował w 1946 roku w czasopiśmie „Orzeł Biały”. Zanim w 1948 roku wrócił do Polski i osiadł na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, przebywał w Szkocji.

W Katowicach Brodzkiewicz pracował w „Dzienniku Zachodnim”, pisał dla „Trybuny Robotniczej” felietony z cyklu „Nabożny żywot muły Safan-Duły”. Współpracował w latach 1951-1969 z krakowskim „Życiem Literackim”. Był od 1964 roku do 1966 kierownikiem literackim Wojewódzkiej Agencji Imprez Artystycznych w Katowicach. Pisywał także do czasopism „Głos Huty Katowice” i „Budowlani” pod pseudonimami Boskar i Baca z Placu. Odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi. Zmarł w 1984 roku.

Karierę prozaika Stanisław Brodzkiewicz rozpoczął w 1957 roku po opublikowaniu zbioru opowiadań „Johanka”. Rok później wydał opowiadania zatytułowane „Przypowieść



filologiczna” i został członkiem Związku Literatów Polskich. W 1961 roku ukazał się tom opowiadań „Taniec kogutów”. Później opublikował między innymi książki prozatorskie: „Końca świata nie będzie” w 1963 r., „Najjaśniejsi świeci Jupiter” w 1967 r. oraz „Ballada z Rocca Lanciano” w 1982 r.

Najbardziej cenione były od chwili wydania zagraniczne opowiadania Brodzkiewicza, których tematykę pisarz zaczerpnął z własnych przeżyć z lat młodości, gdy przebywał tuż po wojnie jako polski żołnierz we Włoszech i w Szkocji. W narratorsze większości utworów domyślić się można bez trudu alter ego Brodzkiewicza.

W zbiorze „Przypowieść filologiczna” opowiadanie „Rotmistrz Cygler” jest pisarską rozprawą z oficerską mitologią międzywojennych wojskowych. Pojęcie honoru, obyczaj obrony dobrego imienia oficerskiego w pojedynku skompromitowane zostaje przez opis postępowania tytułowego bohatera tekstu. Rotmistrz Cygler jest spryciarzem, dla którego najważniejsze jest ocalenie życia oraz dobra zabawa a także uniknięcie kary za przedwojenne zabójstwo oficera w czasie sprzeczki. Spoliczkowany już we Włoszech podczas wojny rotmistrz nie pojedynkuje się, odmawia także dymisji i popelnienia samobójstwa. Prozaik dostrzega w tym postępowaniu Cyglera mądrą grę o przetrwanie. „To nie była twarz pijaka, to była twarz człowieka, który inteligentnie parodiuje pijanego” – puentuje narrator.

W nurcie awanturniczym mieszczą się też inne opowiadania włoskie Brodzkiewicza. W „Eroice” bohater

niczym sarmacki rębajło bije się z amerykańskimi żołnierzami. We „Fresku Pompejańskim” narrator porównuje waleczność starożytnych Rzymian do bitności Polaków i snuje rozmaite warianty antycznej miłosnej opowieści. Współczesne wojny konfrontowane są ze starożytnymi bitwami. Z wątkami sarmackich swawoli mamy zresztą do czynienia w prawie wszystkich tekstach zbioru. W „Kasztanach” żołnierze przemycają złote monety, ale dają się nabić w butelkę angielskiemu frontowemu wydze.

Na kształt artystyczny opowiadań włoskich spory wpływ ma bardzo zróżnicowana postawa narratora. Na przemian polski żołnierz tułacz jest uczestnikiem, świadkiem zdarzeń, względnie słuchaczem opowieści miejscowych Włochów. Najbardziej skomplikowane narracyjnie jest opowiadanie „Esanatoglia”, w którym narrator składa fabułę romansu polskiego kadeta z Włoszką na podstawie chaotycznych wspomnień umbryjskich handlarzy. Osią całej historii jest napis na murach „Viva il cadetto polacco”. Stopniowo narrator poznaje genezę hasła napisanego przez Rosinę zakochaną w polskim podchorążaku Jerzym, który równocześnie flirtuje z doktorem Carlą. Opowieść kończy się ognistą włoską awanturą oraz wyjazdem kadeta z miasta. Z puenty wynika, że dzielny podchorąży to przypuszczalnie znajomy narratora.

Pisarzowi jakby udzielił się podczas pobytu we Włoszech południowy temperament, bo większość opowiadań dotyczy romansów z kobietami. W „Raptus Puellae” opisuje zauroczenie swojego kolegi Kazika prostytutką Letizią. Przyjaźń i szacunek dla uczucia kolegi są jednak słabsze od pociągu seksualnego i narrator-bohater opowiadania także ulega urokowi ciała rozpustnicy. O hreczkosiejstwie traktuje opowiadanie „Ballada z Rocca Lanciano”. Bohater trafia do starego zamczyska i poznaje legendę o kogucie z wieży. W północy i północy narrator wysłuchuje opowieści księcia Luigiego zakłętego w koguta z powodu nadmiernej rozpusty. Kiedy narrator budzi się, sam nie wie, co było prawdą z legendarnej opowieści. Mimo to podświadomie wierzy w jej prawdziwość, bo oburzony jest na żołnierzy, którzy zabili na rosół zamkowego koguta. Jak romantyczne uczucie mężczyzny może ośmieszyć konkretne myślenie kobiety, opisuje Brodzkiewicz w „Wyprawie na Monte Primo”.

Sporo w erotycznych opowiadaniach pisarza męskiej autoironii, bardzo widocznej zwłaszcza w „Przygodzie sierżanta Dudy”. Bohater tej opowieści nie może przeboleć, że jego ukochaną zgwałcili Senegalczycy. „Mnie Katolika, Mnie Polaka... Jak pana wyrolują, to się pan dowie” – powołuje się dzielny sierżant na narodową i religijną mitologię.

Trzeba przyznać, że mocną stroną włoskich opowiadań Broszkiewicza są nieoczekiwane puenty, niekiedy zabawne i ironiczne, kiedy indziej nie pozbawione poważnej refleksji i odrobiny romantyzmu. Rolę zaskakującego zakończenia można doćnić w tytułowym opowiadaniu pierwszego włoskiego zbioru „Przypowieść filologiczna”. To dość zdawkowa historia o spotkaniu Polaka z tajemniczym obcokrajowcem wynalazcą Bieguna Południowego i mieszanii się języków oraz poszukiwaniu sensu w mowie. Tymczasem w zakończeniu opowiadania narrator dowiaduje się z ulicznej reklamy, że Biegun Południowy to lody. Wszystkie uczone dywagacje wyłożone wcześniej wzięły w łeb w zetknięciu z handlową zapobiegliwością.

Cztery opowiadania ze zbioru „Przypowieść filologiczna” pisarz ponownie opublikował w wyborze z 1982 roku zatytułowanym „Ballada z Rocca Lanciano”. Do zbioru dołączył także teksty z książek „Etiuda z Beatą” z 1970 r. i „Takie buty” z 1973 r. oraz trzy opowiadania dotychczas nie umieszczone w żadnych książkach. W później napisanych opowiadaniach widać wyraźnie różnicę w podejściu do tematyki włoskiej. Pojawia się dystans czasowy i emocjonalny. Akcja dzieje się wiele lat po wojnie, ale podstawą fabuły są liczne retrospekcje z czasów tużpowojennych. Zdarzenia rozpatrywane są z punktu widzenia turysty zwiedzającego Włochy. Wiele w tych tekstach historycznych refleksji oraz wspomnień żołnierskich. Narrator opowiadania „Swoją chłop”, polski turysta zagubiony w międzynarodowym tłumie, który zwiedza Rzym, usiłuje odnaleźć związek z ziemią włoską, gdzie kiedyś przelewał krew. Doszukuje się w antycznej historii polskiej mentalności. Wspomina powojenną znajomość z Letycją oraz wybryk opisany już w opowiadaniu „Buon Giorno Tristezza”, gdy po wyzwoleniu Włoch narrator i bohater został aresztowany oraz był podziwia-

ny za wdrapanie się na rzymski pomnik króla Wiktora Emanuela. Po latach Polak pokonuje wyobcowanie z tłumy i ponownie czuje się jak „swoją chłop”, gdy aresztowany zostaje przez karabinierów za przemówienie z balkonu na Palazzo Venezia.

Natomiast punkt widzenia turysty z Polski pozwala narratorowi opowiadania „Niedziela w Camerino” obiektywnie spojrzeć na swój romans sprzed 24 lat z Letycją – kobietą fatalną, która przyczyniła się do samobójstw kilku kochanków. Narratora ocalił od samoucinienia szef kompanii, namawiając go do pijaństwa w knajpie. Przerwanie czarnej serii przyczyniło się do samobójczej śmierci pozbawionej wielbicieli Letycji. Również narrator i bohater „Spotkania w Ostii” wspomina po latach – już jako polski turysta – młodzieńczą miłość do mężatki Cristiny, snując w wyobraźni różne warianty wydarzeń. W mnogości zmyślonych przez narratora wątków zagubiona zostaje prawda fikcyjnej fabuły.

Od opowiadań włoskich mocno różnią się opowiadania szkockie, choć ich narratorem i bohaterem jest także żołnierz II Korpusu Polskiego. Widać wyraźnie jak miejsce akcji, czyli Szkocja, oraz mentalność jej mieszkańców wpłynęły na odmianę prozy Stanisława Broszkiewicza. Mniej w opowieściach szkockich sentymentalnej nostalgii i erotycznej rozwiązłości, a za to więcej brutalności i demaskatorskiej drwiny. Nie bez racji Piotr Kuncewicz napisał w „Leksykonie polskich pisarzy współczesnych” o zbiorze „Taniec kogutów”, że to: „opowiadania szkockie, pełne żartu”.

Podstawą fabuł większości opowiadań ze szkockiego zbioru jest łgarstwo. Na kłamstwie oparta jest legenda o Białej Ręce w „Upiorze z Kilmarnock”. Nieprawdziwe są przechwałki żołnierza z opowiadania „Wiarus”. Swoistą mimikrę uprawiają postacie z „Loch Lamond”. Każdy z bohaterów gra kogoś innego, bogatszego i szlachetniejszego. Zabawa w ślub na niby opisana jest w „Małżeństwie Ronnie Scott”. I trzeba przyznać, że życie graczy jest spokojne, gdy tkwią w udawaniu. Wystarczy chwila prawdy i obnażenia ich ról, żeby zakłócony został spokój a wydarzenia przybrały zły obrót. Nieprawdziwy małżonek Ronnie Scott zostaje aresztowany za upozorowaną małżeńską kłótnię. Bohaterowie „Loch Lamond” przyznają się do oszustw

postraszeni szablą przez Adamsa szukającego sprawcy wymyślonej ciąży jego córki. Wszystko wraca do normy a towarzystwo do dawnych zakłamanych póż, gdy okazuje się, że Weronikę mdliło, bo zjadła za dużo tortu.

Obok postaci żołnierza samochwały i pleciugi wykreował także Broszkiewicz w opowiadaniach szkockich uniwersalny typ starego despoty i gaduły powołującego się na moralne zasady a w gruncie rzeczy za nic mającego prawo i dobre obyczaje. Taki charakter prezentuje szkocki oficer, który w „Ostatnim salucie brygadiera Greene’a”, przemawiając na pogrzebie żołnierza, tłucze łaską o trumnę i wypomina zmarłemu wszystkie niecne uczynki. Podobnym apodyktycznym typem jest sędzia Martin Forbes w opowiadaniu „Sąd”. Choleryczny sędzia uniewinnia polskiego żołnierza, gdy dowiaduje się, że ten obronił karnego w meczu piłki nożnej. W „Yankee Doodle” senior klanu Hawkinsów docenia jankeskiego narzeczonego córki dopiero, gdy ten pokazuje rogaty charakter. Z reguły dla Szkotów ważniejsze są lokalne przesady i zwyczaje niż uniwersalne zasady etyczne, co prozaik opisuje z satyrycznym zacięciem.

Sporo w zbiorze „Taniec kogutów” knajpianych opowieści o różnych odmienkach i dziwacznych doszukiwaniu się – nie bez odrobiny autokrytyki – podobieństw w losach i mentalności Szkotów i Polaków. Najbardziej dziwaczne formy przyjaźni polsko-szkocka przybiera w opowiadaniu „Independence”, w którym narrator Polak pod wpływem szkockiego separatysty Mc Evansa zgadza się na unię Polski i Szkocji oraz wspólną walkę przeciwko Anglikom. Podobieństw pomiędzy swarliwymi i skłonnymi do awantur Polakami a szkockimi klanami doszukuje się pisarz także w opowiadaniu „Bonny Scotland”.

Nic dziwnego, że „Taniec kogutów” zaraz po opublikowaniu uznany został przez krytykę literacką za najcenniejszą książkę Stanisława Broszkiewicza. O aktualności tej opinii świadczą liczne współczesne adaptacje opowiadań z tego tomu na teatralną scenę i w teatrze radiowym. Teatralizacji prozy Broszkiewicza sprzyjają zresztą soczyste dialogi oraz narracja przypominająca didaskalia.



Mikołaj Górecki podczas sesji nagraniowej *Nokturnu*

Z dala od Polski ze świadomością swych korzeni

Muzyka niewątpliwie płynie w żyłach Mikołaja Góreckiego. Sądząc po nazwisku, można by przypuszczać, że syn Henryka Góreckiego niesie na swych barkach wielki ciężar. Ale tak nie jest. Podążając kompozytorskimi śladami

ojca, Mikołaj jest najwyraźniej kimś zupełnie innym. Raczej syntetyzuje, niż się specjalizuje, pisze muzykę na swój własny sposób... muzykę, która obejmuje różnorodne współczesne wpływy, pozostając przy tym w głębokim szacunku dla

przeszłości. Ten wyjątkowy twórca żyje z dala od muzycznych trendów współczesnej Polski, ale zarazem w świadomości swoich korzeni i dziedzictwa, którego jest kontynuatorem. A rodzinne tradycje muzyczne podtrzymuje w sposób nadzwyczajny... To spostrzeżenia Christophera Cary'ego o mieszkającym w Teksasie kompozytorze urodzonym (1971) w Katowicach, Mikołaju Góreckim, synu Henryka Mikołaja Góreckiego, kompozytora.

Przekonany jestem, że nasza rozmowa ową opinię potwierdza.

– Z okazji listopadowego IX Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga premierę będzie miała płyta, która stanowić ma swoistą wizytówkę Filharmonii Śląskiej, od 14 listopada minionego roku noszącej zaszczytne imię Henryka Mikołaja Góreckiego. Na krążku wszystkie zespoły artystyczne nagrały dwa utwory patrona i dwa (fonograficzne premiery światowe) pana, jego syna. W realizacji płyty wzięła udział również siostra – Anna Górecka. Panna *Nokturn* i *Concerto-Nokturno* na tej płycie to dobry wybór z punktu widzenia pana twórczości?

– Tak, zwłaszcza w kontekście ojca i wspomnianych rodzinnych powiązań. *Nokturn* został napisany w 2011 roku a *Concerto-Nokturno* w 2000. Choć powstanie obu utworów dzieli jedenaście lat, można powiedzieć, że należą do tego samego kręgu. W jakiś sposób dobrze przylegają do tego, co wybrano na płytę z dorobku ojca.

– Filharmonicy śląscy byli pierwszymi wykonawcami *Nokturnu*, który opatrzył pan dedykacją: *Pamięci mego Ojca*. Kiedy pojawił się pomysł tej kompozycji? Jak długo trwała praca nad nią?

– Pisałem ją latem 2010 roku, kiedy tata jeszcze żył. Kończyłem utwór już po jego śmierci. Ponieważ utwór ten ma podobną formę do mojego *Concerto-Nokturno*, który tata bardzo lubił, nazwałem go *Nokturnem*. Dedykacja nasunęła się sama. Miło mi było, kiedy dowiedziałem się, że Filharmonia Śląska chce przyjąć imię Henryka Mikołaja Góreckiego i z tej okazji *Nokturn* wykonać po raz pierwszy. Wtedy nie mogłem być w Katowicach. Tego wykonania wysłuchałem z rejestracji wszystkich – tych formalnych w sali Sejmu Śląskiego i muzycznych w kościele Mariackim i archikatedrze Chrystusa Króla – zdarzeń podjętych w związku z nadaniem Filharmonii Śląskiej imienia taty. Filharmonicy postarali się, by wraz z jego utworami przedstawić również nowe, innych kompozytorów, jego pamięci dedykowane. Po raz pierwszy mój *Nokturn* Orkiestra Symfoniczna FŚL pod batutą Mirosława Jacka Błaszczyka wykonała podczas koncertu w archikatedrze 15 listopada 2011 roku, dwa dni wcześniej Chór FŚL pod dykcją Jarosława Wołanina prawykonał *Psalm 119* Jarosława Mamczarskiego.

Jak mi przekazano *Nokturn* został ciepło przyjęty i podobno już wtedy zapadła decyzja o jego nagraniu. Cieszę się, że ukaże się na płycie z taty pieśniami *Szeroka woda* op. 39 i *Koncertem* na fortepian i orkiestrę smyczkową z udziałem Ani – oraz z moim *Concerto-Notturmo* na skrzypce i orkiestrę smyczkową, którego partię solową wraz ze Śląską Orkiestrą Kameralną zechciała zagrać pani Kaja Danczowska.

– Babka zmarła w drugie urodziny pana taty, który dochodził do muzyki samodzielnie. Pan wyrastał w muzycznej rodzinie. Siostra jest cenioną pianistką, pan komponuje. Kiedy powziął pan taką decyzję na życie?

– Od małego wyrastałem wśród muzyki klasycznej. Rodzice grali, siostra też. Tata chciał żebym został skrzypkiem. Ale mnie ciągnął bardziej fortepian. Nie żeby być wykonawcą, ale dla własnego użytku, do pisania muzyki. Przez wiele lat tata nie wiedział, że właśnie pisanie, a nie granie, najbardziej mnie interesowało. Dopiero w liceum mama coś mu szepnęła. Jak zobaczył moje pierwsze utwory to był za tym, żebym pisał ale ostrzegał, że to nie będzie łatwe. Zawsze byłem uparty. Poszedłem na kompozycję. On sam później, na studiach w katowickiej Akademii Muzycznej, był moim profesorem.

– Dwa lata przed maturą zdobył pan I nagrodę I Konkursu dla Młodych Kompozytorów w Bielsku-Białej. Rok przed dyplomem, z wyróżnieniem, katowickiej Akademii Muzycznej była na-

tomiast nagroda na Drugim Forum Młodych. Nie dziwi zatem ta decyzja. Niemniej – przy takim ojcu, jak pański, nie byłoby łatwiej zostać plastykiem, lekarzem czy prawnikiem?

– Na pewno! Ale od zawsze chciałem robić to, co robię – pisać.

– Tuż po dyplomie (1995) otrzymał pan dwa stypendia z The Banff Centre for the Arts w Kanadzie. Nie dają ich na piękne oczy, czy za nazwisko. To są inwestycje. Trafne, skoro w roku 2000 otrzymał pan doktorat z kompozycji w Indiana University w Bloomington w Stanach Zjednoczonych, w których – po kolejnych dwóch latach w Kanadzie – osiadł pan na stałe. Jeśli pana utwory grane są w takich miejscach, jak m.in. nowojorskie Lincoln Center i A. Fisher Hall, De Ijsbreker Center w Amsterdamie, wielkie sale koncertowe w Montrealu, czy Edmonton, podczas ISCM Światowych Dni Muzyki w Słowenii, Festiwalu Prawykonania w Katowicach, festiwalu Musica Polonica Nova we Wrocławiu, to przyznający panu owe stypendia mieli rację.

Wróciłbyś wszakże jeszcze do czasów katowickich. Pana muzyczne fascynacje pokrywały się z tym, co cenił tata?

– Zasadniczo w naszych upodobaniach zgadzaliśmy się. Mam wrażenie, że muzykę Fryderyka Chopina czy Johanna Brahmsa znam od zawsze. Nie musiałem się do niej przekonywać, bo ona po prostu w naszym domu była, jak po-

wietrze. Dla taty szczególnie ważny był Beethoven, Bach oczywiście także. Kiedy w Filharmonii Śląskiej usłyszałem kameralną orkiestrę z Leningradu, powalił mnie Mozart. Był w mej świadomości, ale tak naprawdę porwał mnie po tamtym koncercie. Dla taty był geniuszem, który jednak nie był mu tak bardzo potrzebny. Droczył się często ze mną: *tak, ale Beethoven...* Jednak na starość całkowicie na Mozarta „się przekreślił”. U mnie jest nieco inaczej – Beethoven to wielki pomnik muzyki, ale jeśli mam już zajrzeć do czyjejś partytury, zawsze sięgnę po Mozarta. Tata cenił Claude’a Debussy’ego, ale go niezbyt lubił. Ja lubiłem analizować jego partytury. Ojciec nie zawsze potrafił mnie przekonać. Cenił bardzo muzykę Oliviera Messiaena, mówił mi wiele o niej, znałem ją, ale tak naprawdę dojrzałem do niej dopiero, gdy ją usłyszałem w Katowicach na koncercie w kościele świętych Piotra i Pawła w 1989 roku. Były wtedy wykonane obszerne fragmenty z jego opery *Św. Franciszek z Asyżu*. Dopiero wtedy Messiaen stał się kolejną moją fascynacją. Echa tego chyba słysząc w mojej *I Symfonii*.

– Która ciągle czeka na prawykonanie...

– Czekaj. Tak bywa, tata przestrzegał...

– Nie korci pana, by może coś w niej zmienić?

– Nie. Dlaczego? Rzecz skończona. Są kompozytorzy, którzy ciągle do gotowych utworów powracają, coś poprawiają, dopisują. Mnie to jest obce. Bardzo rzadko zdarza mi się zmienić coś w już napisanym utworze, a jeżeli – to najwyższej jakości szczegół, detal.

– Mam wrażenie, że mimo odległości Polski od Teksasu, gdzie pan mieszka, w kraju o panu nie zapomniano. Tylko śledząc tropy PWM i Euterpe – wydawców pana utworów w Polsce, doliczyłem się kilkunastu wykonania w ostatnich dwóch latach. Jak to wygląda w USA czy Kanadzie?

– Nie jestem w stanie śledzić tego skrupulatnie. Czasem dostaję zaproszenia, ale z uwagi na pracę w college’u, nie mogę z wszystkich skorzystać. Często o jakichś wykonaniach dowiaduję się po fakcie. W Ameryce postrzegają muzykę z naszej części świata przez pryzmat holokaustu, totalitaryzmu, cierpienia, tragedii...

– To problem nie tylko muzyki. Filmowcy też to dostrzegają, łatwiej zainteresują Amerykanów scenariuszem czy filmem o Auschwitzu.

– Nie chcę się takiej presji poddawać.

– Dzieci siostry grają. Pana żona uczy tańca, córka tańca się uczy. Synowie będą muzykami?

– Nie wiem. Żona Marilu była zawodową baleriną. Córka, Marysia też tańczy, gra na flecie. Chłopcy, Mikołaj i Diego jak na razie nie grają na żadnym instrumencie.

– Dziękuję za to spotkanie i rozmowę.

Filharmonia Śląska w Katowicach

zaprasza na

IX Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga
pod honorowym patronatem Prezydenta RP
Bronisława Komorowskiego

16 listopada, godz. 19.00, sala koncertowa Akademii Muzycznej
im. Karola Szymanowskiego

Oficjalne otwarcie konkursu i Inauguracyjny koncert prawykonania.
Wystąpią: Orkiestra Symfoniczna i Chór Filharmonii Śląskiej pod batutą
Mirosława Jacka Błaszczyka.

W programie: *Symfonia* Stanisława Moryty
i *Beauty Radiated in Eternity* Eugeniusza Knapika.

Konkursowe przesłuchania I etapu

17 – 20 listopada, godz. 9.30 – 13.20 i godz. 16.00 – 20.25

Konkursowe przesłuchania II etapu

21 listopada, godz. 9.30 – 13.00 i godz. 16.00 – 19.30

22 listopada, godz. 9.30 – 13.00

Konkursowe przesłuchania III etapu

23 listopada, godz. 9.30 – 12.30 i godz. 16.00 – 19.00

25 listopada, sala koncertowa Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego,
godz. 18.00 i godz. 19.00

26 listopada, Warszawa, Filharmonia Narodowa, godz. 19.00

Oficjalne zamknięcie konkursu

po przerwie:

Koncert laureatów

Wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej, dyrygować będą laureaci konkursu.

Zamek w Raciborzu dziś jest jeszcze piękniejszy, niż w czasach książęcych



Zamek Piastowski w Raciborzu nocą

Gniazdo śląskich Piastów

ELŻBIETA
PIERSIAKOWA

Jeszcze parę lat temu zachodziły obawy, że zamek w Raciborzu może się zawalić. Wszystko odmieniły unijne pieniądze, których jednak nie udało się zdobyć bez dobrego pomysłu, a ten zrodził się w starostwie powiatowym. Dziś pamiątka po najstarszej piastowskiej twierdzy na Górnym Śląsku to znów wspaniały obiekt, który co miesiąc odwiedzają cztery tysiące turystów, bo jest tu co oglądać..

Oficjalna nazwa kompleksu to Centrum Dziedzictwa Kulturowego Bramy Morawskiej na Zamku Piastowskim w Raciborzu. Aż trudno uwierzyć, że udało się je utworzyć w ciągu niespełna trzech lat, bo zakres robót był ogromny, a pochłoniął blisko 26 mln zł. 20 mln pochodziło z dotacji unijnej, resztę wyłożyło raciborskie starostwo, które jest już wreszcie właścicielem zabytku.

– Jeszcze nie wszystko jest gotowe, ale powoli finiszujemy. Na murach staraliśmy się pokazać wendyjski układ cegieł i cegłę palcówkę. W komnatach domu książęcego mamy już różne ekspozycje stałe lub czasowe, choć nadal gromadzimy wyposażenie. Jeżeli ktoś ma cieka-

we pamiątki lub zbiory i chciałby je pokazać, z radością przyjmiemy taki dar – stwierdza Karolina Kunicka, rzecznik prasowy starostwa powiatowego w Raciborzu.

Wielka historia

Gdyby Polska nie przystąpiła do Unii Europejskiej, nadal szukano by sposobów ratowania pamiątki po jednym z najstarszych założeń obronnych na terenach Polski, gdzie rodziły się królewskie ambicje i królewskie matki, gościły koronowane głowy, rozegrały się też wydarzenia, które dziś byłyby na czołówkach wszystkich mediów, bo doty-

czyły wielkiej polityki. Bogata historia tego miejsca zaczęła się w 1108 roku, kiedy to, jak podaje Gall Anonim, wojowie Bolesława Krzywoustego odbili z rąk Morawian raciborski gród (prawdopodobnie Gołyszyców), który istniał już w X, XI wieku. Król osadził w nim kasztelana, a umierając w 1138 roku, podzielił państwo między swoich synów. Dzielnicą śląską przypadła pierworodnemu Władysławowi Wygnańcowi, który z powodu wojny z rodzeństwem musiał uchodzić z kraju.

Śląskiem zawładnął jego brat Bolesław Kędzierzawy, senior krakowski. W 1163 roku Piastowicze zawarli ugodę, na mocy której dzielnicą wróciła w ręce synów Wygnańca. Śląsk Dolny otrzymał Bolesław Wysoki, Śląsk Górny dostał Mieszko I Laskonogi (zwany też Płatonogim), który utworzył księstwo raciborsko-opolskie, a umierał jako senior krakowski, czyli władca Polski.

– Budowę twierdzy murowanej, i to równoległą z zamkiem w Opolu, zaczął jego syn Kazimierz w pierwszych latach XIII wieku. Najpierw powstały mury obronne, potem kamienna romańska rotunda, czyli świątynia. Nie wiemy niestety, jak wyglądała. Później drewnianą zabudowę wewnątrz zaczęto zastępować zabudową murowaną – objaśnia Grzegorz Wawoczny, raciborski dziennikarz, który oprowadza też wycieczki po kompleksie.

Sakralna perełka

Kolejne lata to rozkwit księstwa, a więc i raciborskiego zamczyska. Okres świetności przypadł na czasy rządów Władysława, zwanego wojowniczym, który zmarł w 1281 lub 1282 roku. Po jego śmierci dziedzictwo Laskonogiego rozpadło się na cztery księstwa: raciborskie, opolskie, cieszyńskie i bytomskie. To pierwsze objął Przemysław, najmłodszy syn Władysława, który urzędował już w zamku i uczynił zeń ośrodek swojej władzy. To on kazał wzniesić okazałą gotycką kaplicę z wzorcami czeskimi (początkowo był to budynek wolno stojący), to w jego czasach całe założenie nabrało cech warowni.

– Skala budowli jest miarą aspiracji władcy, które były duże, bo Racibórz liczył wtedy około trzech tysięcy mieszkańców i był większy od Opoli – stwierdza Grzegorz Wawoczny.

Kaplica, uważana za jedną z najwspanialszych budowli sakralnych na terenie kraju, zwana perłą śląskiego gotyku lub też śląską Sainte-Chapelle (zachowało się w niej wiele elementów z XIII stulecia), powstała w miejscu romańskiej rotundy. Nie znamy dokładnej daty jej wzniesienia. Z dokumentów wynika jednak, że już w 1293 roku istniała przy niej kolegiata pw. św. Tomasza Kantuarijskiego (chodzi o Tomasza Becketta, arcybiskupa Canterbury, zamordowanego z rozkazu angielskiego króla Henryka II), którą ustanowił biskup wrocławski Tomasz II. Kolegiata rozkwi-

tała do 1416 roku, kiedy to przeniesiono ją do kościoła farnego, tymczasem kaplica, pozbawiona dawnej rangi, straciła na znaczeniu.

Wzloty i upadki

Sam zamek po wygaśnięciu dynastii Piastów też zresztą przeżywał lepsze i gorsze okresy. W XVI wieku z całym księstwem przeszedł w ręce Habsburgów. W 1821 roku raciborskie włości otrzymali elektorzy hescy z książęcego rodu Hohenlohe-Waldenburg-Schilligfuerst. Magnaci sami rezydowali w Rudach, w Raciborzu natomiast osadzili swoich urzędników, doglądających m.in. zamkowego browaru (najstarszego na Górnym Śląsku, bo powstałego w początkach XVI stulecia), gdzie niedgdy warzono świetny pilzner. Wszyscy uciekli w głąb Niemiec, gdy nadciągał front, a w marcu 1945 roku do Raciborza (i zamku) wkroczyła Armia Czerwona. Żołnierze wypalili budynek bramny i mieszkalne skrzydło wschodnie, więc trzeba było je rozebrać, bo groziło zawaleniem.

Po wojnie w skrzydle zachodnim zakwaterowano repatriantów pracujących w browarze, w części pomieszczeń ulokowano archiwum. Z czasem zamek opustoszał. Od lat 60. jedynie w budynku bramnym urzędowała jakaś firma – wylicza Grzegorz Wawoczny. Obiekt (kaplica jest gotycka, reszta barokowo-renesansowa) zaczęły popadać w ruinę. Mieszkańcy nie mogli się z tym pogodzić, naukowcy bili na alarm, i w 1984 roku powstał społeczny komitet odbudowy. Najwięcej pieniędzy przekazali generalny konserwator i gmina. Dzięki temu wzmocniono fundamenty, wymieniono dachy, w kaplicy zakonserwowano gotycką kamieniarę okienną, ustawiono okna i drzwi, odnowiono elewacje.

Dotacja bez konkursu

Byla to jednak kropla w morzu potrzeb (nawiasem mówiąc, po latach okazało się, że prawie wszystko trzeba robić na nowo, bo wcześniejsze remonty były wycinkowe i chaotyczne), brakowało zresztą nawet na stróżowanie. Zabytku społecznie pilnowała więc firma prowadząca roboty budowlane, a wojewoda (obiekt należał do skarbu państwa) kilka razy próbował go sprzedać. W końcu starostwo postanowiło przejąć spuściznę i zdobyć unijną dotację na remont. Na pomysł ulokowania tam Centrum Dziedzictwa Kulturowego Bramy Morawskiej wpadły Gabriela Lenartowicz (wtedy sekretarz powiatu, dziś prezes Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska w Katowicach) i architekt Barbara Fudali. Okazało się, że był to strzał w dziesiątkę.

Pieniądze dostaliśmy bez konkursu. Zgodziły się na to okoliczne samorządy, gdyż projekt jest ponadregionalny. Roboty ruszały w 2009 roku, kiedy zamek nie był jeszcze nasz, ale podjęliśmy ry-

Królewskim szlakiem

Raciborski dwór nieraz i w różnym kontekście zapisał się w wielkiej historii Polski. Sprawcą największego skandalu, który opisał sam Jan Długosz, stał się książę Władysław. Rzecz zaczęła się w 1273 roku (jeszcze za życia seniora Bolesława Wstydliwego), gdy małopolscy panowie wynieśli go na krakowski tron. Bunt stłumiono, ale książę zachował królewskie aspiracje i postanowił je zrealizować, podsuwając swoją córkę księciu wrocławskiemu Henrykowi Prawemu Probusowi, który był poważnym pretendentem do zjednoczenia rozbitego państwa i korony. W dokumencie, który spisano około 1280 roku, obiecał wsparcie przyszłemu zięciowi, ale pod warunkiem, że jeśli starania dadzą owoce, to ukoronowana zostanie również jego córka, nie wymieniona z imienia. Wedle lokalnej tradycji była to Konstancja. Probus odesłał jednak księżniczkę, czyniąc tym afront jej rodzinie. W dodatku popadł w jeszcze większy konflikt z biskupem wrocławskim Tomaszem II i zajął jego ziemię. Hierarcha w odpowiedzi obłożył księcia klątwą i schronił się na dworze... jego byłych szwagrów, którzy w sprawie wzgardzonej siostry interweniowali u samego papieża, ale nic nie wskórali. Probus z czasem pojednał się z biskupem (nawiasem mówiąc, nastąpiło to w Raciborzu, co upamiętnia Statua Zgody), lecz raciborski dwór nie sprostął dalekościśnym ambicjom, a potem był już za słaby, by aspirować do wielkiej polityki. Należy jednak wspomnieć, że Eufozyna, córka Kazimierza, była matką Władysława Łokietka i babką Kazimierza Wielkiego.

Zamek raciborski był też areną innych wydarzeń. W 1407 roku książę Jan II Żelazny poślubił tu Helenę, córkę litewskiego księcia Korybuta i bratanicę króla Władysława Jagiełły, ale siedem lat później polecił uwięzić i wymordować poselstwo husyckie, które zmierzało do Krakowa, by zaferować Jagielle czeski tron. Najgroźniejszym echem odbiła się jednak wizyta króla Jana III Sobieskiego, który w sierpniu 1683 roku wstąpił na raciborski zamek w drodze pod Wiedeń. Właścicielem był wtedy graf Jerzy Oppersdorff, który podjął monarchę obiadem i przydzielił mu towarzystwo do preferansa. Nazajutrz władca napisał z Opawy do ukochanej Marysienki, że sama pani grafowa sprowadziła najmniej 30 dam, które zasiadły z nim przy stoliku. Najstarsza i najszeptniejsza z nich ogrzała go bez skrępowań.

zyko inwestowania w nieswoje. Na szczęście potem wojewoda już bardzo szybko przekazał nam cały kompleks – wylicza rzeczniczka starostwa. Jak dodaje, w budynku bramnym siedzibę ma Agencja Promocji Powiatu Raciborskiego i Rozwoju Przedsiębiorczości (jednostka budżetowa starostwa), dom książęcy przeznaczono na cele wystawienne i naukowe, na dziedzińcu od wiosny do jesieni już odbywają się imprezy plenerowe (każdy może usiąść, bo w razie potrzeby ustawia się krzesła, które kupiło starostwo), a kaplica, podob-

nie jak było w dawnych wiekach, będzie służyła celom sakralnym.

Kaplica bez ław

Rozmawialiśmy już z biskupem na ten temat. Ustaliliśmy też, że wystrój kaplicy pozostanie surowy. Nie wstawimy tam na przykład ławek – dodaje Karolina Kunicka. Roboty w kaplicy jeszcze trwają, ale już można tu zajrzeć. Nawet laik zachwyci się choćby strzelistymi łukami sklepienia. Znaczącej architektury zwracają uwagę na rzadki



Zamek w latach 30. XX wieku

Fot. Ze zbiorów APPRIP

dwukondygnacyjny układ obiektu. Na górnym poziomie na liturgii gromadzili się książę i jego dwór. Na dolnej kondygnacji, na którą prowadziło przejście ukryte w murze obronnym, umieszczono albo oratorium grobowe, albo relikwiarz ze szczątkami patrona lub św. Stanisława biskupa (zwanego polskim Beckettem), a może i obu męczenników. Nie ma bowiem wątpliwości, że sprowadzono je po ustanowieniu kolegiaty, tylko nie wiadomo, co się z nimi stało.

Z kaplicy Grzegorz Wawoczny prowadzi nas do domu książęcego, gdzie są atrakcje nawet dla dzieci. W jednej z komnat ulokowano wystawę pt. „Śląskie Sherwood”. Przygotowali ją leśnicy. Zebrano na niej trofea łowieckie, skamieliny, szczątki mamutów czy kawałki okazałych drzew, np. dębu szypułkowego z okolic Rud, który zasadzono około 1750 roku. Zaznaczono na nim słoje narosłe w latach ważnych wydarzeń, a więc sekularyzacji rudzkiego opactwa, wybuchu powstania listopadowego i styczniowego czy otwarcia linii kolejowej Racibórz – Wrocław. W kolejnej sali królują eksponaty policyjne. To m.in. akcesoria z czasów, kiedy stróże prawa sami musieli robić zdjęcia podejrzanym typom: stary aparat fotograficzny, krzesło, na którym sadzano delikwenta, i lampa, którą świecono mu w oczy.

Militaria z całą

Nie zabrakło nawet dalekopisu, jakiego znamy z serialu „07 zgłoś się”. W innych komnatkach są cudne modele żaglowców Wolfganga Beracza, repliki zbroi i uzbrojenia, bombardy (prekursorka armaty) i pięć kamiennych kul, które służyły jako pociski.

– Wykopano je w okolicach budynku bramnego w czasie remontu, a przechowywał Zespół Szkół Mechanicznych. Są w świetnym stanie, każda waży do 40 kg i stanowią dowód burzliwej przeszłości zamku,



Sklepienia kaplicy zamkowej

który przeżył wiele oblężeń, ale nigdy nie został zdobyty. Jako jedyny na terenach Polski odparł najazd tatarski w 1241 roku – wylicza Grzegorz Wawoczny.

Od połowy listopada w zamku zagości ekspozycja poświęcona historii śląskiego więziennictwa. Znajdzie miejsce w dwóch ciasnych pomieszczeniach, z których jedno zostanie przerobione na celę.

Rzecz przygotowuje katowicka Służba Więzienna, a eksponaty zbierają wszystkie zakłady karne w województwie. Jak przekonuje Grzegorz Wawoczny, pomysł ma uzasadnienie, bo kiedyś na zamku znajdowały się lochy dla złoczyńców, którzy oczekiwali w nich na wyrok książęcego sądu. I wskazuje na napis wryty w murze na półpiętrze domu książęcego.

– To jedno z najstarszych graffiti na terenach Polski. Pochodzi z czasów wojny 30-letniej. Prawdopodobnie wykonali je żołnierze, którzy tu stacjonowali, albo jacyś skazańcy. Niewykluczone bowiem, że kiedyś w tym miejscu był

areszt – wyjaśnia. Z domu książęcego wychodzi się na przepięknie prezentującą się krużganki. Jeden wieszak do donżonu, zrekonstruowanego po oryginalnym obrysie. Niegdyś stała tu baszta, wzniesiona w XIII stuleciu.

Skarby i tajemnice

– **To**, co tu odtworzono, pokazuje, że zamek był bezpiecznym schronieniem. Mury miały około dwóch metrów grubości – wyjaśnia Grzegorz Wawoczny i wskazuje drogę na zalaną słońcem rozległy dziedziniec. Można tu rzucić okiem na odrestaurowane pozostałości murów obronnych, ale i popuścić wodze wyobraźni. Pod dziedzińcem znajdują się bowiem lochy i piwnice. W jednej z nich podobno zaczynało się tajemne przejście pod Odrą (rzeka płynie nieopodal zamku, a niegdyś była częścią naturalnego systemu obrony), które wiodło do klasztoru dominikanek.

Na dziedzińcu jest jeszcze jedna ciekawostka. To odrestaurowana średniowieczna studnia, którą gospodarze nazywali studnią szczęścia. Dlaczego? Ano dlatego, że wrzuciwszy do niej choćby grosik, można ponoć wyprosić uśmiech losu, który z reguły kojarzy się z fortuną. Nic dziwnego, że przy studni padają pytania o skarby, bo w każdym zamku powinny być ukryte jakieś bogactwa. Kroniki podają, że w Raciborzu nie zostało już nic, bo po śmierci księcia Jana Dobrego, ostatniego gómośląskiego Piasta (zmarł w 1532 roku) zawartość skarbca wywieźli do Wiednia urzędnicy cesarza Ferdynanda I Habsburga. Chyba jednak nie zabrali wszystkiego, skoro 30 lat temu łódzki archeolog Błażej Muzolf znalazł w domu księżęcym skarby w postaci... gotyckich kafli. Zrekonstruowano z nich piec, który dziś jest ozdobą miejscowego muzeum i nie ma szans na jego odzyskanie.

Zagadki podziemi

Może jeszcze coś się znajdzie, bo podziemia wciąż kryją tajemnice.

– Archeolodzy stwierdzili, że pod donżonem istnieją jeszcze jakieś poziomy. Trzeba by je przebadać, ale to kwestia przyszłości. Najpierw musimy poszukać dwóch, trzech milionów złotych na remont wnętrza słodowni, które są przeznaczone m. in. na cele gastronomiczne. Program unijny bowiem ich nie obejmował, a na razie zrobione są tylko elewacje. Będziemy próbowali w resorcie kultury – objaśnia Karolina Kunicka.

Warto dodać, że w tej chwili zamek zwiedza się za darmo, bo w ciągu pięciu lat od rozliczenia dotacji obiekt nie może zarabiać. – Potem być może trzeba będzie wprowadzić minimalne opłaty i pomyśleć o dofinansowaniu z budżetu powiatu – przyznaje Karolina Kunicka.



Grzegorz Wawoczny, nasz przewodnik po zamku, obok jedna ze zbroi rycerskich

Mignęło mi w Internecie, że film Leszka Dawida „Jesteś Bogiem” jest opowieścią zrozumiałą zarówno dla fanów Paktofoniki, jak i laików, którzy po raz pierwszy spotkają się z twórczością grupy. Należę do grupy owych laików, czy wręcz ignorantów: Paktofonika i Magik to dla mnie – do chwili obejrzenia filmu – słowa nic nie znaczące. Naturalnie, nie ma we mnie nic z owego entuzjazmu, z jakim film „Jesteś Bogiem” przyjmuje młodzież; ale to normalne. Dla mojej polonistki było czymś niezrozumiałym, że miesięcznik „Twórczość”, który przed rokiem, czy dwoma opublikował biografię Petrarki pióra Jana Paradowskiego, upadł tak nisko drukując „odrażające” opowiadanie Marka Hłaski „Ośmy dzień tygodnia”, o którym na tak zwanej lekcji wychowawczej wypowiadałem się z entuzjazmem... Rok był 1957. Są pokoleniowe przedziały nie do przekroczenia.

Obejrzałem film „Jesteś Bogiem” bez emocji, bez wiedzy o bohaterze filmu, nieco zdumiony opinią redaktora „Polityki”, wypowiedzianą w TV Kultura, że oto nareszcie mamy „porządny polski film”. Nie wiem, co by tu miało znaczyć słówko „porządny”? Czyżby film z tego samego roku, a mianowicie „W ciemności” Agnieszki Holland był „nieporządny”? A może krytyk po prostu palnął głupstwo? Obejrzałem film „Jesteś Bogiem”, czego nie żałuję, ale nie umiem powiedzieć, czy jest to twór porządny, czy nieporządny. W pewnym sensie nieporządny jest, bo w tym filmie wyczerpano chyba listę polskich słów i wyrażen obscenicznych, ale z drugiej strony jest porządny, bo skoro młodzi ludzie tak mówią, to twórcy stoją po stronie prawdy. Ale, co tam język obsceniczny. Od czasu, gdy w tramwaju usłyszałem dziewczynkę, która powiedziała mamusi, że kompot (w przedszkolu) był zabijasty, uznałem, że tak zwane brzydkie słowa w języku polskim utraciły swoją moc. Sala kinowa była wypełniona do ostatniego miejsca. To, co działo się na ekranie, przyjmowane było z uwagą napiętą do ostatnich granic. Czulem to z lewej i prawej strony, z przodu i z tyłu. Bez wątpienia byłem samotną wyspą uważnego spokoju. Widownia, młodzi ludzie, raczej poniżej osiemnastego roku życia, może jakaś część nieco starsza, o rok, dwa... Już po seansie, kiedy ruszyłem do wyjścia – sam, bo młodzi ludzie trwali nadal w stanie hipnozy – zadałem sobie pytanie, czy był taki polski film, o którym mógłbym powiedzieć, że był to film w jakimś sensie o mnie, o moim pokoleniu. Nie powstały, w kilka lat po ich śmierci – filmy o Bursie, Hłascie, czy Wojaczku. A ci młodzi ludzie dostali film, który natychmiast uznali za swój. Film, na który czekali. Słowa skandowanych piosenek-monologów znali na pamięć. Pomiędzy ekranem, a ich głowami, zachodziło sprzężenie zwrotne. Filmowym twórcom rzadko zdarzają się takie przygody! Leszek Dawid taką przygodę przeżył.



Jesteś Bogiem

A przecież – i nikt nie przekona mnie, że jest inaczej! – nie zrobił filmu wielkiego. Czytam, że autor książki, wedle której powstał scenariusz tego filmu, Maciej Pisuk, zapowiadał coś w rodzaju „Człowieka z marmuru”, no chyba tak, skoro Magik, według niego, jest kimś w rodzaju Birkuta! Jak można pleść takie androny! Gdzie Rzym, gdzie Krym... „Jesteś Bogiem” jest skromnym filmem, z interesującą historią o grupie muzycznej wykonującej hip-hop, powstałej w roku 1998, a rozwiązanej w roku 2003, w niespełna trzy lata po samobójczej śmierci Piotra Łuszcza (Magika). Film o sobie, o swojej hip-hopowej młodości, mogą dziś oglądać dwaj z owej trójki: Wojciech Alszer (Fokus) i Sebastian Salbert (Rahim). Te elementarne informacje zapisuję dla samego siebie, ponieważ jest pewien osobisty powód, dla którego powinienem znaleźć miejsce w mojej pamięci dla Paktofoniki, a zwłaszcza dla Magika: tym powodem są Bogucice, gdzie w blokowisku mieszkał Magik i gdzie w wigilię Bożego Narodzenia wyskoczył z okna z bezspornym zamiarem odebrania sobie życia. Bogucice – to mój pierwszy katowicki adres (ulica Kopalniana 1) w czasie, gdy miasto zwało się Stalino-grodem. Odnalazłem bez trudu ów blok, ustaliłem, które to było okno, długo sta-

łem w miejscu, z którego zabrano ciało Piotra Łuszcza w ów tragiczny wigilijny wieczór. Cała ta historia zaczęła mnie wciągać, choć wcale tego nie pragnąłem, hip-hop jest mi całkowicie obcy jako forma artystycznej ekspresji, a jednak ten 22-letni człowiek z odpychającego blokowiska, którego znam jedynie z ekranowego wcielenia Marcina Kowalczyka, żąda ode mnie szacunku dla wyboru, jakiego dokonał. To nie tylko kwestia nie udźwignięcia zbyt może wczesnego małżeństwa, a zwłaszcza ojcostwa; naturalnie, odejście żony z dzieckiem było zdarzeniem wytrącającym Magika z równowagi, jeśli ją w ogóle posiadał. Natomiast jest całkowicie pewne, że był zagubiony, co w filmie pokazane jest na monitorach w supermarkecie, na których widzimy wiele sylwetek Magika. Tak też pewnie było, że tych rozbitych, rozproszonych częsteczek nie udało się Magikowi złożyć w jedną całość.

Czytam teksty hip-hopowych monologów Magika – oglądając film nie umiałem złapać ich sensu, brak mi niewątpliwie wprawy – ale czytając odczuwam ich dramatyzm, poetycką wibrację, a nade wszystko wewnętrzną powagę: są to teksty pisane serio; czytając je widzę, że autorowi, chyba powinienem powiedzieć: poecie, szło o coś więcej, niż tylko o bezpardonową krytykę spiałego, skomercjalizowanego świata, w którym nie ma miejsca dla jednostek wrażliwych, w którym poeci są niepotrzebni. W rzeczy samej: po co są poeci? Możliwe, że po nic. Skoro w boskim planie znalazło się dla nich miejsce, znaczyć to może, że chyba jednak są potrzebni. Pojawienie się Magika na bogucickim blokowisku – świat, czy blokowisko, to tylko kwestia skali – musiało wynikać z jakiejś potrzeby. Może tę potrzebę wygenerowało to szczególnie ludzkie skupisko, i to ono wybrało Magika, by wykrzyczał jakąś ważną dla tego skupiska prawdę.

Otóż to: prawda i szczerść z jaką owa prawda zostaje wyartykułowana, mają niepodważalną moc. Jest taka scena w tym filmie, w której Magik pokazuje Rahimowi – tu nie wiem, jak to nazwać, nie znam fachowych określeń – jak należy wypowiadać, wyrażać to, co zostało napisane i zrytmizowane. Aktorowi udało się osiągnąć taki stopień koncentracji, taki również poziom ekspresji pozbawionej ozdób i udziwnień, że wierzymy mu bez zastrzeżeń. A jego fizyczne wyczerpanie po owej demonstracji w klatce schodowej, przyjmujemy jako haracz spłacany każdorazowo za dotknięcie tajemnicy Sztuki.

Film „Jesteś Bogiem” jest prostą historią, ale w sztuce proste historie nierzadko wyrażają sprawy wielce powikłane, niejasne i ukryte. Nie w pełni, ale coś z tego udało się Leszkowi Dawidowi.

FELIKS NETZ



Maria Klementyna Sobieska



Karol Vogan

Wybrałem się pewnego zimowego dnia do sklepu po herbatę, moją ulubioną. A że zawsze kupowałem ją w sklepach należących do sieci będącej brytyjską własnością, więc i tym razem tam skierowałem moje kroki, jak to się zwykło mówić, na pewniaka. Jakie było moje zdumienie, gdy w drugim czy trzecim z kolei sklepie tej sieci swojej herbaty nie znalazłem, a personel nie był w stanie mi powiedzieć, czy kiedykolwiek ujrzę jeszcze znajomą etykietę z wizerunkiem London Bridge. Skądinąd wiem, iż ta marka należy do chętnie pijanych przez Brytyjczyków przebywających w Polsce. Tym większe moje zdziwienie. Pomyślałem sobie: „Brytanio, co się z Tobą dzieje, jeśli nie możesz zapewnić swoim dzieciom herbaty ich powszedniej?”

Klementyna – matka Pięknego Karola

WITOLD
TURANT

Poniekąd odpowiedź na to pytanie przyniosła prasa tygodniowa, gdzie znalazłem rozważania na temat możliwości uzyskania niepodległości przez Szkocję, i to zdaniem autora, w niezbyt odległej przyszłości. *) „Brytanio, co się z Tobą dzieje?” Ponowiłem pytanie. „Sic transit gloria mundi” – niby echo zadźwięczała w mej głowie odpowiedź w formie łacińskiej sentencji, dobrej na wiele różnych okazji.

Lubiąc doszukiwać się historycznych analogii i korzeni współczesnych wydarzeń w czasach minionych, co czasem daje zaskakujące rezultaty, zacząłem poszukiwać momentu po utworzeniu Wielkiej Brytanii, kiedy Szkocja była najbliżej „wybicia się na niepodległość” i okazało się, że był taki moment w 1745 roku, a osobą, która w pośredni sposób w nim uczestniczyła, była polska dama wywodząca się ze znakomitego rodu, który wydał także wielkiego wojownika słynącego w całej ówczesnej Europie. Zaczniemy jed-

nak od tego, który Unii zagroził bezpośrednio.

Szkocja: autonomia i co dalej?

Bonnie Prince Charlie – tak nazywano Karola Edwarda Stuarta, pretendenta do tronu Szkocji i Wielkiej Brytanii. Biorąc ściśle, to Karol Edward pretendował do tronu Anglii, bo Wielka Brytania była tworem polityczno-geograficznym wyjątkowo dla Stuartów niemiłym. Niemiłym, bo celem jego utworzenia było m.in. niedopuszczenie do powrotu tej dynastii na tron. Jakkolwiek od niepamiętnych czasów byli monarchami w Szkocji, a od 1605 roku także w Anglii. Jeśli z mapy znikną oba kraje, a na ich miejsce powstanie nie unia ale całkiem nowy twór, to ich prawa do sukcesji nie będą obowiązywały, bo nie można zgłaszać pretensji do sukcesji czegoś, czego nie ma.

Piękny Karolek, pomimo młodego wieku, w jakim wstępował na polityczną arenę i na karty historii, narobił w latach 1745-46 wiele kłopotów ówczesnemu rezydentowi Dworu Św. Jakuba w Londynie, z którym był, nota bene, spokrewniony. *) Dążąc do przejęcia obu tronów, zarówno angielskiego, jak i szkockiego, stanął w pamiętnym 1745 roku na czele powstania, zakończonego klęską pod Culloden Moor w następnym roku. Kim właściwie był Bonnie Prince Charlie: nieodpowiedzialnym awanturnikiem, uzurpatorem, czy też przedstawicielem dynastii posiadającej solidnie udokumentowane roszczenia wobec obu stolic – Edynburga i Londynu?

Dziś historycy mają na ten temat różne poglądy, ale co do jednego są zgodni – niewiele brakowało, by jego matka, Polka, Klementyna Sobieska, wnuczka króla Jana III Sobieskiego, została królową Anglii, Szkocji i Irlandii. Królową de iure i de facto. Zdziwiające? Nie całkiem, w każdym razie nie dla tych, którzy choć trochę znają historię Wysp Brytyjskich lub rodu pieczętującego się herbem Janina.

Powiedzmy od razu: Bonnie Prince Charlie był synem Klementyny Sobieskiej i Jakuba Stuarta, nazywanego Starym Pretendentem. Pretendentem do tronu Szkocji i Anglii. Tymczasem gdyby Karolkowi w 1745 roku powstanie się udało, mielibyśmy na angielskim tronie, w każdym razie przez pewien czas, dynastię Stuart-Sobieski. Nie wiadomo, jak długo by się ta dynastia utrzymała, bo zapewne byłaby katolicka, a może i arcykatolicka, podczas gdy i Anglii i Szkocji było już wtedy do katolicyzmu daleko. Wszystko by zależało od talentów dyplomatycznych monarchy i jego małżonki, a należy wyrazić obawę, iż nie były one zbyt wielkie. Monarchą tym miał być Jakub, ojciec Charliego.

Jak w filmie płaszcza i szpady

A Klementyna? Urodzona w 1701 lub 1702 (ach, te kobiece metryki) roku w Oławie na Śląsku, była jedną z najlepszych partii w Europie. Cóрка Jakuba Sobieskiego, pana nad pany i bogacza nad bogacze, mogła wnieść swemu wybranemu taki posag, że dać Boże zdrowie. I wniosła. Nie bez przeszkód wszakże, o co postarali się Anglicy.

Jakub (powinienem uprzedzić, że w tej historii wystąpi całkiem spora liczba Jakubów) Sobieski, królewicz polski, księstwo oławskie otrzymał wraz z ręką księżniczki neuburskiej, Jadwigi Elżbiety Amalii, córki palatyna Renu, Filipa Wilhelma w 1691 roku. Dla Oławy i jej zamku nastały zdecydowanie dobre czasy. Nowy właściciel dzielił czas pomiędzy rodzinną Żółkiew a nowy nabytek. Pałac został wyremontowany, by odpowiadał godności książęcej właściciela. Jakub Sobieski nie żałował nakładów.

Zamek Sobieskich w Oławie jest budowlą renesansowo-barokową, wzniesioną w miejscu dawnego gotyckiego zamczku. Za rządów Jakuba Sobieskiego zamek otrzymał nowe wyposażenie wewnątrz i miał bardzo prestiżowy charakter. Jakub i jego synowie starli się nawiązywać do tradycji Piastów śląskich. W 1719 roku Jakub Sobieski popadł w niełaskę cesarza Karola VI Habsburga z powodu zgody na ślub córki z Jakubem Stuartem i utracił księstwo oławskie. Dobra śląskie odzyskał jednak w 1722 roku. Przebywał w nich później z przerwami w latach do roku 1734.

A co w tym czasie robił jego przyszły zięć? Jakub Stuart dorastał na wygnaniu (głównie w St. Germain-En-Laye pod Paryżem – byłem, widziałem – pamiętają). W końcu dorósł i przyszedł czas, kiedy młodemu człowiekowi szuka się żony. Jak już się tu powiedziało, Klementyna była partią znakomitą, Jakub – taką sobie, ale z widokami. Choć w 1715 roku podniesiony w Szkocji sztandar Stuartów został nieźle powalany krwią jakobitów i ubłocony rozmaitymi kompromisami politycznymi, to w 4 lata później, gdy przed papieżem wypowiadali małżonkowie swoje sakramentalne „tak”, wszystko wyglądało całkiem obiecująco. Klemens XI tytułował młodych katolickimi królem i królową Anglii, Szkocji i Irlandii. Jednak owo „tak” wypowiedziane przed papieżem musiało być poprzedzone zawarciem małżeństwa *per procura*, co nastąpiło we Włoszech, w Bolonii. Przedtem przez pewien czas oboje narzeczeni byli pionkami w grze dyplomatycznej pomiędzy Anglią i Francją.

Irlandzki James Bond

Prawdopodobnie wielkie figury rozgrywałyby nadal nimi swoje niejasne partie, gdyby nie pewien szczególny człowiek – taki XVIII-wieczny James Bond. Sir Charles Wogan był Irlandczykiem, szlachcicem i oficerem w służbie Starego Pretendentu. W 1715 roku po klęsce jakobitów pod Preston przesiedział się w londyńskim Newgate, a po wyjściu na wolność natychmiast zmienił adres na francuski i ofiarował swe służby Jakubowi. Był człowiekiem wielu talentów, nie tylko wojskowych, ale i dyplomatycznych. Nic więc dziwnego, że gdy przyszło do wyboru człowieka, który wyruszy na poszukiwanie narzeczonej dla następcy tronu na wygnaniu, wybór padł na niego. Okazał się mężem opatrnościowym nie tylko w roli dziewosłba i swata, ale także wykazał, jakby się to dziś powiedziało, niezwykle zdolności operacyjne, gdy trzeba było wyprowadzić w pole agentów angielskiego czy austriackiego wywiadu, bądź wydostać uciekającą pannę młodą z luksusowego, co prawda, ale jednak aresztu. W takich i wielu innych sytuacjach

Sir Charles był niezastąpiony i to mu się pamięta do dziś w irlandzkich annałach historycznych.**)

Stary Geordie ma kłopoty

No i stary Geordie, jak króla Jerzego I nazywano w północnej części królestwa, robił co mógł, by do małżeństwa nie dopuścić. Gdyby w grę wchodziła jakaś uboga panna z któregoś z mniej ważnych europejskich rodów – pół biedy. Ale posag Klementyny to była szansa na pokrycie kosztów kampanii propagandowej w Szkocji, transportu wojska, np. francuskiego lub korpusu najemniczego i przede wszystkim później północ Wyspy mogłaby stanąć w ogniu. Tak rozumował król Jerzy i wywierał naciski na cesarza Austrii, także krewnego, by póki czas, przyaresztował narzeczoną w swym cesarstwie, które obejmowało także Oławę i inne posiadłości Sobieskich. Natomiast wielki przeciwnik obu niemieckojęzycznych monarchów, Ludwik XV kontynuował politykę swego poprzednika i robił wszystko, by szkocko-francuskie dziewosłby docierały do panny i jej rodziców. Auld Alliance *), trochę przykurzony od czasów średniowiecza i Marii de Guise, zdawał się wracać do łask.

No i stało się. Gdy małżeństwo zostało już postanowione i panna młoda wyruszyła w drogę na spotkanie narzeczonego, została na cesarski rozkaz zatrzymana w Innsbrucku. Miasto, czy może wtedy miasteczko, owszem, ładne i malowniczo pośród alpejskich stoków położone, nie było jednak celem podróży siedemnastoletniej panny. Siedemnastolatki bywają czasem nadspodziewanie przedsiębiorcze, zwłaszcza, gdy mają do pomocy kogoś takiego, jak wspomniany wcześniej Charles Wogan. Ktoś, kto poznał Klementynę w późniejszym okresie, zwłaszcza po urodzeniu drugiego syna, Henryka, nie rozpoznałby w głęboko depresyjnej, przedwcześnie postarzałej dewotce, zadziornej dziewczyny, która zdecydowana była usunąć każdą przeszkodę, jaka stałaby na drodze pomiędzy nią,

a znanym jedynie z portretów i opowiadań narzeczonemu. Jakim cudem Klementynie udało się wyprowadzić w pole strażników i agentów cesarskiej policji, o tym dziś historia milczy. No ale kiedy się miało takiego dziadka, nic powinno być trudne. I nie było.

Panna Sobieska odnajduje się po kilku tygodniach w Bolonii. To tajemnicze miasto, w którym życie toczy się niemal całkowicie w podcieniach, było jakby stworzone na miejsce takiej intrygi. Sam Horacy Walpole nie wymyśliłby chyba lepszej scenarii. O ile w Innsbrucku każdy agent Króla Słońce czy Domu Stuartów widoczny był, jakby miał przydzielą służbowy wyhaftowany na plecach kabata, o tyle tu, w tym mieście tysięcy tajemniczych przejść, wiele spotkań, wiele rozmów udawało się odbyć w całkowitej tajemnicy. Nie bez znaczenia był fakt, iż Austriacy nie cieszyli się tu szczególną sympatią, a wspomniany wcześniej Charles Wogan był niezwykle skuteczny.

Romantyczna przygoda nabierała tempa. Powstał pomysł zawarcia ślubu *per procura*, które to rozwiązanie miało tę zaletę, że narzeczony, zwany w Szkocji Starym Pretendentem, a w kręgach jakobickich ekstremistów, takich jak np. lord Derventwater czy hrabia Mar, nawet Jakubem III, mógł jeszcze przez czas jakiś pozostać w Hiszpanii i uniknąć ryzyka porwania czy może nawet zamordowania, gdyby wy dostał się spod ochronnego parasola, jaki nad Domem Stuartów roztaczał Ludwik XIV. W jakiś czas później Maria Klementyna i jej małżonek zostali zaproszeni do Rzymu, gdzie byli gośćmi samego papieża Klemensa XI, który tytułował ich (katolickimi) władcami Anglii, Szkocji i Irlandii. Przymiotnik „katolicki” był tu niezwykle istotny, albowiem Anglia, wraz z nią cała Unia oddaliła się już od Watykanu o całe lata świetlne. Anglia, przypomnijmy, miała swój kościół narodowy, sięgający swą historią czasów Tudorów, a Szkoci doczekali się swojego Kirk of Scotland na bazie wojującego kalwinizmu. Dla obu wyznań Rzym był nowym wcieleniem babilońskiej



Zamek w Oławie w początkach XVIII w.



Medal wybity przez papieża Klemensa XI na cześć przybycia Marii Klementyny Sobieskiej do Rzymu w maju 1719 r.

nierządniczy, a na północy Szkocji wciąż tliły się resztki katolickiego żaru. No i zawsze można było liczyć na Irlandię. Watykan, podobnie jak Francja, miał swoje polityczne kalkulacje. Młoda para była w nich istotnym elementem.

Sukcesja i asceza

No i jeszcze jedna ważna sprawa: nie ma dynastii bez sukcesji. Właśnie zapewnienie ewentualnej sukcesji stawało się jedną z najistotniejszych przesłanek tego małżeństwa. Pod tym względem małżeństwo Jakuba i Marii Klementyny zdawało się spełniać pokładane w nim nadzieje. W sylwestrowy wieczór 1720 roku urodził się Karol Edward Filip Kazimierz Stuart, który miał przejść do historii jako Młody Pretendent, a w Szkocji jako Bonnie Prince Charlie – piękny książę Karolek. W pięć lat później przyszedł na świat Henryk Benedykt Maria Klemens Tomasz Franciszek Ksawery Stuart. Bonnie Charlie, jako starszy syn został w pierwszej kolejności pomazany jako kandydat do tronu.

Wróćmy jednak do Klementyny. Historycy twierdzą zgodnie, że małżeństwo nie było szczęśliwe. Różnią się jednak poglądami, co do faktu, czy Klementyna wpadła w depresję i odsunęła się od świata w wyniku jakiejś poporodowej traumy, czy też jej zdrowie psychiczne zaczęło szwankować już wcześniej. Być może gdyby była postacią z historycznej pierwszej lub choćby drugiej ligi, wiedzielibyśmy na ten temat więcej. Niestety, w Polsce dostępnych opracowań na temat Domu Stuartów jest mało, a w Bibliotece Śląskiej komputer na zapytanie o Klementynę pokazuje okrągłą cyfrę „0”. Tak więc na rozstrzygnięcie spornych czy niejasnych kwestii związanych z życiem wnuczki króla Jana przyjdzie nam chyba jeszcze poczekać.

Dalsze koleje życia tytularnej, jeśli wierzyć napisowi na obelisku dłuta Canovy, znajdującym się w bazylice św. Piotra, królowej Wielkiej Brytanii, Szkocji i Irlandii nie były wcale ekscytujące.

Przeciwnie. Uplywały w izolacji i opuszczeniu. Warto jednak podkreślić, iż to nie ją opuszczono. To ona opuściła świat rzeczy materialnych, by poświęcić się modlitwie i ascezie. Tej ostatniej praktyce oddała się z takim zapamiętaniem, że praktycznie zagłodziła się na śmierć. Zmarła w 17 stycznia 1735 roku, nie doczekawszy wstąpienia swego starszego syna na europejską arenę polityczną. Pochowano ją w podziemiach Bazyliki św. Piotra. Tak oto Polka nie została królową brytyjską.

Co było dalej właściwie dobrze wiadomo, bo mówią o tym wszystkie podręczniki szkolne. „Rule Britannia” rozbrzmiewało nie tylko na Wyspach, ale w coraz liczniejszych i odleglejszych zakątkach świata. Powstawało imperium, nad którym słońce miało nie zachodzić. O Szkotach jako o narodzie zapomniano na wiele lat. Kraj zdewastowała i oddała w ręce wielkich latyfundystów wymuszona emigracja. Byli także, jako żołnierze znani ze swej bitności, wysyłani w najbardziej zapalne zakątki Imperium. Zapisali wspaniałą kartę podczas wojen napoleońskich. A co pozostało im samym? Pamięć o Bonnie Prince Charlie i smętne pieśni o nieugiętej wierze w jego powrót. Nawet ich kultowy instrument muzyczny im zabrano jako śmiercionośną broń i zakazano noszenia kiltów. Dudy przywrócono dość szybko w wojsku z bardzo prozaicznej przyczyny: Szkoci bez ich ogłuszającej muzyki nie chcieli walczyć.

Tajemniczy bracia

Nagle, w początku lat dwudziestych XIX stulecia atmosferę w Szkocji, nieco już ocieploną przez twórczość Roberta Burnsa i Sir Waltera Scotta zelektryzowało pojawienie się braci o dziwnie brzmiącym, dwuczłonowym nazwisku Stuart-Sobieski. Owi bracia byli nie tylko uzdolnionymi malarzami, ale także osobami z niesłychanym wyczuciem ducha czasów. A czasy były wyjątkowe. W Anglii trwała już rewolucja przemysłowa i zbliżała się wielkimi krokami także do Szkocji.

Bracia, głównie dla swego nazwiska, przyjmowani w pierwszych salonach Edynburga, twierdzili, iż są w prostej linii potomkami królewskiego rodu, o czym ma świadczyć drugi człon ich nazwiska. Nigdy jednak nie określili precyzyjnie, czy są potomkami Charliego (który resztę życia spędził w mało królewski sposób, w towarzystwie kobiet niskiego stanu i często nadużywając alkoholu), czy też Henryka, który, jak pamiętamy, został kardynałem. Jednak nie to stanowiło główny powód zainteresowania ich działalnością, najpierw wśród szkockiej elity, a następnie w pozostałych kręgach społeczeństwa. Sensację stanowiła odnaleziona rzekomo przez nich w jednym z klasztorów Portugalii, księga zatytułowana „*Vestiarium Scoticum*”.*) O ile genealogiczne bajania obu braci traktowano w Szkocji z przymrużeniem oka niemal od samego początku, to opis szkockiego ubioru, z uwzględnieniem wszystkich klanów, zarówno góralskich, jak i nizinnych, zrobił prawdziwą furorę i do dziś, choć wiadomo, że jest fałszerstwem, stanowi zabytek kultury tego kraju. Podobnym fałszerstwem okazały się w tej samej Szkocji „Pieśni Osjana” czy „Rękopis Krółodworski” w Pradze. Fałszerstwa w zbożnym celu zdają się mieć inną wagę. W każdym razie John Stuart Sobieski i jego młodszy brat Charles Edward, jako że umarli bezpotomnie, byli ostatnimi, którzy mogli się w Szkocji powołać, prawnie czy nie, na tak znakomite *pedigree* ***) – uwzględniające zarówno naszego króla Jana III, jego wnuczkę Klementynę, jak i ostatnich pretendujących do tronu brytyjskiego Stuartów. Dodatkowo, ich szlachetne fałszerstwo „rozkreśliło” szkocki przemysł tekstylny – kilt z tartanem swego klanu – który Szkot oparł by się pokusie?

Dziś związki Polski ze Szkocją są zapewne bardziej ożywione, ale akcent w nich pada raczej na sprawy ekonomiczne, a sentymenty i poszukiwanie tajemnych związków rodowodowych pozostawia się historykom i heraldykom. A poza tym niedoszła królowa Klementyna nawet z daleka nie widziała swej niedosłej ojczyzny, więc te emocjonalne nici dosyć jednak cienko zdają się być uprzedzione.

*) Teresa Stylińska – Niepodległość na wyciągnięcie ręki [w:] Tygodnik Powszechny, 24.05.11

**) Hugh A. Law: Sir Charles Wogan [w:] Journal of the Royal Society of Antiquaries of Ireland, 7th series, Vol. 7, no. 2 (Dec. 31, 1937), pp. 253-264.

***) Stefan Zabieglik: Historia Szkocji. DJ, Gdańsk 2000.

****) John Prebble: Lion In The North. Penguin, London 1981.

*****) rodowód (przyp. autora)

Dla wielu Halor to erudyty, detektyw lokalnych tradycji i benedyktyn z uporem tropiący i upowszechniający podania, powiastki, legendy, przywracający pamięci miejsca owiane niegdyś blischem niezwykłości, a potem zapomniane. Od początku istnienia pisma obecny jako autor na łamach „Śląska”, wychował spore i wierne grono czytelników, rozpoczynających lekturę miesięcznika od jego „Pejzażu mitologicznego” – cyklu powiastek historycznych, w których dzieje regionu, tak przecież bogate i urozmaicone, nabierały dodatkowego blasku, a zdarzenia sprzed wieków zyskiwały emocji, napięcia, a czasem wyjątkowości. Każdy z opublikowanych niegdyś mikroesejów, jest dziś gotowym rozdziałem do książki, która z powodzeniem pełnić by mogła rolę historycznego bedekera dla tubylców i przyjezdnych.

Twórca wszechstronny

Swoistym śladem Halora jest kilkanaście pozostawionych przez niego, prekursorskich czasem książek o folklorze regionu, m.in. zbiór podań chorzowskich „Bożogrobey i pudlarze” czy „Podania i legendy mikołowskie”, oraz niemało tłumaczeń z kilku języków (*wiele z nich nie zostało opublikowanych, przyp. red.*). Jeszcze ciekawiej wygląda spuścizna po obszarze, który przez kilka lat był dla Halora rodzajem hobby, a któremu oddawał się z zapamiętaniem i – jak zwykle – z niebywałą starannością. To kalendarze siemianowickie, ukazujące się niegdyś pod jego redakcją. Kalendarze, rzecz jasna, w najbardziej tradycyjnym i najlepszym rozumieniu, nawiązujące do formuły śląskich kalendarzy ludowych, będące dla czytelników agendą na cały rok. Każde z wydań, liczących po blisko dwieście stron, tylko w niewielkiej części przynosiło kartki terminarza i informatora. Większą objętość publikacji wypełniały artykuły dotyczące historii lokalnej, zabytków, czy atrakcji krajobrazowych, które Halor sam pisał, bądź też – za zgodą ich autorów – przedrukowywał z innych źródeł, za każdym razem uzupełniając ciekawymi, zazwyczaj archiwalnymi fotografiami lub rycinami, także swojego autorstwa. Gwoździem wydania było zaś zawsze lokalne kalendarium na każdy z dwunastu miesięcy, pamiętające o rocznicach, wspomnieniach i innych najbardziej istotnych datach. Nic dziwnego, że kalendarze Halora, których premiera miała często charakter uroczystej promocji, nie wyrzucało się wraz z końcem roku na makulaturę, tylko odkładało do szafy, gdzie w wielu domach tkwią one zapewne do dzisiaj. Dodać trzeba, że w każdym z roczników Halor pamiętał o krajanach, zamieszczając teksty również innych piszących siemianowiczanie.

Jako aktywny współtwórca co najmniej dwóch dekad polskiej kultury (1965-

W lutym miną dwa lata od śmierci Antoniego Halora. Mimo upływu czasu, jego miejsce w pejzażu kulturalnym Górnego Śląska pozostaje niezajęte. Sprawom historii lokalnej oddawał się z pasją i uporem, stając się z czasem prawdziwą kopalnią wiedzy o regionie.



Literat, znawca dziejów, miłośnik sztuki, twórca grafik, reżyser filmowy Antoni Halor w swojej pracowni.

Pasje i dzieło Antoniego Halora

MAREK KOSMA
CIEŚLIŃSKI

1990), Antoni Halor należy oczywiście do najwybitniejszych twórców pochodzących z Siemianowic Śląskich. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, niemal do końca życia aktywnie zajmował się grafiką, tworząc prace ozdabiające dziś niejedną z domów, wielokrot-

nie utrwalone w formie rysunków, ilustracji czy ekslibrisów. Każda z tych prac nie tylko wyrażała estetyczne upodobania autora, ale też nosiła zazwyczaj liczne konotacje i konteksty kulturowe, które Halor z rozmysłem stosował, czerpiąc przyjemność z szyfrowania dodatko-

wych znaczeń, stanowiących wyzwanie dla odbiorcy, usiłującego dociec, gdzie ukryta jest tajemnica.

Filmowiec

Dla wielu Halor to jednak nie tylko literat, znawca dziejów, miłośnik sztuki i twórca grafiki, ale też (bo przecież nie przede wszystkim) reżyser filmowy. Reżyser dokumentalista – dodajmy – bo fabularnych obrazów nakręcił bardzo niewiele. Już jego dwie studenckie etiudy, zrealizowane jeszcze w szkole filmowej w Łodzi, wskazywały na mocne powiązanie z rodzinnym regionem. Jedna z nich, „Wzgórze Marsa”, opowiadała o postaci powstańca śląskiego, druga – „Pożegnanie kolejki” – uważana przez miłośników wąskotorówek za film kultowy – prezentowała podróż małej lokomotywki i śmiesznych wagonów na szlaku do szybu w Bańgowie. Powstała w 1969 roku etiuda pozostaje do dziś obrazem charakterystycznym: nastrój poetyckiej ballady zrealizowanej w Eastmankolorze na szerokim, panoramicznym ekranie, przywołuje konwencję poetykę westernu, a nie dokumentalny obraz przemysłowego pleneru. Jak mawiał Halor – wnuk siemianowickiego górnika – dziecięce zabawy na łąkach kojarzyły mu się z wolnością Dzikiego Zachodu. Jego studencki film jest więc autobiograficzny i ma w dodatku wartość historyczną – rejestruje jeden z ostatnich kursów na trasie, która chwilę później została zlikwidowana. Zapisany na celuloidzie dawny, okołokopalniany obraz ma wartość cennego śladu (kto u schyłku lat sześćdziesiątych mógł przewidywać likwidację wąskich torów?), w charakterystyczny dla Halora sposób estetyzującego i mitologizującego dymiące krajobrazy, jest również ważnym śladem twórczości reżysera.

Bo też kilka filmów Halora to prawdziwe ziarna wśród plew licznej w latach siedemdziesiątych filmowej produkcji śląskiej. Jego „Słoneczko jasne zza czarnych gór” (1979) to próba dotarcia do ostatnich – którzy zostali – powstańców śląskich, spotykających się okolicznościowo na zboczach Góry św. Anny i wspominających wydarzenia sprzed lat – co reżyser pokazał w inscenizowanych aktorskich wstawkach. Podobnie zrobił też w późniejszym filmie pod znaczącym tytułem „Ulica, o której trochę wiem” – au-



Antoni Halor na planie filmu „Testament”, dokumentu o obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, opowiedzianym prozą Tadeusza Borowskiego (m.in. nagroda Srebrnego Lajkonika na festiwalu KFF w Krakowie w 1970 r., nagroda na MFF Tours w 1971 r., kopia trafiła do zbiorów Museum of Modern Art w Nowym Jorku).

tobiograficznym wspomnieniu siemianowickiego osiedla Richter, które narrator filmu, grany przez Andrzeja Lipskiego, przywołuje z odmetów pamięci. Gra w cymbargaja, gonitwy przy chlewikach, pierwsze miłosne zauroczenia – wszystko to składa się w filmie na obraz ulicy Wieczorka, która w chwili premiery (a było to w roku 1989) wyglądała inaczej niż za Halorowego dzieciństwa. Dziś, po kolejnym ćwierćwieczu, jej mieszkańcy mogą rozpoznać swoje nieobsypane jeszcze gąszczem satelitarnych anten familoki, w których drewniane okna mieniły się czerwoną farbą.

Zwraca zawsze uwagę u Halora wy-czulenie na teraźniejszość oraz konsekwentne zainteresowanie historią. Od wczesnych lat współpracujący z innym filmowcem dokumentalistą Józefem Gębskim, stworzył z nim dobry zawodo-

wy tandem, zgłębiający tajniki kultury, w tym folkloru. Podpisany przez obydwu pełnometrażowy „Opis obyczajów” (1972) był poetycką, choć zorganizowaną na podobieństwo eseju, opowieścią o zmianach zachodzących na świętokrzyskiej wsi, której współczesne życie przeplata się z upiorami przeszłości.

Zamiłowanie do poezji, a zwłaszcza pewna nuta liryczna w filmowej robocie, doszły najpełniej do głosu w pełnometrażowym, inscenizowanym filmie dokumentalnym „Siedem zegarków Gustawa, czyli eremita skoczowski Morcinek” (1987). Jego scenariusz został opublikowany w roku 1982 roku w opracowanym przez Krystynę Heską-Kwaśniewicz i Jana Malickiego tomie „W kręgu Gustawa Morcinka”, jako że obraz porusza liczne wątki z biografii autora „Wyrąbanego chodnika”, a oparty został na prywatnej korespondencji pisarza. Czegoż w tym scenariuszu

(i filmie) nie ma: Czarna Julka, dymiące kominy karwińskich kopalń, beskidzcy zbójnicy i kopidół Joachim Rybka – czyli ulubione motywy bohatera opowieści. Do tego pięknie zrealizowane sceny aktorskie – niestety, nakręcone jedynie na taśmie filmowej 16 mm, co czyni dziś film praktycznie niedostępnym dla widzów. I choć obecnie film „Siedem zegarków...” oprócz walorów etnograficznych, kulturowych, ale i sentymentalnych – przynajmniej dla najstarszego pokolenia Ślązaków, mógłby stanowić świetny materiał dydaktyczny w edukacji regionalnej, przez wiele lat żadna z telewizji nawet nie próbowała o jakiejś śródnocnej porze filmu pokazać. Tym samym najważniejszy film Halora pozostaje znany tylko bardzo nielicznym widzom.

Trochę więcej szczęścia mają dokumenty, przypominane od czasu do czasu przez stację telewizyjną Kino Polska. „Jacht”, „Odyseusz” czy „Adam i Ewa” są spojrzeniem reżysera na współczesność regionu i to, co wydaje mu się ciekawe i ważne. Czasem, jak w wypadku filmu „Czekanie” (1980), jest to obraz grupy ekspedycyjnej z Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu, próba oswojenia niezwykle ciekawych, a szerzej nieznanym elementom śląskiego świata; w innym filmie, „Człowiek z łaską, czyli portret człowieka praktycznego” (1978), odważny portret odsuniętego już od władzy Jerzego Ziętka, w którym reżyser dostrzega nie tylko byłego wojewodę, ale i człowieka z krwi i kości.



„Człowiek z łaską, czyli portret człowieka praktycznego” (1978), odważny portret odsuniętego już od władzy Jerzego Ziętka (wyróżnienie na festiwalu w Krakowie i Nagroda Główna w Łodzi w 1979 r.). Na zdjęciu Antoni Halor i Jerzy Ziętek w chorzowskim parku.

Ten film, zrealizowany niejako „pod prąd”, i odległy od oficjalnych relacji z telewizji lub Polskiej Kroniki Filmowej, do dziś dźwierży palmę pierwszeństwa i jest punktem odniesienia dla kolejnych reżyserów. Całości dorobku dopełnia kilka reportaży, także na tematy kulturalne, które reżyser realizował konsekwentnie w warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych.

Wpisany w Śląsk

Mimo związków ze stolicą, w której jako reżyser dokumentalista odnosił swego czasu zauważalne sukcesy, Halor nie zerwał nigdy związków ze Śląskiem, skąd wyjechał niegdyś na studia do łódzkiej filmówki. Mając już znaczącą pozycję w branży, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w katowickim ośrodku telewizyjnym zrealizował kilka spektakli teatru telewizji. Do dziś w archiwach Telewizji Katowice zachowały się np. spektakle „Lizystrata”, „Wędrowniki mistrza Kościeja” czy „Teresa Raquin”, robione ze sporym rozmachem i z udziałem aktorów „warszawskich”, m.in. Zofii Saretok, Grażyny Barszczewskiej, Bronisława Pawlika, Andrzeja Kopiczyńskiego czy Mieczysława Czechowicza. I choć niełatwo w to uwierzyć, bo pamięć bywa zawodna, przed laty Antoni Halor należał do bardziej popularnych śląskich filmowców, a jego filmy pokazywano w wypełnionej do ostatniego miejsca sali kina Rialto, o czym dziś poświadczają pozostałości gazety.

W późniejszych latach życia, po wycofaniu się z czynnego uprawiania zawodu filmowca, Halor – niczym eremita – zamknął się w sobie. Skryty introwertyk, wymagał wiele wobec siebie i innych, co sprawiało, że nie zawsze był partnerem łatwym. Nie rozbudowywał kontaktów, ale też nie odgradzał się od świata, obserwując z zaangażowaniem współczesną sztukę, pasjonując się zwłaszcza muzyką klasyczną. Spora



Podczas realizacji filmu „Siedem zegarków Gustawa” – pełnometrażowego, fabularyzowanego dokumentu o Gustawie Morcinku (I nagroda ZWSD „Epoka” w 1987 roku).

niespodziankę zgotował znajomym i przyjaciółom rozprawą doktorską, do której obrony, na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego, przystąpił w wieku 67 lat, będąc zapewne jednym z najstarszych doktorantów w dziejach nauki polskiej. Do dziś jednak jego dysertacja dotycząca wybranych mitów w kulturze śląskiej, niewątpliwie wypełniająca istotną niszę i lukę w literaturze regionu, nie doczekała się wydania.

Niejednokrotnie nagradzane w kraju i zagranicą filmy Halora dziś zalegają na archiwalnych regałach. Nie-

wiele osób wie, że jeden z nich – inspirowany prozą Tadeusza Borowskiego „oświęcimski” dokument „Testament” (1969, zrealizowany wspólnie z Gębskim) – został niegdyś włączony do zbiorów nowojorskiego Museum of Modern Art. Był to jeden z pierwszych amerykańskich sukcesów filmowców ze śląskim rodowodem.

O reżyserze „Siedmiu zegarków Gustawa...” pamiętają władze rodzinnego miasta, które w bieżącym roku nazwały jego imieniem skwer przy ulicy Katowickiej, niedaleko miejsca, w którym dawno temu mieszkał. Autor „Pejzażu mitologicznego” stał się tym samym obecny w „niemitologicznym”, materialnym wymiarze krajobrazu Śląska. To wzorcową inicjatywa, i aż chce się pomarzyć o dalej idącym pomysle: upamiętnienia Halora w centrum Siemianowic swoistym pomnikiem – nie ze spiżu! – niewielką rzeźbą starca w okularach, który w nieodłącznym, założonym na bakier berecie, pykając z fajki, przygląda się swojemu ukochanemu miastu. Byłby to może początek interesującej galerii wartych upamiętnienia postaci, ale też dodatkowy „śląd na ziemi”, obok co najmniej kilku, jakie pozostawił po sobie sam twórca.



Antoni Halor (pierwszy z prawej) z ekipą filmową na planie filmu „Ulica, o której trochę wiem” – autobiograficznego wspomnienia siemianowickiego osiedla Richter (1989 r.).

Redakcja dziękuje p. Bogumile Hrapkowicz-Halorowej za udostępnienie zdjęć z rodzinnego archiwum.

Z dr hab. BEATĄ GAJ, adiunktem w Katedrze Cywilizacji Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Opolskiego, autorką książki „Ślązaczka. Pomiedzy *rustica grossa* i *Pallas Silesiae* – portret kobiety w literaturze łacińskiego Śląska”, rozmawia MARIAN BUCHOWSKI



Białogłowa umysłowa

– Czy obraz dawnej Ślązaczki, rekonstruowany na podstawie źródeł pisanych elitarnym językiem łacińskim, nie jest aby obrazem, do którego pozwalały wyłącznie księżniczki, zakonnice, kandydatki na święte czy błogosławione oraz ekscentryczne dziwaczki z wyższych sfer?

– Na Śląsku język łaciński znały i posługiwały się nim osoby z niemal wszystkich warstw społecznych. Obok Chorwacji, właśnie na Śląsku najdłużej, bo aż do końca XVIII wieku mówiono po łacinie. Posługiwano się nią nie tylko

w kościołach, ale także w urzędach, szkołach oraz podczas przedstawień teatralnych dość szeroko dostępnych społecznie. W Złotoryi, w pierwszej połowie XVI wieku, uczniowie szkoły Trozendorfa byli nawet karani za komunikowanie się, zamiast po łacinie, w językach narodowych. Na wielokulturowym Śląsku łacina była językowym spoiwem, przysłańiała zróżnicowanie narodowościowe, utrudniała forowanie którejs z nacji.

– Przeciętny polski kinoman śląską kobietę zna z filmów Kazimierza Kutza. Jest to na przykład Wichta z „Per-

ty w koronie” – jak w święty obrazek zapatrzona w męża i myjąca mu nogi, albo Fela z „Zawróconego” – taki żeński robot kuchenny przytulający gamoniowego męża do bujnej piersi. A jaką Ślązaczkę widać w badanych przez panią źródłach?

– Kazimierz Kutz, który jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych w Polsce Ślązaków, jest też artystą i ma prawo do swojego, bardzo subiektywnego widzenia Śląska. Nie kwestionując artystycznej jakości tych filmów, trzeba jednak pamiętać, że mimo woli i prawdopodobnie wbrew intencjom twórcy, upowszechniają one Śląsk ograniczony do jednego tylko, plebejskiego wymiaru (złośliwi mówią nawet, że utrwalają w Polsce obraz Śląska sprowadzany do tzw. „kultury krupnioka”, a Ślązaków jako przygłupów, którym dopiero Polska miała przynieść kulturę). Warto dodać, że swego czasu Niemcy lansowały podobną propagandową tezę w odniesieniu do Śląska. Tymczasem prawda o kulturze Śląska jest zdecydowanie inna, z pewnością niejednoznaczna i wyłania się ona z wielu podejmowanych obecnie przedsięwzięć badawczych, popularyzatorskich czy artystycznych, do jakich należy m.in. wydawana pod redakcją prof. Joanny Rostropowicz encyklopedia „Ślązacy od czasów najdawniejszych do współczesności” (obecnie cztery tomy) i dużo innych. Dzięki nim widać jak wielu wybitnych, o światowej sławie ludzi wyszło z tego regionu, jak wielkie rzeczy się tu działy. Natomiast „Perła w koronie” Kazimierza Kutza to przecież, oprócz planu historycznego, także film o miłości, więc owo mycie nóg ma tu także symboliczny wyraz, którego nie można sprowadzać do „poddąństwa w służbie higieny”. Kutz pokazuje wyłącznie swoją prawdę o Śląsku i śląskiej kobiecie. Z łacińskich źródeł dotyczących Śląska, będących przedmiotem moich badań, wyłaniają się obrazy kobiet, którym nie wystarcza zaszczyt tkwienia u boku męża. Owszem – piorą, gotują, troszczą się o dzieci, ale także myślą abstrakcyjnie. Ale myślenie nie jest fotogeniczne, trudno je przełożyć na filmowy obraz. Tymczasem myślących, mądrych kobiet również na tym Śląsku sprzed wieków – nie brakowało.

Nie jest sprawą przypadku, że patronką Śląska uczyniono św. Jadwigę, która była nie tylko pobożna i skłonna do poświęceń, ale także mądra i – jak na tamte czasy – bardzo wykształcona, doceniająca rolę edukacji, sprowadzająca z Niemiec do śląskich klasztorów uczonne zakonnice. Albo druga z ważnych na Śląsku postaci kobiecych – św. Katarzyna. W popularnych na Śląsku łacińskich oracjach ku czci tej świętej niejednokrotnie podkreślano, że w różnych sytuacjach pokonywała męzczyzn przewagami intelektu. Związany z Krakowem Ślązak Wawrzyniec Korwin (Laurentius Corvinus), na początku XVI wieku, w jednym ze swych utworów zachęcał dziewczęta nawet do rywalizacji (!)

z chłopcami także w posługiwaniu się rylcem pisarskim. I one do tej rywalizacji chętnie i skutecznie zaczęły stawać.

Śląskie mężatki – a być może jest to cecha wszystkich żon, niezależnie od regionu – były (i są do dziś) w gruncie rzeczy autorkami wielu trudnych, ważnych i odważnych decyzji życiowych, wyręczając w tym mężów paraliżowanych często rozterkami, hamletyzowaniem albo zwykłym strachem. Przywołam przykład znacznie późniejszy, ale wyrosły z tradycji ugruntowanej w czasach, o których rozmawiamy. Zachował się opis strajku, do jakiego w okresie Kulturkampfu przystąpiły kobiety, a dokładniej – ów strajk zainicjowały. Był to protest przeciwko narzucaniu przez Berlin państwowych kaznodziejów. I w rezultacie tego protestu w trzech miejscowościach (dzisiejsza Leśnica, Kędzierzyn-Koźle i Strzelce Opolskie) kościoły, za sprawą kobiet, z dnia na dzień opustoszały. Naoczny świadek, hrabianka Valeska von Bethusy-Huc, zanotowała: *Dla naszej katolickiej ludności nastały ciężkie czasy. W trzech sąsiednich miasteczkach (...) proboszczów zastąpiono tzw. państwowymi duchownymi. Ludzie uważali, że to ciężki grzech słuchać ich i przystępować u nich do spowiedzi. Najbardziej wojownicze okazały się znowu kobiety. Groziły mężom, że ich opuszczą, jeśli ci pójdą do kościoła, gdzie jest „państwowy” proboszcz! Dzieci zanosili do chrztu do odległych miejscowości albo też w ogóle ich nie chrzcili. Na nabożeństwa chodzili tylko urzędnicy – kościoły świeciły pustkami.*

– **Zapominacie, szanowne panie, że to mężczyźni musieli najpierw mieć odwagę i ochotę do zmierzenia się z odwiecznym, niemal biblijnym stereotypem i patriarchalnym porządkiem świata, rezygnując dobrowolnie z dominującej roli usankcjonowanej także przez chrześcijaństwo. Średniowieczny kaznodzieja, Peregryn z Opola...**

– Różnie na przestrzeni wieków z tą wspaniałomyślnością mężczyzn bywało i można dyskutować, na ile to mężczyźni zobaczyli korzyść dla siebie w partnerskim traktowaniu kobiety, a ile w tym zasługi samych kobiet, wytrwale torujących sobie drogę do partnerstwa. Zresztą ta droga do dziś nie wszędzie jest wystarczająco prosta i szeroka. Peregryn z Opola, ten średniowieczny kaznodzieja, którego pan przywołał, owszem, jak na średniowieczne standardy jest dość nietypowy, bo przykazuje mężowi kochać żonę, choć zazwyczaj taką powinnością obarczano wyłącznie żonę. W jednym z kazań podsuwa nawet żonom pomysł, w jaki mogłyby zadbać o własne interesy bez konieczności otwartej walki: „Frauenkrieg”, jak to nazywa, z mężami. Wykorzystując obserwacje ze świata przyrody, a konkretnie obyczaje wiewiórek, które drążą czasem z dwóch stron tunel do wspólnych zapasów, zachęca śląskie kobiety, aby starały się znaleźć własny dostęp do wspólnego majątku... Mają być po prostu sprytniejsze, nie tracąc jednak z oczu wspólnego dobra, jakim jest rodzi-

na. Peregryn wyraźnie staje tu po stronie kobiet, docenia ich intelekt, życiową mądrość.

Wprawdzie to, o czym powiem za chwilę, jest efektem długotrwałego procesu, ale przecież nie jest sprawą przypadku, że właśnie na Śląsku do kobiecych atutów coraz powszechniej zaczęto także zaliczać mądrość, wiedzę, intelekt. To na ówczesnym Śląsku w roku 1610, po raz pierwszy w historii Europy, ukazał się drukiem „Katalog uczonych dziewcząt i kobiet” (*Catalogus doctarum virginum et feminarum*), autorstwa pochodzącego spod Wrocławia Georgiusa Martina. Jest to opis naukowych dokonań 77 niewiast, a więc postawienie akcentu nie na dotychczas honorowanych atutach kobiecych, takich jak pobożność, opiekuńczość, uroda, czy mycie nóg mężowi, ale pokazanie intelektualnych osiągnięć kobiet. „Katalog” jest zdecydowanie awangardowy, bo nie nawiązuje ani do Boccaccia z jego „kobietami słynnymi” ani do Kochanowskiego z „paniami mężnymi”, co to za męża oddały życie. Na Śląsku wszystkie inne atuty kobiece podporządkowane są kryterium uczoności, intelektu. Może dlatego jakiś lepszy klimat dla swej pracy naukowej miała tu, pochodząca ze Świdnicy Maria Cunitia, XVII-wieczna astronomka, która opiewana była w łacińskich wierszach jako *Pallas Silesiae*, czyli Śląska Atena, a jej nazwiskiem oznaczono po wiekach jeden z kraterów na planecie Wenus. Wieki XVII i XVIII to na Śląsku wysyp kobiecych indywidualności, także pisarskich, m. in. Christina Conrad, Ester von Baruch, Marianne von Bressler, Dorothea Eleonora von Rosenthal, Elizabeth von Senitz, Dorothea Sophia von Trach...

– **Czy przypadkiem to nie ta literatura, tak oficynie tworzona przez kobiety, wykorzystująca pisarskie prawo do koloryzowania, przyczyniła się w istotnym stopniu do zbudowania mitu anielskiej Ślązaczki?**

– „Mit anielskiej Ślązaczki” pojawi się później, w literaturze XIX-wiecznej. „Anielska Ślązaczka” to patriotka potrafiąca organizować otoczenie wokół wyznawanych przez siebie idei, krzewicielka polskości. Badacze zajmujący się tym zagadnieniem nazwali ten mit polonofilskim. Ja sądzę, że wpisana weń umiejętność samoorganizacji, konsekwencja w działaniu, wierność przekonaniom, były pochodną tego, co działo się na Śląsku we wcześniejszych wiekach, a co objawiało się pozadomową aktywnością i samodzielnością kobiet, także tych z najniższych warstw społecznych.

– **Jak więc wyglądałby taki rysopis Ślązaczki, sporządzony na podstawie źródeł w języku łacińskim? W zakończeniu swej książki napisała pani: „Na utrwalony w literaturze i przenikający do życia codziennego wizerunek Ślązaczki wpływ miały przede wszystkim trzy podstawowe modele osobowości: pełna poświęcenia, pobożna żona, matka i społecznica (św. Jadwiga Śląska) oraz również pobożna, lecz pokonująca męż-**

czyn swym intelektem (św. Katarzyna), wreszcie osoba łącząca w rzeczywistej biografii dwa te modele – Maria Cunitia ze Świdnicy, siedemnastowieczna śląska astronomka, opiewana w śląskich wierszach po łacinie jako *Pallas Silesiae*”.

– Oczywiście nie da się sporządzić jakiegos jednego, syntetycznego wizerunku, ani opracować uniwersalnej charakterystyki dotyczącej społecznej roli Ślązaczki na przestrzeni kilku wieków. Choć nadmienić wypada, że istniał literacki opis – ideał Ślązaczki, autorstwa mojego ulubionego śląskiego poety Caspara Ursinusa Veliusa. Idealna Ślązaczka posiada urodę Venus-Afrodyty, zdolność wysławiania się niczym bogini Przekonywania i Namowy Sauda-Peitho, dojrzałość najwyższej postawionej w hierarchii Muz – Kalliope, umysł doradczyzny Zeusa – Temidy i zręczne dłonie Minery-Ateny. Krótko mówiąc, to do niej, jako wzorca, należy dołączyć słynne trzy Charyty – boginie wdzięku i starożytne ideały kobiecości. Co zaskakujące, portret Ślązaczki, tworzony na podstawie współczesnej analizy literatury łacińskiej Śląska, w wielu miejscach zbliża się do owego ideału. Na średniowiecznym Śląsku znaczenie kobiety bardzo wzrosło dzięki Jadwidze – mądrej, wykształconej, o której ówczesni historycy pisali, że „dała Śląskowi kulturę”, a to naprawdę mocne słowa jak na owe czasy. Podczas zaś europejskiej dyskusji nad rolą kobiety w rodzinie i społeczeństwie, dyskusji obejmującej wieki XVI i XVII, powstaje nie tylko przywołany tu już „Katalog uczonych dziewcząt i kobiet”, ale także – przypisywany Valensowi Acidaliusowi – traktat parodiujący tezę, że kobiety nie są ludźmi (*Mulieres homines non esse*), nie wszędzie jednak jako parodia odebrany i prowokujący wiele dyskusji na temat kobiet. Wieki późniejsze, będące okresem wciąż jeszcze obfitującym w literacką twórczość po łacinie, zwłaszcza w bardzo żywotny łaciński teatr szkolny, dostępny widzom w większości śląskich miast, charakteryzują się także rodzajem swegoistego przenikania: różnorodne typy kobiecych osobowości, zaludniające ówczesną twórczość literacką, brane są z realnej rzeczywistości, funkcjonują w autentycznych realiach epoki; ale jest równocześnie i tak, że literackie bohaterki, ich postawy, poglądy i zachowania są – niekoniecznie świadomie – przenoszone do rzeczywistości i codziennego życia śląskich kobiet. Ten rodzaj dwustronnej zależności, powiązań i wpływów dotyczy zresztą nie tylko kobiet, nie tylko Śląska, i nie tylko czasów odległych. By zawrzeć tę myśl w jednej tylko łacińskiej sentencji: *Omnia mutantur, nihil interit*, czyli wszystko się (rzekomo?) zmienia, ale nic nie ginie. I tę myśl chciałabym zadeptykować przede wszystkim współczesnym Ślązaczkom i Ślązakom, czyli wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób czują się związani z tym regionem.

– **Dziękuję za rozmowę.**



Chór pod batutą dyrygenta Wojciecha Gwiszcza

100 lat chóru „Hejnał”

KAROL RAFAŁ
BULA

Kiedys była w tym miejscu rozległa polana. Dziś jest zabudowaną dzielnicą, na skraju której zaczynają się lasy ciągnące się z małymi przerwami aż po samą Pszczynę. Mowa o Zadolu na południowym krańcu Katowic. Tu u progu XX wieku odbywały się pierwsze zjazdy polskich kół śpiewaczych na Górnym Śląsku. I to tu w kościele Matki Bożej Różańcowej Chór Męski „Hejnał” w sobotę 12 maja świętował jubileusz 100-lecia narodzin.

W chwili powstania Chór był zespołem mieszanym i nosił symboliczną nazwę „Jutrzenka” – nazwę mającą zwiastować mieszkańcom Piotrowic i Ligoty lepszą przyszłość w wyzwolonej Polsce. Cztery miesiące po rozpoczęciu działalności, 1 września 1912, na III Zjeździe Śląskich

Kół Śpiewaczych miał on swój pierwszy występ, w którym zabrzmiała m. in. opracowana na chór pieśń *Życzenie* Fryderyka Chopina.

Działalność Chóru przed 1. Wojną Światową nie koncentrowała się na śpiewie. Zarząd organizował odczyty o treści patriotycznej – m.in. o konieczności pielęgnowania mowy polskiej, organizował kursy języka polskiego, zainicjował założenie polskiej biblioteki publicznej w Piotrowicach, dbał o akcentowanie ważnych rocznic historycznych itp. Członków Chóru nie zrażały represje ze strony władz i ludności proniemieckiej. Nawet do kuczliwe kary pieniężne za nielegalną działalność i konieczne częste zmiany miejsc spotkań, a także dyrygentów nie zniechę-

cały ich w pełnieniu „patriotycznej powinności”. Z 30 mężczyzn zrzeszonych w Chórze 22 wzięło udział w powstaniach śląskich, pięciu z nich poległo na polu chwały.

Po III Powstaniu Śląskim zmieniła się sytuacja śląskich kół śpiewaczych. Zabrało motywacji, jaką dla wielu była walka o wyzwolenie narodowe. Towarzystwa śpiewacze utraciły wielu aktywnych działaczy, którzy w tym widzieli zasadniczy sens pracy w chórach. Ten proces dotknął również „Jutrzenkę”, która przez szereg następnych lat przeżywała wyraźny kryzys. Z czasem odzyskała swą pozycję. Na VIII Zjeździe Okręgowym w czerwcu 1929 roku Chór „Jutrzenka” zdobył najwyższy laur, pozostawiając w pobitym polu wiele chórów o znacznym dorobku. Odżyło też życie towarzyskie wśród zespołu. Organizowano teatryzki, zabawy gwiazdkowe, wycieczki krajoznawcze.

Chęć zachowania wysokiej pozycji, przy malejącej z roku na rok liczbie dobrych głosów żeńskich, zdecydowała o tym, że w 1935 roku Chór stał się zespołem męskim i przyjął nową nazwę „Hejnał”. Praca nad przyswojeniem sobie adekwatnego repertuaru zaczęła z czasem przynosić wymierne rezultaty. 21 maja 1939 na zawodach okręgowych w Mikołowie Chór „Hejnał” zdobył I miejsce w kategorii chórów męskich.

Rozwój Chóru przerwany został jednak brutalnie przez II Wojnę Światową. Zawiesił on swą działalność, zginęło kilku jego członków, zniszczone zostało archiwum i biblioteka muzyczna. Niedługo po wyzwoleniu Katowice Chór wznowił działalność i wnet osiągnął najwyższą lokatę wśród górnośląskich chórów męskich. Rozpoczęta w 1951 roku współpraca

z Katowicką Rozgłośnią Polskiego Radia mobilizowała zespół i jego dyrygentów do podejmowania zadań artystycznie coraz bardziej ambitnych. Pielęgnowane wcześniej patriotyczne i towarzyskie pieśni nie zostały wprawdzie zarzucone, ale włączenie się w nurt szeroko pojętego ruchu śpiewaczego zaowocowało zauważalnym wzbogaceniem repertuaru. Obok pieśni Moniuszki, Niewiadomskiego, Małkiewicza, Nowowiejskiego i innych polskich twórców pojawiły się w nim pozycje Schuberta, Brahmsa, Wagnera, Verdiego, Smetany, wreszcie Kerna i Gershwin, a także utwory współczesnych kompozytorów: Kazimierza Serockiego, Józefa Świdra, Romualda Twardowskiego, Jana Wincentego Hawela. Obok pieśni *a cappella* wykonywano też utwory z akompaniamentem fortepianu lub organów. Znalazły się w nim pozycje oratoryjno-kantatowe, msze, fragmenty operowe. 21-22 XII 1956 Chór wziął udział w koncertach Państwowej Filharmonii Śląskiej pod dyрекcją Andrzeja Markowskiego w Katowicach i Bielsku wykonując *Rapsodię opus 53* Johanna Brahmsa, a 29-30 maja 1970 w prawykonaniu *Piosenki o Wicie Stwoszu* Józefa Świdra na chór męski i organy. Sięgano też częściej po pozycje z okresu polskiego renesansu i baroku. Zwłaszcza pod kierownictwem dwóch oddanych Chórowi dyrygentów – Mariana Kubicy (1946-1963) i kompozytora Jana Wincentego Hawela (1963-1981), przyszłego rektora Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, Chór osiągnął bardzo wysoki poziom artystyczny zdyskontowany cennymi nagrodami i wyróżnieniami. Początkowo związany z Piotrowicką Fabryką Maszyn, „Hejnał” od 1963 roku pozostaje pod opieką Zakładowego Domu Kultury Kopalni „Wujek”, znany był już nie tylko w swoim regionie. Oklaskiwano go w Poznaniu, Bydgoszczy, Warszawie, Kołobrzegu, Wrocławiu, Olsztynie, Piotrkowie Trybunalskim. Jego śpiew rozbrzmiewał coraz częściej w audycjach radia i telewizji. Gdy po odejściu J. W. Hawela z Chóru i kilku latach pracy z kilkoma dyrygentami w 1987 roku funkcję dyrygenta powierzono absolwentce katowickiej Akademii Muzycznej Ramonie Kuźnik-Glenszczyk (1987-2007) obszar ekspansji Chóru „Hejnał” objął także zagranicę. Wywiczono wiele utworów chóralnych w języku niemieckim, włoskim i angielskim. Chór koncertował w Passau, Linzu, Wiedniu (w kościele na Kahlenbergu) w Austrii, Czechach Budziejowicach, Karwinie w Czechach, w Essen, Gelsenkirchen i Lipsku w Niemczech, a nawet w Monte Carlo i Watykanie. Nigdy nie zaniedbywano przy tym polskich ośrodków, szczególnie tych, w których odbywały się prestiżowe uroczystości kościelne np. w czerwcu 1983 roku „Hejnał” wystąpił w wielkim chórze śląskich śpiewaków na płycie lotniska Muchowiec z okazji przyjazdu papieża Jana Pawła II do Katowic w ramach drugiej pielgrzymki do Ojczyzny, później na Jasnej Górze w Częstochowie, w Bazylice



Podczas uroczystości z okazji 100-lecia Chóru „Hejnał”. Na zdjęciu od lewej: Zbigniew Kowalski, dyrygent Wojciech Gwiszcz, prezes Janusz Trzcionka, wiceprezydent Katowic Krystyna Siejna i Leonard Brzoza

pw. Krzyża Św. w Warszawie i wielu miastach śląskich: 26 kwietnia 1994 roku wziął udział w koncercie z okazji Tygodnia Muzyki Sakralnej im. Grzegorza Gorczyckiego w Bytomiu-Łagiewnikach, w grudniu 1997 roku w uroczystościach 760-lecia miasta Krzywina k/ Leszna, uczestnicząc we mszy św. odpustowej w kościele św. Mikołaja a następnie dał kilka małych koncertów w okolicznych sanktuariach Lubina Gostynia, w październiku 2001 roku Chór pielgrzymował do Sanktuarium Bolesnej Królowej Polski w Kalkowie-Godowie w woj. świętokrzyskim i wziął udział w okolicznościowym koncercie pieśni sakralnych, 16 grudnia 2001 roku, w 20. rocznicę dramatycznych wydarzeń w Kopalni „Wujek” „Hejnał” śpiewał na Mszy św. za tragicznie zmarłych 9 górników w kościele pw. Podwyższenia Krzyża, w czerwcu 2005 roku w uroczystej mszy św. w kościele Bożego Ciała w Oleśnie, 3 grudnia 2006 roku brał udział w transmitowanej przez Polskie Radio na cały kraj liturgii mszy św. „Barbórkowej” w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Św. w Katowicach-Brynowie, itd.

Trudno byłoby wymienić wszystkie zaszczyty – plon długoletniej działalności jubilata. Ograniczę się do kilku: Udział w uroczystościach 40-lecia III Powstania Śląskiego i 1000-lecia Państwa Polskiego (1961), koncert galowy z okazji VI Światowego Kongresu Związków Zawodowych, (1965), Centralne Dożynki w Olsztynie (1978) i Piotrkowie Trybunalskim (1979), Zjazd Chórów Słowiańskich w Katowicach (1998), zbiorowy Chór we Mszy Świętej celebrowanej przez papieża Jana Pawła II w Katowicach (1999), uroczystość 20. rocznicy pacyfikacji Kopalni „Wujek” (2001) itp.

Chór zdobywał srebrne i złote laury na wielu przeglądach okręgowych, zajął też I miejsce w Ogólnokrajowym Przeglądzie Amatorskich Zespołów Chóralnych Polski Południowej (1967), I miejsce na I Ogólnopolskim Festiwalu Pieśni i Piosenki Górniczej (1968), tytuł „Zasłużony dla NSZZ Solidarność KWK Wujek”

(2001), Honorową Odznaką „Złota z Wieńcem Laurowym”, przyznaną przez Zarząd Główny Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie, Nagrodę Ministra Kultury za zasługi w upowszechnianiu kultury (2001), II nagroda w kategorii chórów jednorodnych na II Ogólnopolskim Festiwalu Chóralnej Pieśni Maryjnej w Częstochowie (2008), I miejsce a dyrygent W. Gwiszcz specjalne wyróżnienie na Festiwalu Pieśni Eucharystycznych „O SALUTARIS HOSTIA” (2008). Na jubileuszowej uroczystości 100-lecia, sztandar Chóru „Hejnał” udekorowano Złotą Odznaką Honorową z Brylantem.

W „Hejnale” śpiewa obecnie 32 chórzystów (17 tenorów i 15 basów). Choć nie są to śpiewacy młodzi – przeciętna wieku to ok. 70 lat, są pełni werwy i entuzjazmu, oddani bez reszty swej sztuce. W czasie mszy w uroczystości jubileuszowej pięknie wykonali *Mszę łacińską* W. Lachmana, a na uroczystym przyjęciu w siedzibie Chóru nie zabrakło okazjonalnych śpiewów i gratulacji muzycznych Chóru Mieszanego „Fermata” z Katowic-Piotrowic. Był też występ solowy, Chór bowiem od najdawniejszych czasów zapraszał do siebie wybitnych artystów śląskich – wśród nich laureatów Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina – Lidę Grychtołównę i Józefa Stompla. Tym razem z utworami Mistrza wystąpiła wdowa po zmarłym śpiewaku „Hejnału” prof. Maria Uszokowa.

Wśród wielu listów gratulacyjnych od zaprzyjaźnionych chórów znalazły się list ZG Śląskiego Związku Chórów i Orkiestr oraz list prezydenta Miasta Katowice Piotra Uszoka, który, dziękując zespołowi za jego działalność i gratulując jubileuszowi 100-lecia, podkreślił, że „Chór „Hejnał” jest jednym z najstarszych i najaktywniejszych chórów na Śląsku” i nazwał go „artystyczną wizytówką Katowic”.

Pozostaje życzyć jubilatowi dalszych sukcesów, a jego członkom niesłabnącej energii w pielęgnowaniu pięknej sztuki śpiewu chóralnego.



Emocje kształtują oblicze miast

Jest słoneczne popołudnie. Pomnik Trudu Górniczego w Katowicach. Kilkunastu amatorów deski i rolek oddaje się swojej pasji. Wszystkie rampy, poręcze i wyskocznie są oblegane przez skaterów. Nie wiadomo czy miejsce to dalej cieszyłoby się taką popularnością gdyby nie doszło do porozumienia między urzędnikami a amatorami deskorolkowego szaleństwa. To pozytywny przykład na organizację przestrzeni publicznej.

W innym miejscu rodzice wraz z dziećmi obiegają park im. Alojzego Budnioka w Katowicach. W cieniu wysokich drzew zorganizowano urządzenia do fitnessu oraz miasteczko drogowo. Wokół jest zielono, są skwery i zieleńce. Na ławkach odpoczywają dorośli patrząc jak ich pociechy korzystają z placu zabaw. Plac przyciąga wszystkie grupy wiekowe. Obecny swój wygląd park zawdzięcza konsultacjom mieszkańców Koszutki z urzędnikami. Rozmowy dały pozytywny skutek.

Istnieją jednak miejsca, które jakby były przeciw ludziom. Niegościnne, sprawiają wrażenie jakby nie zależało im by ktoś tam przebywał. Ludzie nie myślą tam by się zatrzymać, porzucić się lub pospacerować. Przeciwnie. Pozostawienie tam irytuje, mobilizuje do przyjęcia bojowej postawy lub ucieczki. Pewnego razu usłyszałem ciekawą opinię na temat śródmieścia Katowic. „Tutaj wszyscy tak pędzą... Przebiegają od przystanku do przystanku”. I rzeczywiście tak było. Ludzie zmierzali do pracy lub do domu pokonując odcinek od dworca poprzez ulicę 3 Maja do rynku lub od dworca poprzez Stawową do przystanków przy ulicy Piotra Skargi. Być może planowana przebudowa rynku i ulicy 3 Maja połączona z budową nowego dworca zmieni ten „przelotowy” charakter ulic. Takie nadzieje zawsze wiążą się z przestrzeniami publicznymi.

Co jakiś czas, do wiadomości publicznej przedostaje się informacja o nowych planach organizacji przestrzeni danego miejsca. Czasem jest to tylko niewielka renowacja lub modernizacja a czasem całkowita przebudowa.

Można poszukiwać coraz to trafniejszego epitetu, jednak prędzej czy później dojdziemy do następującej konkluzji: nie ma wielkiej architektury bez emocji. Nie ma działań urbanistycznych, które nie byłyby związane z naszą percepcją, odczuwaniem i przetwarzaniem rejestrowanych

przez nas doświadczeń. Emocje dotyczą każdego z nas. Prawda jest, że z różną intensywnością. Dlatego każda wizualizacja nowego rozwiązania wzbudza eksplozję przeróżnych reakcji.

Tak wiele czynników może decydować o pozytywnym odbiorze danego miejsca, że zapewne przy projektowaniu danego miejsca zawsze trzeba dokonywać wyborów. Czasem trudnych. Nie zawsze ta trudna sztuka udaje się. Niemniej jednak, jest to możliwe. Nie brakuje przykładów dobrego planowania, nawet z naszego podwórka. Łatwo je rozpoznać. Gdy zbliża się wieczór oraz nadchodzi dni wolne od pracy spotkamy tam grupki swobodnie przechadzających się mieszkańców. Te miejsca żyją również i z tego powodu, że życie mieszkańców może być tam realizowane na najbardziej podstawowym poziomie. Tak dzieje się w mniejszych miastach naszego regionu. Dobrym przykładem jest Mikołów. Tam rynek ma formę zamkniętą. Dzięki temu zabiegowi można odcisnąć wrażenie, że wytwarza się tam atmosfera intymności i bliskości. W pewien sposób przyczynia się do powstawania interakcji między użytkownikami tej przestrzeni. W naturalny sposób rodzą się przeróżne więzi społeczne. Często bardzo bliskie.

Oczywiście nie ma mowy o identyfikacji z danym miejscem wszystkich użytkowników, jeśli dane miejsce ma skalę i oddziaływanie znacznie większe niż lokalne. Dlatego skala danego miejsca jest również ważna.

Przykład Katowic z wielu względów jest poligonem doświadczalnym dla specjalistów wielu dziedzin. To przestrzeń, w której nie utrzymała się pierwotna koncepcja przestrzennego zagospodarowania. Wielokrotnie modyfikowana, często w sposób gwałtowny, doświadczała przededefiniowaniu społecznych, regionalnych i gospodarczych elementów tego miejsca. Podobnie nadanie Katowicom miana regionalnej stolicy w sposób znaczący wpłynęło na charakter miasta. Powstanie wielu urzędów i instytucji o charakterze ponadlokalnym zmieniło charakter centralnej części. W samym centrum miasta pojawiło się wielu urzędników, którzy przebywali w centrum tylko w godzinach pracy. Czy dlatego rynek katowicki zapada w drzemkę po zamknięciu urzędów? Nie tylko to ma znaczenie. Wyburzenie po drugiej wojnie jednej z pierzei katowickiego rynku zmie-

niło jego charakter. Do zmiany postrzegania przyczyniły się też inne zjawiska, nieobce także wielu innym miastom na świecie. Ucieczka od hałaśliwego i ciasnego centrum majątnych mieszkańców na peryferia miasta i do otoczonych miast spowodowała zmianę sposobu użytkowania lokali komercyjnych. Powoli zniknęły sklepy i usługi, które dostarczały podstawowe artykuły i usługi. Dziś, ze względu również na wysokie czynsze zniknęły z wielu centrów miast sklepy spożywcze, sklepy z chemią gospodarczą, pasmanterie. Ze świeczką szukać można szewców, zegarmistrzów, krawców i innych dziś już bardzo rzadkich punktów usługowych w których można było przywrócić blask starym przedmiotom. Zmieniły się nie tylko ulice. Zmienił się styl życia. Wzrósł udział komunikacji prywatnej. Historyczne centra miast nie są w stanie przyjąć tylu samochodów. Dlatego zmieniły się potrzeby i preferencje. One z kolei zmieniły sposób postrzegania przestrzeni miejskiej. Wiele miejsc, przestaje być odwiedzanych z powodu utrudnionej dostępności starych centrów. Tę niedogodność wykorzystali duże centra handlowe oferujące wszystko na jednym miejscu.

Nie tylko suburbanizacja (wyludnianie się miast) stała się faktem. Jest nią również eksurbanizacja czyli rozlewanie się miast w większe obszary ale o mniej intensywnej urbanizacji oraz kontrurbanizacji, podczas której mieszkańcy przenoszą się do peryferyjnych dzielnic przenosząc tam również zapotrzebowanie na usługi występujące w mieście.

Coraz większą bolączką miast są liczne pustostany, które niejednokrotnie przyczyniają się do spadku oceny atrakcyjności otoczenia. Stąd liczne próby rewitalizacji przestrzeni, takich jak rynki w Nowym Bytomiu, Rybniku, Zabrze, Tychach, terenów zielonych jak mikołowski Park Planty czy chociażby Park Alojzego Budnioka w Katowicach.

Coraz częściej słyszy się o planach wybudowania prestiżowych obiektów w centrach śląskich miast. Planuje się budowę hali sportowej Podium, Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, realnych kształtów przybiera konstrukcja Parku Wodnego w Rudzie Śląskiej. Najwięcej jednak zmian doświadczamy w Katowicach. Już dziś możemy zobaczyć co dzieje się w centrum Katowic. To jeden wielki plac budowy. W Katowicach powstaje nowy dworzec, nowy gmach Muzeum Śląskiego oraz sali koncertowej NOSPR. Tempo w jakim miasto zmienia oblicze napawa nadzieją. Nie brakuje też obaw. Oprócz licznych budów nie ustaje również gorąca dyskusja. Czy za nowymi fasadami pójdą również zmiany w mentalności mieszkańców. Niektóre spontaniczne inicjatywy każą patrzeć na wszystko z nadzieją.

Jak wielokrotnie podkreślano w mediach, udział Katowic w staraniach o uzyskanie tytułu Europejskiej Stolicy Kultury wyzwolił w ludziach pozytywną energię i zaangażowanie w kształtowanie nowego wizerunku oraz nowej jakości wydarzeń kulturalnych. Wszyscy zaangażowani w projekt ESK są przekonani, że włożona praca przyniesie efekty podczas następnego ważnego wydarzenia: starach Katowic o tytuł Europejskiej Stolicy Młodości 2015 r.

Kiedy mówimy o wpływie emocji na kształt miasta, warto zaznaczyć jak ważną jest obecnie licznych głosów pojawiających się na różnych spotkaniach poświęconych architekturze i postrzeganiu przestrzeni. Tylko wizja planistów i architektów spójna z oczekiwaniami jej odbiorców decyduje o stopniu zażyłości w relacji człowiek – przestrzeń, mieszkańiec – miasto. Tam, gdzie się tę zależność rozumie, powstają przestrzenie w których realizuje się ludzkie życie. Pierwsza randka, rodzinne spacer, spotkania absolwentów po latach zawsze mają jakieś miejsce i czas. Tych, którzy kreują nowe przestrzenie powinno interesować słowo „miejsce” w kontekście z ludźmi i emocjami.

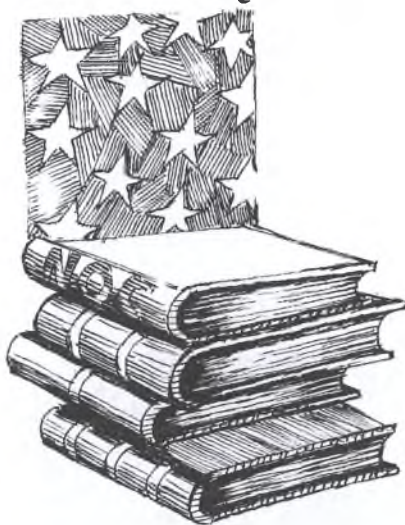
DARIUSZ DEMARCYK

Wieża, w której jestem nocnym strażnikiem, to Biblioteka, stojąca nieopodal byłego szybu górniczego w kształcie baszty, pochodzącego z XIX wieku. Obie wieże niczym dwa megalityczne filary symbolicznie podtrzymują industrialny zgiełk przetaczający się nie tylko po górnośląskim niebie i w podziemiach, ale przede wszystkim w sercach i ciałach przenikających w pośpiechu kubatury miasta poprzecinanego siatką ulic i placów. Przestrzenie te tworzą charakterystyczny rytm labiryntu, układając się w znajomy kod aglomeracji. Biblioteka, jak wiemy, nie tylko opisuje tenże otaczający wszechświat, ale sama, multiplikując przestrzeń, tworzy własny, topiąc w sobie ten na zewnątrz. Po ilekroć. Zatem stojąc na ostatnim piętrze wieży doskonale wiem, że świat to Biblioteka.

Mogę zatem wybierać książki, przejścia, które prowadzą mnie od słowa do słowa. Od książki po film czy obraz, zawsze zasluchany w muzykę sfer. Albo tylko ciszę. Piękną.

Tym razem pod pachą trzymam album – *Bruegel. Młyn i krzyż* – wydany w roku 2010 przez podkarpacką oficynę BOSZ. Ukazały się wtedy dwa równoległe wydania – jedno w wersji angielskojęzycznej, a drugie polskojęzycznej w tłumaczeniu Agnieszki Topornickiej. Jest to książka swoista. Opowiada bowiem o historii powstania szczególnego filmu fabularnego powstałego na kanwie książki będącej analizą obrazu namalowanego w roku 1564 przez niderlandzkiego artystę Piotra Bruegela Starszego. Autorami tegoż wydarzenia edytorskiego, będącego zaproszeniem do obejrzenia filmu pod tytułem *Młyn i krzyż* są Michael Francis Gibson i Lech Majewski. Pierwszy z nich jest autorem książki – w całości zacytowanej w niniejszym albumie *The Mill and the Cross*, która jednakowoż po raz pierwszy ukazała się w języku francuskim pod tytułem *Le Portement de croix de Pierre Bruegel l'Aîné* w roku 1996. Następnie w 2001 przełożona została na język angielski, która to wersja trafiła w ręce Lecha Majewskiego. Co ciekawe, w roku 2012 wydano ją ponownie, ale już w trzech wersjach językowych – po angielsku, francusku i niemiecku – wzbogacając ją o zdjęcia z filmu. Sama postać autora jest równie ciekawa co zawite losy książki, gdyż ten wybitny krytyk i historyk sztuki, niebawyma znawca twórczości Bruegela, syn amerykańskiego ambasadora Hugh S. Gibsona i jego belgijskiej żony Reyntiens Ynés, urodził się 18 lipca 1929, na terenie ambasady amerykańskiej w Brukseli. Pobierał nauki w ośmiu różnych szkołach, w sześciu różnych krajach, w trzech różnych językach. W końcu osiadł w Paryżu w 1958, gdzie mieszka do dziś. Zatem niebawale błyskotliwa książka Gibsona o *Drodze Krzyżowej* Bruegela trafiła w ręce Lecha Majewskiego, który włada również kilkoma językami, a urodził się nieopodal, czyli w Ka-

Biblioteka nocą



KRYSTIAN GAŁUSZKA

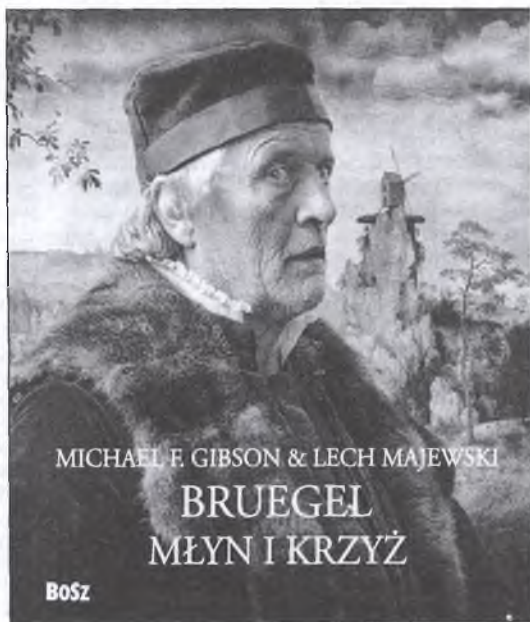
Sala nr 10

towicach. W efekcie czego doszło do współpracy, jak się po czasie okazało, dwóch indywidualności i co jest najciekawsze w całej tej na pozór zaplątanej historii – nie był to przypadek. A przynajmniej, mogło tak wyglądać. Bo ktoś coś widział, coś ktoś czytał, ktoś kogoś spotkał, itd. A przecież z pewnej perspektywy wyrażnie wszystko widać. Słowo zasiane przez Gibsona dotarło do Majewskiego. Zaowocowało. Narodził się pomysł filmu fabularnego. Co jest oczywiste gdyż jak wiemy, nasz najbardziej znany na świecie śląski reżyser, podświadomie oczekiwał

takiej sytuacji, albowiem jego coroczne pielgrzymki z lat młodości, kiedy to korzystał z możliwości spędzania wakacji w Wenecji, nieodmiennie ciągnęły się przez Wiedeń, a konkretnie przez *Kunsthistorisches Museum*, a w szczególności przez salę nr 10 tegoż muzeum. Gdzie wisiało i wisi do dziś płótno o wymiarach 124x170 cm – symboliczna dysputa o etyce chrześcijańskiej w kontekście możliwości i odpowiedzialności artystycznej. W zamyśle reżysera, główną rolę mistrza flamandzkiego mógł zagrać tylko jeden aktor na świecie, odtwórca postaci w takich filmach jak *Blade Runner*, *Autostopowicz*, *Vaterland* holenderski aktor Rutger Hauer, który zgodził się natychmiastowo i bezwarunkowo, przyznając się do fascynacji dziełami Bruegela, a w szczególności do *Drogi krzyżowej*, której reprodukcja wisi w jego pokoju.

Książka *Bruegel. Młyn i krzyż*, który zaprasza do obrazu *Droga krzyżowa*. Zafascynowany wchodzę. I do książki i do filmu i do obrazu. Bruegel o twarzy Hauera – już zawsze – wie dzie przez swój czas ponad czasem, gdzie w samym centrum, jakże niewidoczny, jakże pomniejszony, jakże zdawałoby się nieobecny, stoi Chrystus z krzyżem. Wtedy i teraz. I w przyszłości. Szczególna chwila w kojącym świecie, gdzie każdy z nas rozbiegany i nieuważny. Pochłonięty zdawałoby się niebywale ważnymi problemami, przechodzi obok, nie dostrzega, a jeżeli już to w konflikcie, pysze. Nie widzi istoty rzeczy. A przecież w samym centrum Chrystus z krzyżem. I jeszcze artysta w tym całym zamieszaniu. Jakby nie ocenia, jakby nie rozstrzyga, pozostaje w ukryciu. Jest jednak niczym pantokrator stwarzający na nowo świat. Raz po raz. Ukazuje człowiekowi jego miejsce. I Chrystusowi jego miejsce. Zapisuje świat. Wstrzymuje czas – w filmie przepiękna scena, w którym Wielki Młynarz (kreowany przez Mariana Makulę, za co mu jestem wdzięczny i z tej wdzięczności będę musiał się z nim umówić na kufel piwa w jakimś rudzkim ogródku) obsługujący młyn czasem, na znak dany przez malarza (wiadomo Rutger Hauer), wstrzymuje czas. W którym następuje cisza. W którym staje się – powstaje obraz.

Dzięki sugestywnej wizji filmowej wykreowanej przez reżysera, a wyprodukowanej przez producenta o jakże wymownej nazwie Angelus Silesius (producent ostatnich filmów Lecha Majewskiego) wchodzę do obrazu mistrza flamandzkiego jakbym przechadzał się nie pod górą z kręcącym się krzyżem, ile pod górą z szybem kopalni (może dlatego, że filmowy młyn wykuty w skale, kręcony był w kopalni), w którym miele koło. Z takim samym skutkiem. W takim samym zagubieniu i znoju. Ale i w oniemiaeniu. Ciągle i ciągle. Zatem pooglądajmy sobie obraz. I poczytajmy.



W Vance w latach trzydziestych tego samego wieku zmarł Dawid Herbert Lawrence, autor bezpruderyjnej powieści „Kochanek Lady Chatterley” – w której opisał doznania kobiety w trakcie coitusu i orgazmu; twórca „Pornografii” nie był w swoim pisarstwie aż tak dosadny, choć w francuskich gazetach odnotowano śmierć Polaka epitetami: dziwny, ekstrawagancki i niezrozumiały...

W legendzie literackiej często określa się Gombrowicza mianem skandalisty, może nie aż tak radykalnego jak Witkacy – który w roku 1988 zakpił sobie z ministra Aleksandra Krawczuka i dał się powtórnie pochować na Pęksowym Brzyzku we wcieleniu zwłok młodej Ukrainki – ale jego konwersacyjne popisy w salonach literackich „Zodiaku” czy „Ziemiańskiej” a potem w kawiarniach Buenos Aires obrosły plotką publicznego skandalu.

Skandalista dostał się pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku na listę lektur obowiązkowych szkoły średniej – to znaczy, że skandalista przestał być skandalistą, bo licealna lektura „upupia” – nic błędnego: Witold Gombrowicz to artysta, który swoim dziełem i życiem wywołuje ciągle silne emocje, nie tylko natury krytycznoliterackiej czy filozoficznej – to rozumiałe, bo dotyczy kształtu literackiego dzieła – czy emocje, wypływające z kontrowersji wokół biograficznych faktów, ale także emocje, które przerażają się niekiedy w narodową debatę a nawet polityczną kłótnię.

Niewiele przecież minęło czasu od września 2006 roku, kiedy to na nowo utworzonej liście lektur obowiązkowych zabrakło „Ferdynurka” i „Trans – Atlantyku”; wykluczenie tych powieści w wielu środowiskach uznano za decyzję polityczną i ideologiczną; dosadnie stwierdzono, że Gombrowicza usuwa się z kanonu lektur, bo antypolski, niepatriotyczny i promuje pederastię; wartości artystyczne tekstów zostawiono na marginesie debaty.

Sam znalazłem się w centrum „kanonicznego” sporu – udzieliłem wywiadu dziennikarzowi TVN-u, który przybył do naszej szkoły i sondował stanowisko moje i moich uczniów – już właściwie w medialnej bitwie o autora „Pornografii”.

Ówczesny minister edukacji, Roman Giertych, nie uległ naporowi uniwersyteckich argumentów i siłę mediów – w lipcu 2007 roku podpisał rozporządzenie z nowym kanonem lektur szkolnych; rychło jednak skapitulował, bo miesiąc później w projekcie kolejnego rozporządzenia znalazły się feralne książki.

Opowieść o Józiu borykającym się z formą została zakwalifikowana na naturalnym poziomie podstawowy – w formie okrojonej, ponieważ ograniczono się do dziewięciu wybranych rozdziałów; natomiast groteskowe wspomnienie argentyńskiej przygody trafiło na poziom rozszerzony – i taki układ przetrwał przynajmniej do roku 2012, chociaż na horyzoncie oświatowych planów pojawiają się nieuniknione „innovacje”.

Moje licealne spotkanie z Witoldem Gombrowiczem rozpoczęło się na początku lat 90. ubiegłego wieku; uczyłem otwartą, inteligentną młodzież, którą nie trzeba było zmuszać do lektury tekstów obowiązkowych i tych zaproponowanych przez nauczyciela – konstruujących autorski program, obejmujący tematykę literatury dwudziestolecia międzywojennego.

Przyznaję, że byłem admiratorem dzieła autora „Pamiętnika z okresu dojrzewania” – nie tylko w wymiarze czysto literackim, ale przede wszystkim w aspekcie egzystencjalnym, odśladającym tajemnice człowieczej kondycji w świecie kontaktów międzyludzkich. Dlatego widziałem potrzebę głębszego wprowadzenia w przestrzeń literacką kreowaną przez Gombrowicza, albowiem mogło to po-

Witold Gombrowicz zmarł pokonany przez astmę w roku 1969 dwadzieścia kilometrów od Nicei w miejscowości Vance – i tam został pochowany; podobno pogrzeb miał ładny, choć na cmentarzu pojawiło się nie więcej niż czterdziestu towarzyszy ostatniej drogi pisarza – trwała kanikuła i wiele osób nie zdolało dojechać, czy dolecieć wakacyjnymi samolotami.

Lekcja z Gombrowiczem w szkole polskiej

móc młodym Polakom w rozpoznaniu tożsamości i nakierować na stawianie sobie pytań – jak to określił Witkacy – istotnych.

Pamiętać należy, że początek lat 90. to okres tzw. transformacji, powodującej chaos gospodarczy i ideologiczny – i w tej atmosferze chaosu pochylenie się nad „Ferdynurka” proponowało jakiś azyl; zresztą trudno nie skonstatować, że po dwudziestu latach został stworzony ład aksjologiczny, w którym uczeń liceum czuje się w miarę komfortowo – wręcz przeciwnie: dezorganizacja wartościowania zwiększyła się; w dużym stopniu przyczynił się do tego gwałtowny rozwój środków masowego przekazu, karmiących młodzież informacyjną i rozrywkową papką.

Poznanie dzieła pisarza z Małoszyc zaplanowałem na kilkanaście lekcji, obejmowało ono nie tylko „Ferdynurka”, ale i wybrane teksty opowiadań i dramatów; tu należy zauważyć, że twórczość Gombrowicza nie cieszy się specjalną estymą wśród polonistycznej braci nauczycielskiej – zwykle zbywana jest dwoma lekcjami, skupionymi na powierzchownym i wyświechtanym omówieniu problemu „gęby i pupy”.

W mojej belferskiej robocie było inaczej: proponowałem staranną analizę i interpretację przeczytanych tekstów z zwięźszeniem zagadnienia – po poznaniu kolejnych książek z listy lektur: „Tanga” Sławomira Mrożka i „Graniczy” Zofii Nałkowskiej – stawało się napisanie przez uczniów obszernej pracy eseistycznej, która sumowała problematykę tożsamości i formy.

Oczywiście nie pominąłem rozmowy o „Dzienniku” i poznanie wybranych fragmentów tego wybitnego diarystycznego dzieła – szczególnie tych, dotyczących krytycznej oceny twórczości tuzów polskiej literatury, czyli Żeromskiego, Wyspiańskiego, Sienkiewicza; było to swego rodzaju zaproszenie do teatralnej zabawy: młodzież przekształciła prozę w tekst dramatyczny i wystawiła sławną lekcję, na której doszło do pryncypialnego starcia profesora Bładaczki z krąbnym uczniem Galkiewiczem, na szkolnej scenie.

W tym miejscu zauważyłem, że do niedawna konterfekt artysty rysowano, używając zestawu negatywnych opinii; wskazywano na egotyzm, megalomaństwo, snobizm, nieustanną chęć dominacji, stosowania w dyskusji prowokacji, gier, póż i min; posuwno się do określeń mocniejszych: wykołajeniec, tymczasowy Polak, niewyżyty pedagog naro-

dowy i posądzano o zupełny brak uczuć patriotycznych; w ostatnich opracowaniach dotyczących pisarstwa autora „Kosmosu” rewiduje się często niesprawiedliwe sądy a odkrywa fakty zyciorysu, które pokazują dzielnego twórcę, walczącego całe życie o głęboką egzystencję, o poważny stosunek do własnego istnienia, szczególnie istnienia Polaka, który swoim pisarstwem pragnął rodakom pomóc w odyskaniu duchowej niezależności i godności.

Już w trakcie zajmowania się „Ferdynurka” powstawały prace pisemne, które starały się komentować, a nawet tworzyć rozwijając wybrany aspekt powieści; przyznać muszę, że często byłem zaskakiwany dojrzałością myśli i sprawnością formy uczniowskich wypracowań, świadczące o zrozumieniu i przyswojeniu myśli Witolda Gombrowicza...

W liceum roku 2012 nie powstają już podobne wypowiedzi – z prostego powodu: nie ma czasu ani „zapotrzebowania” na takie obszernie polonistyczne przedsięwzięcia, które realizowałem do końca wieku dwudziestego; gwoździem do trumny mojego programu nauczania stały się dwa wydarzenia: reforma systemu oświaty z roku 1999 i wprowadzenie tzw. nowej matury w roku 2005.

Jest rzeczą oczywistą, że w trzyletnim liceum i przy obowiązującym kształcie matury – to, co robiłem przed laty, to już istna fanaberia a nawet brak odpowiedzialności nauczyciela, który bawiąc się w „gombrowiczologię” nie „wytresuje” uczniów do napisania „wypracowania z języka polskiego” według ustalonego sztywnego schematu.

Dodać na koniec należy, że podobnie zajmowałem się innymi autorami – i tak na przykład analizę powieści „Proces” Franza Kafki, poprzedzałem lekturą opowiadania „Głodomór” a samą interpretację umieszczałem na szerokiej siatce biograficznej, filozoficznej i kulturowej; dopełnieniem tematu stawało się przywołanie twórczości Brunona Schulza i omówienie cyklu opowiadań z tomu „Sklepy cynamonowe” a także zapoznanie się z ekranizacją powieści „Sanatorium pod klepsydrą” w reżyserii Wojciecha Hasa.

Analizowane przeze mnie dzieła literatury polskiej były umieszczone w szerokiej kłamrze kultury europejskiej: poznanie dwudziestolecia rozpoczynała pełna lektura „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna, czytanie fragmentów „Ulissesa” Jamesa Joyce’a i „W poszukiwanie straconego czasu” Marcela Prousta a także uzupełnianie drukowanego słowa filmowymi fabułami i dokumentami; finałem trzecioklasowego kursu stawała się interpretacja powieści Hermanna Hessego, „Wilk stepowy”.

Dokumentem mojej przeszłej pracy z licealną młodzieżą jest leżący przede mną zeszyt formatu A-4, zapisany starannie ręką dzisiaj prawie czterdziestoletniego autora – autorki, która ukończywszy prawnicze studia na stołecznej uczelni została panią prokurator i która może przypomina sobie na sali sądowej stawiane – już w klasie czwartej – pytanie: unde malum?

Czy taka licealna polonistyka – którą uprawiałem przez dekadę lat dziewięćdziesiątych – to już tylko wspomnienie, przeżytek i anachronizm; czy pozabawianie młodego człowieka tego literacko-kulturowego „balastu” to cywilizacyjna konieczność i cena jaką płacimy za postęp – mówiąc ironicznie słowami Mrożka – tyłem do przodu; czy młode pokolenie już tak się „ucywilizowało”, że nie jest zdolne do absorpcji składników kultury wysokiej?

Pytania zostawiam otwarte i pytania te – można ironizować – stawiał profesor Bładaczka, który lekcje rozpoczynał od kwaśnego uśmiechu...

HENRYK BIELAS

„S koro tak często pan podkreśla geograficzno-historyczno-językową prymarność Śląska wrocławskiego, zwracając przy okazji uwagę i na to, że nazwa całego regionu też się narodziła w tej jego części (pochodzi od plemienia Słężan, żyjących nad rzeką Słężą, kryjącą w sobie archaiczny rdzeń *sleg//sląg* znaczący tyle, co „ciekły, mokry, wilgotny”), to czy mógłby pan powiedzieć parę słów o tej najdawniejszej śląskiej polszczyźnie Wrocławia i okolic?” – zapytał mnie ktoś podczas uroczystości z okazji wydania 200. numeru naszego miesięcznika.

Z pełną odpowiedzialnością za słowo można powiedzieć, że Wrocław był najstarszym centrum dialektu śląskiego, który wraz z dialektami wielkopolskim i małopolskim tworzy obszar określany mianem *antiquissima Polonia* (najstarsza Polska). Ślązak mówił tak jak Wielkopolanin i Małopolanin: *brad jego, brad ojca, brad mój, brad nasz* (wymowa udźwięczniająca bezdźwięczny wygłos pierwszego wyrazu przed samogłoskowym nagłosem wyrazu drugiego bądź przed nagłosem w postaci spółgłosek *r, l, m, n*), *welna, rano, jabłko, tarł*, podczas gdy odrębny Mazur, osiedlony w sąsiedztwie staropruskiej Jaćwieży, wymawiał: *brat jego, brat ojca, brat mój, brat nasz, wiołna, reno, jeblko, terł*.

Z pewnością silna była tendencja do tzw. mazurzenia, czyli do wymawiania szeregu *sz, ż, cz, dż* jako *s, z, c, dz* (*syja, zyto, cysty, dżdzyty* „szyja, żyto, czysty, dżdżysty”), skoro obok *Słęży* z uzasadnionym morfonologicznie *ż* (bo to była najpierw *Słęg-ja*, a połączenie głoskowe *gj* przekształcało się w *ż*) funkcjonował jej wariant *Słęza* – z utrzymującym się do dziś *z*, a *Słęzak*//*Ślązak* stał się ostatecznie *Ślązakiem*. Geograficznie to się zgadza, bo przecież mazurzenie spotykane jest do dziś w znacznej części graniczącej z Dolnym Śląskiem Opolszczyzny, a i na Śląsku Górnym nie należy ono do rzadkości (w moich rodzinnych stronach można je np. usłyszeć w Radzionkowie).

Uzasadnione geograficznie jest także przypuszczenie, że wymowa samogłosek nosowych *ę, ą* – zwłaszcza od XIV wieku – bliższa była fonetycznym zwyczajom Opolszczyzny z charakterystycznym *a nosowym* (*jo widzą tą krową*) – odnoszonym na Górnym Śląsku (*jo widza ta krowa*) i realizowanym jako *-ym* na południowych obszarach Śląska (*jo widzym tym krowym*).

Powiedzmy wreszcie i to, że z Dolnego Śląska wyrosły pierwsi pisarze polskiego: pierwsze – zapisane w Księdze henrykowskiej z roku 1270 – polskie zdanie *daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj*, pierwszy – powstały w Kłodzku w XIV wieku – psalterz łacińsko-polsko-niemiec-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Polszczyzna Wrocławia

ki i pierwszy – wydany we Wrocławiu w r. 1475 – druk polski z codziennymi modlitwami *Ojciec nasz, Zdrowaś Mario i Wierzę w Boga*.

Od lokacji w XIII wieku stał się Wrocław miastem w pełni wieloetnicznym. Od połowy XIV stulecia formalnie należał do Czech W r. 1526 dostał się pod panowanie Habsburgów. W r. 1741 wraz z prowincją śląską został przyłączony do Królestwa Pruskiego. Choć postępowały procesy germanizacyjne, bo i przewagę liczebną sukcesywnie zdobywał element niemiecki (głównie w warstwach zamożnych), miasto było ciągle etniczno-językowo-obyczajowym tygłem, w którym z żywiołem niemieckim mieszały się żywioły polski i czeski, w szkolnictwie wrocławskim zaś szczególnie miejsce zajmowały szkoły nauczające poprawnej polszczyzny.

Na mocy dekretu króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV z 15 stycznia 1841 roku powstaje na Uniwersytecie Wrocławskim Katedra Literatur i Języków Słowiańskich. W roku 1842 przyjeżdża do niej z Czech pierwszy profesor – František Čelakovský, który po siedmiu latach wrócił do Pragi. Pedagogiczną sławę zdobywają wtedy lektorzy Jan Mikołaj Fritz i ks. Wincenty Krański. W roku 1860 katedrę obejmuje profesor uniwersytetu berlińskiego Wojciech Cybulski, który w roku 1867 nagle umiera. Konkurs na stanowisko profesora wygrywa pochodzący z Kłocka koło Gniezna Władysław Nehring i w roku 1868 przejmuje wrocławską katedrę, którą będzie zawiadywał aż do roku 1907. W tym czterdziestoletnim prawie okresie trzykrotnie wybierany był na stanowisko dziekana Wydziału Filozoficznego, a w roku 1893 powierzono mu godność rektora Uniwersytetu Wrocławskiego. Garnęli się do Nehringa polscy studenci, a wśród nich – Ślązacy.

Po zakończeniu II wojny światowej Wrocław wraz z całą ziemią śląską znalazł się na obszarze państwa polskiego. Przyjechali do niego Polacy dosłownie ze wszystkich regionów, w tym także repatrianci z dawnych województw wschodnich (głównie lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego, wołyńskiego). Wytworzyła się zupełnie nowa sytuacja językowa – odmienna od tej, która występuje na zwartych i jednolitych gwarowo obszarach Polski centralnej; powstała swoista mozaika społeczno-kulturowa i językowa ludności (do końca lat 40. z udziałem Niemców). A ponieważ żadna z tych regionalnych grup nie wybiła się na językowe przodownictwo, nie było tu także gwary-gospodarza, doszło do ich wymieszania i bardzo szybkiej gramatycznej integracji z językiem ogólnopolskim, ponadregionalnym, standardowym.

Dziś tylko najstarsi mieszkańcy Wrocławia przechowują (głównie w warstwie fonetycznej) ślady swej przynależności do tego czy innego regionu (u osób z kresów wschodnich będzie to np. dźwięczne *h* w formach typu *wahadło, blahy, Halina*, przedniojęzykowo-zębowe *ł* w formach typu *małpa, łapa, łaskawy, błogostawić* czy zredukowane *e, o* w sylabach nieakcentowanych: *proszy ciebi, Szczepciu, Tońciu* – „proszę ciebie, Szczepcio, Tońcio”).

W języku absolutnej większości zdecydowanie panuje polszczyzna ogólna. Można zatem mówić o wzorcowości współczesnej polszczyzny Wrocławia oraz typowości jej procesów innowacyjnych – zgodnych z tendencjami rozwojowymi języka ogólnego na całym polskim obszarze językowym.



„Pamiętajcie o ogrodach, przecież stamtąd przyszlście; w zar epoki użyć wam chłodu tylko drzewa, tylko liście”. To poetyckie przypomnienie z piosenki Jonasza Kofy w czasach wyrafinowanego konsumpcjonizmu pobrzmiewa jak ostrzeżenie przed śmiertelnym zabawianiem się naszej cywilizacji. Z naszym udziałem. Kosztem natury, człowieczeństwa, radości i sensu życia....

Trzeba o tym czasami pomyśleć, rozmyślać, poznawać zagrożenia, by nie miać ich obojętnie, póki nie jest za późno.

To powody, dla których dwaj naukowcy Uniwersytetu Śląskiego, twórcy Festiwalu Kultury Ekologicznej: prof. Piotr Skubała z wydziału biologii i ochrony środowiska oraz dr Ryszard Kulik z wydziału pedagogiki i psychologii powołali (z wsparciem Centrum Szkoleń i Rozwoju Osobistego „Meritum”) na początku br. – Klub Myśli Ekologicznej.

Pomysł przybliżania podczas jego comiesięcznych spotkań szeroko rozumianych idei proekologicznych przez osoby, osobowości, wcielające je w życie w różnych dziedzinach, okazał się znakomity. (Od listopada br. będą się one odbywać w Kinoteatrze „Rialto”). Na stronach internetowych Klubu.... jego twórcy tak tłumaczą filozofię swojego kolejnego przedsięwzięcia:

„.... Żyjemy w czasach bezprecedensowych zagrożeń dla przyrody i człowieka. Dlatego tak ważna wydaje się potrzeba pogłębionej refleksji nad diagnozą obecnej sytuacji, określeniem przyczyn negatywnych zjawisk oraz poszukiwaniem dróg wyjścia. Uważamy, że obecnie potrzebujemy nowych wizji, odkrywania swoich głębokich związków z przyrodą, rozwijania postaw umiarkowania, pokory i szacunku wobec życia, a także dążenia do równowagi na wielu jego poziomach. Proponujemy spotkania z naukowcami, aktywistami ekologicznymi, działaczami społecznymi, dla których zmia-

Pamiętajcie o ogrodach

na świata na lepszy jest ważnym motywem działań. Chcemy inspirować, zachęcać do aktywności, wspierać oddolne inicjatywy oraz budować krąg osób, angażujących się w pracę dla przyrody i człowieka”.

Dotąd Klub... gościł m.in. Jacka Bożka z Klubu Gaja z jego „Ekologią pomiędzy” wszystkimi przestrzeniami życia. O granicach konsumpcji czyli blaskach i cieniach „grypy dobrobytu” można było podyskutować z dr Teresą Sikorą, specjalistką psychologii zdrowia i jakości życia z Uniwersytetu Śląskiego; dr Tomasz Pietrzykowski, znawca praw zwierząt z tej samej uczelni tłumaczył dlaczego i one je mieć powinny? Prof. Katarzyna Lisowska, biolog molekularny, pracownik naukowy gliwickiego Instytutu Onkologii przybliżała problemy genetycznie modyfikowanych organizmów, dobrodziejstwa czy zagrożenia dla ludzi?

Student Przemysław Bagiński, zafascynowany poznawaniem świata w roli freegana czyli „kontenerowca” opowiadał jak podczas swoich darmowych podróży po świecie korzystał z tego, co chłapnie na boki z odkreconego kurka szaleńczo nieumiarkowanej konsumpcji. Jeździł autostopem, żywił się odpadkami ze śmietników, sypiał pod gołym niebem. I doświadczał stylu życia ludzi bezdomnych, włóczęgów czy tych, którzy ponad wszystko cenią sobie wolność.

Ostatnie spotkanie z Cecylią Malik, młodą krakowską malarką, performerką i eko-

lożką przyniosło nie tylko odpowiedź na pytanie „Po co artystka ekologom i po co artystce naukowiec ekolog? Także i na to, jak skutecznie walczyć o swoje idee z wykorzystaniem narzędzi współczesnej sztuki w czasach, gdy w komunikacji między ludźmi ważniejszy jest obraz niż słowo mówione czy pisane? Bo żyjemy już przecież w epoce nie homo sapiens lecz „homo videns”!

Cecylia drzewołaz

Dla Cecylii Malik, taki sposób komunikacji jest jak najbardziej oczywisty. Gdy chce „przemówić”, nie używa słów, nie krzyczy, lecz kieruje się emocjami, pomysłami i historiami, wychwytywanymi z najbliższego sobie otoczenia, z własnych przeżyć. To one inspirują ją do malowania, fotografowania, do organizowania spontanicznych, bezkompromisowych akcji ekologicznych, społecznych, artystycznych.

Pierwszą z nich była jej artystyczna przygoda, rozpoczęta we wrześniu 2009 roku, zainspirowana osobistym buntem przeciw istniejącej rzeczywistości. Wówczas postanowiła przez rok wchodzić codziennie na inne krakowskie drzewo i być harmonijnie na nim fotografowana.

Do takiej formy buntu zainspirowała ją lektura z dzieciństwa „Baron Drzewołaz”, Italo Calvino. To surrealistyczna opowieść o małym baronie, który po kłótni z rodziną wszedł na drzewo i postanowił nigdy więcej nie schodzić na ziemię. Tak też zrobił i było mu z tym całkiem niezle. Pośród drzew, przyrody był na swój sposób szczęśliwy, bo osiągnął swój absurdalny cel.

– Ja oczywiście codziennie musiałam schodzić z drzewa do swoich dzieci, ale i dlatego, że była to manifestacja artystyczna, takie sobie widowisko, wykreowane w przestrzeni publicznej, mówiła podczas katowickiego spotkania Cecylia Malik. I zakończone po roku, dodajmy, wydaniem pięknego albumu fotograficznego pt. „365 drzew”.

W trakcie tej całorocznej akcji artystka każdego dnia wrzucała na Facebooka nową, datowaną fotkę z kolejnego wejścia na krakowskie drzewo. Każde miało swój numer i nazwę. Dodawane do internetowej kolekcji fotografie wzbudzały coraz większe zainteresowanie artystów, zwykłych ludzi, ekologów. Ci ostatni uznali, że moja akcja, mówiła podczas klubowego spotkania Cecylia, służy ochronie krakowskich drzew, jest sprzeciwem wobec ich wycinki w miastach.

Tak rozpoczęła się jej w pełni dojrzała przygoda z ekologią. Bo ekologiem była od zawsze. Pochodzi z rodziny krakowskich artystów i miłośników przyrody zarazem. Jej ojciec rzeźbiarz, który był przewodnikiem beskidzkim, w Krakowie zna każdy las, drzewo, źródło. Matka uwrażliwiała i ją i jej pięć utalentowanych artystycznie siostr na piękno przyrody od najmłodszych lat. Dla nas, wspominała Cecylia, każde drzewo, roślina, góra czy rzeczka



Cecylia Malik na jesienie czyli 233 „zaliczonym” drzewie

miała swoje ważne imię. Przyroda drzemała we mnie zawsze.

Ekologom udało się ją obudzić i skierować jej artystyczne emocje na zagrożenia środowiskowe wielkiej wagi.

Na Zakrzówku

Mariusz Waszkiewicz, ekolog z Towarzystwa na Rzecz Ochrony Przyrody w Krakowie przybliżył Cecylii Malik konflikt, dotyczący położonego około dwa kilometry od Wawelu, cennego przyrodniczo i rekreacyjnie malowniczego Zakrzówka z wyjątkowymi akwenami. To wypełnione wodą urwiste kamieniołomy po dawnych zakładach chemicznych „Solvay”, otoczone ogromną przestrzenią łąki, miejscem bytowania chronionych gatunków roślin i zwierząt, w tym ginącego w Europie motylka modraszka. Ten skarb przyrody stał się łakomym kąskiem dla deweloperów, szukających atrakcyjnych terenów pod miejskie blokowiska. Samorząd Krakowa początkowo przystał na sprzyjający intensywnej zabudowie plan zagospodarowania przestrzennego. Mimo protestu przyrodników, organizacji społecznych i wielu mieszkańców miasta, na ogromną łąkę, sąsiadującą z parkiem – rekreacyjną oazę miasta wydano wyrok.

Cecylia Malik zareagowała po swojemu. Bezkompromisowo, artystycznie dołączyła do budowlanej opozycji. Po sukcesie wydawniczym „365 drzew”, na krótko przed zatwierdzeniem ostatecznej wersji zagospodarowania Zakrzówka wymyśliła niebieską, modraszkową akcję. Zrobiła na początek dla siebie tekturowe skrzydła motyla, pomalowała je niebieskim akrylem, sfotografowała i rzuciła na Facebooka. Tak rozpoczęła się jej ubiegłoroczna akcja pod nazwą „Modraszki kolektyw”, przyprowadzając władze miasta o prawdziwy ból głowy. Zapoczątkowały ją zaaranżowane w centrum Krakowa warsztaty robienia skrzydeł motyla przez tych wszystkich, którzy mieli ochotę zmanifestować przeciw zabudowie łąki w Zakrzówku. W Światowym Dniu Ochrony Przyrody – 5 czerwca zaplanowano na niej zlot – protest modraszkowy pod hasłem „Zostań motylem”, pomaluj skrzydła niebieskim akrylem”. Z obawy o powodzenie akcji Cecylia wraz z koleżankami i siostrą, która do Krakowa na protest zaprosiła także artystów zza granicy, przygotowała sto par niebieskich skrzydeł. I oniemiała z wrażenia, gdy w dniu zlotu do Zakrzówka przyfrunęło na własnych, tekturowych skrzydłach kilkadziesiąt niebieskich motyli. Niedługo trzeba było czekać, by uskrzydłone artystki (Cecylia z siostrą Justyną Koeke), odwiedziły na pomniku grunwaldzkim – zwycięskiego króla Jagiełłę, przyłączyły do protestu legionistów Piłsudskiego, smoka wawelskiego, a nawet apostołów. Tylko na spotkanie z władzami Krakowa „modraszkowa” reprezentacja przybyła z wsparciem przedstawicieli organizacji ekologicznych i społecznych, mieszkańców i naukowców. Upubliczniona wiedza naukowa na temat



Fot. Bogdan Krężel

Akcja społeczno-artystyczna w obronie Zakrzówka przed zabudową

zagrożeń dla przyrody Zakrzówka i strat, jakie poniosą wszyscy mieszkańcy z racji jego zabudowy, okazała się największym atutem w wieloletnim ratowaniu tego malowniczego zakątka. Osiągnięto przyrodniczy kompromis.

Zgodnie z zatwierdzonym planem zagospodarowania przestrzennego tamtego terenu, połowa wielohektarowej łąki Zakrzówka od strony akwenów będzie chroniona, a tylko druga jej część, może służyć niskiej zabudowie. W tej sytuacji deweloper stracił wcześniejsze wielkie zainteresowanie okrojonym i obwarowanym wymaganiami miejscem budowlanym.

Za to Cecylia Malik, malarka rozbudziła w sobie potrzebę promowania nauki, poprzez sztukę. Jej przewodnikiem w kolejnym przedsięwzięciu był dr Kazimierz Walasz, ornitolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor ekspertyzy m.in. o chronionych motylach Zakrzówka. Tym razem zainspirował

artystkę do zaprezentowania rzek Krakowa. Wspólnie postanowili przepłynąć ich odcinkami, od granic miasta do ich ujścia.

Ile rzek ma Kraków?

Przez miasto płynie ich sześć! Obok „Królowej” także jej dopływy: Prądnik, Rudawa, Wilga, Dłubnia i Potok Kościelnicki. Cecylia Malik, krakowianka z urodzenia odkrywała miejsca jej nieznanne. Takie rzeczki – ścieczki. Miejscami piękne, tajemnicze, niedostępne; miejscami zasypane odpadami, brudne i cuchnące. W ich lustrach odbija się walka natury z cywilizacją. Niespodziewane bogactwo przyrody i zabójcze dla środowiska odpady aglomeracji. Jak ten świat sfilmować, pokazać w ramach artystycznego projektu, z korzyścią dla ekologii?

Artysty się udało. Zbudowała z odpadów, głównie plastikowych lekką łódeczkę, którą w razie konieczności mogła przenosić brzegiem rzek. Spływ po nich, dla potrzeb sześciu filmów dokumentalnych sfilmował Piotr Pawlus. Z perspektywy każdej z nich udało się pokazać nowe obrazy miasta. Z zaporą z plastikowych butelek, która nie pozwalała płynąć Prądnikiem i dziką przyrodą, która na przekór trwa nadal. To zaskakująco piękny starodrzew, raki, ptaki i bobry, ryby, sarny i jelenie w mieście, które słynie również z najbrudniejszego powietrza w kraju. I niezwykły wzdłuż Wisły rozrośnięty, podmokły las łęgowy. Tak wyjątkowy, głuchy i piękny, że często artystka stawia w nim swój blejtram i maluje.

Premiera filmowych dokumentów o sześciu rzekach odbywała się pod jednym z mostów na Wiśle. Potem była konferencja. Pod koniec listopada br. odbędzie się w Krakowie kolejna z tego cyklu pn. „Rzeki w przestrzeni miejskiej”. W zamyśle artystki jest też ogólnopolski, artystyczny projekt poświęcony Wiśle.

JOLANTA KARMAŃSKA



Modraszki kolektyw Power Duo czyli motyle na pomniku



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Wystawa malarstwa Ewy Błaszak – polskiej malarzki, z urodzenia katowiczanki, od lat zamieszkałej we Włoszech, po prostu musiała się odbyć. Nie tylko dlatego, że była zaplanowana, że obrazy tej artystki ujęły w jakiś sposób red. Maciej Szczawiński – twórca i moderatora galerii „Na Żywo” w Radiu Katowice. Musiała, bo była OBIECANA, a w przypadku tej wystawy słowo to nabrało nadzwyczajnego znaczenia. Była ta wystawa spełnieniem danego słowa, poza zachwytem samą twórczością Ewy Błaszak. Wystarczy powiedzieć, że słowo zostało dane Jarosławowi Lewickiemu, którego już nie ma wśród nas, a to on był pierwszym tego artystycznego zamętu. Słowo także zostało dane jego żonie Małgorzacie. Wystawy nie doczekała również matka Ewy Błaszak – Marianna Hanaj Błaszak, duża artystyczna, realizująca się w poetyckim słowie.

Jak zatem przygotować wystawę prac tak pogodnych, mieniących się kolorami, pozytywną, energetyczną, skoro w tle tyle tragedii? A może właśnie na przekór losowi, nie tylko spełniając obietnicę, ale właśnie poprzez te obrazy, poprzez radosną twarz artystki – ich autorki, poprzez cytowaną poezję jej matki.

Ewa Błaszak – artystka włoska, artystka polska, zakorzeniona i tu i tam. Kilkadziesiąt wystaw indywidualnych, tyleż zbiorowych. Ale pierwsza w Katowicach, w Polsce bodaj dopiero druga (Toruń, 2002 rok, wystawa zbiorowa „Mała galeria sztuki emigracyjnej”). Kiedy miała 20 lat opuściła Polskę (po ukończeniu nauki w katowickim Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika) i to Włochy stały się jej domem. W 1995 roku zorganizowała wraz z mężem G. De Julisem i z prezesem Związku Polskich Artystów Plastyków w Krakowie prof. Adamem Brinckenem wymianę artystyczną między Regionem Marche i Krakowem. Do współpracy zaprosiła Instytut Polski w Rzymie i Instytut Kultury Włoskiej w Warszawie i w Krakowie. Ponieważ Polska od zawsze tkwi w niej niezwykle mocno, została współzałożycielką Związku Kulturalnego „Alberto i Umberto Peschi” w Macerata. Polska – kraj dzieciństwa dla niej, dla matki – Marianny Hanaj Błaszak doświadczającej życia młodzieńczych i dramatycznych lat okupacji. A potem radość spotkania z nowym światem – po szarościach wojny, polskiej „ziemi spalonej”, kolorowy świat Południa Europy. Kolory, zapachy, fascynujące krajobrazy. Delikatność słów pozostawionych w „polskich wierszach” bardziej zaczyna przystawać do tamtej rzeczywistości, niż do polskiego socrealizmu. Poetycka wrażliwość, subtelność słów pozostawiają ślad w kolejnych strofach, kiedy pisze w wierszu „Dziewczyzna”: małeńka polna wróżko dziewczyno poranna /



Ewa Błaszak i red. Maciej Szczawiński podczas wernisażu w galerii „Na Żywo” Radia Katowice.

La pittura di Ewa Błaszak

co w oczach niesiesz uśmiech skradziony modrakom / przedziwnym pachnie chlebem złociste twe ciało / wstydliwie stromą pierśią polyskuje latu // jaskółczych śmiałych skrzydeł masz nad głową wieniec / pozdrawiasz białe chaty stojące szeregami / mówisz słowa najlepsze miodne jasne słowa / i słodka i nieśmiała znów wracasz na miedzę // (...). A potem jest i „Posąg z Kenii”, i „U świętego Marka”, „Pejzaż nieujarzmiony” i kilkadziesiąt innych przeplecionych refleksją, czasem żalem, bólem, tęsknotą. Są też w zbiorze opublikowanym po śmierci Marianny Hanaj Błaszak wiersze inne – o malarstwie, o muzyce, o sztuce, wiersze „o malowaniu”, jakby pisane pędzlem, na kartkach ustawionych na sztalugach czasem pod światło, czasem w cieniu, przy dźwiękach ulubionych utworów, których z pewnością, ze znawstwem rzeczy, słuchała. I jest też taki wiersz, „W geometrii koła”, gdzie pisze: W geometrii koła / oczy masz pełne morza, / rzeźbisz równowagę. / Chłodną czerwień zachodu / na paletę kładziesz / i nim płaszczyzn krzywizny / obejmiesz złoceniem, / zbierasz ciekłe szmaragdy / jak zgasył płomień; / by z lekkością obłoku / astralnym podmuchem / przenieść szczytów wysokość / w samo sedno wzruszeń. //

Nie bez powodu tak długi wstęp o malarstwie Ewy Błaszak w kontekście wierszy jej matki – bo kiedy się ogląda obrazy tej artystki nie można oprzeć się wrażeniu, że współistnieją z tą poezją, że są odmalowywaniem słów, ich przetworzeniem, a jednocześnie pokazują pokrewieństwo dusz, wspólnotę wrażliwości. Są jak malowane po latach impresje na temat zaślasyzanych w dzieciństwie opowieści – a to była poezja... I nie wiadomo już, czy wiersz opisuje obraz, czy obraz opisu-

je wiersz. Owa przywołana w wierszu geometria, tak wszechobecna w obrazach Ewy Błaszak, porządkująca to, co dzieje się w rzeczywistości obrazu ograniczonej ramą, tym „objęciem złoceniem”, jest też geometrią wiersza, opisującą każde słowo, wpisując – jak w koło – sens i znaczenie tego co pomiędzy nimi.

Jak napisał w słowie wstępnym do katalogu wystawy Maciej Szczawiński, Konstanty „Kot” Jeleński oglądając obrazy Ewy Błaszak powiedział znamienne słowa: „rozpoznawalne na tle...”. Oczywiście odnieść je można do rynku sztuki, do tego, co do tej pory namalowano, co pokazują galerie. Bo malarstwo Ewy Błaszak jest inne: wywiedzione z rysunku, a ten nie pozwala o sobie zapomnieć w każdej prawie pracy. Uderza nagromadzeniem detalu przeobrażonego, usytuowanego „na tle”, czasem jakby na przekór włóczonemu w nie nachalny krajobraz jakiegoś miasta. Wszystko w tych obrazach „gra” kolorem, jest rozedrgane – jak struny rozkołysane-

go muzyką instrumentu, jak nagromadzone na pięcioliniach nuty, podążające czasem uspokajającymi wartościami w piano, a czasem przybierające szalone tempo w forte i fortissimo, czasem w largo, czasem w allegro i vivace. Te muzyczne motywy w malarstwie Ewy Błaszak są niezwykle częste – podobnie jak w wierszach Marianny Hanaj Błaszak, także rozbrzmiewają muzyką kolejne strofy, raz po raz w tonacjach dur i moll, które nie ujdą wrażliwemu uchu odbiorcy. To kolejna wspólna cecha malarstwa i poezji. Skoro więc muzyka to rytm i barwa, jak w obrazie – rytm, geometria, kolor, porządku narzucone raz pędzlem raz słowem. Dopelniają się, dialogują, mijają, współistniejąc dzięki sobie. Fascynują w obrazach Ewy Błaszak te geometryczne stwory, te granice widma, zanurzone w tęczy stwory, anioły rozplywające się w przestrzeni muzyki i finieji malarzkiego pociągnięcia pędzla. Pełne zwiewności, a zarazem ukrytego rygoru, niewymuszonej dyscypliny, ale trzymającej w ryzach autora tych obrazów. To z pewnością są obrazy „rozpoznawalne na tle...”.

Lecz na katowickiej wystawie w radiowej galerii był jeden zupełnie inny obraz – autoportret – to dziewczynka spoglądająca wielkimi oczyma z ram niewielkiego portretu. Nie ma w nim tej późniejszej geometrii, za to emanuje łagodnością i miękkością, zadziwieniem. W te oczy można długo spoglądać – czy widać w nich tę późniejszą autorkę „Bożego Narodzenia”, „Uśpienia wiatru” czy „Ducha pieśni”?

Wiersze Marianny Hanaj Błaszak były prezentowane podczas wieczoru poetycko-muzycznego, poprzedzającego wernisaż w galerii „Na Żywo” Radia Katowice.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Repr. Z. Sawicz



Pejzaż, 2008, akryl, płótno



Uśpienie wiatru, 2011, akryl, płótno



W parabolach tańczących, 2009, akryl, płótno



Autoportret

Repr. Z. Sawicz



Narodziny świata, 1966



Hypnos, 1970



Wyhuśtane nocą, 2006

ERWIN SÓWKA

w Muzeum Śląskim



Barbara z górnikiem, 1990



Portret

Parę dni po wernisażu w Muzeum Śląskim spotkałem państwa Sówków na strasznie rozkopanej ulicy św. Jana.

– Cześć! Ciebie nie było – stwierdził Erwin, czyli „Sztukmistrz” (tak zatytułowano retrospektywną wystawę jego twórczości).

– Bo ja już nie łąza na otwarcie – odpowiedziałem. – Tela ludzi, że nie widać łobrozkow. Ale pódła, łóbejrzła i napisała.

Toż pisza.

W latach siedemdziesiątych w Domu Kultury KWK „Wieczorek” zobaczyłem po raz pierwszy wystawę twórców Grupy Janowskiej. Były tam prace obu Wróblów, Gawlika, no – ich wszystkich, z których wielu potem poznałem, z którymi rozmawiałem, a i czasem jakiś kieliszeczek wychyliłem. Właśnie wtedy odkryłem dla siebie Sówkę. Obrazów wystawiał kilka, ale do dziś mam w pamięci jego Madonnę z ogromnymi piersiami, idealnie wymodelowanymi, jakby artysta dla ich przedstawienia posłużył się cyrklem. Kiedy po latach wspominałem o tym płótnie, Sówka go nie pamiętał, co specjalnie nie dziwi, bo – co wiem z naszej późniejszej rozmowy – nie wie, ile prac namalował. Mówi, że może 500, myślę jednak, że dużo więcej, skoro tylko w jednym roku potrafił „machnąć” 40. W każdym razie od tamtego czasu stał się moim ulubionym (obok Ewalda Gawlika i Pawła Wróbla) przedstawicielem Grupy Janowskiej. Grupy, którą Katowice powinny się reklamować tak jak Paryż impresjonistami. Czyż nie byłoby pięknie pokazywać ich we wnętrzach starego dworca, który przypomina francuskie muzeum d’Orsay?

W Muzeum Śląskim można zobaczyć właściwie wszystkie obszary, które malarz eksploruje. Większości kojarzy się oczywiście z nagimi kobietami o rubensowskich kształtach. Rzeczywiście one (choć zdarzają się i smuklejsze panie) dominują w jego twórczości. W czasie naszej rozmowy dla *Śląska* kilka lat temu sam mi powiedział:

– *Jo nigdy nagrody nie dostał, to niy wiym, na czym to polegało. Stare wyjadacze brali nagrody. Paweł Wróbel i inni, ci co poważnie malowali ta komuna. A jo zawsze goło baba kajś tam przemycił. Mie dowali ino dyplom. Jesteżeh artystą dyplomowanym. Mom teła dyplomów, że Akademia się może schować. A wiela jo tych dyplomów wyciepl! Jaki jo był głupi, bo jak była wystawa i bych je pokozoł, to musieliby mi się kłaniać!*

Ale to tylko część jego malarskich poszukiwań. Owszem, „goło baba” jest na obrazie obecna, tylko uminiejszona została na przykład w drobniuszowo portretowanym pejzażu Nikiszowca. Na samym rynku. Albo w scenerii typowego ogródka działkowego z wypieszczoną laubą w tle. Ale także w zupełnie inn-

nych dekoracjach. W dalekiej przeszłości renesansowi twórcy, żeby pokazać nagość, poszukiwali tematów do swoich obrazów w *Biblii*. Adam i Ewa, Zuzanna i starcy, Betszabe itd. Myślę, że Erwin (porządny Ślązok) na początku swojej drogi też musiał przyjąć podobne założenie. Dlatego ilustracje do *Biblii*, czyli motyw stworzenia świata, oczywiście wygnanie z raju (przy czym – wbrew Pismu – malarz nie okrył swoich postaci figowymi listkami), dlatego szukanie inspiracji również w innych religiach (bóstwa indyjskie, nawet islam). Wszędzie mieszczą się „gołe baby”. Szokować może św. Barbara, patronka górników, bo to przecież

Śląsk jako ogród rozkoszy ziemskich

święta, jak więc można ją tak malować „bez ubrania”? Mimo to wizerunek nie gorszy, nawet jeśli obok patronki stoi górnik w roboczym drelichu, w kasku na głowie, nie tam w żadnym czaku z pióropuszem. Więcej – nie gorszą i obrazy, które można by określić mianem „erotycznych” – na przykład te z cyklu *Eros i Psyche*. Bo w gruncie rzeczy są tematycznie bardzo pokrewne dziełom Hieronimusa Bosha pełnymi nagich postaci, a przecież absolutnie nie kojarzącymi się z pornografią. Wszystko to mieści się w poetyce snów niewinnego chłopca, w sferze dziecięco-młodzieńcych marzeń charakterystycznych dla wieku dojrzewania. Za tą interpretacją, odwołującą się do onirycznego przedstawiania świata, przemawia kolorystyka obrazów Erwina – żadnej dosłowności, wszystko należy tutaj do „krainy łagodności”, czy raju pokrewnego temu z *Ogródu rozkoszy ziemskich* wspomnianego już Bosha.

Kiedys zapytałem Sówkę gdzie oni wszyscy widzieli taki radosny, barwny Śląsk (nawet pogrzeb górniczy Pawła Wróbla jest – tak to muszę określić – wesoły, jak malowane przez tego twórcę odpusty, czy wesela). Malarz przed chwilę się zastanawiał, po czym odpowiedział z trafiającą w sedno logiką:

– *Chodziło o kolor. Bo jest tak: jak człowiek robił na tym dole, niy widzoł pół dnia tego świata, jak się wyjechało, to trzeba było oczy mrużyć, bo tyń*

kolor oślepioł, w szczególności jak było słońce albo zimę, wtedy ten blask koloru, słońca, uderzoł w oczy... Dlatego wszyscy ci związani ze Śląskiem, niech pan zauważy, wszyscy byli kolorystami, od Ociepki poczynając, Pawła Wróbla, nawet do mnie. Jedyne Gawlik, no wię pan, on był osobą taką bardzo tragiczną, to się uzewnętrzniało w jego obrazach. Te jego zieleń, te szarości... On popadł w taki smutek...

Klub malarzy-amatorów założył Otton Klimczok w 1946 roku. Do niego Sówka trafił znacznie później ale jeszcze przed przyjściem Zygmunta Lisa, który pracował tam po studiach na ASP jako instruktor w latach 1956-1971. Ten znakomity w latach późniejszych artysta i pedagog okazał się prawdziwym błogosławieństwem dla janowskich twórców, bo niczego im nie narzucał, pozwalał rozwijać własną wyobraźnię, a jednocześnie umiał rozwijać ich umiejętności, ale także osobowości.

– *Dla samego Lisa to też było takie ciekawe studium. On studiował nas, on się uczył naszego spojrzenia na świat, onego to bawiło. Tak właściwie to my się nawzajem kształcili – wspominał ostatni przedstawiciel tej dawnej, wspólnie Grupy Janowskiej. Pewnie to prawda, trzeba jednak powiedzieć, że Lis miał na nich wpływ, choćby tylko poprzez doradzenie konkretnych książek. Myślę, że to właśnie on obserwując prace swojego podopiecznego stwierdził, że bardzo pasują do świata tego malarza-górnika boginie indyjskie, bardzo kobiece, łącznie z demoniczną, czarną i złą Kali. Nie wiem, jak się Lis dzielił swoją wiedzą, na pewno jednak przyczynił się jakoś do ich intelektualnej formacji. Erwin mówi gwarą, ale na pewno nie jest prostaczką tylko „z iskrą Bożą”. Dowód – podczas ekspozycji można obejrzeć film o nim, nakręcony przez Adama Kraśnickiego w cyklu *Ślązaków portret własny*. Filmują więc Sówkę „w naturalnej scenarii” – Giszowcu, Nikiszowcu, on opowiada o swoim życiu, o malarstwie, poglądach na świat, I nagle zupełnie znikająca cytuje profesora Władysława Tatarkiewicza: „Mniej żądać od życia”. I tłumaczy, że nie można tylko wymagać, wymagać za wiele. To nie jest droga do szczęścia, harmonii, spokoju.*

Osobiście najbardziej cieszy mnie jedno: Erwin nadal maluje. Nowe obrazy łatwo poznać. Ich akcja nie rozgrywa się już na nikiszowskim rynku. Powstają w bloku z panoramicznym oknem na nowe Katowice, w którym artysta dziś mieszka. I tworzy. Co znaczy, że za jakiś czas znów będziemy mogli obejrzeć jego wystawę i cieszyć się bajkowym światem tak dalekim od prozaicznej rzeczywistości, w której tak często „pospolitość skrzeczy”.

– Czy dotychczasowe pana doświadczenia związane z zarządzaniem instytucjami spoza sfery kultury mogą być przydatne w kierowaniu Górnośląskim Parkiem Etnograficznym?

– Moje oficjalne pojawienie się w sferze kultury nie jest całkiem zaskakujące ze względu na to, czym się interesowałem poza obszarami, w których funkcjonowałem zawodowo. Od kilkunastu lat prowadzę Fundację „Zamek Chudów” i tam nabrałem dużego doświadczenia w organizowaniu imprez plenerowych, edukacji i pracy instytucji kultury, działalności naukowej i związanej z prowadzeniem wykopaliisk archeologicznych. Chudów był zupełnie nieznaną, a stał się ważnym miejscem na mapie kultury... wszystkie te doświadczenia będą ogromnie przydatne. Skansen powinien w pełni wykorzystać swój potencjał. Nie boję się tego wyzwania. Mam za sobą doświadczenia w zarządzaniu w służbie zdrowia i w zarządzaniu dużymi instytucjami a także dużymi budżetami, co dało mi odwagę, by się z tym nowym wyzwaniem zmierzyć. Stąd moje pojawienie się w skansenie – mogę robić to, co naprawdę bardzo kocham i lubię, z czym się identyfikuję.

– Jaka jest pana koncepcja istnienia i działania Górnośląskiego Parku Etnograficznego, znanego jako skansen w Chorzowie? Pierwszym widocznym sygnałem zmian jest dopisanie do oficjalnej nazwy słowa „muzeum”, czy ma być znakiem tego, że będzie to także instytucja naukowa? Co będzie dominantą działalności skansenu?

– Mój pomysł jest bardzo zdeklarowany i jasny. Skansen musi być instytucją naukową, jest to niezbędne, by mógł prowadzić działalność na pewnym poziomie. Instytucja kultury, jaką jest to muzeum gromadzi pewne zasoby – musi zatem wiedzieć co gromadzi, jeśli chce prowadzić działalność wystawienniczą, musi wiedzieć, co chce pokazać. Kto inny, jak nie my, ma prowadzić poszukiwania, znajdować i ocalać dziedzictwo, bo mamy potencjał i możliwości. Drugie ważne zadanie – upowszechnianie tego, co wiemy. Bo po to społeczeństwo finansuje nas z podatków, byśmy mu coś oddali, żeby widać było sens naszego istnienia, żeby było widać, że warto dawać na instytucję kultury, która nie tylko żyje samym zadowoleniem swoich pracowników, lecz najważniejsi są ci, którzy tu przychodzą, oglądają, a my ułatwiamy dostęp do tego, czego być może odwiedzający nie dostrzegają. W działalności upowszechniającej wyznaczam sobie dwa inne obszary: po pierwsze, by dobrze poznać i przekazać prawdziwą wiedzę o tym, czym dysponujemy, a po drugie, żeby zostały zauważone powiązania pomiędzy tym kim dzisiaj jesteśmy, a tym co było. Wszyscy wyszliśmy ze wsi. W Polsce do około 1211 roku nie było ani jednego miasta. Warto dostrzec te korzenie. Jeśli to rozumiemy, to ułatwi nam to zrozumienie teraźniejszości. Chcę pokazać, że jesteśmy tu i teraz, ale należymy do pasma historii, żyjemy w pewnym ciągu rozwojowym. Nasze dzisiejsze zachowania zostaną kiedyś w przyszłości ocenione, tak jak my oceniamy przeszłość. Reasumując: bardzo ważny jest

Z ANDRZEJEM SOŚNIERZEM
dyrektorem Muzeum Górnośląski Park
Etnograficzny w Chorzowie rozmawia
WIESŁAWA KONOPELSKA



Fot. z arch. A. Sośnierza

Skansen musi stać się instytucją naukową

dla mnie klient, odbiorca, odwiedzający, ważne jest, byśmy o niego zadbał i przekazali mu tę wiedzę.

– A co z działalnością naukową?

– Niestety, z przykrością stwierdzam, że działalność naukowa została sprowadzona do zera, a odwiedzający także nie był widziany jako najważniejszy.

W tej chwili przeorganizowuję nasze muzeum, jego strukturę wewnętrzną, zdolną do realizowania zadań, o których mówię. Wyraźnie musimy podciągnąć poziom naukowy. Potrzebni są ludzie z ambicjami, którzy będą tu widzieli swoją przyszłość naukową i przyszłość jako pracowników kultury. Ten rok będzie okresem budowania instytucji i zasobów ludzkich, wyznaczania istotnych kierunków. Musimy zadbać o wizerunek, o informację, by zachęcić do wejścia do obiektów. To musi być instytucja naukowa i kulturalna, stąd tak ważne jest słowo „muzeum” w nazwie.

– Został pan również nowy obiekt w budowie. Czy będzie wystarczający do prowadzenia działalności, którą pan wyznacza temu muzeum?

– To jest dobry obiekt. Różnie oceniając moich poprzedników, muszę przyznać, że mieli kilka świetnych pomysłów. Jeśli uda się doprowadzić do końca to, co wy-

myślili, to w tym budynku będą sale ekspozycyjne, konferencyjne, można będzie prowadzić działalność naukową. Część administracyjna jest skromna, ale mamy pomieszczenia, w których obecnie funkcjonujemy, więc musi wystarczyć.

– Czy w pana planach skansen ma szansę, by był odwiedzany przez cały rok, a nie jak dotychczas, czyli *de facto* sezonowo.

– Wieś funkcjonowała przez cały rok, a nie tylko od wiosny do jesieni. Oczywiście dynamika zwiedzania obiektów zimą jest w naszym klimacie różna – spada jesienią i zimą, ale nie spada do zera.

– To chyba też kwestia przyzwyczajenia odwiedzających.

– Zima daje wiele możliwości. Może uda wprowadzić się do chałup i innych obiektów osoby, które chętnie będą tu spędzać zimowe dni tkając, przędąc, haftując, szydełkując, rzeźbiąc, wypiekając chleb. Będą palić w piecu, spotykać się. W chałtach zimą powinno palić się światelko, one powinny żyć. Można stworzyć niepowtarzalny klimat „sielsko-anielski”.

– Nie do końca wykorzystana jest działająca na terenie skansenu karczma.

– Głęboko włożona w skansen jest niewidoczna zewnątrz, zamykana wraz z zamknięciem muzeum, a zatem nie przynosi zysków. Gośćmi karczmy nie mogą być tylko osoby wchodzące do skansenu za biletem, musi być ogólnodostępna.

Ofertę będziemy mogli poszerzyć, kiedy otrzymamy od Parku Śląskiego obiecany nowy teren. Będzie to więc dodatkowo przestrzeń ekspozycyjna. Jest konieczność rekonstrukcji zespołu dworskiego, dlatego że wieś nie funkcjonowała bez dworu – był on elementem integrującym i rządzącym wsią. Pokazywanie wsi bez dworu to jej okaleczenie. Kiedy są dożynki, to komu chłopci mają wręczyć wieńiec dożynkowy? Przecież z reguły przekazywano go dziedzicowi, właścicielowi wsi. Mamy też powozy, które nie pasują do stodoły, w której są w tej chwili przechowywane. Chcę też utworzyć przestrzeń przemysłu wiejskiego. Między innymi zostanie odtworzona fabryka fajek ze Zborowskiego. Na miejscu wykonamy badania archeologiczne, wykopimy pewnie wiele eksponatów i tu je pokażemy. Może ruszy na małą skalę produkcja fajek. Nawiązaliśmy już kontakty z Holandią, bo to stamtąd, z Goudy przyjeżdżali pracownicy, którzy produkowali fajki w Zborowskim. Poza tym będą jeszcze inne wytwórnie związane z przemysłem wiejskim.

– A może browar?

– Może browar...

– A co z pomysłem rekonstrukcji bytkowych rynków miast w skansenie?

– Odszedłem od tego pomysłu, bo kłóci się z naszą wsią. Niektóre skanseny realizują ten pomysł i poszerzają formułę, tylko że miasto to większy obszar i zmarginalizowałyby naszą przestrzeń wiejską. Uważam, że musimy skupić się na wsi, która też nie jest kompletna. Dwór i dawne przemysły także poszerzą naszą paletę ekspozycyjną.

Tytuł pierwszej premiery sezonu 2012/2013 (8 września) jest dość mylący. *Być jak Kazimierz Deyna* zapowiada sztukę futbolową, co przewrotnie potwierdziły pierwsze pokazy przedpremierowe w czasie Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej (15-17 czerwca). A ponieważ zachowania rasowego polskiego kibica są mi obce – nie śpiewam „Nic się nie stało”, a i orły Kazimierza Górskiego znam głównie z narodowego obowiązku, postanowiłam nabyć potrzebne kompetencje odbiorcze. Dziś już poza faktografią rozegranych przez Deynę meczów wiem, że zawodnik ten podobno wolno biegał, ale szybko myślał, a także wystąpił w filmie *Ucieczka do zwycięstwa* (1981; reż. John Huston). Tymczasem prawdziwy miłośnik futbolu, jeśli taki pojawił się w teatrze, został podstępnie znęcony i zamknięty w ciemnej sali na 90 minut (bez przerwy), choć odgłos sędziowskiego gwizdka rozlegał się często.

Piłka nożna często ingeruje w życie postaci. W momentach ważnych dla narodu ten świat dzieli się według płci – na mężczyzn-kibiców (na drugi plan schodzą wówczas nawet narodziny dziecka) oraz kobiety, które tak bardzo ich kochają, że wybaczą im te chwile osamotnienia. Niedawne mistrzostwa wzmocniły porozumienie z publicznością w tym zakresie. Poza tym ze sceny słychać nazwiska m.in. Deyny, Smolarka, a trener zdaje się być parodią jednego z polskich selekcjonerów. Ale przedstawienie to przede wszystkim przezbawny tekst Radosława Paczocha w doskonałej reżyserii Gabriela Gietzkygo i aktorzy grający w tempie, jakiego mogliby im pozazdrościć polscy piłkarze.

Dekoracje (Maria Kanigowska) to jedynie kilka sprzętów – tapczan, połączone krzesła, które można dowolnie przestawiać, by schematycznie zaznaczyć poszczególne miejsca – szpital, pociąg, szkołę, stołówkę, ciasne mieszkanko wynajmowane w Anglii. Jednak iluzja przestrzeni powstaje przede wszystkim dzięki gestom i ruchom aktorów (np. doskonałe sceny jazdy pociągami). Jedenastu aktorów: Michał Chorośiński, Iwona Chojak, Teresa Dzielska, Sylwia Karczmarczyk, Małgorzata Marciniak, Agata Ochota-Hutyra, Sebastian Banaszczyk, Waldemar Cudzik, Andrzej Iwiński, Bartosz Kopeć, Antoni Rot, jest stale obecnych na scenie, a wakat po śmierci dziadka (wtedy słychać jeszcze jego głos) wkrótce zajmie córka głównego bohatera. Są oni ubrani w białą-granatowe stroje, kobiety noszą spódniczki, mężczyźni spodnie, ale na czas odgrywania poszczególnych scenek zakładają elementy kostiumu a czasem peruki. Dialogi prowadzą zazwyczaj dwie, trzy postacie, pozostali pełnią wtedy rolę chóru – komentując akcję gestem i miną (na podkreślenie zasługuje zwłaszcza wyrazista mimika Agaty Ochoty-Hutyry). Wszystko odbywa się w tempie niemal farsowym, ruchy aktorów zostały szczegółowo zaplanowane jak w baletcie (ruch sceniczny – Witold Jurewicz).

Według zapowiedzi sztuka opowiada o socjalistycznych marzeniach i potrzebie zapomnienia o otaczającej rzeczywistości. Pewnie tak jest, pamiętamy przecież ówczesne hasła dla młodzieży – pierwsi w sporcie, pierwsi w nauce, a i trening poprzedzający sukces wpisywał się w obowiązujący etos pracy. Ale przedstawienie jest budowane z perspektywy



Aktorzy grają w tempie, jakiego mogliby im pozazdrościć polscy piłkarze.

Świat według polonisty

TEATR

głównego bohatera i jednocześnie narratora (Michał Chorośiński), polonisty w wieku autora. To on jest nieudacznikiem i postacią na wskroś komiczną – źle rzucił kamieniem, inaczej niż jego koledzy nie został cukiernikiem, co pozwoliłoby mu podjąć dobrze płatną pracę w Anglii, ale wybrał studia polonistyczne bez perspektyw na rynku pracy. Ów prawie inteligent (wciąż brakuje mu dyplomu, swego rodzaju przepustki do grupy) nagle zdaje sobie sprawę, że jego życie zatoczyło okrag. On urodził się 29 października 1977, gdy Deyna strzelił gola w meczu z Portugalią, który dał Polakom, jak się wówczas mówiło, tzw. zwycięski remis, teraz podczas jednego z ostatnich mistrzostw czy eliminacji do mistrzostw przychodzi na świat jego córka. To skłania go do podsumowania życia – zapamiętanego oraz zasłyszanego.

Tym samym opowieść ujawnia prawdziwość bohatera i jego stosunek do świata. Słuchamy wesołej historii przemiany chłopca w mężczyznę na tle miłości do futbolu. Przede wszystkim pojawiają się rodzice i ich zmagania z socjalizmem, gdy ojciec zapisuje się do partii, by coś osiągnąć, więc musi wyprawić chrzciny swoich dzieci w drugim krańcu Polski (w ówczesnym województwie zielonogórskim; jest więc i o reformie administracyjnej). Kolejne przemiany ustrojowe znaczone są znanymi emblematami – ojciec staje się właścicielem tzw. szczerk na targowisku i sprzedaje białe skarpetki, aż plajtuję wskutek wzrostu świadomości estetycznej społeczeństwa. Poza tym pojawiają się tematy typowe dla sztuk rozwojowych – szkoła, inicjacja seksualna (zakończona niegroźną chorobą weneryczną), zarobkowo wyjazd do Manchesteru (tu także pojawia się ślad Deyny), poszukiwania pracy przez polonistę bez dyplomu, miłość i ślub. Wspomnienia głównego bohatera są nieco groteskowe, postaci przemieniają się w farsowe figury, które jak w refrenie piosenki wciąż robią i mówią to samo. Nad nimi czuwa bohater o wyostrożonym zmyśle obserwacji, obnażający różnorodnymi konwencjami stylistycznymi. Jego opowieść budowana jest trochę wbrew zabawnym profesorkom polonistki, zastanawiającym się nad deklinacją i próbującym zaszczepić w studentach miłość do Czesława Miłosza, jako pisarza

drugiego obiegu. Bohater tymczasem obawia się automatyzmu i pozy, realizowania starych reguł w zmienionym porządku. Mimo to zaczyna powielać wypowiedzi swojej nauczycielki. Dostaje się w sferę wpływu atmosfery i schematu.

To także przedstawiciel młodego pokolenia, które szuka własnych wzorców i sposobu życia. W przeciwieństwie do rodziców i dziadków nie ma w ogóle nie skupia się na polityce – dziadek potępia polityków, ojciec szamocze się w obowiązującym systemie, natomiast główny bohater jakby żył w jakimś apolitycznym czasie. Ale pod podszewką tej zabawnej historii zauważyć można poszukiwanie jakiegoś wzorca, modelu, który uchroni bohatera przed komicznością. A śmiech wzbudzą tu prawie wszyscy – rodzice i rodzina (niemał każdy to dziwak, choć nie można zapominać o wykrzywiającej perspektywie), poloniści, ksiądz, lekarz, trener, sędzia piłkarski... Równie komiczny jest epizod angielski, gdy optymizm okazuje się

tylko maską, ponieważ nie wypływa z warunków życia. Bohater odrzuca też dawne mity o miłości – zamiast przekonania o rozpoznających się połówkach jest olśnienie w stołówce przy fasolce dziewczyną na łyżworolkach i wspólne zamieszkanie, by scementować związek.

W finale sztuki narrator wypowiada deklarację serio – marzy, by być jak Kazimierz Deyna. W tym nieco farsowym świecie tylko on zdaje się być godny naśladowania, co nie dziwi w kraju wciąż niespełnionej miłości do piłki nożnej. To również postać heroiczna – wielbiony czy wygwizdany wciąż walczył choćby o tzw. zwycięski remis.

Sztukę można potraktować jako komedię niemal branzową, a głównego bohatera zestawiać z Adasiem Międzychodkim z *Dnia świra*, co uczynił reżyser w wypowiedziach dla lokalnej prasy. Wówczas przedstawioną historię można opisać tytułem powieści Grocholi *Ja wam pokażę!*, gdy polonista wbrew rozpowszechnionemu stereotypowi znajduje swoje miejsce w świecie. Albo uznać futbol za metaforę ludzkiego życia, co w przypadku polskiego kibica nie zapowiada łatwego losu. Ważne, by wbrew okolicznościom, gwizdom i śmiechom walczyć choćby o zwycięski remis, nie ulegając atmosferze czy obowiązującym w otoczeniu schematom.

Sztuka przygotowana przez częstochowski teatr zapewni publiczności doskonałą zabawę. Na scenie rozpoznajemy figury znane tak z czasów minionych, jak i współczesnych. Ważne jednak, by po wyjściu z teatru zastanowić się nad tym nieco przypadkowym tytułem – dlaczego polonista chce być jak Kazimierz Deyna... Wówczas obie jedenastki wymienione w programie (obsada, reżyser i ludzie teatru) walczą o Deynę Paczocha odniosą może więcej niż zwycięski remis...

JOANNA WAROŃSKA

Radosław Paczocha: *Być jak Kazimierz Deyna*, reżyseria – Gabriel Gietzky, scenografia – Maria Kanigowska, ruch sceniczny – Witold Jurewicz. Premiera 8 września 2012. Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.

Aktorzy kochają Bogusława Schaeffera i nie ma w tym nic dziwnego, wszak ten niezwykły dramaturg, muzykolog, kompozytor, krytyk muzyczny, grafik i pedagog... jak nikt inny umożliwił ujawnienie wszystkiego, co „gra w duszy” aktora a jednocześnie nie zmusza go do nadludzkich wysiłków. Zdawać by się więc mogło – materiał łatwy, lekki i przyjemny. To jednak tylko pozory. Sztuki Schaeffera są swoistym egzaminem z aktorskiego kunsztu i trzeba nie lada odwagi, aby zmierzyć się z nimi i stanąć samotnie „oko w oko” z tkwiącą po drugiej stronie rampy publicznością, którą trzeba zdobyć, przykuć jej uwagę, zmusić do akceptacji i wciągnąć do gry. „Eksperci” od monodramów Schaeffera: bracia Mikołaj i Andrzej Grabowscy, Jan Peszek czy Andrzej Kierc z wirtuozerią rozpracowywali etiudy autora „Scenariusza dla nie istniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego”.

„Audycja V” Bogusława Schaeffera w interpretacji Piotra Zawadzkiego jest ponadgodzinną konwersacją z publicznością, która w miarę „wciągania się” w dyskretnie proponowaną grę staje się nierozdzielalnym elementem spektaklu. Momentami go ożywia a niekiedy sprowadza na niebezpieczne krawędzie. „Audycja V” to wykład nieco zblazowanego muzykologa na temat twórczości Webera. Widownię (czyt. studentów) nie od razu porywa naszpikowany mądrościami wykład. Prelegent także jest chwilami znudzony sam sobą, przerywa więc monotonny elaborat, wklajając się w meandry niezliczonych dygresji, czasem śmiesznych, czasem prozaicznych, a bywa, że i wzruszających. Jakby i to nie pomogło – niczym z rękawa „wypada” muzyka, a ta (jak zwykle) jest niezawodna. I tak zaczyna rodzić się happening tworzony wspólnie z publicznością. Chwyć to odważny a za razem niebezpieczny, nie zawsze bowiem widzowie chętnie poddają się takiemu zabiegowi. Małymi kroczkami, dokładnie badając grunt, Zawadzkiemu udało się jednak nawiązać kontakt z pozostającym w cieniu audytorium.

Walczyli o to obaj, coraz bardziej zmęczony muzykolog, który szuka uznania dla twórczości Webera, jak również wcielający się w wykładowcę aktor. Obaj starają się dotrzeć do tkwiących nieruchomo w swych fotelach słuchaczy. Nie czując zainteresowania, muzykolog często składa broń, natomiast aktor nie poddaje się ani przez



Fot. Piotr Jóźefczyk

Monodram nie dla ponuraków

TEATR

chwilę i z istic psychologiczną wnikliwością bada temperaturę zainteresowania widzów. Gdy zaczyna powiewać chłodem, sięga do zasobów życiowych mądrości lub wypróbowanych anegdot. Zawirowania relacji aktor-wykładowca tylko pozornie mieszają się między katedrą a turystyczną maszynką gazową. Podobnie jak pozorny jest brak związku między muzyką a posiłkiem, który każdy twórca musi przeciwko spożywać. Sprowadzoną do niezbędnego minimum scenografię wzbogacają wyłącznie rekwizyty, które pojawiają się w miarę rozwoju akcji. Teczke wypełnioną zapiskami roztargnionego prelegenta wspomaga futerał, który miast oczekiwanej wiolonczeli skrywa zaskakujące przedmioty... ale nie psujemy zabawy tym, którzy jeszcze spektaklu nie widzieli.

Kiedy aktor może mówić o sukcesie? W przypadku monodramu odpowiedź przychodzi błyskawicznie. Bez wątpienia wtedy, gdy widzowie nie zerkają z niecierpliwością na zegarki, a po opadnięciu kurtyny ze zdumieniem zauważają: *to już ta godzina...* A tak właśnie zareagowali goście premierowego przedstawienia. Podczas „Audycji V” wyreżyserowanej przez Wojciecha Leśniaka i Piotra Zawadzkiego czas bie-

gnie szybko a kilkadziesiąt minut wspólnej świetnej zabawy wprawia wszystkich w znakomite nastroje.

Być może twórcom spektaklu przyszłyby słowa autora „Kaczo”: *Teatr bez ruchu jest martwy i nudny. Uważam komiczność za element najbardziej kreatywny, kreatywność i powaga wykluczają się wzajemnie, tego jestem pewien. Ponuraków powinno się przepędzać z teatru, są z pewnością zbyt mało inteligentni, by im coś w teatrze wyszło...*

Sztuki Bogusława Schaeffera – jak pisze Małgorzata Kosińska – *to teatralne partytury na wzór partytur muzycznych, w których autor snuje refleksje nad naturą teatru i aktorskiego przeobrażenia. Próbuje uchwycić wzajemne powiązanie scenicznej prawdy i scenicznego fałszu, iluzji i deziluzji. W „Audycji” Piotra Zawadzkiego wszystko jest teatrem, mokra od potu koszula prelegenta zdaje się nie przywierać do ciała aktora a jajecznicą na cebulce, według zapamiętanego przez aktora przepisu mamy, porusza nozdrza widzów tak samo, jak słuchających wykładu studentów.*

Dużym atutem spektaklu było zapewne wnętrze, w którym się on rozgrywał – Klub muzyczny Old Timers Garage w Katowicach-Piotrowicach. To miejsce, jakich bardzo nam w pejzażu kulturalnych propozycji brakuje. Magiczne i niezwykle wręcz pomieszczenie jest wprost wymarzone dla kameralnych spektakli, choć stali bywalcy przyzwyczajeni do odbywających się tu koncertów, wieść o monodramie przyjęli pewnie ze zdziwieniem. Mam nadzieję, że gościć tu będą w pełnej symbiozie wszystkie dziedziny sztuki, i nie tylko mieszkańcy katowickiej dzielnicy znajdą tu scenę pełną różnorodności. To świetny, nowy nabytek.

Nie ma sztuki bez życiowych doświadczeń, nie ma muzyki bez emocji, nie ma spektaklu bez widowni. W klubie Old Timers Garage zobaczyliśmy w nietypowej scenerii, z udziałem znakomitej publiczności brawurowo zagrany, bardzo dobry monodram. Każdy następny zapewne będzie już inny.

MARIA SZTUKA

Bogusław Schaeffer: Audycja V. Monodram w wykonaniu Piotra Zawadzkiego. Reżyseria Wojciech Leśniak, Piotr Zawadzki, oprawa muzyczna Jakub Zawadzki. Premiera w Klubie muzycznym Old Timers Garage (Katowice-Piotrowice) 9 września 2012.

Jerzy Jarocki w lipcu 1957 roku, w kilka dni po prapremierze polskiej „Balu manekinów” Brunona Jasieńskiego – był to jego dyplom reżyserski – otrzymał etat reżyserski, co było równoznaczne z możliwością zrealizowania kilku interesujących projektów. Dyrektor artystyczny Teatru Śląskiego, Józef Wyszomirski, w lot pojął, że w jego ręce wpadł prawdziwy brylant. „Miłość i gniew” J. Osborne’a, „Policja” S. Mrożka, „Nie igra się z miłością” A. de Musseta, „Fałszerz i jego córka” E. Kabatca i A. Minkowskiego, pierwsze sztuki wyreżyserowane przez Jerzego Jarockiego na Małej Scenie – były czymś nowym, oryginalnym.

Widzowie (byłem wśród nich jako licealista) nie mieli wątpliwości, że z obu scen, Dużej i Małej, przemawia do nich artysta pewien swoich wyborów repertuarowych, a także świadom używanych środków artystycznego wyrazu. „Sądzę, że nie można traktować dzisiaj teatru jako sztuki odtwarzania. Spektakl teatralny stanowi obecnie wartość nową, autonomiczną”. Są to słowa Jerzego Jarockiego wypowiedziane w wywiadzie opublikowanym we „Współczesności” pod koniec roku 1958. W Biuletynie Informacyjnym KW PZPR w Katowicach zostało zdefiniowane nader wyraźnie stanowisko władz lokalnych: „Szczególnie niepokojącym jest ekskluzywny charakter repertuaru Teatru Wyspiańskiego, powodujący masowe gubienie robotniczego widza (...) Widz nieprzygotowany do tego typu repertuaru wychodzi z teatru zawiedziony i rozczarowany”.

Jak silny musiał być wpływ Jerzego Jarockiego, wówczas człowieka niespełna trzydziestoletniego, na Teatr Śląski, na jego dyrektora artystycznego, świadczy ten oto fakt repertuarowy: Józef Wyszomirski, któremu najbliższy był monumentalny Teatr w duchu Leona Schillera, wyreżyserował „Krzesła” E. Ionesco. Teatr Śląski przeżywał swoje piękne dni. Odszedł zeń wielki aktor Gustaw Holoubek. Nie mogliśmy zatem pójść „na nowego Holoubka”, szło się na aktora bardziej niż na sztukę! Przyszedł młody, starszy od nas o dziesięć lat artysta, w którego pracach wyczuwaliśmy „głos pokolenia”. I od tej pory chodziliśmy „na Jarockiego”. Skąd przyszedł? Z Mokwy, w Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, „z mastierskiej” (z klasy) Mikołaja Górczakowa, ucznia Konstantego Stanisławskiego. Przyszedł ze sztuką ledwie co odnalezioną w ZSRR. Jej autor Brunon Jasieński zmarł umęczony „na etapie”, w drodze do łagru. Sztukę tę napisał był po rosyjsku! Było to więc jakby sprowadzenie prochów wielkiego poety, a także przywrócenie go polskiej kul-



„Bal manekinów”, 1957 (Teatr Śląski)

Wielki Człowiek Teatru

JERZY JAROCKI
(1929 – 2012)

turze, do której należał. Zdzisław Hierowski napisał wtedy w „Panoramie”, że Jerzy Jarocki „w swej pierwszej pracy reżyserskiej stworzył przedstawienie zupełnie niepodobne do tego, czym raczyli nas dotąd inni absolwenci radzieckich uczelni teatralnych”. Talent Jerzego Jarockiego został – jak widać – natychmiast rozpoznany. „Egzamin był trudny – kończył swój artykuł Z. Hierowski – więc tym więcej można z niego wysnuć nadziei na przyszłość”.

W ciągu pięciu lat przeżytych i pracowanych w Katowicach zrealizował, jeśli dobrze się doliczyłem, i jeśli dobrze pamiętam, 13 spektakli. Nie był bezwzględnie wierny literze inscenizowanego tekstu. Bardzo często traktował sztukę jak scenariusz, w który on, reżyser, ma tchnąć prawdziwe, czy zgłębiać inne życie. Po premierze „Fałszerza i jego córki” E. Kabatca i A. Minkowskiego (z której zapamiętałem aktorkę o wielkich oczach – Krystynę Moll) Józef Kelera pisał w „Odrze”: „Przedstawienie jest co najmniej o klasę lepsze od sztuki”. W recenzji „Śmierci gubernatora” Leona Kruczkowskiego opublikowanej w „Teatrze”, Jan Paweł Gawlik napisał: „Jerzy Jarocki w «Gubernatorze» jest precyzyjny i ostry, przekorny i ironiczny”. Zwrócił uwagę na doskonałe porozumienie reżysera ze scenografem, Wiesławem Lange, wielką postacią katowickiej sceny! „Najlepsze są przy tym sceny zbiorowe, te, które w lekturze wydają się najmniej teatralne”. Leon Kruczkowski miał bardzo silną pozycję, nie tylko literacką, lecz, co ważniejsze, polityczną. Odmówił przyjazdu na premierę; uznał, że reżyser zbyt daleko odszedł od oryginału sztuki. Ale, co tu było oryginałem? Tekst sztuki, czy po-

wieść Leonida Andrejewa „Gubernator”, którą Jerzy Jarocki (absolwent moskiewskiej uczelni) znał niechybnie... Spektakl był znakomity, jak pisze Andrzej Linert w swym dziele „Teatr Śląski”, „(...pełen niejasności i obciążony sentymentalizmem tekst Jarocki we wstępnej fazie pracy adaptował, dokonując skrótów i przestawień”. Dramat władzy, przemiany rewolucyjnego ideału w tyranie, Jerzy Jarocki, zdaniem J.P. Gawlika przedstawił jako „dramat świadomości uwikłanej w degradujący mechanizm władzy”. Spektakl uznano za lepszy od warszawskiego (w reżyserii K. Dejmką!).

Po premierze „Franka V” F. Dürrenmatta Bolesław Surowska napisał w „Dzienniku Zachodnim”: „Sztuka niewątpliwie «bierze», ale nie można powiedzieć, żeby to była rzecz budująca”. W rezultacie recenzent wyżej od tekstu stawia inscenizację Jerzego Jarockiego. Krytycznie pisała o spektaklu Elżbieta Wysińska w „Dialogu”, jej zarzut główny jest absurdalny: „(Jarocki i Szajna) zachowali się tak, jakby dopiero Dürrenmatt im odkrył, że świat jest okrutny”. Byłem na tym przedstawieniu i do dziś pamiętam olbrzymie nogi wystające z paszczy pieca krematoryjnego!

„Widok z mostu” Arthura Millera i „Łaźnia” Włodzimierza Majakowskiego – mają swoje poczesne miejsce w kronikach Teatru Śląskiego, pierwszą inscenizację uznano wówczas za najlepszą spośród wszystkich prezentacji amerykańskiego dramaturga w trzynastu teatrach Polski! O (drugiej, jeszcze przed premierą mówił Jerzy Jarocki: „Dla mnie osobście praca nad sztuką nie jest nigdy zakończona w dniu premiery. Poprawiam ją jeszcze i to niejedną raz, po obserwacji reakcji publiczności”). Ważne jest to ostatnie zdanie, ponieważ partyjni mędrcy, specjaliści „na odcinku kultury” wytykali teatrowi, a zwłaszcza pracom Jerzego Jarockiego formalizm i nieliczenie się z widzem, rzecz jasna robotniczym, który, jak wiadomo, pasjami lubi chodzić do teatru.

Jerzy Jarocki nie lubił Katowic, nie ukrywał, że źle czuje się w naszym mieście, które dla urodzonego w Warszawie, kształconego w Krakowie i Moskwie trzydziestolatka, nie było zbyt powabne. A jednak zrealizował tutaj kilka projektów, których, być może gdzie indziej, nie udało mu się urzeczywistnić na scenie. Dla młodej, chłonnej, wrażliwej, stęsknionej za wielką Sztuką widowni, sześć lat Jerzego Jarockiego w Teatrze Śląskim, było doświadczeniem intelektualnym i estetycznym nie do przecenienia.

FELIKS NETZ

Teatr Dzieci Zagłębia im. J. na Dormana w Będzinie, kojarzony powszechnie z przedsięwzięciami dla małego widza, coraz odważniej urozmaica swój repertuar niebanalnymi adaptacjami dla dorosłych. Jest to ciekawa droga i z pewnością przysporzy będzińskiej scenie wielu widzów. Mowa o najnowszej propozycji teatru, spektaklu „W brzuchu wilka” skierowanym szczególnie do widowni wchodzącej w trudny wiek dojrzewania. Po obejrzeniu tej inscenizacji, prześladowuje mnie, niczym zmara, seria pytań. Czy można obudzić w sobie współczucie dla diabła, wcielenia zła? Można, kiedy weszło się do „brzucha wilka”, wnętrza psychopatycznego mordercy. Tylko, czy można z niego wyjść samemu bez żadnego moralnego szwanku? *Czerwony Kapturek* potrzebował pomocy dobrego myśliwego, by opuścić wilczy brzuch.

Dariusz Wiktorowicz, reżyser spektaklu, nieprzypadkowo sięgnął po nagradzaną sztukę Roberta Jarosza, jednego z najciekawszych dramatopisarzy młodego pokolenia. Wykorzystuje ona klasyczną baśń o „Czerwonym Kapturku i Wilku”, ale robi to w przewrotny sposób. To metafora brutalnego świata i pokus czyhających na młodość stojącą przed progiem dorosłości. *Wilk* o niepokojącej i zarazem cierpiącej twarzy Tomasza Dajewskiego jest nosicielem agresji i prymitywnej, niszczącej siły. Rodzi się z chaosu. Drogę *Wilka* nakreślono na piasku, ale wiatr ją rozwił. *Wilk* kroczy więc drogą zniszczenia i śmierci. Niszcząc, nie myśli o karze, bo wyznacznikiem jego czynów jest przyjemność czerpana również ze strachu ofiar. Obok *Wilka* pojawia się *Czerwony Kapturek*, dziewczyna o fizjonomii i urodzie debutantki Agnieszki Chodźby. Z jednej strony istota niewinna, marząca o czystym uczuciu, z drugiej podatna na popędy kusicielka, jak w scenie tańca z *Wilkim*. Twórcy spektaklu, przenosząc motywy z bajki o Czerwonym Kapturku, odwołali się również do jej psychoanalitycznej interpretacji Bruno Bettelheima, słynnego psychoanalityka i więźnia obozów koncentracyjnych. *Wilk* uosabia po części erotyczną pułapkę i zarazem bolesne wtajemniczenie w dorosłość. Uwolnienie się z brzucha wilka jest przejściem z utraty niewinności w dojrzałość.

W będzińskiej inscenizacji zostały zaakcentowane sprawy, z którymi młody widz śmiało może się identyfikować. Chodzi o nieporadność uczuciową nastoletnich ludzi. Coraz wcześniejsze doświadczenia erotyczne, szybki seks nie idą w parze z wiedzą na temat prawdziwej bliskości i więzi między kobietą a mężczyzną. To widać zwłaszcza w scenie zbliżenia między zakochanymi, którzy zachowują się trochę, jak dzieci we mgle. Innym zagadnieniem jest obecność przemocy i zła w naszym życiu. Jej nosicielem jest nie tylko *Wilk*. Wszyscy mają w sobie cząstkę agresji. Czym ona jest spowodowana? Może tym,



Spektakl przywołuje autentyczną postać seryjnego mordercy z lat sześćdziesiątych XX wieku, Karola Kota, zwanego wampirem z Krakowa. Babcia (jak zawsze świetna Elżbieta Okupska) wspomina ówczesną psychozę strachu.

Wilk zabija i cierpi

że nasz świat powstał z chaosu, nie dano nam gotowej recepty na szczęście, nie określono wyraźnie naszej drogi, a sami ją musimy stworzyć w pocie znoju codziennego. Oferowano nam puste słowa i pozostawiono w „czarnej dziurze”. Twórcy spektaklu oskarżają również media o potęgowanie agresji, poprzez kreowanie zła, jako bardziej atrakcyjnego, prowokującego niczym kobieta w czerwieni. Ale czy obecność negatywnych bohaterów w mediach nie wynika ze społecznego zapotrzebowania na coraz bardziej krwawe historie. Nawet dzieci przestają się bać horrorów, co więcej, fascynują je potwory pijące ludzką krew i inne straszdyła. Wystarczy tylko przypomnieć popularność postaci z „Monster HiH”. Już ośmioletnie dziewczynki wolą bawić się laleczką z kłami wampira, krwawymi śladami na szyi, sypiącą w trumience i lubiącą nietoperze.

Kiedy na taką skalę oswoiiliśmy zło, to czy jesteśmy w stanie dostrzec i docenić dobro? Chyba wtedy, kiedy mrok oznacza strach. *Wilka* trzeba się bać, jak notorycznego zabójcy.

Spektakl będzińskiego teatru przywołuje je autentyczną postać seryjnego mordercy z lat sześćdziesiątych XX wieku, Karola Kota, zwanego wampirem z Krakowa. Babcia (jak zawsze świetna Elżbieta Okupska) wspomina psychozę strachu i pokrywki noszone przez starsze kobiety na plecach, by w ten naiwny sposób zasłonić się przed nieoczekiwanymi ciosami młodego nożownika. Karol Kot, krwawy morderca o niewinnym spojrzeniu i chłapięcej sylwetce, atakował dzieci i starszki, ale jego wilczy apetyt, powstrzymany przez organy ścigania, był znacznie większy. W czynieniu destrukcji znajdował przyjemność. Kiedy nie mordował, przechodził katusze. Był to drapieżnik, który włożył uwierającą go

TEATR

owczą skórę. Czy przed takim wcieleniem zła można ochronić duszę? Postać *Wilka* z będzińskiej inscenizacji podobnie uosabia perturbację seryjnego mordercy. Wybór do tej roli Tomasza Dajewskiego, nie tylko aktora dramatycznego, ale i mima, był bardzo dobrym posunięciem reżysera. Plastyczne i niejednoznaczne oblicze aktora na pewno pozostanie w pamięci każdego widza. Zresztą zaproszenie do głównych ról znanych aktorów śląskich scen z pewnością podniosło poziom spektaklu. Trafną decyzją okazało się również powierzenie roli *Czerwonego Kapturka* debutantce. Agnieszka Chodźba jest studentką studium aktorskiego przy Uniwersytecie Śląskim. Stworzyła z Tomaszem Dajewskim duet wyjątkowy, krwisty, pulsujący emocjami. Nowoczesna scenografia i drapieżna muzyka Mateusza Wiktorowicza, syna reżysera, odwoływały się do wyobraźni użytkowników internetu i praktyków szybkiej korespondencji przy pomocy telefonii komórkowej. Kreatorem wszystkich zdarzeń w spektaklu jest *Wilk*, dojrzała brutalność napotykana

na drodze niewinności, ale również niezdrowej ciekawości. Jednakże *Wilk* też cierpi, bo jest częścią tej siły, która prócz ciemności zrodziła światło. Zadając ból, sam krwawi. Postać *Wilka* ma wymiar romantyczny, on również pragnie miłości i zrozumienia. Jego wnętrzu nie jest całkowicie mroczne. Są tam domy i drzewa, rzeczy, które *Wilk* lubi, namiastka otaczającego świata. Jest to piękno zwodnicze, ale czy jednoznaczność leży w jakiegokolwiek naturze?

Bardzo poruszającą jest scena, kiedy *Wilk* prosi *Czerwonego Kapturka*, by się nad nim pochylał, a wtedy może go nie zje. Zrozumienie motywów zbrodniarza, pomimo przerażenia jego czynami, uchroni nas przez złość. Ujrzenie w twarzy *Wilka* jego cierpiącą naturę, pozwoli nam zrozumieć istotę człowieczeństwa i odepchnąć zło. Niestety autor sztuki nie poprzestął na tym, chyba przestraszył się mroczności i zakończył tekst akcentem o dobrych, zwyczajnych ludziach, nie będących bohaterami pierwszych stron gazet. To oni robią dobre pierogi, są życzliwi w pojazdach publicznej komunikacji i tak dalej. Kończąca scena, w której aktorzy wymieniają anonimowych dobrych ludzi, trochę gryzie się z klimatem spektaklu. Może jednak ma przestrzec młodego widza przed zwodniczą fascynacją wnętrzem *Wilka*...

ANNA POLEWIAK

Robert Jarosz: *W brzuchu wilka*, reżyseria: Dariusz Wiktorowicz, scenografia: Pavel Hubicka, muzyka: Mateusz Wiktorowicz, ruch sceniczny: Tomasz Dajewski, realizacja video i animacja komputerowa: Mateusz Makselon, kompozycja aranżacji utworów muzycznych: Michał Makulski. Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie. Premiera 21 września 2012 r.

Projekt Mozart

Projekt Mozart to przedsięwzięcie zainicjowane przed dziesięcioma laty przez absolwenta warszawskiej uczelni muzycznej Szymona Wyrzykowskiego. Co roku grupa młodych artystów wykonuje pod jego dyktando wybrany utwór religijny Mozarta w kilkunastu polskich kościołach, które ich zapraszają i goszczą „czym chata bogata”. Muzyka towarzyszy liturgii odprawianej w języku łacińskim. W tym roku trasa wiodła przez Śląsk Górny i Cieszyński, a wykonywanym utworem była *Msza koronacyjna*. Zabrzmiała między innymi w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Cieszynie-Krasnej. Dzięki życzliwości proboszcza księdza Stanisława Filapka ten mały kościół (zupełnie nowy, nawet jeszcze niewykończony, stanowiący niemal wierną replikę ponadstuletniej budowli, którą trzeba było już wyburzyć) pomieścił kilkudziesięcioosobową grupę złożoną z solistów (w tej roli wystąpili: Anna Leśniewska, Justyna Kopiszka, Szymon Szetela i Rafał Pawnuk) chóru i orkiestry. Oprócz *Mszy koronacyjnej* zabrzmiało jeszcze kilka innych utworów, między innymi specjalnie skomponowana na letnią trasę koncertową zespołu pieśń *O piękności niestworzona* Marka Nowakowskiego (młodego twórcy pochodzenia polskiego zamieszkałego w USA) oraz hymn *Boże, coś Polskę* w opracowaniu Andrzeja Nikodemowicza. Msza muzyczna była dla kraśnianskich parafian i gości przybyłych z miasta wielkim duchowym i artystycznym przeżyciem. Artyści zostali nagrodzeni *standing ovation*, za którą muzycy odwziewali się bisem.

Muzyka polska na nowo odkryta

Śląskie Towarzystwo Muzyczne kierowane przez Magdalenę Lisak zainaugurowało 16 września swój kolejny cykl koncertowo-edukacyjny. Tegoroczną imprezę, zrealizowaną dzięki pomocy Urzędu Miasta Katowice, poświęcono „muzyce polskiej na nowo odkrytej”. Zaprojektowano prezentację utworów kompozytorów XIX- i XX-wiecznych. Wśród nich byli twórcy, którzy przed kilkudziesięciu czy kilkunastu laty byli filarami tak zwanej polskiej szkoły kompozytorskiej – na przykład Tadeusz Baird. Zmarł w 1981 roku – i już trzeba go odkrywać... Oczywiście nie „nowo”, tylko „na nowo”, jak to subtelnie zróżnicowała w programie Magda Lisak. Pierwszy koncert wrześniowego cyklu odbył się w Sali Koncertowej Polskiego Radia w Katowicach. Wystąpili znakomici muzycy – pianistka Joanna Domańska, klarne-

MIEDZY NUTAMI



cista Roman Witaszek i waltornista Tadeusz Tomaszewski. Program koncertu był niezwykle ciekawy. Na początek zabrzmiało *Duo na klarnet i fortepian* op. 47 Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego, kompozytora, którego najlepsze lata działalności przypadły na najgorszy okres w historii XIX-wiecznej Warszawy – na lata 40. i 50., kiedy w stolicy „Priwislinja” nie było nawet konserwatorium. Trzeba uczciwie przyznać, że ostatnio wiele zrobiono dla odzyskania Dobrzyńskiego: ukazało się nagranie płytowe jego opery *Flibustierowie*, a nakładem Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego opublikowano nader ciekawe wspomnienia o kompozytorze autorstwa jego syna Bronisława. W kameralnym *Duo* okazał się Dobrzyński twórcą sprawnym i pełnym inwencji. Stylistycznie kojarzy się jego muzyka ze Spohrem i Weberem, są w niej przebliski stylu brillant, a nawet bezpośrednie pożyczki z Chopina.

Z muzyki wczesnoromantycznej artyści zaprezentowali jeszcze *Grand duo Es-dur* op. 4 na róg, klarnet i fortepian Franciszka Lessla, kompozytora o pokolenie starszego od Dobrzyńskiego. O tyleż „starsza” jest jego muzyka. Kojarzy się z popularną, „internacjonalną” wersją klasycyzmu, taką, jaką upowszechnił w Środkowej Europie Czech Ladislav Dusík. Pomiedzy dziełami Dobrzyńskiego i Lessla zabrzmiały *2 kaprysy na klarnet i fortepian* Tadeusza Bairda, uroczące młodzieńcze drobiazgi pochodzące z roku 1953, utrzymane w konwencji neoklasycznej, a jednocześnie wychodzące poza nią subtelnym rysunkiem fraz i kapryśnością rytmu. Na omawianym poranku przypomniano jeszcze postać Stefana Kisielewskiego – jednak nie muzyką, lecz słowem. Paradoks ten tłumaczy się tym, że słynny Kisiel ostał się dziś głównie jako publicysta i krytyk, więcej zajmują się nim poloniści niż muzycy. Może jeszcze przyjdzie czas na jego utwory muzyczne?

Przed Konkursem im. Fitelberga

We wrześniowym programie Instytucji „Silesia” znalazł się unikatowy koncert utworów Grzegorza Fitelberga. Intencją organizatorów było nie tylko zaprezentowanie zapomnianych dzieł wielkiego dyrygenta, ale i zainteresowanie publiczności przygotowywanym przez Filharmonię Śląską na listopad kolejnym konkursem dyrygenckim jego imienia. Nie można powiedzieć, że Fitelberg jest w Polsce nieznanym jako kompozytor. Dość często grywa się jego *Trio f-moll* na skrzypce, wiolonczelę i fortepian; sztandarowej kompozycji symfonicznej *Pieśń o sokole* można nawet słuchać w Internecie. Na koncert, który odbył się w Sali Koncertowej Polskiego Radia 27 września przygotowany jednak program unikatowy, składający się z *II Sonaty F-dur* na skrzypce i fortepian, młodzieńczych dzieł instrumentalnych (dwa romanse bez słów, *Berceuse*, *Mazurek*) oraz cyklu pieśni do słów Richarda Dehmela. Utwory na skrzypce i fortepian grali Andrzej Gębski (profesor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, wychowanek Andrzeja Wróbla, po którym przejął pasję przywracania do repertuaru zapomnianych dzieł kompozytorów polskich) oraz Antoni Brożek – król katowickich pianistów-kameralistów. Wykonawczyniami pieśni były katowickie artystki Iwona Socha (sopran) i Joanna Steczek (fortepian). Ogromna różnica stylistyczna, jaka rysuje się między młodzieńczymi drobiazgami skrzypcowymi Fitelberga, reprezentującymi typowy dla schyłku XIX wieku poziom utworów pisanych przez wirtuozów na własny użytek, a sonatą utrzymaną w poważnym stylu późnoromantycznym uzmysławia niezwykle tempo rozwoju talentu kompozytorskiego Fitelberga, polegającego w pierwszej mierze na umiejętności przyswajania sobie aktualnych zdobyczy stylistycznych i technicznych muzyki zachodniej. *Mazurek*, utrzymany w typowej dla polskich kompozytorów konwencji „śpiwno-zadzierzystej”, eksploatowanej od czasów Wieniawskiego i Kątskiego dzieli od sonaty o rysach prawie brahmsowskich jedynie rok (1900 – 1901). Jeszcze szybsze tempo rozwoju obserwujemy na przykładzie pieśni do słów Dehmela: pisane w tym samym czasie, co *Pieśń o sokole* (1905) są – jak ona – kompletną encyklopedią „straussizmu”. W ciągu czterech lat przebiegł zatem Fitelberg dwadzieścia lat historii muzyki, doganiając niemiecki modernizm, co prawda jedynie jako naśladowca. Jednak kopistów wolno nam dzisiaj podziwiać tak samo jak mistrzów.

MAGDALENA DZIADEK

Na początku roku 1956 młody (zaledwie 25-letni!) dramaturg napisał list. Dlaczego? Jak sam twierdzi: „doraźnie – z powodu pierwszego tomu *Czasu nieutraconego*”. Bo wiele pytań i uwag, i przemyśleń, Panie Stanisławie. Nie wiemy, jak brzmiała odpowiedź starszego o prawie dekadę adresata, już wtedy utytułowanego. Wiemy, że ten pierwszy list stał się początkiem obfitej korespondencji, trwającej przez całe lata 60. (plus, minus kilka listów). Korespondencji, która wydana przez Wydawnictwo Literackie jako „Lem-Mrożek. Listy” wywołała niemałe poruszenie na naszym rynku wydawniczo-czytelniczym. Nic dziwnego – Panie i Pano- wie, oto korespondencja gigantów, których nikomu przedstawiać nie trzeba, najbardziej utytułowanych polskich literatów XX w., mistrzów absurdu, sarkazmu i bajek robotów. A efektem jest, jak trafnie podsumowano w informacjach prasowych na temat publikacji: „700 stron narzekania na kolegów po piórze, polskie społeczeństwo i w ogóle ludzkość, z elementami dyskusji literackich i motoryzacyjnych”. Tylko tyle? Aż tyle? To zależy, czego oczekujemy.

Bo gdy tylko sięgamy po tę książkę, włącza się w nas instynkt voyeurysty, pospolitego podglądacza, który tych Wielkich i Wspaniałych chce podejrzeć pod prysznicem. I czego on się dowiadyduje? Że obaj pisarze uwielbiali samochody. Że dopadał ich kac. Że poza miłością do sztuki, łączyła ich serdeczna niechęć do Iredyńskiego (ta ostatnia owocowała prawdziwymi erupcjami typu: „Zwracam uwagę na Kolegę i Somsia Waszego w *Dyalogu*, Szalenie Zdolnego Kurwipolcia, Jebura Ontologicznego, Super-Maciornika I. I., którego *Jasełka* takie Moderne przeczytałem wczora”).

„Listy” łechcą nasze czytelnicze podglądactwo najczystszej wody, co jest szczególnie wyraźne w kontekście wydanych niedawno dwóch tomów „Dzienników” Mrożka (o których istnieniu nie wiedział Lem, piszący w kwietniu 1966 r.: „Ba, gdybyś Ty dzienniki jakoweś pisał – ale to może też nie byłoby szczęśliwe, nie każdy nadaje się do tego”), dzięki czemu można porównywać te same historie przedstawiane na dwa różne sposoby.

Poznajemy wszystkie małe troski i śmieszności dnia codziennego. Momentami w tej warstwie lektura „Listów” staje się wręcz nużąca. Szczegóły obyczajowe, zawilosci relacji, kąśliwości, zwykłe ludzkie małości. Narzekania na pogodę, na system (ale dyskretnie, cenzura czuwa), na to, że „Wódka z ziemniaków i jesień z wody ciężą nad tym krajem” i że „dzisiejsza popkultura to wyższość w wystawianiu prąca”.



Stanisław Lem, Sławomir Mrożek. *Listy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012.

Wszyscy jesteście voyeurystami

Z drugiej strony, z tego samego powodu „Listy” to lektura pasjonująca – dzięki obyczajowym i literackim „smaczkom”, budującym obraz polskiej elity intelektualnej lat 60., które odsłaniają ludzką twarz pisarzy. Czego w tych listach nie ma! Jest ponad dekadę życia. Są osobiste tragedie (śmierć Marii Oremby), są trudne decyzje, są anegdotki, jak choćby te z nauki jazdy na nartach. Są przemyślenia, obserwacje kulturalne i podróźnicze – nie tylko emigracja Mrożka, ale i zestawione ze sobą Berlin, Rzym czy Hvar („Hvar przez cały year!”). Ja, podglądacz, dla którego „Tango” było szkolną lekturą, z ciekawością przyglądam się pisarzom przez tę przez dziurkę od klucza.

Jacy byli? Byli wkurzeni przypiętymi łatkami „fantasty” i „parodysty”. I bardzo kąśliwi wobec kolegów po piórze. Ach, ta rozkosz krytyki! Najbardziej obrywa się wspomnianemu już Iredyńskiemu, ale poza zasięgiem krytyki nie są ani światowe sławy (jak Dürrenmatt czy Lowry), ani nawet bliscy znajomi (np. Błoński).

Pisarze znajomych obgadują z przyjemnością, ale i wobec siebie są surowi, choć cenią nawzajem swoją twórczość. Rozmowy o kulturze i sztuce, wzajemne analizy i mini-eseje kry-

tycznoliterackie, zacięte dyskusje nad wartością artystyczną nowych dzieł – to wielka wartość książki. Trzeba pamiętać, że czas trwania korespondencji to zarazem ważny okres ich twórczości. Wtedy to Lem pisze m.in. „Pamiętnik znaleziony w wannie”, „Solaris” czy „Summę technologiae”, a Mrożek „Tango”, „Krawca”, „Monię Clavier” i in. Ale nie ma tu samozachwytyw – wręcz przeciwnie: Lem krytycznie ocenia np. „Tango” jako utwór niespójny konstrukcyjnie („[...] mam wrażenie, że sztuka od połowy jest skręcona, zwichnięta, a śmierć babki, jakże obiecująca, to zderzenie prawdy z konwencjami, właściwie puszczona marnie [...]”), a Mrożek w odpowiedzi zarzuca autorowi „Summary”, że napisał „wielką, znakomitą i przeraźliwie formalistyczną książkę. Straszliwie ograniczoną do jednej tylko kategorii”. Fascynująca dyskusja ciągnie się przez kilka długich listów.

Fascynująca jest także warstwa językowa korespondencji. To lingwistyczno-poetycki majstersztyk, który przy okazji odzwierciedla rozwój relacji między Mrożkiem a Lemem. Poczynając od „Panie Stanisławie”, poprzez „obalenie tytułów w nocy z 31 XII 1958 na 1 I 1959”, pisarze poszukują języka komunikacji, który pomieści wzajemną sympatię, ogólną mizantropię i ironię, filozofię i literaturę. Zaczyna Lem, budujący np. konstrukcje apostrof w stylu „Mrogi Drożku” lub, gdy wena poniesie: „Sławomirze Miru Sławny! Hospodynie Literatury Polskiej! Okraso Satyry! Omasto Niebios! Doskonałości Wrodzona! Szlachetności. Na Koniec Której blaskiem skąpany Chadzam”. W tych poszukiwaniach przeplatają się sformułowania godne Jana Chryzostoma Paska, gry i zabawy słowne, zabawy niesłowne, język ewangeliczny, nieparlamentarny, angielski różnej jakości, jeszcze różniejszej jakości niemiecki, francuski, rosyjski a nawet robotyczny („Jakiż to robot piękny i młody!”), a czasem to wszystko naraz – jakby pisarze chcieli nawzajem zawstydzić się erudycją. Uspokajają się te językowe bachanalia dopiero po kilku latach, gdy i same listy stają się bardziej wyważone, merytoryczne, rzadsze – aż do nagłego urwania się korespondencji, najpierw w 1969, a potem, ostatecznie, w 1978 r. Dlaczego? Ot, życie. Pozostał dokument. Świadcstwo sposobów myślenia, przenikania losów. Świadcstwo spotkania życiowego i literackiego. Literatura obok literatury, dziurka od klucza dla każdego voyeurysty, któremu niestraszne 700 stron czystego życia.

ANNA POJDA

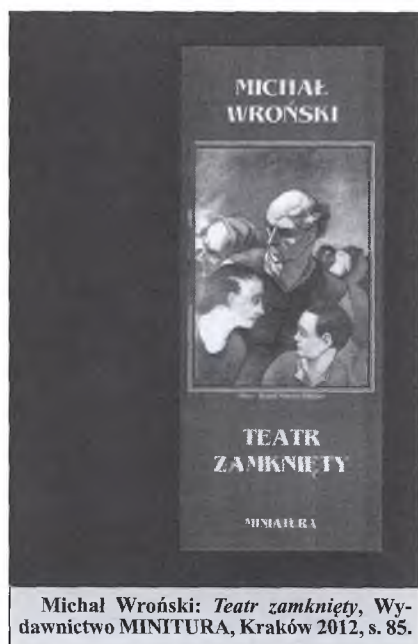
Michał Wroński urodził się 25 maja 1945 roku w Częstochowie. W wieku 19 lat zadebiutował wierszami na łamach dwutygodnika „Poglądy”. Do Gliwic przyjechał w 1974 roku. Znany jest jako prozaik, poeta i publicysta związany z radiem, telewizją i teatrem. Autor słuchowisk radiowych i telewizyjnych, zrealizowanych dla Radia Katowice, II Programu Polskiego Radia, Telewizji Katowice i Telewizji Gdańsk. Napisał kilka sztuk teatralnych, bajek scenicznych i musicali dla Operetki Śląskiej, w której pracował przez wiele lat jako kierownik literacki. Jego twórczość znaleźć można na blogu: Kraina Zielonego Pojęcia – <http://michalwronski45.blogspot.com/>

Autobus. Tak brzmi tytuł pierwszego elementu (celowo nie nazywam go rozdziałem), nowej książki Michała Wrońskiego „Teatr zamknięty”, wydanej nakładem krakowskiej „Miniatury”. Ten autobus zabiera Czytelnika w dość dziwną podróż, rozpoczynając się w chwili pogrzebu opiekuna głównego bohatera, a mając swój finał w trzecim, najbardziej fabularnym elemencie historii, w trakcie pewnego eksperymentu – w każdej z trzech części łącząc fabułę z pojęciem teatru, widzianego jednak w każdej z nich z nieco odmiennej perspektywy.

Przed rozpoczęciem historii autor stawia jednak pewien bardzo ważny nawias, w którym odnajdujemy drugie dno całej opowieści. Jest to list do wydawcy, czytając który i powiązując z fabułą, jesteśmy w stanie dopiąć pewien przyczynowo – skutkowy wątek „Teatru zamkniętego”.

Michał Wroński znany jest przede wszystkim z krótkich form, anegdotycznych, łączących celne spostrzeżenia dotyczące codziennego życia z oszczędną w słowach historią zawartą w „Teatrze zamkniętym” i podzieloną na części: Autobus, Teatr, Eksperyment, opowiada stosując trzy odmienne sposoby zapisu. Być może nie bez znaczenia dla takiego wyboru jest fakt, że książka pisana była przez 43 lata (1969 – 2012, dwa – trzy pokolenia!). Pierwsza z części to rodzaj dziennika pełnego wspomnień o zmarłym opiekunie, zapisywanego jednego dnia, co 5 – 10 minut. Dowiadujemy się z niego przede wszystkim o zabawie, którą przez lata stosował przybrany ojciec głównego bohatera, Mariana P. – improwizowanej grze w Teatr Karola.

Warto w tym miejscu przytoczyć i inne wspomnienie, które w zauważalny sposób wiąże tę książkę z poprzednią, wydaną zaledwie kilka tygodni wcześniej – z „Teatrem sennym”. Autor opowiada w nim sen zmarłego: „Wieża górowała nad miastem i idąc do niej, widziałem ją cały czas. (...) Przekroczyłem barierkę i wtedy zobaczyłem staruchę-braczkę. Zadarła głowę do góry, oburząc ścisnąjąc puszki z pieniędzy. Kiedy usłyszałem jej krzyk, skoczyłem.



Teatr z kluczem

Leciałem kilka chwil. Ziemia wirowała, przybliżała się, wszystko ogromniało. Ostatnim obrazem z tego lotu był czarny prostokąt trumny. Wyrzniętem w tą ciemność i umarłem. Minęło kilka sekund i znalazłem się w Niebie. Niebo wyglądało tak samo jak Ziemia. Ulice, betonowe domy, samochody. Aniołowie byli bez skrzydeł, szaty tylko białe. (...) Aż pewnego dnia zobaczyłem pogrzeb! Szedł dostojnie ulicą, tuż za płotem ogrodu. Z krzyżem, księdzem, karawanem, wieńcami i żałobnikami. Spytałem anioła, co to ma znaczyć? W Niebie też się umiera? Czyżbym musiał jeszcze raz umrzeć? Nieskończoną ilość razy? Bo przecież czas w Niebie jest nieskończony... Ale anioł wykręcił się, nie odpowiedział, uciekł...”

Sam „Teatr senny” to zbiór właściwych prozie Wrońskiego krótkich obrazków z życia, powstających, jak sam tytuł wskazuje, na granicy między jawą a snem. Tam, gdzie wszystko może się zdarzyć, ale również i tam, gdzie rodzą się pytania dotyczące sensu życia. Tego, co może przynieść dzień i jego wpływu na naszą egzystencję w przyszłości.

W „Teatrze zamkniętym” podobne pytania pojawiają się przede wszystkim w części trzeciej, nazwanej „Eksperymentem”. Poprzedza ją krótkie wprowadzenie zatytułowane „Teatr”, w którym poznajemy przyszłych bohaterów z perspektywy pewnej przypadkowości. Odnosimy wrażenie, że każda z tych osób mogłaby się znajdować w zupełnie innym miejscu, a przestrzeń, w której się

spotkała, jest dla wszystkich zupełnie przypadkowa. Nie zdają się być prawdziwymi odbiorcami sztuk teatralnych. Być może jednak taka teza wynika z faktu, że wszyscy oni pokazani zostali z perspektywy komentarzy głównego bohatera.

Te pobieżne obserwacje przerywa dość nieoczekiwane zdarzenie. Na pewien dłuższy czas zamykają się drzwi teatru. Co dzieje się za nimi? Czytelnik odnajdzie tam najbardziej fabularną część „Teatru zamkniętego”. Być może zrodzą się w nim również podobne jak we mnie pytania: Czy każdy z nas jest zamknięty w teatrze życia? Czym jest takie zamknięcie? Czy dla każdego z nas oznacza to samo? Jak duże są nasze zdolności adaptacyjne w skrajnych sytuacjach? Jakiego zachowania powinniśmy po sobie oczekiwać: akceptacji czy buntu? Oszukiwanie przyjaciela bądź kochanka – czy stanowiłoby to dla nas imperatyw? Kto jest podmiotem eksperymentu a kto jego przedmiotem i czy w rzeczywistości nie jest to pewna zmienna? Czy w teatrze, którego atrybutem są przecież maski, możliwe jest poznanie człowieka? A w życiu, w którym odgrywamy role, nawet kilka jednocześnie (matka, córka, żona, dziennikarka, klientka, pacjentka...) czy są chwile, w których potrzebujemy SOBA? Czy tak naprawdę potrzebne nam jest wyzwole nie z pełnienia funkcji aktora? Czy nie jest to naturalny stan rzeczy, rodzaj niezaplanowanej gry z otaczającą nas rzeczywistością? Gry w Teatr Karola? I w końcu kurtyna... Co znajduje się za kurtyną życia?

Niech jako odpowiedź posłużą tu słowa Jeana Duvignauda, socjologa teatru:

„Teatralizacja życia może w niektórych uśpionych czy stłamszonych społeczeństwach rozbudzać zapomniany dynamizm wspólnotowy i indywidualny, który na powrót rozbudza wyobraźnię i doprowadza do rozkwitu życia duchowego. Bez względu na to, czy ta teatralizacja rodzi się pod wpływem prowadzonej obserwacji, czy pod wpływem reżesjeracji audiowizualnej, skutek jest jeden, często zupełnie niespodziewany. W ten sposób można wyjaśnić przejście od socjologii teatru do badań, które prowadziłem z moimi współpracownikami w wiosce Chebika na południu Tunezji. Zrozumiałem tam, że taki sam niepokój można odnaleźć w twórczości artystycznej oraz w życiu społecznym.

Na zakończenie dodam, że znakomitym uzupełnieniem książki są zaproponowane przez wydawcę ilustracje. MINIATURA wybrała obrazy autorstwa HonoreVictoryna Daumiera. Artysta znany był z tego, że w swojej twórczości posługiwał się różnymi technikami, był znakomitym karykaturzystą i obserwatorem obyczajowości swoich czasów.

ADRIANA URGACZ

To już druga książeczka poetky Barbary Gruszk-Zych ukazująca się w serii Biblioteka „Toposu”. Pierwsza to *Ostatnie śniadanie* wydane trzy lata temu (tom nr 45). Tam można było przeczytać między innymi przejmujące wiersze poświęcone zmarłej, niespełna trzyletniej Małgosi K. Autorka poznała ją i jej rodzinę w szpitalu, którego sama była pacjentką. Znalazły się w *Ostatnim śniadaniu* także inne utwory związane z odejściem ludzi z otoczenia poetki, nie można jednak powiedzieć, że całość traktowała o śmierci, przemijaniu, odchodzeniu w „drugą przestrzeń” (Gruska-Zych używa określenia „inny świat”), ponieważ jest w tym zbiorze miejsce także dla żywych, nawet – wchodzących w życie. Na przykład wiersz *młodzi*. Takiego „marginesu” nie ma w *Szarej jak wróbel*. Zawarte w tym tomiku wiersze mówią o śmierci i w większości związane są z chorobą i odejściem ojca autorki. Wojciech Kilar porównał te poezje do trenów Jana Kochanowskiego, jednak ani profesor Marian Kisiel, ani ja (we dwójkę prowadziliśmy spotkanie autorskie Gruska-Zych w Sali Portretowej Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego) nie zgodziliśmy się z tą opinią wybitnego kompozytora. Nie ma bowiem w tej poezji oplakiwania bliskiego człowieka, nie ma skargi, czy lamentacji, które obecne są u mistrza z Czarnolasu. Podzielamy natomiast drugą część wypowiedzi Kilara: „Świetna robota poetky”. I coś więcej, ponieważ my – prowadzący ten wieczór autorski „zawodowcy” – po raz pierwszy widzieliśmy podczas spotkania promującego zbiór wierszy, że część publiczności płacze (albo ociera łzy). Słuchając utworów, które – jeszcze raz to podkreślę – trenami nie były. Co zatem tak uczestników spotkania poruszyło? Myślę, że wielu przeżyło podobną traumę – odchodzenie kogoś bliskiego, można więc powiedzieć, iż w tej poezji odnaleźli ubrane w słowa własne doświadczenia. Przejmujący jest w tych wierszach sposób „opowiadania” o cierpieniu i śmierci. Właściwie – beznamietny. Wręcz reporterski (Gruska-Zych jest dziennikarką tygodnika *Gość Niedzielny*). Poetka rejestruje szczegóły – wenflon, pościel, biały nalot grzyba po antybiotyku, mecze w telewizji, których jej ojciec już nie zobaczy. Opisywana przez nią śmierć jest „szara jak wróbel”. Żadnego heroizmu. Śmierć zwyczajna „jak wróbel”. Banalna. Jak zło u Arendt. Ale poprzedza ją niewyobrażalne cierpienie, na które – jeśli towarzyszymy umierającemu – musimy beznadnie i beznadnie patrzeć. I – jak pisze autorka w wierszu bez tytułu – „brakuje słów / tobie i nam // boli nie boli / jak wahać / wybija obce / dotąd go dziny // żadna nie ma minut / tylko ciało (...)”. Sąsiadem odchodzącego w hospicjum ojca jest pan Józef. Łączy go nie tylko wspólny pokój, ale i fizyczna męka: „(...) pan Józef / nazywa się teraz ból tak też jest mu na imię / i dopiero śmierć może przywrócić mu dawne / imię i nazwisko na obojętnej nagrobkowej płycie”.

Trudno pisać o tych wierszach, bo od razu pojawia się myśl, jak trudno było je napisać. W końcu to dopuszczenie przez autorkę czytelnika do przeżyć bardzo osobistych, intymnych, związanych

Barbara Gruska-Zych

Szara jak wróbel



Barbara Gruska-Zych: *Szara jak wróbel*. [Seria: Biblioteka „Toposu”, T. 76] Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2012, s. 42.

To wszystko przed nami

z odejściem konkretnej osoby, której większość czytających ten zbiorek z pewnością nie znała. Mimo to ta poezja do odbiorcy trafiła (wspominałem o reakcji publiczności podczas wieczoru autorskiego). Dlaczego? Chyba właśnie ze względu na reporterski opis cierpienia, śmierci, własnych doznań. Autorka nie stara się przywoływać faktów z biografii zmarłego, nie wspomina jego zasług i dokonań, nie wkłada w te wiersze treści, które mogłyby się kojarzyć z hagiograficznym wspomnieniem pośmiertnym. Dowiadujemy się o zmarłym niewiele. Dawał wróblom wodę i okruszki. Lubiał Kasjopeę błyszczącą na niebie. Zostawił wszystkie książki, ubrania i pieniądze. Oglądał mecze w telewizji. Te zdawkowe informacje, które mogą dotyczyć właściwie każdego, sprawiają, że ten bardzo przecież konkretny człowiek staje się symbolem uniwersalnym. Pozwala odbiorcy zidentyfikować w tak szkieletowym zarysie własnych bliskich, którzy „wyszli z ciała”. Naczelną cechą zebranych w książeczce *Szara jak wróbel* utworów jest ich prostota. Można powiedzieć, że autorka „oszczędza” na środkach artystycznych. Jak najmniej słów, jak najmniej patosu, jak najmniej nazywania emocji. Uczuć można się domyślać z komunikatów, wyrażanych jak najprościej, językiem codziennym, w którym pojawiają się potoczne zwroty ze szpitalnych sal czy poczekalni w przychodniach służby zdrowia. Mimo to pełno w tych wierszach odniesień literackich, filozoficznych, religijnych, czy też metafizycznych. Choćby w takiej zwrotce wiersza bez tytułu:

*po nocach śni mi się sąd lekarzy nad nim
nie chcą naświetlać mu płuc
nie chcą pobierać wycinka
umywają ręce po badaniu
umywają oczy po czytaniu wyniku
to wyrok śmierci mówią
jakby sami byli nieśmiertelni*

doszukać się możemy aluzji do procesu Józefa K. ale także przywołany zostaje Piłat, którego słowa decydują o losie Chrystusa. Piłat pojawia się też „we własnej osobie” w wierszu *trzy minuty* – o tę chwilę spóźniła się autorka, żeby zobaczyć się po raz ostatni z tatą żywym. Żal nie do opisanania. Ale jest jeszcze inne uczucie:

*(...) pomyślałam że dobrze bo nie będzie
się skarżył jak go boli jak wyprowadzają
go przed Piłata
i skazują
na odarcie z szat jak po kolei
zabierają majtki zamieniając
w pieluchy
jak wkładają rozpinaną koszulę
od pidszamy przodem do tyłu
żeby nie było kłopotów z przebieraniem
(...)*

słowo „dobrze” w tym kontekście może szokować, budzić sprzeciw tylko u kogoś, kto nigdy nie towarzyszył bliskiej osobie w umieraniu i nie wie, że przeżywaniu straty sąsiaduje z ulgą, iż dla cierpiącego skończyła się „droga krzyżowa”, też pojawiająca się w dalszej części cytowanego utworu.

Kiedy kończy się dla tych, którzy zostali „tu na ziemi”, życie w biegu między domem, pracą a szpitalem, czy hospicjum, wtedy dopiero pojawia się pustka. Dziura zrobiona przez zmarłego w naszym świecie. On sam wraca czasem we śnie, niekiedy wydaje nam się, że rozpoznajemy go w tłumie przechodniów, choć wiemy dobrze, iż to niemożliwe. Przypominają o zmarłej osobie miejsca, przedmioty, słowa, jakieś echa wspólnych chwil, fotografie, mycie grobu przed dniem Wszystkich Świętych. Są więc w tomiku Gruska-Zych wiersze odnotowujące ten obszar przeżyć. Jak choćby ten:

*zwykle ta cisza nie była
do końca ciszą zawsze
na piętrze leżał tata i spał
albo coś oglądał można
było go obudzić i zapytać
o cokolwiek a on odpowiadał
albo nie ale był na swoim miejscu
już wiem że nie skoczy mu
ciśnienie nie dostanie zawału
to wszystko przed nami
jego święty spokój jest wieczny
jak jego nieobecność tu na ziemi
gdzie pory roku przechodzą
zapalając liście na drzewach
i zniemacka gasząc je*

Pory roku będą nadal „zapalać i gasić liście na drzewach”, śmierć „szara jak wróbel” będzie nadal zabierać ludzi na „tamtą stronę”, tylko *gdzie jest tamta strona?* I my się dowiemy, bo to wszystko przed nami. Za Wojciechem Kilem możemy jeszcze raz powtórzyć, że ten zbiorek to „świetna robota poetky”, co – być może – udało mi się w tym szkieletowym omówieniu jakoś zasygnalizować.

BOGDAN WIDERA

Książka Andrzeja Linerta *Śląskie sezony*, w której autor śledzi losy teatru w Katowicach od dnia jego otwarcia w 1907 roku aż do dzisiaj, w pewnym sensie spełnia rolę poręcznego kompendium. Na temat katowickiej sceny powstało już wiele publikacji, wiele z nich autor przywołuje w swojej książce. Wszystkie one dotyczą różnych okresów działalności Teatru Śląskiego, a więc siłą rzeczy wiedzę na jego temat prezentują wrywkowo. Niewątpliwą wartością *Śląskich sezonów* jest zatem usystematyzowanie tej wiedzy i zamknięcie w jednym tomie, co powoduje, że książka może być interesującą pozycją nie tylko dla teatrologów, ale również dla śląskich teatromanów oraz osób zainteresowanych złożoną przeszłością regionu. Skomplikowane dzieje Górnego Śląska doskonale odbijają się zresztą w nazwie teatru, który od dnia otwarcia zaczął funkcjonować jako Das Stadtheater (Teatr Miejski), następnie – po wkroczeniu wojsk polskich na Śląsk w 1922 roku – został przemianowany na Teatr Polski. Zarząd teatrem z rąk Niemieckiej Gminy Teatralnej przeszedł w ręce Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego, jakkolwiek nastąpiło to dopiero trzy lata później. Targi o przejęcie gmachu teatru trwały zresztą do 1925 roku, stając się niejako symbolem walki o polską kulturę w tym regionie. Współczesna nazwa Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego pojawiła się po wojnie wraz z przyjazdem do Katowic zespołu z Teatru Dramatycznego ze Lwowa, kierowanego wówczas przez Bronisława Dąbrowskiego. Jak zauważa autor książki, w związku z polityką władz polskich i radzieckich wobec Ślązaków, a także ze względu na losy przesiedlonych lwowian, „nowa nazwa teatru katowickiego jesienią 1945 roku stała się synonimem wspólnego losu dwóch tragicznie doświadczonych społeczeństw kresowych”, „które łączył wspólny los zniewolenia i uczucie paraliżującego lęku o najbliższych”.

Książka skomponowana jest według chronologicznego klucza (poszczególne rozdziały dotyczą kolejnych okresów działalności teatru), jakkolwiek autor stara się porządkować dzieje teatru w Katowicach przede wszystkim pod kątem programów artystycznych zatrudnianych dyrektorów oraz estetyk współpracujących z teatrem reżyserów i scenografów, przypisując je niekiedy tradycji Reduty Juliusza Osterwy bądź koncepcji teatru inscenizacji Leona Schillera. Kontekst społeczno-polityczny jest temem dla pytań o rolę i misję teatru w poszczególnych okresach, jego zadań, a także oczekiwań publiczności i władz. Z rozpoznania autora jasno wynika, że teatr na Śląsku ze względu na warunki geopolityczne był skazany na podporządkowanie zmieniającym się ekipom władzy, która traktowała go instrumentalnie, najpierw jako narzędzie walki narodowej, później ideologicznej. Od 1907 roku poza zaspokajaniem potrzeb kulturo-



Andrzej Linert: *Śląskie sezony*. „Śląsk”. Katowice 2012.

Teatr Śląski w pigułce

wych mieszkańców, teatr realizował również cele propagandowe niemieckiego rządu, zgodnie z umieszczonym na tympanonie hasłem: „Deutschem Wort, Deutscher Art” („Niemieckiemu słowu, niemieckiej kulturze”). Przyłączenie części Górnego Śląska do Polski narzuciło z kolei na katowicki teatr obowiązki krzewienia kultury polskiej, podtrzymywany również w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej, jakkolwiek szybko zamieniony na cele wytyczone przez obowiązującą doktrynę polityczną. Uwikłaniu w politykę, której w tym miejscu nie dało się uniknąć, i konieczność dostosowania repertuaru nie tylko do gustów robotniczej publiczności, ale również do konserwatywnych wyobrażeń władzy na temat roli sztuki w życiu społeczeństwa, przypisuje autor niższy niż w innych częściach Polski poziom artystyczny katowickiej sceny. Nie bez znaczenia były również częste zmiany dyrektorów, które tuż po wojnie uniemożliwiły stworzenie stałego zespołu, a w późniejszych latach stabilne funkcjonowanie teatru, i co za tym idzie realizowanie misji artystycznej. Do 1981 roku, kiedy dyrektorem został Jerzy Zegalski, pełniący tę funkcję przez kolejne dziesięć lat, dyrektorzy byli wybierani przeciętnie na sezon, dwa, góra trzy. Brak stabilizacji był jedną z przyczyn opuszczania teatru przez najzdolniejszych twórców.

Niewątpliwie najjaśniejsze lata Teatru Śląskiego przypadają na okresy kilku dy-

rekcji: Gustawa Holoubka (1954-1956), który poprzez odwołanie do teatru poetyckiego rozpoczął proces przezwyciężania poetyki socrealizmu, kontynuowany w kolejnych latach przez Józefa Wysomirskiego (1956-1959) i Jerzego Kaliszewskiego (1959-1962), wspieranych dokonaniem m. in. Jerzego Jarockiego i Józefa Szajny. Równie dobrze został oceniony okres dyrekcji Ignacego Gogolewskiego (1971-1973), któremu udało się ściągnąć do Katowic – niestety nie na długo – dobrze zapowiadających się młodych aktorów, a wśród nich Ewę Dańkowską, Krzysztofa Kolbergera czy Marka Kondrata. Wreszcie autor zwraca uwagę na niełatwy czas dyrekcji Józefa Pary, który prowadził teatr w warunkach wydawałoby się niemożliwych, balansując pomiędzy oczekiwaniami władz i wzrastającymi ambicjami niektórych członków zespołu aktorskiego. Mimo niesprzyjających okoliczności Parze udało się zaprosić do współpracy między innymi Lidię Zamkow czy Jerzego Kreczmara.

Rozważania na temat Teatru Śląskiego Andrzej Linert kończy na czasach współczesnych i dyrekcji Krystyny Szaraniec oraz odpowiedzialnego za sprawy artystyczne Tadeusza Bradeckiego. Przypomina o trwającym ponad rok generalnym remoncie teatru, który rozpoczął się w 1997 roku, wznowieniu działalności sceny w Malarni (2003) i uruchomieniu przy Teatrze Śląskim Studium Aktorskiego (2004). Poddaje również ocenie działalność obecnego dyrektora artystycznego teatru, którą plasuje znacznie wyżej niż osiągnięcia jego poprzedników: Bogdana Toszy i Henryka Baranowskiego. Nie zmienia to faktu, że śląska scena wciąż czeka na przełom, który by zmienił jej miejsce na teatralnej mapie Polski.

Zaletą książki *Śląskie sezony* jest nie tylko syntetyczny, uporządkowany obraz funkcjonowania Teatru Śląskiego i proponowanego przez niego repertuaru (autor zaledwie wspomina o działalności innych instytucji kultury w Katowicach), który bierze pod uwagę geograficzne, społeczne i polityczne determinanty. Książka w barwny sposób przywołuje również codzienność teatralną, związaną chociażby z ideą objazdów, czy doświadczenia lwowskich artystów po przyjeździe na Śląsk. Autor cytuje ponadto szereg komentarzy ówczesnych publicystów i dziennikarzy teatralnych, które nawet dzisiaj na Górnym Śląsku wydają się zaskakująco aktualne, jak chociażby opinia Zdzisława Hierowskiego, który w 1957 roku w „Trybunie Robotniczej” zauważył, że: „Potrzeby środowiska kulturalnego, potrzeby twórców zawsze schodzą na dalszy plan wobec innych potrzeb wynikających ze struktury gospodarczej terenu”. Książkę *Śląskie sezony* warto przeczytać chociażby po to, by wyciągnąć z niej konstruktywne wnioski.

ANETA GŁOWACKA

Antoni Kępiński jest jednym z tych autorów, których czytam tak, jakbym słuchał kogoś, komu można zaufać. Nie wiem skąd to przeświadczenie: ze sposobu wypowiedzi – przystępnej, niespiesznej, ogładzonej językowo – którą wprowadza czytelnika swych książek w często trudne sprawy ludzkiego ducha, a może z wiarygodnej zachęty profesora Stefana Zabierowskiego, kiedy byłem studentem Uniwersytetu Śląskiego, czy wreszcie zrodziło się ono z widoku szczerej twarzy o jasnym myślącym spojrzeniu, wyglądającej ze zdjęcia portretowego autora zamieszczonego na tylnej okładce jego książek (w nowym wydaniu brak konterfektu)? Bo przecież nie wiedziałem jeszcze o wojennych doświadczeniach autora: dwu latach spędzonych przez niego w obozie koncentracyjnym w Hiszpanii, ani o też o tym, że przyjmował swych pacjentów, już w Krakowie, w podziemiach kliniki, w pomieszczeniu będącym niegdyś izolatką dla najcięższych chorych. W audycji powstałej z okazji czterdziestej rocznicy śmierci tego wybitnego lekarza (1918-1972), Wojciech Bonowicz powiedział, że schodząc do tych piwnic, „Kępiński – symbolicznie – zszedł na samo dno ludzkiej nędzy”, zszedł po to, aby wydobyć z niej człowieka. Czytając więc jego książki – sporą ich część napisał w ostatnich latach swego życia („Schizofrenia” powstawała w wielkich już bólach choroby nowotworowej) – zapoznaliśmy się także i z tym bogactwem jego lekarskiego doświadczenia, pracowanym naukowo przez człowieka o humanistycznym nergie. Może zatem stronicę jego książek pozwalają wy-czuć, po prostu, człowieka? I to po obu stronach lekarskiego biurka. Przycho-dzący po poradę, jak i sam lekarz zna-leźli się tylko w różnych punktach na *continuum* zdrowia psychicznego (Kępiński był przeciwny ostremu roz-graniczaniu na normę i patologię), po-zostając towarzyszami tej samej ludzkiej doli.

Pisząc o stosunku lekarza do chorego, autor upomina się o szacunek i podziw, z jakimi winno się patrzeć na świat chorego. „Ten świat jest może dla nas dziwny, zaskakujący, czasem śmieszny, a jednak ma w sobie coś wielkiego, jest w nim zmaganie się człowieka z samym sobą i z własnym otoczeniem, szukanie własnej drogi, jest to świat, w którym przejawia się to, co najbardziej w człowieku ludzkie. Trzeba też pamiętać o tym, że często niewiele rozumiemy z tego, co chory przeżywa, że do naszej świadomości dochodzą tylko fragmenty jego świata, że pod ekspresją pustki czy katatonicznego zahamowania kryć się mogą niezwykle bogate przeżycia. Gdy lepiej poznamy chorego, w jego przeżyciach znajdujemy nieraz własne skryte marzenia, tłumione uczucia, pytania, na które nie umieliśmy dać odpowiedzi i które z czasem przestały nas nę-



O człowieku po ludzku

kać. Chory staje się nam coraz bliższy, gdyż pomaga nam poznać lepiej samych siebie.”

Kępiński ukazał świat schizofreniczny wraz z całym jego społeczno-kulturowym tłem. W swej książce porusza on zasadnicze dla każdego z nas zagadnienia: jak rola społeczna, marzenie senne, stosunek uczuciowy do otoczenia czy też władza. I można też powiedzieć, że to one są czymś pierwszoplanowym, zaś świat schizofreniczny jest ich tłem, albo odbiciem.

W książce nie brak wtrętów o charakterze etymologicznym, przytoczeń potocznych powiedzeń czy też przywołań biblijnych. Kilkakrotnie autor przytacza parafrazę ewangelicznego zdania, odnosząc do schizofreników słowa: „Królestwo ich nie jest z tego świata”. Dla chorych na schizofrenię największym zmartwieniem nie są bowiem sprawy codzienne, bardziej zajmują ich sprawy ostateczne, jakby byli oni przejętymi adresatami wezwania: „Nie martwcie się o życie, co będziecie jeść, ani też o ciało, w co macie się przyodzierać [...] Przypatrzcie się liliom, jak rosną: nie pracują i nie przędą. A powiadam wam: Nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich” (Łk 12, 22-27). Powiedzenie, zgodnie z którym najpierw trzeba nam żyć, a dopiero potem filozofować, ludzie ci biorą *a rebours*: „*primum philosophari, deinde vivere*.”

Czy jednak uwaga chorych na schizofrenię zwrócona jest w stronę „królestwa niebieskiego”? Autor notuje raczej przykrą zależność. Przyszły chory przestaje, z jakichś powodów, przeżywać życie, świat traci dla niego swój powab, nie jest on w stanie obdarzyć tego świata sobą. Przestaje działać. Jego uwaga przesuwa się, czy wręcz osuwa się, ze styku „ja” – świat zewnętrzny w sferę tego, co wegetatywne oraz – w normalnych przypadkach – zautomatyzowane. Chory zastanawia się nieraz nad najdrobniejszymi rzeczami, nie jest w stanie zdecydować się jak wykonać nawet najprostszą czynność, np. chodzenie. Stoi wobec tej aktywności jak w obliczu skomplikowanego zadania (jakby u progu stworzenia dopiero miał wykuć swój krok). Nie mogąc zdecydować się na konkretny ruch, decyzyja zapada jakby poza nim i może manifestować się w dwu sprzecznych formach. Stąd chód chorego może być chwiejny, a nawet dziwny, a jego twarz może wyrażać dwa różne uczucia jednocześnie (ambimimia). W rzeczywistości bowiem działamy wtedy, kiedy zaangażowane jest nasze „ja”. W schizofrenii problematyczne staje się wypowiedzenie: „ja chcę”. Działanie staje się automatyczne, i przez to odczuwane jest jako nierzeczywiste.

Czytając „Schizofrenię” odnosiłem niejednokrotnie wrażenie, że autor daje nam do zrozumienia, że świat społeczny jest z pozoru tylko osadzony na pewniejszych posadach niż świat psychotyczny, i że przypomina łupinę orzecha rzuconą w morze. Jest nie mniej bezzadny wobec tajemnicy istnienia. W każdym z nas kryje się obawa, „że pod maską zewnętrznego zachowania może ukrywać się całkiem coś innego”. W dodatku może wydawać się on zakłamanym, tak, że jedyną drogą do autentyczności pozostaje samotność. W tym jednak tragizm kondycji ludzkiej, że „uwolniwszy się od presji otoczenia, człowiek ulega rozprężeniu, staje się chaotycznym zlepkiem przeciwnych uczuć, myśli i marzeń [...] W ten sposób jedyna droga wiadąca do bycia sobą prowadzi na mównicę chaosu i nierzeczywistości.”

„Schizofrenia” jest nie tylko studium choroby psychicznej – najbardziej zagadkowej i o najbarwniejszym przebiegu – ale i nieprzeciętnym źródłem wiedzy o człowieku. Jest niczym zwierciadło, w którym możemy rozpoznać wiele swoich rysów. Jest książką tym potrzebniejszą, im bardziej odeszliśmy od człowieka – biologizując czy merkantylizując jego wizerunek. I myślę, że autor podpisałby się pod uwagę św. Augustyna: „Oto ludzie wędrują, aby podziwiać szczyty gór, spiętrzone fale morza, szeroko rozlane rzeki, Ocean otaczający ziemię, obroty gwiazd. A siebie samych omijają, siebie nie podziwiają.”

DARIUSZ KOZŁOWSKI

Przyjęło się uważać, że biografie pisarzy są po pierwsze opasłe, po drugie przeładowane datami, po trzecie rozpoczynają się od zdania X urodził się... a potem jest jeszcze nudniej. Zatem biografie mają swoich zwolenników, ale hitami sezonu może być raczej życiorys aktorki, piosenkarza czy polityka niż pisarza. Książka Renaty Lis jest dość cienka, składa się z krótkich rozdziałów, jest pozbawiona przypisów co sprzyja lekturze (denerwujące są zwłaszcza te umieszczone na końcu książki i rozpoczynające się od 327 – konia z rzędem temu kto każdy z nich przeczyta od razu przerywając lekturę). Daty są istotne lecz jakby w innym kontekście – bardziej detektywistycznym, no a początek, proszę Państwa jest odrobinę niestandardowy, podobnie jak tytuł i okładka z tańczącym derwiszem.

Bywa tak, że autor biografii nie rusza się zza biurka, sprzed komputera – czyta, porównuje, wypełnia rewersy, robi skany itd., ale o podróżach w miejsca związane z podmiotem i przedmiotem analizy nie wspomina, zamieszczając jedynie podsumowania. Czasem odwrotnie z biografii robi się album, z podziałem na stronę tekstu i strony reprodukcji z bogatymi podpisami. Tutaj nie ma zdjęć – ani jednego i w ogóle o nietypowości tej książki decyduje podobieństwo do powieści lub eseju czasem odchodzącego od głównego tematu.

Pierwszy rozdział nosi tytuł *Ręka Flauberta* i poza opisem fizyczności wprowadza czytelnika w pierwszą zagadkę – tajemniczej choroby, której ataki zmieniły koleje życia pisarza. Miał okresy zupełnego stronienia od towarzystwa przyjaciół, samotni w ulubionym normandzkim Croisset ale jednocześnie odważył się na kilkunastomiesięczną podróż po Bliskim Wschodzie. Mało atrakcyjny fizycznie niewątpliwie był obdarzony szarmem, który sprawiał, że kobiety lgnęły do niego, niestety związki erotyczne kończył w sposób mało elegancki. Zupełnie nie potrafił robić interesów, chociaż lubił wygodne wcale nie ascetyczne życie i pod koniec musiał zadowalać się resztkami majątku. Był otwarty na inność kulturową w sposób znacznie przekraczający typowe postrzeganie Europy wschodniej, cenił pisarzy rosyjskich, spośród których przyjaźnił się z Iwanem Turgieniewem. Czy można go było lubić? Patrzymy na niego przez soczewki Renaty Lis, w sposób oczywisty zafascynowanej swoim bohaterem.

To połączenie biografii i dziennika podróży śladami po pisarzu: *...podróż autostradą ograbia nas ze wszystkich ludzkich odniesień – z czasu i przestrzeni, czystego powietrza, krajobrazu, otwartego nieba, doświadczenia gościnności, domowego posiłku, fizycznego utrudzenia, niespodziewanego deszczu, zmylenia drogi w lesie, zbójców, przypadkowego spotkania, opowieści przy ognisku – a zamiast tego wpłata nas w sys-*



W podróży za (czasem z) Flaubertem

tem obcych odniesień, które są odniesieniami maszyny, wyznaczanymi przez kolejne punkty poboru paliwa i przemysłowej żywności. Również ryzyko wpisane w taką podróż jest ryzykiem maszynowym, a ponieważ maszyna nie podlega władzy losu, my także wypisujemy się przejściowo spod jego jurysdykcji, ścigając przez to na siebie największe niebezpieczeństwo, jakim byłaby śmierć w takich okolicznościach – na autostradzie nie umiera się bowiem własną śmiercią, tylko obcą śmiercią maszynową (s. 65). W niektórych fragmentach tak silna obecność narratora przeszkadzała mi przysłaniając samego autora, który w interpretacji Lis lubił wymykać się ocenom i chciał pozostać pisarzem bez biografii.

Początkowo zauroczyła mnie ta książka lecz potem zaczęłam się zastanawiać – qui bono, kto na niej skorzysta. Przyznam, że były fragmenty, w których proponowane wyjaśnienia mnie nie satysfakcjonowały, były atrakcyjne, ale chyba zbyt daleko idące. Mam na myśli rozdział *Zaczęły rzyceć punkt czwarta*, w którym Renata Lis ujawniła kolejną ekscentryczną cechę Flauberta – zamiłowanie do niezwykle głośnego czytania własnych tekstów, wyrzaskiwania ich fragmentów aby uzyskać odpowiednią, pożądaną melodykę, czy wręcz ćwiczenia głosowe. Do tego

fragmentu nie zgłaszałabym zastrzeżeń, często zapominamy o oralnych początkach literatury lecz hipoteza o tym, że owe praktyki głosowe, na które autor wymyślił własne określenie, można połączyć z prana jamami, czyli jogicznym świadomym oddychaniem, które prowadzi do uspokojenia, ma polepszać funkcjonowanie narządów wewnętrznych (jako praktykująca jogę dopiero od kilku lat muszę jeszcze używać trybu przypuszczającego) – otóż taki passus zdaje mi się nadinterpretacją. Wielka podróż na Wschód była źródłem wielorakich inspiracji i doświadczeń, które niekoniecznie muszą się łączyć z jogą, rozpopularyzowaną na Zachodzie na fali kontrkultury. Jeśli Flaubert byłby joginem to byłaby rewelacja. Zdaję sobie sprawę, że efekciarsko wykorzystuję tekst, ale taka myśl wówczas przyszła mi do głowy. Obawiam się, że gdyby podobna konstrukcja wyszła spod klawiatury studenta, to wykładowca czerwonym długopisem postawiłby duży znak zapytania, ale może biografce nie wypada go stawiać – drogi wydawco?

Mimo entuzjastycznych recenzji mam wrażenie, że współczesność odcisnęła zbyt duże piętno na tej książce, to raczej nie biografia tylko czytanie Flauberta – pisarza jako tekstu, dopowiadanie zartach fragmentów życia i konstruowanie jego postaci na oczach czytelnika – wychodząc od szczegółu wyglądu zapisanego w paszporcie kończąc na powrocie do współczesnej Normandii.

Umiejętności autorki uprzyjemniają lekturę, pozwalając zapomnieć o nudnych wykładach, nie trzeba nic wiedzieć o Flaubercie, żeby przeczytać tę książkę. Może zresztą wiedza okazałaby się dla tego dyskursu szkodliwa, zagrażając uwodzicielskiemu tekstowi. To biografia inna niż te, które czytałem do tej pory, zazwyczaj chciałem sięgać po książki opisywanej osoby, oglądać jej fotografie, tym razem po przyjrzeniu się fizjonomii pisarza stwierdzam, że jakoś nie żałuję braku wklejki ze zdjęciami, nie ubolewam nad brakami w edukacji czytelniczej i zapewne poza *Panią Bovary* już niczego nie przeczytam. Czy to dobrze, gdy biografia twórcy staje się tak samowystarczalna, że przykrywa jego dorobek? To zależy, czy jesteśmy studentami, którzy muszą zaliczyć egzamin (a wówczas z całej książki mogą ograniczyć się do kalendarium życia, anegdoty i tak nie pomogą), czy dobieramy lektury bardziej swobodnie. Zależy również od tego czy odpowiada nam taki typ uprawiania historii literatury – często wykorzystujący (bronię się przed określeniem nadużywający) wybrany podmiot do rozprawienia się ze współczesnością. Tak jak u Jarosława Marka Rymkiewicza, gorąco polecającego lekturę na skrzydełku okładki.

MIRELLA
SIEDLACZEK-MIKODA

Profesor Kazimierz Wejchert. W stulecie urodzin. Wyd. Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2012, s. 140.

Książka towarzyszy wystawie rocznicowej, którą można będzie zwiedzać do stycznia 2013 roku. To jednak coś znacznie więcej niż klasyczny katalog. Za sprawą tekstów współpracownika i przyjaciela Wejcherta Andrzeja Czyżewskiego i Marii Lipok-Bierwiaczonek oraz bogatego materiału ilustracyjnego mamy okazję poznać niezwykłego człowieka. Wiele osób wie, że małżeństwo Wejchertów zbudowało (właściwie – zaprojektowało) nowe miasto Tychy. Zaskakująca była jednak wielość zainteresowań Profesora. Był świetnym siatkarzem i lekkoatletą (miał szansę zostać olimpijczykiem), pisał wiersze – całkiem przyzwoite, trochę w poetyce Gałczyńskiego, malował akwarele, fotografował... wodę, był zapalonym ogrodnikiem, szczególnie miłośnikiem irysów, udało mu się nawet wyhodować kilka oryginalnych – można by rzec – autorskich odmian, turystą, kajakarzem. No i oczywiście architektem oraz uczniem – wykładał na Politechnice Warszawskiej. Książka – do czego nas tyskie muzeum przyzwyczaiło – bardzo pięknie wydana.

Jan F. Lewandowski: Katowice Kazimierza Kutza. Wyd. Wydział Promocji Urzędu Miasta Katowice, Katowice 2012, s. 108.

Możemy zwiedzać Katowice idąc szlakiem moderny, możemy tropić resztki (niestety!) zabytków poprzemysłowych, możemy wreszcie wybrać trasę coraz liczniejszych galerii sztuki. Dzięki książce Lewandowskiego mamy teraz szansę powędrować przez „miasto sfilmowane” od Szopieniec poprzez centrum aż do Welnowa i Brynowa. Publikacja ma charakter albumowy – liczne zdjęcia pozwalają zobaczyć miejsca, które w filmach Kutza „zagrały”. Ale Katowice nie były dla reżysera wyłącznie miejscem akcji jego śląskich dokonań twórczych. Tu po powrocie z Warszawy przez jakiś czas mieszkał – najdłużej w słynnym „drapaczku chmur”, tu zakładał Zespół Filmowy „Silesia”, tu działało Śląskie Towarzystwo Filmowe, którego był przez kilka kadencji prezesem. No i tu się urodził – w Szopienicach, które jeszcze były osobnym miastem, chodził do szkół itd. Te miejsca też zostały przez autora z pietysmem odnotowane. Jak i fakt, że od 2010 roku twórca „Soli ziemi czarnej” został Honorowym Obywatelem Miasta Katowice.

Teraz pora na Zaora. Opowieści starego aktora. Wyd. Naukowe „Śląsk”, Katowice 2012, s. 200.

Rysia znają wszyscy i on wszystkich zna. Bywa wszędzie, nie tylko na premierach teatralnych, ale także w różnych instytucjach kulturalnych, gdzie „coś” się dzieje, dochodzą do tego rozmaite spotkania organizacji, no – i rzecz jasna – akcje harcerskie. W związku z tą wszechobecnością niektórzy uważają, że Zaorski ma dar bilokacji, ponieważ jest widziany o jednej porze w dwóch różnych miejscach. Nie dałbym głowy, że tak nie jest. Ten krótki wstęp dowodzi, że „stary aktor” ma o czym opowiadać. I robi to ze swadą, często, zwłaszcza w anegdotach teatralnych, posługuje się dowcipem. Większość jego opowieści wiąże się, co oczywiste, z teatrem, czy raczej z teatrami, występował bowiem na wielu scenach. Poza opowieściami znajdziemy w tej publikacji zdjęcia ze spektakli (ale nie tylko, bo pojawiają się i rodzinne, i oficjalne, różne), korespondencję adresowaną do narratora (często pisali do niego dyrektorzy, u których z powodzeniem grał). Uwaga! Są też opowieści pikantne.

Podstawy filozofii dla uczniów i studentów. [Red. Krzysztof Wieczorek]. Wyd. „Videograf”, Chorzów 2012, s. 352.

Czterech autorów: Dariusz Kubok, Andrzej Noras, Krzysztof Wieczorek i Mariusz Wojewoda napisało książkę na pewno nie tylko „dla uczniów i studentów”. Moim zdaniem to publikacja, którą powinien mieć w swojej bibliotece każdy, kto się uważa za intelektualę. Rozpoczyna się od wykładu zatytułowanego *Wiedza o filozofii*, w którym znajdziemy podstawowe informacje na temat myślenia, przedmiotu, metody i problemów filozoficznych, wreszcie rozmaitych dziedzin, czy kierunków, którymi się myśliciele zajmowali i zajmują. Później następują syntetyczne omówienia poszczególnych epok – od filozofii starożytnej aż do dwudziestowiecznej. Przy okazji referowania wszystkich – nazwijmy to – meandrów poszukiwań filozofów pojawiają się konkretne nazwiska „miłośników mądrości” wraz z przedstawieniem istoty ich poglądów. Można więc do tej książki zaglądać jak do swego leksykonu biograficznego, po to, żeby coś sobie przypomnieć (albo też o czymś zupełnie i nieznanym nowym dowiedzieć).

CzasyPismo. O historii Górnego Śląska. Nr 1/2012. Wyd. Oddział Instytutu Pamięi Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu w Katowicach, Katowice 2012, s. 206.

Nowy periodyk będzie półrocznikiem. Pierwszy numer bardzo interesujący. Dopiero od dwudziestu paru lat można pisać „historię prawdziwą” Śląska, wcześniej bowiem swoją wizję tej nauki forsowała każda ze zmieniających się władz. Przez drugą połowę XX wieku opublikowanie tekstu o masakrze w Miechowicach w 1945 roku, kiedy to radzieccy żołnierze zabili 240 osób, albo informacji o wywiezieniu z terenu Śląska wyposażenia 1000 zakładów byłoby niemożliwe. Nawet tekst Piotra Greinera tłumaczący w kontekście historycznym, co to tak naprawdę jest Górny Śląsk miałby kłopoty z cenzurą. Poza artykułami dotyczącymi historii dzisiejszego województwa śląskiego (dobrze, że redakcja wyszła poza historyczne ramy regionu), znalazły się w piśmie noty na temat publikacji katowickiego IPN a także materiał o wystawie *Oczy i uszy bezpieki*. Myślę, że półrocznik będzie cenną pomocą dla ludzi zajmujących się edukacją regionalną.

Joanna Kern, Ewa Parma: Hajer Blues i inne historie. Wyd. „MAMIKO”, Nowa Ruda 2012, s. 124.

Książka dwu autorek, choć właściwie to dwie książki w jednej. Pierwszą wypełniają wiersze Ewy Parmy, z wykształcenia anglistki, urodzonej w roku 1961, która mieszka w Katowicach. Druga zawiera także wiersze oraz prozę (czy może precyzyjniej – wspomnienia) Joanny Kern, rocznik 1948, mieszkającej na stałe w Niemczech, w Krefeld, gdzie pracuje jako terapeutka ludzi w podeszłym wieku. Ale poza tym organizuje wystawy malarskie oraz reżyseruje przedstawienia teatralne. Pisarki należą do różnych generacji, mają różne zawody, mieszkają daleko od siebie. Jest jednak coś wspólnego w ich twórczości – nieuleczalne zarażenie Śląskiem. W wierszach Parmy jest ten „nowszy”, ale mimo „kuchni w kwiatki na Radockiego” pojawia się tam historia – portret księżnej Daisy, Toskania jak Nikisz. Poetka pisze po prostu, że jest „stad”. Kern także odwołuje się do swojej śląskości. Rodzinne losy, Katowice, Opole, studia, wyjazd do Niemiec z poczuciem krzywdy. Książka dla czujących Śląsk, dla kochających to miejsce.

ANECDOTY

HENRYK BZDOK



Friedrich Winnes – ostberliński mail artysta, gościł wielokrotnie w Katowicach i Wrocławiu.

Jego przyjazdy wiązały się z wolą uczestniczenia w imprezach kulturalnych niedostępnych w hauptstadt der Dedeer – Berlinie.

Czasem były to wydarzenia tak zwyczajne, jak chęć obejrzenia filmu „Apocalypse now”, czy też bycia na jakimś określonym koncercie.

Po pewnej przerwie wynikłej z przyczyn obiektywnych, dotarł do nas wracając z wycieczki w Moskwie przez Katowice, bo do Polski bezpośrednio nie puszczali ich Erich.

Po raz kolejny przyjechał w latach świeżego stanu wojennego, kiedy to indywidualne przyjazdy były niemożliwe.

Fryderyk miał koleżankę w organizacji młodzieżowej, przy jej pomocy wpisał się do wycieczki, jako jej przyjaciel, bo na efdejota był już nieco za dojrzały. Przyjechawszy do Krakowa, drugiego dnia taktycznie zachorował, by zniknąć z oficjałek wycieczki i wypracować czas na wyskok do Katowic.

Wpadł wieczorem, przegadaliśmy noc a rano musiał znowu być w z powrotem.

Później, w okrągłą rocznicę wyzwolenia obozu w Auschwitz, Fryderyk udał się do Volkspolizei, wyrażając wolę uczczenia jej na miejscu wraz ze swoimi polskimi przyjaciółmi.

Jego indywidualna inicjatywa spotkała się z nieprzychylnym przyjęciem, przekazano mu informację, że nie musi wyjeżdżać gdyż będzie reprezentowany przez oficjalną delegację państwową, która to robi lepiej od niego.

Kiedy już było można wyjeżdżać do Polski, a zbliżała się wizyta Papieża Jana Pawła II, chciał przyjechać i osobiście uczestniczyć w pielgrzymce, a przy okazji zrobić reportaż fotograficzny, w enerde rozpuszczono jednakże wiadomość, że granica do Polski jest zamknięta by zniechęcić tamtejszych pielgrzymów do wyjazdu.

Fryderyk nie uwierzył, wsiadł do Trabanta i pomknął w naszą stronę. Granica była otwarta i tak po paru godzinach jazdy znalazł się w Częstochowie przed zaporą milicyjną wstrzymującą czterokołowcom wjazd do miasta. Pod pretekstem udania się do nieodległej stacji CPN, został przepuszczony i pomknął w stronę Jasnej Góry, przekonany że ścigają go, wpadł na stanowisko austriackiej telewizji, wśliznął się pod statyw a do zespołu rzekł:

– Powiedźcie, że jestem z Wami...

Nikt go stamtąd nie ruszył, a Fryderyk zdobył znakomite miejsce do pstrykania, a że dobrze fotografował to i potem mógł się szczycić znakomitą fotografią Papieża wchodzącego do klasztoru.

Berliński mur w jednym miejscu miał uskok w kształcie litery „V”, w tej wnęce miał Fryderyk swój mały urokliwy domek. Mawiał, że marzy mu się by kiedyś rano wychodząc po mleko przed próg – spostrzegł, że wyrównano granicę a jego siedziba znalazła się w Berlinie Zachodnim.

I stało się, mur runął, Fryderyk uwolniony przysłał mi kartki z odległych zakątków świata, dotychczas niedostępnych, nie miał już czasu dla Polski...

Niewiele miał tej radości, bo w roku 1995 dosięgła mnie wiadomość, że nagle udał się w najdalszą podróż, z której się nie wraca.

FRASZKI

JULIUSZ WĄTROBA

Autoportrecik

Kieszonkowy facecik,
co na baby wciąż leci.

Zdziwienie

Mam siwą brodę
i łysą pałę...
Skąd się to wzięło?
Wcześniej nie miałem!

Trzy po trzy

Ryby żyją w wodzie,
a pod ziemią krety.
Grubas piekła godzin
za grzeszny apetyt.

Kierunek

Im wyżej, tym większe bagno
i kierunek jeden – na dno!

Parafianie

Kura i grabarz
z jednej parafii:
jedna i drugi
grzebać potrafi.

Po trupach

Aktor z aktora
zrobi potwora,
by mu przypadła
intratna rola.

Daremny trud

Darmo szukać wzniosłych znaczeń:
sracz zostanie zawsze sraczem!

Nie dla mnie

Tłok na Parnasie,
więc tam nie pcham się...

Możesz?

Światem rządzą zło i dobro...
Jeśli możesz dobro
obroń...

Krasnoludek

Bożą krówkę
chce wydoić,
by stołówkę
mleczkiem poić.

Dramat

Jeśli dobroć spływa z chama,
to dla chama
wielki dramat.

Sportowa rywalizacja

Ekipa ekipie
trucizny podsypie...

Nawiedzony

Udawał wielkiego wieszcza:
nie pił, nie jadł,
nawet nie szczął!

Wyścig szczurów

Z trutką na szczury
zdobywaj góry!

Pozorant

Chciał w grze pozorów
skryć prawdę chorą.

Pewność

Wiem jedno
na pewno,
że życie to sztuka!
A jeśli to sztuka,
to nie dla nieuka!



Rys. Ryszard Twardoch

Zadania współczesnej biblioteki nie ograniczają się do gromadzenia, opracowywania i udostępniania dokumentów. Aby placówka była nowoczesna, atrakcyjna i mogła zainteresować swoją ofertą jak najwięcej osób, podejmujemy wiele innych – często nietypowych – przedsięwzięć. Naszym celem jest unowocześnienie biblioteki – pojmowanej jako centrum upowszechniania wiedzy, kultury i informacji, służą temu pozyskiwanie funduszy i promowanie książki. Swoje propozycje kierujemy do różnych grup użytkowników. Są to nie tylko czytelnicy, ale wszyscy, którym biblioteka – pełniąc w lokalnym środowisku funkcję ośrodka kultury – może być potrzebna. W działaniach informacyjnych i promocyjnych ukazujemy książkę jako atrakcyjne miejsce spotkań i dążymy do utrwalenia pozytywnego wizerunku bibliotekarza.

Uczestniczenie w programach realizowanych przez państwo, jak i organizacje pozarządowe umożliwiło przekształcenie biblioteki w nowoczesne centrum dostępu do wiedzy i kultury, a także w ośrodek życia społecznego. W Gminnej Bibliotece Publicznej w Koszarawie odbywa się wiele imprez kulturalnych. Dotacje z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pozwoliły na zorganizowanie cyklu „Koszarawskie spotkania literackie pod Lachowym Groniem”. Zaproszono twórców: artystów, pisarzy, publicystów i edytorów. Między innymi gościli tu autorzy książek dla dzieci i młodzieży: Melania Kapelus, Barbara Gawryluk, Grzegorz Kasdepke, Anna Onichimowska i Beata Ostrowicka. Koszarawę odwiedzili też dziennikarz telewizyjny Piotr Kraśko, aktorzy Narodowego Starego Teatru w Krakowie – Ewa Kolaszińska, Stefan Szramel i wydawca Sonia Draga.

Ze względu na potrzebę wzbudzenia zamiłowania do literatury u najmłodszych i wyrobienia nawyku lektury wprowadzono w bibliotece zwyczaj cotygodniowego głośnego czytania literatury dziecięcej.

Ważne miejsce w naszej działalności zajmuje edukacja regionalna. Popularyzujemy kulturę Żywiecczyny, gromadzimy materiały związane z regionem. Bogate dziedzictwo kulturowe w ciągu wieków stanowiło źródło sił żywotnych i wartości duchowych górali. Utrzymanie ciągłości czerpania z tradycji jest nieodzowne dla dalszego rozwoju Żywiecczyny. Szczególnie istotne jest zachowanie pięknej, lecz powoli zapominanej gwary żywieckiej. Dlatego w księżnicy odbywały się zajęcia prowadzone przez twórców ludowych: Walerię Prochownik – gawędziarkę i poetkę oraz Jana Brodke – muzyka, kierownika zespołu Ziemia Żywiecka. Podczas warsztatów można było poznać specyfikę góralskiego życia na wsi, tradycje, obrzędy i zwyczaje. W bibliotece promowano album *Strój górali żywieckich*, wydany przez Fundację Braci Gołców. W spotkaniu brali udział

B
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA
BIBLIOTEK

90
LETOBIENIE
BIBLIOTECY SŁĄSKIEJ



Obchody Tygodnia Bibliotek w koszarawskiej księżnicy (V 2012).

Gminna Biblioteka Publiczna w Koszarawie

Miejsce, które inspiruje

autorzy publikacji: etnografki Elżbieta Teresa Filip (Muzeum w Bielsku-Białej) i Barbara Rosiek (Muzeum Miejskie w Żywcu) oraz fotograf Jacek Kubiena (Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli w Krakowie). Współpraca z Fundacją zaowocowała utworzeniem w Koszarawie Ogniska Twórczości Artystycznej, w którym dzieci i młodzież mogą uczyć się gry na instrumentach ludowych.

Biblioteka otrzymuje dofinansowanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na zakup nowości wydawniczych. W ten sposób możemy wzbogacać swój księgozbiór o najnowsze publikacje, w tym – coraz częściej poszukiwane przez czytelników – wydawnictwa multimedialne i audiobooki.

Współpraca z innymi instytucjami umożliwia poszerzenie oferty kulturalnej biblioteki. Prezentowane były tu dwie wystawy o tematyce historycznej, przygotowane przez Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach: „Wysiedlenie mieszkańców

Żywiecczyny przez okupanta niemieckiego 1940–1941” i „Uciekinierzy z PRL”. Ekspozycjom towarzyszyły prelekcje autorów Mirosława Sikory i Moniki Bortlik-Dźwierzynskiej. Biblioteka brała udział w projektach Centrum Edukacji Obywatelskiej „Ferie z filmem w bibliotece”, „Film w bibliotece”, a także „Pamięć o pisarzach”. Realizując ostatnią z wymienionych ścieżek tematycznych, przypomnieliśmy postać Janusza Korczaka, wybitnego pedagoga, lekarza, prozaika i publicysty. Z myślą o najmłodszych czytelnikach przygotowano spotkanie poświęcone książce Iwony Chmielewskiej *Pamiętnik Blumki*, opowiadającej o warszawskim Domu Sierot prowadzonym przez Starego Doktora. W czerwcu 2012 roku zaproszono społeczność lokalną do wspólnego czytania utworów autora *Króla Maciusia Pierwszego*. W akcji wzięli udział nauczyciele, uczniowie, pracownicy urzędu gminy i lokalni dziennikarze.

Księżnica włączyła się również w obchody Tygodnia Bibliotek (organizowanego przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich). Charakter imprez wyznaczyło nawiązanie do tegoż rocznego hasła promocyjnego – „Biblioteka ciągle w grze”. W księżnicy odbyło się m.in. spotkanie z piłkarzami z Ludowego Klubu Sportowego Babią Góra. Uczniowie Gimnazjum im. Jana Pawła II przygotowali pokaz mody sportowej; można było obejrzeć wystawę pucharów zdobytych przez koszarawskich sportowców.

Znaczącym osiągnięciem była modernizacja biblioteki. Za dodatkowe środki przyznane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (w ramach programu Infrastruktura Bibliotek) przeprowadzono remont i zakupiono nowe meble do wypożyczalni i czytelnicy. Z kolei przystąpienie do Programu Rozwoju Bibliotek wzbogaciło placówkę o nowoczesny sprzęt multimedialny i zapewniło jej wsparcie merytoryczne.

Biblioteka realizuje swoje cele głównie przez różne formy pracy z czytelnikami, wykraczające często poza stereotypowo pojmowaną działalność biblioteczną. Dzięki temu poszerzyła ofertę i przyczynia się do rozwoju życia kulturalnego w lokalnym środowisku. Gminna Biblioteka w Koszarawie to instytucja, która inspiruje i krzewi zamiłowanie do kultury.

MAŁGORZATA KĘPKA

Dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej w Koszarawie – Małgorzata Kępka została wyróżniona tytułem Bibliotekarz Roku 2011, przyznany przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich. Środowisko bibliotekarskie województwa śląskiego składa naszej Koleżance serdeczne gratulacje. To wielki i znaczący sukces.



Spotkanie z Piotrem Kraśką, dziennikarzem telewizyjnym, autorem serii książek „Świat według reportera”.

Fot. Małgorzata Kępka



CINiBA – wspólny projekt Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Ekonomicznego.



Gmach Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej jest jednym spośród 101 najciekawszych budynków ostatniego dziesięciolecia w Polsce.

Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka Nowa дума miasta

12 października uroczyste otworzyła swoje podwoje najnowocześniejsza biblioteka akademicka na Śląsku – Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej (CINiBA). Ten wspólny projekt Uniwersytetów: Ekonomicznego i Śląskiego realizowany był w latach 2008-2012. Centrum zapewni studentom, nauczycielom akademickim, a także mieszkańcom regionu dostęp do krajowych i światowych publikacji naukowych w postaci tradycyjnej i elektronicznej. Do dyspozycji czytelników oddano kolekcję liczącą 800 tys. woluminów książek i czasopism, terminale i stanowiska komputerowe z dostępem do zbiorów elektronicznych, urządzenia do samodzielnego wypożyczania książek oraz jedyną w Polsce wrzutnię z sorterem do całodobowego zwrotu książek o dowolnej porze.



W wydarzeniu wzięli udział między innymi: wojewoda śląski Zygmunt Łukaszczyk, prezydent Miasta Katowice Piotr Ušok, a także przedstawiciele m.in. środowisk nauki, biznesu, kultury, sztuki i edukacji. Uroczyste otwarcia nowej ksiąźnicy akademickiej dokonali: JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś i JM Rektor Uniwersytetu Ekonomicznego prof. zw. dr hab. Leszek Żabiński. Odsłonięcia interaktywnej tablicy pamiątkowej lodowiska Torkat dokonał Tadeusz Janik – były redaktor naczelny ogólnopolskiego dziennika „Sport”, a także były hokeista AZS-u, który swój pierwszy mecz na Torkacie rozegrał w roku 1938. Przypomnijmy, że gmach biblioteki stanął w miejscu, na którym znajdowało się kiedyś słynne katowickie lodowisko.



Ten niezwykle gmach, wzniesiony wg projektu Dariusza Hermana i Piotra Smierzewskiego z koszalińskiej pracowni HS99 zebrał już wiele nagród i wyróżnień, m.in. wygrał konkurs na Najlepszą Architektoniczną Realizację roku 2011 tygodnika „Polityka” i piątą edycję konkursu „Bryła Roku” organizowanego przez portal Bryła.pl.

Całkowity koszt inwestycji to około 79,5 mln zł, z czego prawie 53 mln zł wyłożył Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego.

Tekst i zdjęcia:
AGNIESZKA SIKORA



Przecięcie wstęgi przez rektorów obu uczelni: JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś i JM Rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach prof. zw. dr hab. Leszek Żabiński.



Podczas uroczystości otwarcia JE Arcybiskup senior dr Damian Zimoń podkreślał integracyjną funkcję nowej ksiąźnicy. Obok dyrektora Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej prof. UŠ dr hab. Dariusz Pawelec.



Uroczyste wręczenie Nagród Marszałka Województwa Śląskiego i Marszałka Województwa Opolskiego im. Karola Miarki za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury i nauki



Laureaci otrzymali okolicznościowe medale i dyplomy.



W uroczystości wręczenia Nagród im. Karola Miarki w Filharmonii Opolskiej wzięli udział liczni zaproszeni goście z województw: opolskiego i śląskiego.



Laureaci tegorocznej edycji Nagród im. Karola Miarki uhonorowani przez Marszałka Województwa Opolskiego i Marszałka Województwa Śląskiego.

23 października 2012 r. w Filharmonii Opolskiej odbyła się uroczystość wręczenia prestiżowych Nagród Marszałka Województwa Śląskiego oraz Marszałka Województwa Opolskiego im. Karola Miarki – wybitnego śląskiego działacza narodowego, społecznego i oświatowego, a także publicysty, pisarza, księgarza i wydawcy, tribuna polskiego ludu na Śląsku. Nagroda została ustanowiona w 1983 roku. Fundatorami Nagrody byli wojewodowie czterech województw: katowickiego, bielskiego, częstochowskiego i opolskiego. Od 2006 r. Nagrody przyznają wspólnie marszałkowie województw: opolskiego i śląskiego. Nagrodą honorowane są osoby, które w szczególny sposób przyczyniły się do upowszechniania kultury i nauki obu regionów, wnosząc trwałe humanistyczne wartości do kultury narodowej w myśl idei propagowanych przez Karola Miarkę.

Gospodarzem tegorocznej trzydziestej jubileuszowej edycji Nagrody było Województwo Opolskie. Jako miejsce uroczystości wybrano Filharmonię Opolską, która zyskała nową bryłę architektoniczną po modernizacji i rozbudowie zakończonej w 2012 r. Uroczystość poprowadził Andrzej Czernik – dyrektor Teatru EKO Studio w Opolu. Ceremonia wręczenia Nagród im. Karola Miarki poprzedzona została przedmową prof. Jana Malickiego – Dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach oraz wystąpieniami marszałków województw: opolskiego i śląskiego.

Nagroda nosząca imię wybitnego działacza narodowego ziemi śląskiej, może być przyznana tylko raz za całokształt dorobku lub konkretną indywidualną pracę lub dzieło. Uroczystość wręczenia laurów odbywa się każdego roku w październiku, w rocznicę urodzin Karola Miarki. Tegorocznymi laureatami zostali: z województwa opolskiego – Róża Bednorz – historyk, muzealnik, dziennikarz, działacz społeczny, wieloletnia propagatorka śląskiego dziedzictwa kulturowego; prof. Jerzy Skubis – wybitny inżynier, profesor nauk technicznych, nieustraszonego administratora wielu przedsięwzięć na rzecz rozwoju Politechniki Opolskiej; z województwa śląskiego – Henryk Buszko – znany na Śląsku architekt i urbanista, autor wielu rozpoznawanych śląskich projektów; o. dr hab. Eustachy Rakoczy – paulin, związany z Jasną Górą, teolog, historyk sztuki oraz Aleksander Spyra – artysta plastyk i muzyk, założyciel zespołu regionalnego „Pszczyna”. Tegorocznymi laureatami dołączyli do grona 119 wybitnych osobistości – ludzi reprezentujących różne profesje, wywodzących się z różnych środowisk, zaangażowanych w działalność kulturalną, naukową i społeczną. BW



Pani Róża Bednorz – tegoroczna laureatka Nagrody im. Karola Miarki.



Prof. dr hab. inż. Jerzy Skubis – po otrzymaniu Nagrody im. Karola Miarki z rąk Marszałka Województwa Opolskiego i Marszałka Województwa Śląskiego.

Pani Róża

W gronie laureatów Nagrody Karola Miarki uhonorowano wyjątkową postać – nestorkę dziennikarzy i muzealników – Panią Różę Bednorz. Urodziła się w Sośnicy k. Gliwic (1920 r.) w rodzinie o tradycjach patriotycznych. Ojciec Józef Wróbel należał do POW, brał udział w III Powstaniu Śląskim. We wrześniu 1939 r. podjęła służbę dla Rzeczypospolitej, była sanitariuszką, należała do tajnego harcerstwa. Po zaprzysiężeniu została łączniczką Delegatury Rządu na trasie Kraków-Warszawa (pseudonim „Iza”). Aresztowana przez Gestapo zdołała uciec opracowcom podczas nieudanej zasadzki na członków podziemia. Kontynuując konspiracyjną działalność poznała przysięgo męża – Zbyszko Bednorza (pseudonim „Józek”), dziennikarza i literata, który w okupowanej stolicy kierował Działem Śląskiej Sekcji Zachodniej Delegatury Rządu na Kraj. Szczęśliwie przeżyli okupację. Po wojnie ich dom w Chorzowie stał się miejscem spotkań świata nauki i kultury (bywali u nich E. Męclewski, J. Kokot, A. Targ, A. Rogalski, J. Baranowicz, A. Baumgarten, Z. Hierowski i W. Szewczyk). Jednak idylla trwała krótko. Zbyszko został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Z małym synkiem, bez środków do życia (wszędzie odmawiano jej zatrudnienia) podjęła heroiczną walkę o uwolnienie męża, pisała do Prokuratury, Ministerstw, ZLP i duchowieństwa. Ostatecznie przewodniczący PAXu – B. Piasecki doprowadził do warunkowego zwolnienia pisarza. I znowu zaświeciło słońce, Bednorzowie przenieśli się do Opola, gdzie rozpoczęli pracę dziennikarską w „Słowie Powszechnym” i „Katoliku”. Na Grunwaldzkiej 7, odwiedzali ich Gustaw Morcinek, Kazimiera Hłakiewiczówna, Maria Kasprowiczówna, biskup Bolesław Kominek. Pani Róża w prasie polonijnej przybliżała Śląsk Opolski tysiącom czytelników za oceanem, przyczyniając się do wzniesienia „kanadyjki” – Zespołu Szkół Technicznych im. K. Gzowskiego, ufundowanego w Opolu przez polonijne kanadyjskie. Następny etap życia to praca w Muzeum Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach, zwieńczony znakomitą wystawą „Z tragicznej historii ku pojednaniu i przyjaźni”. W Niemieckiej Republice Federalnej obejrzało ją 76 tysięcy zwiedzających. Róża Bednorz była aktywna na niwie naukowej, publicystycznej, dziennikarskiej, opracowywała biografie polskich działaczy na Śląsku („Ludzie spod znaku Rodła”), zajmowała się tematyką polonijną, działając we „Wspólnocie Polskiej”. Bogate dokonania laureatki Nagrody Karola Miarki opisywano w pracach magisterskich, ale pozostała osobą skromną. Kiedy w 1992 roku Jean Pearson sekretarz Centrum Biografii Kobiet Sukcesu z Cambridge poprosił Panią Różę o przesłanie życiorysu, dopiero po kolejnym ponagleniu, odpowiedziała grzecznie – „Szanowny Panie, zdecydowana większość polskich kobiet ma podobne życiorysy”. Biografia dziewczyny z Sośnicy wskazuje współczesnym, że patriotyzm może być najpiękniejszą formą miłości do Ojczyzny i ludzi, miłości o której mówił Jan Paweł II. Ad multos annos – Wielce Szanowna Pani Różo!

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Opolska konstytucja

29 września 1562 roku Cesarz Ferdynand I, król czeski nadał w Pradze statut księstwu – opolskiemu i raciborskiemu. Z okazji 450-lecia tego wydarzenia Wojewódzka Biblioteka Publiczna zorganizowała w sali obrad Sejmiku Województwa Opolskiego, polsko-czeską konferencję naukową i wydała reprint historycznych statutów, spisanych w języku czeskim pod tytułem „Zrzeczeni Zemske”. Pierwotnie stanowiły one rozdział „Księgi Praw”, niezwykle cennego rękopisu dla badaczy dziejów Śląska. Warto podkreślić, że był on pierwszym dokumentem tego rodzaju, wywodzącym się ze starego prawa słowiańskiego: polskiego i morawskiego, obowiązującego prawie 180 lat aż do czasów pruskich. Po odegraniu hejnału Opola, dyrektor WBP Tadeusz Chrobak, w asyście ryerczy z Opolskiego Bractwa Kurkowego, przekazał bibliofilski reprint dawnej konstytucji księstwa opolskiego przedstawicielom Zarządu Województwa Opolskiego. Wspomniana konstytucja regulowała wewnętrzną organizację księstwa, zawierała również szczegółowe przepisy prawa karnego i cywilnego,

z wieloma nowoczesnymi regulacjami jak na tamte czasy. O randze i doniosłości „Zrzeczeni” ciekawie opowiadali: Roman Sekowski był dyrektorem WBP oraz historycy Romuald Kubiś, Mirosław Koćwin, Marta Hatańska oraz liczni goście z Olomuńca – bibliotekarze i naukowcy. W części artystycznej uczestnicy konferencji wysłuchali utworów muzyki dawnej w wykonaniu zespołu Contra Bellum z Katowic.

Podziękowania dla Urszuli Rzepieli

Dzięki zaangażowaniu i liczny talentem dyrektor Urszuli Rzepieli Muzeum Ziemi Prudnickiej z nieznanej szerzej instytucji stało się jedną z wizytówek kultury Śląska Opolskiego. Lista dokonań pani dyrektor (w latach 1999-2012) jest imponująca. Przy skromnych możliwościach finansowych, zdołała pozyskać szereg dotacji zewnętrznych ze źródeł krajowych i unijnych, dzięki czemu Muzeum zostało rozbudowane i stało się centrum wielu wydarzeń kulturalnych, edukacyjnych i jednocześnie ważną galerią artystyczną.

Plon trzynastoletniej pracy to 170 wystaw oraz 145 spotkań i koncertów, dwa budynki muzealne – zabytkowy Arsenał i Centrum Tradycji Tkackich, ponad 600 nowych zabytków i 81 współczesnych dzieł sztuki. Przed odejściem na emeryturę dyrektor Urszula Rzepiela pożegnała się z publicznością podczas otwarcia

ekspozycji, ukazującej wystawienniczy dorobek Muzeum Ziemi Prudnickiej. Tłum gości wypełnił salę, a gratulacjom i podziękowaniom nie było końca, składali je m.in.: posłanka na Sejm RP Janina Okragły, Marszałek Województwa Opolskiego, dyrektorzy Muzeów z Opola, Nysy, animatorzy i twórcy kultury.

XXIII Najazd Poetów na Zamek

Podczas tegorocznego Najazdu wspomniano nieobecnych poetów, dziennikarzy i twórców kultury Śląska Opolskiego, rozpoczynając od wieczoru w Muzeum Śląska Opolskiego, poświęconego Magdalenie i Jerzemu Kozarzewskiemu. Jerzy – poeta i potomek słynnego Rodu Norwiców, tworzył szkolnictwo muzyczne w Nysie, a jego żona Magdalena słynny lekarzem pediatra nyskiego szpitala uratowała życie wielu dzieci. Następnie w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu odbył się Zamkowy Turniej Poetycki dla młodzieży szkolnej organizowany od lat przez Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Brzegu (w nawiązaniu do tradycji turniejów podczas „Georgianum” – święta brzeskich żaków z Gimnazjum Piastowskiego). Wieczorem podczas Zadaszek Poetyckich młodzież z Teatru Dnia Niepowszedniego (Brzeskie Centrum Kultury) pod kierunkiem Doroty Herman przygotowała spektakl z wierszami nieżyjących poetów. Przed widowiskiem ustawiono symbolicznie dwadzieścia pustych krzeseł, w drugiej części dedykacji czytali opolscy poeci (m.in. Harry Duda, Danuta Hasiak, Edmund Borzemski, Romana Wiecezszak, Walter Pyka, Małgorzata Sobolewska, Piotr Żarczyński, Teresa Nietyksza). Najazd zakończyła uroczysta msza św. w intencji poetów w kościele pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Bielicach (gm. Łambinowice) odprawiona przez ks. Czesława Nowaka oraz poetyckie Misterium Chleba w Wiejskim Domu Kultury.

Salon Jesienny

25 października w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu wręczono nagrody laureatom Salonu Jesiennego, corocznego, konkursowego przeglądu osiągnięć opolskiego środowiska artystycznego, organizowanego przez Związek Polskich Artystów Plastyków.

Grand Prix Salonu, Nagrodę ufundowaną przez Marszałka Województwa Opolskiego otrzymał Bartosz Posacki „za interesujący dialog pomiędzy źródłowymi odruchami a nowymi językami, wzmocniony oryginalnym wykorzystaniem archetypów kulturowych”.

Laureatem Nagrody Prezydenta Miasta Opola został Józef Chyży. Natomiast Nagrodą Okręgu Opolskiego ZPAP uhonorowano nestora opolskich artystów plastyków Jerzego Beskiego w hołdzie dla szlachetnej i poetyckiej formy jego twórczości. Nagrodę Galerii Sztuki Współczesnej otrzymał Zbigniew Natkaniec za siłę wyrazu i oryginalność organizacji przestrzeni. W gronie laureatów znalazł się również Bolesław Polnar z Nagrodą „Galerii Autor” za artykulację ciekawych wątków narracyjnych, popartą wielką sprawnością warsztatową.

Jednym zdaniem

■ W Małej Galerii działającej przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. E. Smolki w Opolu, prezentowana była wystawa, na której pokazano dokonania Kazimierza Kowalskiego (1926-2012) – znanego literata, animatora kultury, radiowca.

■ W Muzeum Śląska Opolskiego odbyło się otwarte seminarium Polskiego Towarzystwa Filozoficznego zatytułowane „Czy możemy spostrzec relacje przyczynowe?”, podczas którego wykład wygłosił dr Piotr Lesniak.

■ Z okazji 100. rocznicy śmierci Bolesława Prusa w Małej Galerii WBP prezentowana jest wystawa „Nigdy nie chadzał w wieniec sławy”, na której można przyrzyć się postaci pisarza, którego współczesny obraz nie odpowiada jego rzeczywistej randze.

■ W Muzeum Śląska Opolskiego odbyła się XXIII Noc Skarbów, podczas której zaprezentowano Krzyż ołtarzowy z Kościoła Pokoju w Głogowie, okolicznościową prelekcję wygłosił dr Martin Kügler z Muzeum Śląskiego w Görlitz.

■ Z okazji jubileuszu pracy scenicznej: 60-lecia Zofii Bielewicz, 45-lecia Ewy Wyszomirskiej, 40-lecia Jacka Dziesiewicz i 40-lecia Waldemara Kotasa w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu odbyła się premiera spektaklu „Kwartet” w reżyserii Marcina Sosnowskiego; w role głównych bohaterów sztuki napisanej przez Ronaldą Harwooda wcielił się znakomici opolscy aktorzy.

■ W Opolu odbyła się jubileuszowa X edycja Festiwalu Filmowego Opolskie Lamy 2012; podczas, którego wręczono szereg wyróżnień: Grand Prix w konkursie etiud filmowych zdobył Marcin Bortkiewicz za film „Portret z pamięci”, Grand Prix w konkursie filmów amatorskich zdobył Maciej Jasiński oraz Jarosław Piskozub za film „Czarna niedziela”; wyróżnienia otrzymały filmy „Dzisiaj w Warszawie, jutro gdzieś w świecie” w reż. G. Brzozowskiego oraz „Rosa Alba” w reż. B. Szweda; Nagrodę Publiczności otrzymał film „Polska za 20 lat” w reż. A. Łapczyńskiego natomiast Wyróżnienie Specjalne otrzymał P. Zlotorowicz za film „Ludzie normalni”.

Listopadowy Ars Cameralis

Minęło już ponad dwadzieścia lat, odkąd co roku, w listopadzie, w salach koncertowych, teatralnych, miejscach coraz to nowych i zaskakujących gości Festiwal Ars Cameralis – u początku swego istnienia zwany Ars Cameralis Silesia Superioris. Już nie Silesia Superioris, bo zagościł również za Brynicą w sosnowieckim Teatrze Zagłębia i w Częstochowie, a pomysłodawcą festiwalu Marek Zieliński został laureatem Nagrody Miasta Sosnowiec – bodaj w ubiegłym roku. Po kilku latach trwania Ars Cameralis (wraz z drugim członem nazwy Silesia Superioris) zostało podniesione do rangi wojewódzkiej instytucji kultury, rozszerzając znacznie obszar swojego istnienia, jako główny organizator imprez ponadwojewódzkich i międzynarodowych. Oznacza to także bardzo dobre funkcjonowanie tej instytucji z punktu widzenia możliwości finansowych. A wydają się one – w stosunku do innych instytucji również będących we władaniu marszałkowskim – prawie nieograniczone.

W tym roku, w myśl nowego hasła: „Katowice – miastem muzyki”, uwidocznionym na kopule Ronda Sztuki (zastąpiło hasło „Katowice – Europejską Stolicą Kultury”) w ofercie programowej XXI Festiwalu Ars Cameralis widnieje wiele koncertów. Wsparcie dla tych wydarzeń organizatorzy znaleźli w cytacie z Szekspira: „Człowiek, co nie ma w swoich piersiach muzyki / Którego rzewne nie wzruszają tony / Do zdrad, podstępów, grabieży jest skłonny [...] / Takiemu nigdy nie ufaj!” Tak więc by ufnąć względem również szacownych organizatorów wzmagała się z każdym dniem, można wybrać się na koncerty do Jazz Clubu Hipnoza, do Teatru Zagłębia, Teatru Gugałander, chorzowskiej Szulady 15, zahaczyć o Filharmonię Częstochowską. Gwiazdy wieczoru będą świecić pełnym blaskiem – więc z pewnością warto zaufać organizatorom.

Po wieczorach muzycznych na pewno warto będzie zajrzeć do Ronda Sztuki na wystawę „Świat jest Teatrem – Pablo Picasso & Piero Crommelynck na scenie świata” – to rarytas, podobnie jak kończąca festiwal (ale to dopiero w styczniu, lecz jeszcze w ramach Ars Cameralis) wystawa „Jaremianka: pasja i konsekwencja” – obydwie w Rondzie Sztuki.

Będzie też literacko ze Zbiegiem poetycznym Na Dzikie i poetyckim performatywie „Muzeum znikających dźwięków”, a także ze spotkaniem literackim z Krzysztofem Matuszewskim – autorem książki „Inwokacja zatruty” poświęconej życiu i twórczości Georges’a Bataille’a w Instytucie Mikołowskim. Będzie i teatralnie: „Hamlet” w wykonaniu OKT/Wileński Teatr Miejski (projekcja spektaklu w Teatrze Rozrywki). Tamże – spektakl „Miranda” i „Na dzień” również w wykonaniu OKT.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Nagrody im. Karola Miarki rozdane

W Filharmonii Opolskiej wręczone zostały Nagrody im. Karola Miarki. W tegorocznej edycji uhonorowani zostali: dr hab. Bolesław Rakoczy (o. Eustachy Rakoczy) – paulin, historyk sztuki, Henryk Buszko – architekt, Aleksander Spyra – artysta plastyk, muzyk. Laureaci wyróżnienia odbierali z rąk marszałka województwa śląskiego Adama Matusiewicza i Józefa Sebesty, marszałka województwa opolskiego.

Wśród dotychczas nagrodzonych znaleźli się m.in. Tadeusz Kijonka, Stanisław Hadyna, ks. Stanisław Tkocz, Henryk Górecki, Krystyna Bochenek, prof. Jan Malicki, ks. abp Damian Zimoń i Wojciech Kilar.

O. Eustachy Rakoczy – przez sześć lat był prorektorem Akademii Polonijnej w Częstochowie, a następnie jej rektorem. Jasnogórski kapelan Żołnierzy Niepodległości. Kapelan Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego. Współpracował z ostatnim prezydentem II RP na uchodźstwie Ryszardem Kaczorowskim. Był pomysłodawcą złożenia na Jasnej Górze krzyży wszystkich klas Orderu Wojennego Wirtuti Militari. Jest autorem albumu „Znak Ojczyzny. Jasnogórski ryngraf w polskiej tradycji rycersko-żołnierskiej”. Uhonorowany wieloma orderami oraz odznaczeniami państwowymi, resortowymi i honorowymi. Otrzymał szereg nobilitujących tytułów i wyróżnień.

Henryk Buszko – jego projekty urbanistyczne i architektoniczne były realizowane na terenie całego kraju, najwięcej jednak na Górnym Śląsku. Pierwszym obiektem, który współrealizował w Katowicach, był Dom Związków Zawodowych. Tych nagrodzonych i zrealizowanych projektów jest znacznie więcej, są to m. in. dwa duże osiedla w Katowicach – Tysiąclecia i Roździeńskiego oraz obiekty małej architektury i zagospodarowania terenu. W latach 1955-1990 projektował także osiedla mieszkaniowe w Mikołowie, Gliwicach, Tychach, Ustroń i Stalowej Woli. Projektował również architekturę terenów górskich, w tym takich miejscowości jak Zakopane, Szczawnica, Ustroń, Wisła, Szczyrk, Bielsko,

Karpacz. Jest autorem wielu obiektów kultury, nauki, wypoczynku, handlu, administracji oraz sakralnych. Brał udział w wielu konkursach, uzyskując liczne nagrody i wyróżnienia. Henryk Buszko zajmował się także pracą dydaktyczną. Związany był z wydziałami architektury Politechniki Wrocławskiej i Politechniki Gliwickiej, wykładał gościnnie na kilku zagranicznych uczelniach, m.in. w Czechosłowacji, Niemczech, ZSRR i USA. Za osiągnięcia twórcze uzyskał liczne nagrody.

Aleksander Spyra – założył i prowadził Zespół Regionalny „Pszczyna”, który oprócz pieśni i tańców prezentował oryginalne widowiska, m.in. „Kulig”, „Tryptyk z Miedźnej”, „Pory roku na wsi pszczyńskiej”. Pisał do nich scenariusze. Zespół koncertował w kraju i za granicą. Brał udział w wielu audycjach radiowych i programach telewizyjnych. Zdobył nagrody na przeglądach folklorystycznych. Z tej folklorystycznej działalności Aleksandra Spyry zrodził się pomysł stworzenia w Pszczynie skansenu. To dzięki przede wszystkim pracy społecznej członków zespołu regionalnego „Pszczyna”, a także innych organizacji i zakładów pracy w 1975 roku otwarto skansen pod nazwą *Zagroda Wsi Pszczyńskiej*. W 1977 roku zainicjował *Spotkania pod Brzytem*, czyli spotkania z zespołami ludowymi ziemi pszczyńskiej. W drugiej po-



Foto. Biblioteka SI/Urząd Marszałkowski

łowie lat 70. współorganizował koncert poświęcony muzyce niemieckiego kompozytora okresu baroku Georga Philippa Telemanna, tym samym zapoczątkowując *Wieczory u Telemanna*. Dzięki staraniom Spyry oraz Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej uratowano przed rozbiórką i odrestaurowano kamienicę z przełomu XVIII/XIX wieku tzw. moritzówkę, w której obecnie mieści się Muzeum Prasy Śląskiej, którego został dyrektorem. Na swoim koncie ma liczne publikacje, zaprojektował wiele medali i tablic pamiątkowych. Za swoją działalność artystyczną, folklorystyczną, pracę animatora kultury i pasję społecznikowską otrzymał wiele nagród i wyróżnień.

Jednym zdaniem

■ 19 października w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach odbył się Koncert pamięci prof. Bernarda Poloka w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Śląskiej pod dyktando Mirosława Jacka Błaszczyka z udziałem solistki Aleny Baeva – skrzypce – triumfatorki Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego.

■ Na IV Zagłębiowskie Miodobranie zapraszało Muzeum w Sosnowcu.

■ Olga Pałka-Ślaska – absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach w pracowniach prof. Jana Szmatłocha (Pracownia druku wkleśnego) i prof. Jacka Rykały (Pracownia malarstwa), autorka ośmiu wystaw indywidualnych, laureatka wielu nagród i wyróżnień, prezentowa-

ła swoje prace podczas wystawy „Wielowymiarowy obraz świata” w Oddziale Grafiki Muzeum Historii Katowicach, towarzyszącej 8. Triennale Grafiki Polskiej.

■ Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach prezentowała prace Lucilli Kossowskiej („Wybory anioł”), Tomasza Wojtasika („Sztuka (w) reakcji”) i – w przestrzeni miasta – Marii Parczewskiej („Pod ochroną”).

■ Również w katowickim BWA pokazano prace Magdaleny Starskiej pt. „Na uspokojenie” realizowane w przestrzeni miejskiej, będące częścią projektu „Drobnostki” – zaplanowanego na cały rok plaszczysty spotkań artystów.

■ Międzynarodowa konferencja naukowa pt. „Pola Negri. Gwiazda światowego kina”

Rozmawiali o tożsamości Katowic

Górnośląskie Towarzystwo Literackie i redakcja miesięcznika „Śląsk” byli organizatorami spotkania nt. „Tożsamość kulturalna Katowic”. W dyskusji panelowej, która odbyła się 11 października br., uczestniczyli prof. dr hab. Jan Malicki, dr Tadeusz Sierny prezes Zarządu Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” i dr Lech Szaraniec – autor monografii „Osady i osiedla Katowic” oraz były dyrektor Muzeum Śląskiego w Katowicach.



Gospodarzem spotkania był Tadeusz Kijonka redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk”.

Pod patronatem „Śląska”

Skarby średniowieczne Wielkopolski

„Skarby średniowieczne Wielkopolski” to wystawa Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy, która w listopadzie zagości w Bytomiu. Wystawa będzie czynna od 9 listopada w gmachu głównym Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Ekspozycja przedstawia depozyty powierzone ziemi od X do XV wieku, obejmując terytorium Wielkopolski z Kujawami oraz Ziemią Lubuską, czyli z terenów historycznej Wielkopolski. Pochodzi stąd nieporównywalnie więcej skarbów niż z o wiele bardziej rozwiniętej Europy zachodniej.



Bizancjum czy terytoriów arabskich. Ciekawszym znaleziskiem jest depozyt odkryty w pałaciu na Ostrowie Lednickim, dostarczający unikatowego, a zarazem bogatego zespołu monet, tzw. kwartników śląskich. Skarby znajdowano w naczyniach, które są równie cennym i ciekawym znaleziskiem, a jedno-

ześnie eksponatem stanowiącym zabezpieczenie dla monet i biżuterii. Wśród znalezisk grobowych odkryto bogato ornamentowaną kaptorgę z Bodzi, którą również można zobaczyć na bytomskiej wystawie. Średniowieczna biżuteria zaprezentowana zostanie na manekinach, na planszach zobaczyć można m.in. unikatowy denar Bolesława Chrobrego, denar Mieszka II i grosz krakowski Kazimierza Wielkiego.

Drzewa w fotografii Marka Wesołowskiego

W Galerii „Katowice” Związku Polskich Artystów Fotografików można było oglądać wystawę fotografii Marka Wesołowskiego zatytułowaną „Drzewa”. Zaprezentował kilkadziesiąt fotogramów czarno-białych i w sepia. Drzewa – ich konary, nawarstwiona kora, rozcapierzone gałęzie lub smukłe, oddalone sylwetki zespolone z pustą przestrzenią krajobrazu współgrały z fragmentami wierszy poetów: ks. Twardowskiego, Poświatowskiej, Tetmajera, Świetlickiego i innych.



Wesołowski pokazał drzewa „nachalne”, w makrozbliżeniach, a perfekcja techniczna pozwalała niemalże na dotknięcie każdej brzozy, żyłki liścia. I te fotogramy z pewnością należały do najciekawszych.

„Czyste niebo cały dzień...” Mariana Oslislo

To pierwsza od wielu lat tak wielowątkowa wystawa, której autorem był Marian Oslislo – artysta grafik, projektant, twórca plakatów i zdarzeń multimedialnych, a także muzyk i twórca ważnych przedsięwzięć muzyczno-plastycznych. Wystawa „Czyste niebo cały dzień...” stanowi podsumowanie 30 lat pracy twórczej prof. Mariana Oslislo, pedagoga katowickiej ASP, od początku swej kariery zawodowej związanego z macierzystą uczelnią, a także jej rektora w latach 2005-2012. Retrospektywny charakter wystawy, prezentującej plakaty, kaligrafię oraz projekty z obszaru szeroko rozumianych form wydawniczych, dopeł-

niały nowe realizacje pozostające na styku rozmaitych konwencji i form artystycznej ekspresji. Koncepcja wystawy zakładała wzajemne przenikanie się trzech przestrzeni – tej wyznaczonej zasięgiem określonych wzajemnych relacji i sytuacji artystycznych, drugiej – prywatnej, w której obserwujemy swoistą grę z miejscem i przestrzenią, wreszcie – będącej próbą uchwycenia ulotności czasu i zmieniającego się świata.

Punktem wyjścia do budowy scenariusza ekspozycji były odrębne zapiski prowadzone przez ojca Mariana Oslislo, a dotyczące opisów pogody na dany dzień. Ciasno stawiane obok siebie, kaligrafowane litery, stały się zaczynem tej wielowątkowej wystawy. „Czyste niebo cały dzień...” jest metaforą różnorodnych działań Mariana Oslislo – od wyjścia z rodzinnego domu, z bagażem przemyśleń i doznań, poprzez wiele lat życia twórczego, uprawiania sztuki interdyscyplinarnie, nie zamykając się w kręgu jednorodnych doświadczeń, poprzez nieustanne poszerzanie własnego horyzontu i poznawanie. W tym kręgu „czystego nieba” Marian Oslislo zawsze prócz czystej sztuki, prócz dzieła, lokuje ludzi, z którymi rozmawia, którzy prezentują różnorodne postawy artystyczne, są różni pokoleniowo. „Czyste niebo” jest wspólnym dachem, domem, pod którym jest miejsce dla każdego i dla wszystkiego. I te różnorodne oblicza Mariana Oslislo można było oglądać na wystawie w Rondzie Sztuki w Katowicach. Wernisaż był okazją do wielu serdecznych życzeń i gratulacji złożonych Jubilatowi m.in. przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego.



Fragment ekspozycji

oraz wystawa „Pola Negri. Legenda kina” odbyły się w Muzeum w Sosnowcu.

■ Ośrodek Kultury w Będzinie w cyklu „Obrazy mistrzów” pokazał wystawę „Magiczny realizm”, podczas której zaprezentowano prace Tomasza Śętowskiego, Zdzisława Beksińskiego, Jarosława Janikowskiego, Jacka Yerki i Rafała Olbińskiego.

■ Muzeum Historii Katowic Oddział Grafiki pokazał wystawę Barbary Zapor-Zareby „Próba przejścia”.

■ Muzeum w Raciborzu zapraszało na spotkanie z dr Stefanią Skowron-Markowską z Instytutu Konfucjusza we Wrocławiu poświęcone estetyce japońskiej.

■ Również w raciborskim Muzeum odbyła się wystawa jubileuszowa „Próba życiorysu” poświęcona Marianowi S. Zawisze z okazji 70. rocznicy urodzin artysty.

■ „Śląskie pejzaże z koźlą w tle” to wystawa, którą można oglądać w Katowicach-Nikiszowcu w Dziale Etnologii Muzeum Historii Katowic, a składają się na nią obrazy ze zbiorów m.in. Muzeum w Białym, Galerii Sztuki „Barwy Śląska” Stanisława Gerarda Trefonii, Galerii „Szyb Wilson”, Muzeum w Gliwicach, Muzeum Górniczego Węglowego w Zabrze, Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny” w Chorzowie, Muzeum Miejskiego w Rudzie Śląskiej.

■ Na wystawę malarstwa Aliny Sibery – absolwentki ASP w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach, zaprasza Teatr Śląski w Katowicach.

■ W cyklu „Przed wielkim konkursem” Opium „Silesia” przygotowała koncert „Muzyczne portrety – Grzegorz Fitełberg” z udziałem Iwony Sochy (so-

pran), Joanny Steczek (fortepian), Andrzeja Gębskiego (skrzypce) i Antoniego Brożka (fortepian).

■ Zespół wokalny a capella „Affabre” był gościem Międzynarodowego Festiwalu Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych organizowanego przez Instytucję Upowszechniania i Promocji Muzyki „Silesia” w Katowicach.

■ Z okazji „urodzin” miasta Katowice Opium „Silesia” przygotowała cykl koncertów w MDK „Koszutka”, MDK „Podlesie – Południe” i MDK „Piotrowice – Południe”.

■ Z recitale mistrzowskim wystąpił w panewnickiej bazylisce o.o. Franciszkanów organista Andrzej Chorośński.

■ Z kolei w Sali Parnassos Biblioteki Śląskiej koncertowali meksykańscy artyści.

Fot. Zbigniew Sawicz

Fot. Zbigniew Sawicz

Fot. Zbigniew Sawicz

Na ruinach świata

W październiku odeszły od nas dwie osoby, z którymi od lat kojarzono Żywiec. Należały do pokolenia, którego II wojna światowa zrujnowała świat.

Maria Krystyna Habsburg-Lotaryńska, księżniczka von Altenburg (8 XII 1923 – 2 X 2012) była wnuczką arcyksięcia Karola Stefana Habsburga, który rządy nad dobrami żywieckimi objął w 1895 r. od nauki języka polskiego. Od tej pory Habsburgowie, zwani potocznie żywieckimi, losy swoje wiązali na dobre i złe z Polską. Dzieci Karola Stefana – Karol Olbracht i Leon – walczyli już z bolszewikami w obronie świeżo odzyskanej niepodległości. Ojciec Marii Krystyny Karol Olbracht nie splamił honoru pułkownika artylerii Wojska Polskiego i odmówił podpisania volkslisty. Z tego powodu dobra żywieckie przejęli hitlerowcy, a on sam został aresztowany.

Marię Krystynę Habsburg skierowano wtedy do pracy przymusowej w fabryce broni. Jej pierś zdobił tam znaczek z literą „P”. Bracia Marii Krystyny – Karol Stefan i Kazimierz – walczyli w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Gdy Habsburgowie wrócili po wojnie do kraju, ich żywieckie dobra przejęła już „władza ludowa”, która pozbawiła Habsburgów polskiego obywatelstwa. Jako obszarnikom ziemskim zabrakło dla nich miejsca w PRL-u. Maria Krystyna Habsburg poświęciła się pracy dla innych. Została Damą Devocyną i Honorową Polskiego Związku Kawalerów Maltańskich. Chciała zostać lekarką. Rychło jednak okazało się, że sama musi się leczyć. Nadwątłony w czasie okupacji organizm potrzebował rzeńskiego górskiego powietrza. Udało jej się zamieszkać w kurorcie marzeń polskich intelektualistów – Davos. Wychowana na polską patriotkę nigdy nie przyjęła obcego obywatelstwa. W Szwajcarii była bezpaństwowcem. Nie potrafiła się odnaleźć w zachodnim raj, w obcej... kulturze. Mówiła mi, że sąsiedzi donosili na nią na policję, bo pisywała na maszynie. Tęskniła do kraju lat dziecińczych. Marzenie o powrocie spełniło się w 2001 r., gdy władze Żywca wyremontowały suterene po byłej kregielni w Nowym Zamku i mogła wreszcie zamieszkać w rodowej siedzibie Habsburgów – w kręgu wielbionych ją żywczan. Spoczęła w kaplicy rodzinnej w żywieckiej katedrze – obok dziadka Karola Stefana i babci Marii Teresy.

Podobieństw między losami Marii Krystyny Habsburg i Wilhelma Brassego (3 XII 1917 – 23 X 2012) jest wiele. Wilhelm Brasse był wnukiem austriackiego ogrodnika, który pracował u żywieckich Habsburgów. Ojciec jego walczył już z bolszewikami w 1920 r. jako polski patriota. On sam był fotografem, który w latach 30. pracował w atelier ciotki przy ul. 3 Maja w Katowicach. Podczas okupacji odmówił podpisania volkslisty. Próbował uciec z kraju, aby dołączyć do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zadenuncjowany w Bieszczadach przez Łemków trafił do KL Auschwitz-Birkenau. Tam wykonywał – jak to określił socjolog Ireneusz Jeziorski – fotografie portretowe cierpienia, które nie uszlachetni. Był autorem około 50 tys. zdjęć więźniów w trzech ujęciach. Jego fotografia czterech przerażająco chudych nagiach żydowskich dziewczyn obiegła cały świat. Fotografował m. in. dla słynnego niemieckiego lekarza Józefa Mengele, który przeprowadzał koszmarnie eksperymenty na ludziach. Wilhelm Brasse wspominał, że robił zdjęcia dzieciom, które przywiązywano do marmurowych płyt i poddawano operacjom kregosłupa, głowy, oczu czy organów wewnętrznych – często bez znieczulenia. Doktor rozdawał dzieciom cukierki i robił im zastrzyki. Wilhelm Brasse musiał fotografować każdy eksperymentalny „przypadek” do albumu doktora. Przeklął wtedy Boga i matkę, która go urodziła. Po wojnie próbował również robić zdjęcia. Po kilku fotkach beskidzkiej przyrody nie wziął już więcej do ręki aparatu. Przed jego obiektywem stałe pojawiały się ofiary Anioła Śmierci.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Plonący artyści

Od 6 października do 18 listopada potrwa w Galerii Bielskiej BWA wystawa o nazwie „Samozapłon”. Jest to ekspozycja kuratorska „Bielskiej Jesieni”. – „Praca nad „Samozapłonem” uświadomiła mi, że wszelkie próby pogrzebienia malarstwa jako medium archaicznego są przedwczesne. Wystawa w Galerii Bielskiej BWA pokazuje jego wielowarstwowość i niewyczerpany potencjał – twierdzi kurator Michał Suchora. – Każda wystawa kuratorska „Bielskiej Jesieni” próbuje dotrzeć do istoty malarstwa, drażni sprawy koloru, światła, faktury, ale też znaczeń, symboliki, filozofii. Prace artystów prezentowanych na wystawie „Samozapłon” odnoszą się do wszystkich tych pojęć, a nawet je rozszerzają. Są abstrakcje inspirowane naturą lub wręcz przez nią stworzone, powierzone na najróżniejszych fakturach, szeroki wachlarz użytych materiałów, łącznie z silikonem i emalią alkidową, subtelna kolorystyka, mistrzowsko wykorzystane światło. Pojawiły się też obrazy przedstawiające: martwe natury czy portrety o znamienitych tytułach, które stawiają pytania etyczne czy społeczne. Warsztat malarski jest poszerzony o fotografie i obiekty. Wideo i literatura wspólnie kreują rzeczywistość wymyśloną, a więc nierealną, ale zanurzoną w prawdziwej historii i heroicznym okresie sztuki – mówi o wystawie



„Samozapłon” w Galerii Bielskiej BWA. W centrum kurator wystawy Marek Suchora.

Fot. Krzysztof Morcinek

Jednym zdaniem

■ Łukasz Ponikiewski zdobył pierwsze, Jacek Jurys drugie, a Sławomira Kalisz trzecie miejsce w konkursie „Satyra, frazka, limeryk... Cieszyń w poezji (nie) poważnej” zorganizowanym 29 września przez Bibliotekę Miejską w Cieszynie.

■ Od 19 do 21 października w żywieckim kinie „Janosik” odbył się V Przegląd Filmów Górskich „Adrenalinum”.

■ Od 1 do 7 października w Czechowicach-Dziedzicach i Bielsku-Białej odbył się XXI Jesieniny Festiwal Muzyczny „Alkagran” oraz IV Ogólnopolski Konkurs Akordeonowy im. Andrzeja Krzanowskiego.

■ 6 października w Książnicy Beskidzkiej odbył się panel dyskusyjny na temat kabaretu w PRL-u.

dyrektor Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz.

Wiesia zeszła ze sceny

Mówiliśmy o niej Wiesia, mimo iż miała na imię Władysława. Zaraz po ukończeniu bielskiego Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w 1965 r. Władysława Cader otrzymała propozycję pracy w Teatrze Lalek Białaluki. Była artystką bielskiej sceny przez 35 lat. Jak zaświadczą dyrektorka Białaluki, Lucyna Kozień, Wiesia była aktorką o bardzo dobrym warsztacie i w bielskim teatrze stworzyła wiele znakomitych ról, perfekcyjnych pod względem animacji, niezwykle przemyślanych i wyrazistych. Zdaniem dyrektorki Białaluki rolę w wykonaniu Władysławy Cader zawsze przyciągały uwagę publiczności i nieodmiennie działały na emocje. Skłonność aktorki do improwizacji, jej umiejętność nawiązywania kontaktu z widzami, słuchania ich i natychmiastowych replik okazywała się cechą niezmiennie ważną, zwłaszcza w kontaktach z młodą publicznością. Poza sceną Wiesia znana była z pogodnego usposobienia, skłonności do żartów i ciętych replik – zawsze dowcipnych, nigdy dokuczliwych. Po odejściu na emeryturę w 2000 r. współpracowała jeszcze z Teatrem Polskim w Bielsku-Białej. Jej kreacje robiły wrażenie zwłaszcza w przedstawieniach „Najstarsza profesja” i „Iwona księżniczka Burgunda”, w której świetnie zagrała Królową. Władysława Cader zmarła 21 września w wieku 66 lat.

Trzech mistrzów

Podczas XVII Festiwalu Kompozytorów Polskich im. prof. Henryka Mikołaja Góreckiego pn. „Muzyka inspirowana górami”, który odbył się od 9 do 14 października 2012 r. w Bielsku-Białej, wysłuchaliśmy dzieł Karola Szymanowskiego (z okazji 120. rocznicy urodzin), Wojciecha Kilara (obchodzącego 80. urodziny) oraz Jana Kantego Pawłuśkiewicza (z okazji 20. rocznicy powstania „Nieszporów Ludźmierskich”). Artysta Piwnicy pod Baranami – muzyk, kompozytor i architekt z wykształcenia – wystawił także własne dzieła sztuki plastycznej. Uprawia bowiem malarstwo, stosując technikę pod nazwą „żel-art”.

■ „Gaude Cantem” VIII Międzynarodowy Festiwal Chórów im. Kazimierza Fobera odbył się od 18 do 21 października w salach koncertowych i kościołach Bielska-Białej.

■ Dwudziestolecie istnienia Galerii Fotografii B&B obchodzone w październiku w Bielsku-Białej.

■ W październiku otwarto w Muzeum w Bielsku-Białej wystawę prac Dariusza Gierdala, Mariana Cholerki i Jadwigi Smykowskiej.

■ Od 24 do 26 października odbył się Bielski Festiwal Kultury Słowackiej.

■ Bielskie Wydawnictwo Ammit Jarosław Świerczek wydało powieść Marka Świerczka „Dybuk”.

Przypomnienie Iwo Galla

W 1932 roku Iwo Gall objął dyrekturę Miejskiego Teatru Kameralnego w naszym mieście. Z okazji 80. rocznicy tego wydarzenia instytucje kulturalne Częstochowy przygotowały cykl imprez. Zaczęło się 7 października o 17.00 otwarciem wystawy w Gabinetach Wybitnych Częstochowian – „Piękno królowało. Iwo Gall, artysta teatru”. Jest to prawdopodobnie pierwsza w Polsce ekspozycja poświęcona malarzowi, scenografowi i reżyserowi. W przygotowaniu zaangażowało się wiele instytucji z różnych miast, co świadczy o skomplikowanej i dynamicznej biografii artysty.

Iwo Gall urodził się w Krakowie w 1890 roku w rodzinie o tradycjach muzycznych, tu ukończył Akademię Sztuk Pięknych. Debiutował jako scenograf podczas I wojny światowej w „Hamlecie” (reż. Tadeusz Rittner) w Teatrze Polskim w Wiedniu, po powrocie do kraju współpracował z Teatrem Miejskim im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, a następnie z „Redutą” Juliusza Osterwy i Mieczysława Limanowskiego. Zanim objął dyrekturę teatru w Częstochowie prowadził Hebrajskie Studium Dramatyczne. Po trzech sezonach (1935) objął Stołeczny Teatr Powszechny w Warszawie, następnie Teatr Miejski im. W. Bogusławskiego w Kaliszu, a po II wojnie Teatr Wybrzeże i kilka lat później Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi... Współpracował także z innymi teatrami.

Dyrekcja Galla to dla Miejskiego Teatru Kameralnego w Częstochowie prawdziwy czas świetności. Już w pierwszym sezonie zespół otrzymał wyróżnienie za pracę kulturalną w konkursie na wystawienie sztuk Stanisława Wyspiańskiego, organizowanym przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w 25. rocznicę śmierci autora „Wesela” (premiera „Sędziów” odbyła się 26 XI 1932), i został uznany w środowisku teatralnym za jeden z najlepszych teatrów prowincjonalnych. Po zakończonym remoncie także budynek zyskał miano jednego z najpiękniejszych teatrów kameralnych w Polsce. W drugim sezonie foyer ozdobiono portretami najważniejszych, zdaniem dyrektora, twórców – romantycznych wieszczów narodowych: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, Cypriana Kamila Norwida, oraz Stanisława Wyspiańskiego.

W latach 1932-1935 w częstochowskim teatrze wystawiono 62 sztuki, ze scenografią Iwo Galla i w większości w jego reżyserii. Przeważały polskie dramaty współczesne, a wśród nich znalazło się pięć prapremier: Józefa Wasowskiego, znanego wówczas dziennikarza, Antoniego Czajkowskiego, wnuka Aleksandra Świętochowskiego, Jerzego Zawieyskiego (współpracownika Reduty), Ewy Szelburg-Zarembiny oraz Gustawa Beylina. W repertuarze lekkie komedie pojawiały się obok misteriów, na które Gall zwracał szczególną uwagę. W Częstochowie występowała także jego żona, Halina, doskonała aktorka, która w sezonie 1935/1936 wyreżyserowała dwie sztuki i zagrała w nich główne role.

O tym wszystkim przypomina wystawa (kurator Katarzyna Ozimek). W dwóch salach zgromadzono najbardziej reprezentatywne ślady biografii Galla. Jest okres Zielonego Balonika, portrety, prace scenograficzne, projekty kostiumów, szkice zapowiadające reformę teatru (publikacje „Budowniczy tła scenicznego” oraz Scena „Białej ściany”), zdjęcia spektakli z okresu częstochowskiego, plakaty oraz rękopisy Sceny „Białej Ściany” znalezione w archiwum Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Przypomniano też wybrane prace teatrologiczne poświęcone Gallowi.

Na otwarciu wystawy mieszkańców i przedstawicieli miejscowych instytucji kultury witał pomysłodawca wystawy dr Zbyszek Jędrzejewski, emerytowany pracownik Akademii im. Jana Długosza. Wśród gości można było zobaczyć autorów prezentowanych publikacji, którzy przyjechali na odbywającą się dzień później konferencję „Iwo Gall – redutowiec, artysta teatru”, organizowaną przez AJD, Polskie Towarzystwo Badań Teatralnych w Warszawie, Instytut im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu oraz Częstochowski Oddział TLiAM. Przybyła także prof. Urszula Aszyk, autorka jedynej książki poświęconej artyście.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Filharmonia im. Bronisława Hubermana

VIII Festiwal Wiolinistyczny im. Bronisława Hubermana, kierowany przez Bogusława Bojczuka, odbył się 3-16 października w budynku remontowanym od marca 2009 roku. Filharmonii nadano imię patrona festiwalu, częstochowianina, który koncertował na świecie w I połowie XX wieku.

W tym roku prezentowany repertuar był niezwykle różnorodny. Wystąpili wirtuozi: Vadim Repin, Michael Gutmann, nazywany „Chagallem skrzypiec”, który grał smyczkiem Hubermana, Japonka Midori koncertująca na tzw. drugich skrzypcach wirtuoza – Guarneri del Gesù, Maria Włoszczowska. Poza tym można było posłuchać Die Salzburger Mozartsolisten (z częstochowianinem Maciejem Gołębiowskim), jazzujących absolwentów Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie – Atom String Quartet, Zespołu Voiosi oraz Concerto Verizano.

Podczas festiwalu wykonano utwory wielu kompozytorów, odbyły się także prawykonania. 4 października zaprezentowano publiczności Genesis Barucha Berlinera, którego dziadek i ojciec pochodzili z Częstochowy, utwór dedykowany Zygmuntovi Rolatowi. Fragmenty po hebrajsku recytował Marek Ślosarski. Natomiast 16 października w koncercie finałowym zabrzmiał Koncert na wiolonczelę i perkusję Olgi Hans.

Podczas koncertu inauguracyjnego honorowe obywatelstwo Częstochowy wręczono Zygmuntovi Rolatowi. Finansował on m.in. znaną na świecie wystawę *Żydzi częstochowianie* oraz był jednym z organizatorów Światowego Stowarzyszenia Żydów Częstochowian i Ich Potomków w Nowym Jorku. Jego marzeniem pozostaje wspólny koncert Joshuy Bella i Midori, którzy zagraliby na instrumentach należących do Hubermana.

Dyrekcja Filharmonii przedstawiła także plany na nowy sezon. Przede wszystkim chce współpracować z różnymi instytucjami: w podziemniach zagości Częstochowskie Stowarzyszenie Jazzowe, poza tym będą organizowane projekty z Instytutem Muzyki AJD, Zespołem Szkół Muzycznych oraz Towarzystwem Muzycznym.

O Jurze jesienią

We wrześniu i październiku w Sali Ślaskiej MGS-u można było przypomnieć sobie nie tylko jurajskie szlaki, ale także twórczy temperament i technikę znanych częstochowskich artystów malarzy, grafików i fotografików. Wystawa *Magia Jury* powstała mimo odbywających się co roku jurajskich plenerów malarskich. Tym razem miała ona charakter retrospektywny.

Prezentowane były prace artystów różnych pokoleń. Ich widzenie Jury było rozmaite – to pejzaże rzeczywiste, nawiązujące do impresjonistycz-

nych technik, ale także krajobrazy nierealne i baśniowe. Niektórzy szukali też charakterystycznego motywu pokazywanej przestrzeni. Artystów częstochowskich reprezentowali: Krystyna Szwałkowska, Cecylia Szerszeń, Jerzy Duda-Grac, Jerzy Kędziora, Jerzy Pogorzelski, Marian Michalik, Jacek Szuka. W ten sposób powstała artystyczna antologia o Jurze, choć pewnie każdy ze zwiedzających chętnie dodałby jeszcze kilka nazwisk...

Potęga jednośladu

Fundacja Miasto dla Ludzi w tym roku włączyła się w Europejski Tydzień Zrównoważonego Transportu. 16 września na placu Biegąńskiego zagościły rzeźby-rowery Mariusza Chrzastka, a o 17.00 w Galerii Dobrej Sztuki otwarto wystawę *Artyści i rowery*, gdzie rower stał się głównym tematem, atrybutem portretowanej postaci, ale również elementem współczesnej kultury młodzieżowej. Swoje prace – malarstwo, grafikę i rzeźbę – zaprezentowali: Jolanta Jastrzęb, Małgorzata Stępiak, Jarosław Kweclich, Tomasz Sętowski, Bartosz Frączek, Jacek Łydzba, Robert Żybura, Mariusz Chrzastek, Karol Barton. Pojawili się także prace zmarłego 7 sierpnia 2011 r. Tomasza Gawlikowskiego.

21 września do propagowania zdrowego trybu życia włączyło się również Kino „Iluzja”, prezentując filmy rowerowe (Międzynarodowy Festiwal Filmów Rowerowych odbywa się w Herne). Były animacje studentów rodzimego Instytutu Plastyki, ale także *A bicycle trip*, *O riscco*, *The Bristol Bike Project* oraz nagrodzony w Cannes *Chłopiec na rowerze*.

Dzień później przy altance w parku Staszica zorganizowano piknik w stylu *fin de siècle*, czyli Czawa Cycle Chic Picnic. Panie w kapeluszach i na obcasach z koszmami pełnymi smaczków, brały udział w rozmaitych konkursach.

Częstochowskie grupy teatralne

14 września w „Gaude Mater” SKT „naJana” zaprosiło na *Pozytywkę*, pierwszy pokaz w nowym sezonie. Reżyserią zajęli się wszyscy występujący młodzi aktorzy pod kierunkiem jednego z założycieli grupy, Jakuba Jury. To bardzo sprawnie zaprezentowana pantomima, o przewrotnym tytule. Rzecz opowiadała prawdopodobnie o inteligencji (jego głównym atrybutem jest książka), który w parku spotyka dziewczynkę o jasnych włosach (śmierć) – potencjalną kolejną ofiarę (wcześniej zabija brunetkę). Próba przy zbójstwie sprowadza na niego karę wymierzoną przez towarzyszące jej duchy. Przedstawienie demaskowało pozory, ale nie uchroniło się przed uproszczeniami, choć bardzo silnie oddziaływało na widzów. Niektóre chwytły wzbudzały podziw, inne przerażenie, zwłaszcza ten prawie zwierzęcy krzyk. Premierowe przedstawienie świadczy o nieustannych poszukiwaniach teatralnych grupy.

Wcześniej podczas Festiwalu Teatrów Ogródkowych, zakończonego w połowie września, za prezentowały się dwa inne częstochowskie teatry – Grupa Teatralna Politechniki Częstochowskiej „Trybik” (reż. Marian Florek) oraz Teatr Niezależny Tlen (reż. Julia Liszewska). W tym roku niebiletowane spektakle można było oglądać w podwórku Teatru po Poland lub przy Carpe Diem. Grand Prix otrzymał Teatr w Krzywym Zwierciadle za RTG – Roland To por Games, w reżyserii Michała Krzywaźni.

Jednym zdaniem

■ Zagrali: OTTO, Czerwone Gitary, Robert Janowski i przyjaciele (Galeria Jurajska), Graczy Łobaszewska (Cafe&Restaurant DOBRY ROK), Breakmaszyna (VII Edycja Częstochowskiego Święta Bluesa Blue Blues), KSU (Teatr from Poland).

■ Podczas VII Częstochowskich Dni Muzyki Organowej zagrali m.in.: Natasha Baginskaya, Tytus Wojnowicz, Jan Bokszczanin. 21 września w rocznicę śmierci Krzysztofa Pospiecha w czasie koncertu finałowego chór z Towarzystwem organów wykonał *Messe Cum Jubilo* Maurice'a Durufle'a.

■ W Bibliotece Publicznej im. dra W. Biegańskiego Ilona Kowalska poprowadziła spotkanie z Wioletta Grzegorzewską, poetką i autorką *Notatnika z wyspy*.

■ Z inicjatywy Piotra Dłubaka, wiceprezesa Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie, w Konduktorowni odbył się teatr rysowania, nawiązujący m.in. do działań Franciszka Starowieyskiego. W kolejnej popołudni Jacek Szuka stał przed czarną płaszczyzną 10x3, przyszywał sobie na harmonijce ustnej i rozmawiał z publicznością.

Ostrawa jesienna: psia i poetycka

Kiedy ludzie podczas otwarcia wystawy i sporej porcji wierszy zaczęli klaskać, czekał też pies Emil. Chyba mu się podobało. Bo też psiak należy do jednego z najwybitniejszych ostrawskich – i nie tylko – twórców: plastyka, performer i pedagoga, Jiřego Surin̄ki. Podczas trzydniowego święta poezji Protimlufest w Ostrawie Emil nie opuszczał ani na chwilę swojego pana. I tak, jako jedyny przedstawiciel świata fauny, był świadkiem wielu ciekawych wydarzeń artystycznych. To był już szósty Protimlufest, impreza poetycka odbywająca się zawsze jesienią w stolicy województwa morawo-słaskiego. Organizuje go redakcja pisma literackiego „Protimluf”, ukazującego się w Ostrawie od jedenastu lat i prezentującego nie tylko literaturę z naszego regionu, ale także z całej Republiki Czeskiej, Słowacji, również z Polski i Węgier, czyli całej Czwórki Wyszehradzkiej. – „Pozwólcie, że otworzę tegoroczną edycję cytatem z wiersza znanego brneńskiego poety undergoundowego, Jaroslava Erika Friča: *Staramy się złapać niektóre słowa, żeby w ogóle być*” – powiedział w pierwszym dniu festiwalu jego dyrektor i redaktor naczelny „Protimlufu”, Jiři Macháček. – „Szkoła tylko, że Erik, częsty gość naszych poetyckich wieczorów, w tym roku nie mógł do nas przyjechać. Z powodu ciężkiej choroby... Niemniej uważam, że poezja tyłu gości, którzy postanowili odwiedzić przez te trzy dni Ostrawę, wszystkich zadowolili”. Już pierwszy poeci z Bratysławy: Peter Sulej i Michal Habaĵ, udowodnili, że Macháček miał rację. W klubie Cooltur na Czarnej Łące przedstawili ciekawy projekt „Generátor X – Nové kódexy”, słowa poezji ozdobił taniec w wykonaniu dwóch pięknych dziewczyn. Po Słowakach zaprezentował, towarzysząc sobie na wiołonczeli, poezję wspomnianego Erika Friča o biblijnej Księdze Hioba, jego przyjaciel, Pepa Kliĉ. Czeski underground reprezentował też praski poeta Milan Kozelka, który czytał wiersze napisane podczas swojej ostatniej wizyty w Nowym Jorku. Natomiast w karczmie literackiej Rubrum w Ostrawie-Przywozie odbyła się wystawa Marka Prařaka – „Milimetrové básně”. Notabene karczma Rubrum, będąca zarazem mini-galerią gościła podczas festiwalu kilka ciekawych imprez, była to m. in. wystawa brneńskiego poety i plastyka Norberta Holuba (tłumacza Rafała Wojacka) i występ z cyklu: „Zapomniani ostrawscy autorzy”, w którym wiersze czytał ościec szefa knajpki literackiej, Ivana Mořila, publicysta i dziennikarz Günter Mořil. Czwartek otworzyły spotkania poetyckie w antykwiariacie Fiducia (węgierscy autorzy: Zoltán Agostón i István Vörös) oraz w Domu Sztuki, gdzie grali i recytowali swoje utwory: Radovan Jursa, Milli Janáková i Matouš Vlĉinský. Był też blok słaski, z udziałem Oldřicha Kutry z Opawy, Vojty Kuĉery z Trzycina (obecnie Brno) oraz Jacka Sikora z Czeskiego Cieszyńska. Przede wszystkim jednak drugi dzień festiwalu przebiegał pod znakiem promocji książki Natálie Peterovej: „Uvnitř kosti duha”, której „ojcem chrzestnym” był jej redaktor, Ivan Mořil. Wieczór piątkowy (antykwiariat Fiducia) otworzył „chrzest” tomiku Lenki Daňhelovej, „Jeji bolest”, który poprowadził Jan Suk. Później zaprezentowali się w Fiducii m. in. Pavel Novotný i Petr Čichoň, a także polscy autorzy: Olga Tokarczuk i Janusz Rudnicki. Trzydniowy poetycki maraton zakończył się w Rubrumie. Były obrazy i wiersze Pavla Petra z Moraw południowych, morawskie wino i stamtąd też kapela: prymisty Jořki Slovák z Welkej nad Veliczką. A przede wszystkim pies Emil, który pieską jesienną pogodę potraktował po swojemu, na psią nutę. I wydawał się po tych trzech dniach, jeśli udaje mi się zrozumieć psie szczekanie, całkiem zadowolony...

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Wielkie urodziny PZKO

W Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszyńsku 19 października odbył się koncert galowy z okazji 65-lecia założenia Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC. W programie dedykowanym działaczom związkowym wystąpił reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca PZKO „Olza”, Kapela „Olza” oraz aktor i piosenkarz Przemysław Branny. – *Pragnę przypomnieć, i będę to mówił zawsze i wszędzie, gdzie będę, że Polski Związek Kulturalno-Oświatowy jest największą organizacją w Europie zrzeszającą Polaków, skupiającą 13 tys. członków, którzy poświęcają swój czas i swoje pieniądze dla zachowania naszej tożsamości narodowej* – powiedział, otwierając obchody, prezes ZG PZKO Jan Ryłko. Przed koncertem odbyła się uroczystość odznaczenia 40 najbardziej zasłużonych działaczy wpisem do Złotej Księgi. – *Mają być także osoby, które posiadają już brązową, srebrną i złotą odznakę PZKO oraz odznaczenie I i II stopnia. To właśnie te osoby wpiszą się dziś do Złotej Księgi* – powiedziała przewodnicząca Rady Kultury przy ZG PZKO, Małgorzata Rakowska. Jan Ryłko podziękował odznaczonym za pracę na niwie społecznej a także swojej żonie Beacie, obchodzącej dzień wcześniej urodziny, podkreślając, że bez jej wsparcia i wyrozumiałości nie mógłby stać tu jako prezes Zarządu Głównego. W galerii TC otwarto wystawę „Działalność Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego”, która potrwa do 25 listopada. Tylko 19 października można było oglądać kroniki miejscowych kół (przeszło 40 tomów). – *Kroniki są tym najcenniejszym, co mamy, dlatego, że względu na ich bezpieczeństwo, nie możemy zostawić ich w teatrze* – wyjaśniła Rakowska. Członkinie Koła w Jabłonkowie przygotowały bankiet, upiekły także duży tort z godłem PZKO. Ryłko poprosił o pokrojenie tortu konsula generalną RP w Ostrawie, Annę Olszewską.

Krajobraz po wyborach wojewódzkich

W województwie morawo-słaskim przez najbliższych pięć lat ponownie będzie rządziła koalicja złożona z radnych socjaldemokracji i Komunistycznej Partii Czech i Moraw. Komitet wojewódzki ČSSD zdecydował, że da pierwszeństwo komunistom przed możliwą koalicją z ODS i KDU-ČSL. W 11-osobowym zarządzie województwa ČSSD będzie miała 7 krzeseł, KSČM – 4. W poprzedniej kadencji obowiązywał stosunek 8:3. Telewizja Czeska poinformowała, że socjaldemokraci obejmą stanowisko hetmana (najprawdopodobniej będzie nim dotychczasowy wicehetman Miroslav Novák) oraz czterech jego zastępców. Komuniści będą mieli dwóch wicehetmanów – tyle samo, co poprzednio. Radni obu lewicowych partii mają w sumie 44 mandaty w 65-osobowej Radzie Województwa, co daje im du-

żą przewagę nad opozycją złożoną z ODS, KDU-ČSL i Niezależnych, którzy są debiutantami w Radzie. Rzeczniczka Urzędu Wojewódzkiego, Šarka Vlĉková, nie potwierdziła składu liczebnego Rady. – *Oficjalna informacja zostanie przekazana po podpisaniu umowy koalicyjnej. Ma to się stać faktem 1 listopada* – powiedziała „Głosowi Ludu”. Dodała, że hetman, jego zastępcy oraz pozostali członkowie zarządu będą wybierani na inauguracyjnej sesji Rady Województwa. Potencjalny hetman Miroslav Novák był liderem listy wyborczej ČSSD i zdobył najwięcej głosów preferencyjnych (6,2 tys.). Dotychczasowy hetman Jaroslav Palas, któremu zarzucano nieprzejrzyste finansowanie budowy prywatnego pensjonatu w Jesionikach, w ogóle nie startował w wyborach. W Radzie Województwa polską mniejszość reprezentują: Paweł Kawulok (ČSSD) oraz Henryk Małysz i Karol Wiewiórka (KSČM).

Projekt na miarę XXI wieku

Konferencja naukowa pn. „Dzień godności osób niepełnosprawnych” była w październiku podsumowaniem ponadgranicznego projektu, który realizowały wspólnie dwa Uniwersytety Śląskie: filia opawskiego w Karwinie oraz katowickiego w Cieszyńcu.

– *Chodzi o projekt międzynarodowy, ze wsparciem finansowym Unii Europejskiej* – mówił Cezary Andrzej Mizia z Katedry Nauk Społecznych karwińskiego Wydziału Handlu i Przedsiębiorczości opawskiego UŚ, która była współrealizatorem projektu. – *Był on skierowany głównie do młodzieży z obu stron granicy, studentów obu uczelni, oraz szkół średnich po obu brzegach Olzy. Badania dotyczyły głównie potrzeb osób niepełnosprawnych, świadomości o ich problemach w życiu. Dlatego podczytaliśmy siły z cieszyńskiej filii katowickiego uniwersytetu. Owoce tej współpracy będzie na pewno polsko-czeskojęzyczna publikacja z wynikami badań* – uściślił. Jak poinformował Andrzej Mizia – badania były przeprowadzone wyłącznie na Śląsku Cieszyńskim. Po czeskiej stronie: w Czeskim Cieszyńcu i Hawierzowie oraz na uczelni w Karwinie. W Polsce natomiast w szkołach średnich na terenie prawie całego powiatu cieszyńskiego a także w filii UŚ w Cieszyńcu. Zapytany o wyniki badań, odpowiedział: – *Już można zauważyć, że zwłaszcza młodzi ludzie traktują osoby niepełnosprawne bardzo pozytywnie. Znamy problemy niepełnosprawnych i coraz bardziej się tym środowiskiem interesują. Do rozwiązania pozostaje jednak kwestia istniejących przeszkód w życiu inwalidów. Na przykład chodzi o przeszkody w normalnym życiu: architektoniczne, kiedy to nie każdy niepełnosprawny może się dostać bez problemów do sklepu czy jakiejś instytucji. A tak samo za przeszkodę można uznać brak możliwości zaangażowania się takich osób w życie publiczne lub społeczne. Tam nadal widzimy wielkie bariery: zarówno psychiczne, jak i fizyczne. Projekt pilotażowy z polskiej strony profesor Zenon Gajdzica, z czeskiej – Janusz Mika, szef karwińskiej Katedry Nauk Społecznych, który prowadził także, podsumowując projekt, konferencję. – *Uważam, że jednym z najważniejszych celów było zaangażowanie młodych ludzi, którzy muszą sobie uświadomić, jak ważne jest miejsce osób niepełnosprawnych w naszym społeczeństwie, i że musimy im pomóc, aby mogli się zintegrować ze społeczeństwem* – podkreślił podczas konferencji Janusz Mika.*

Jednym zdaniem

■ W piątek 26 października zakończył się cykl spotkań pn. „Zaolzie teraz”, organizowanych przez Książnicę Cieszyńską i Kongres Polaków. Bohaterem ostatniego spotkania (pn. „Jak się narodowo nie uwiecznić?”) był historyk i prezes Kongresu, Józef Szymczek.

■ Do 30 października w Czytelnii i Kawiarni Literackiej „Avion” można było oglądać wystawę poplenerową Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego, jej tematem przewodnim był portret.

■ „Sztuka komunikowania się, czyli jak mówić, aby nas słuchano” była tematem spotkania z polonistą, prof. Jerzym Bralczykiem, które odbyło się w auli Gimnazjum Polskiego w Czeskim Cieszyńcu. W drugiej części spotkania, wszystkim, którzy lubią rozrywkę i łamigłówki językowe Centrum Pedagogiczne w Czeskim Cieszyńcu zaproponowało tradycyjne Wielkie Dyktando dla Zaolzia, którego autorem był znany gość z Warszawy.

■ Delegacja Gimnazjum Polskiego w Czeskim Cieszyńcu (dwóch uczniów z opiekunem) wyjechała w październiku do Grodziska Wielkopolskiego na kolejny Zlot Szkół im. Juliusza Słowackie-

go. – *Złot to powrót do naszych korzeni, do tradycji Gimnazjum Realnego im. Juliusza Słowackiego, którego możemy być kontynuatorami* – uważa Andrzej Bizoń, dyrektor cieskocieszyńskiego gimnazjum.

■ Książnica Cieszyńska zaprosiła na wernisaż „Na drodze do zapomnienia. Polacy na Zaolziu w latach 1920-1989”. Ekspozycja przedstawiała kompleksowo skomplikowaną historię Zaolzia.

■ Na rynku wydawniczym na prawym brzegu Olzy ukazał się śpiewnik z regionalnymi pieśniami z okolic Strumienia, Skoczowa i Cieszyńska. Jego autorem jest Jan Chmiel z Kowali, nieustraszony popularyzator gwaru cieszyńskiego.

■ Jury tegorocznego trzytnieckiego festiwalu Babie Lato Filmowe przyznało w tym roku nagrodę Złoty Debiut polskiemu filmowi „Łęk wysokości” Bartosza Konopki. Nagrodę publicystę otrzymał również polski film: „Heniek” autorstwa niezależnego duetu Earl Grey, czyli Elży Kowalewskiej i Grzegorza Madeja.

23 października Muzeum Miejskie w Tychach wzbogaciło się o nową siedzibę. Od chwili powstania (2005 r.) mieściło się ono w kompleksie zabudowań miejscowego browaru – w budynku tzw. młotowni z początku XX wieku, gdzie niegdyś suszono odpady powstałe podczas produkcji piwa. Szybko jednak okazało się, że wciąż wzbogacające zasoby młodego muzeum zbiory (ponad 8,5 tys. eksponatów) nie mieszczą się w zajmowanych pomieszczeniach i znalezienie nowej siedziby stało się koniecznością. Wybór padł na zabytkowy gmach dawnego urzędu przedwojennej gminy Tychy, który kosztem ponad 4,2 mln zł rozbudowano i unowocześniono. Budynek powstał w 1906 r. i był siedzibą urzędu ówczesnej gminy Tychy. Od 1934 roku, kiedy gmina otrzymała prawa miejskie do połowy lat 50. ubiegłego wieku w gmachu mieścił się magistrat a następnie prokuratura. W ramach adaptacji na potrzeby muzeum do istniejącego budynku dobudowano hol z klatką schodową. Na parterze znajdują się sale ekspozycyjna i odczytowa, na piętrach pracownie. Znalaziono też miejsce na magazyny, gdzie przechowywane są eksponaty. W dotychczas zajmowanych pomieszczeniach nadal będą organizowane wernisaże i spotkania tematycznie związane z prezentowanymi wystawami.

Pod patronatem „Śląska”



Stary, historyczny budynek dawnego magistratu zyskał nową funkcję – powiedziała podczas otwarcia dyrektor Muzeum dr Maria Bierwiazzonek (w środku z mikrofonem).

Tyskie Muzeum w nowej siedzibie

Gośćmi uroczystości byli m.in. wicewojewoda śląski Piotr Spyra, prezydent Tychów Andrzej Dziuba wraz ze swą zastępczynią Darią Szczepańską, Teresa Janeczko – prezes Miejskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych w Tychach, któ-

ry nadzorował prace związane z remontem, adaptacją i rozbudową budynku, autorzy projektu budynku – architekci z biura AB-Projekt, wykonawcy robót remontowych, a także tyscy radni, dyrektorzy instytucji kultury, nauczyciele, darczyńcy oraz przyjaciele muzeum.

Otwarcia nowej siedziby Muzeum towarzyszył wernisaż *Najpiękniejsze, najciekawsze. Z kolekcji Muzeum Miejskiego w Tychach*. Wśród ekspozycji znalazły się m.in.: obraz i projekty polichromii w kościele Ducha Świętego w Tychach autorstwa Jerzego Nowosielskiego, kopia dokumentu sprzedaży Ziemi Pszczyńskiej przez Kazimierza II Aleksesa Turzonowi z 1517 roku, sztandar niemieckiego Towarzystwa Śpiewaczego w Tychach, chorągiew kombatanckiej organizacji powstańczej z Czulowa z okresu międzywojennego oraz takie ciekawostki jak zielnik z 1928 roku, cytra z początku XX wieku czy szopka bożonarodzeniowa autorstwa Antoniego Toborowicza.

W 2014 roku w sali ekspozycyjnej powstanie wystawa stała, poświęcona historii miasta, od stycznia 2013 odbywać się tu będą lekcje muzealne, spotkania, wykłady i prelekcje.

(MS)

Dziesiąta, jubileuszowa edycja Gliwickich Dni Dziedzictwa Kulturowego (15-16 września) prowadziła szlakiem drewnianych kościołów ziemi gliwickiej. Przygotowano trzy alternatywne trasy wycieczek, podczas których można było zwiedzić łącznie trzynaście przepięknych kościołów: w Ostropie, Smolnicy, Żemicy, Wilczy, Sierakowicach, Rachowicach, Bojszowie, Rudzińcu, Poniszowicach, Zacharzowicach, Sierotach, Księżym Lesie i Szalszy. Muzeum w Gliwicach, organizator GDDK, jak co roku przygotowało bogaty i atrakcyjny program, w którym znalazły się wystawy, wykłady, projekcje filmowe, pokazy ciesielskie i rzeźbiarskie. W Willi Caro można było obejrzeć zrealizowany w 1995 r. film, dokumentujący wiele nie istniejących już zabytków drewnianej architektury sakralnej diecezji gliwickiej a na przykładzie pracy rzeźbiarza Jerzego Chachuły z Sośnicowic i Leszka Sempki z Gliwic odwiedzający poznali warsztat pracy autorów drewnianych rzeźb i kościelnych elementów snycerskich. Hubert Wocław, rzemieślnik ciesielski z Muzeum Wsi Opolskiej w Opolu prezentował sposoby wykonania połączeń narożnych w drewnianych budowlach o konstrukcji zrębowej za pomocą dawnych, różnorodnych naciąg ciesielskich a także technikę wykonania i układania gontów. Podczas pokazów w ogrodzie Willi Caro miały miejsce kiermasz wyrobów rękodzielniczych i wyprzedaż wydawnictw muzealnych. W Zamku Piastowskim znaleźć można było unikalne, archiwalne zdjęcia,

Pod patronatem „Śląska”

X Gliwickie Dni Dziedzictwa Kulturowego 2012

Szlakiem kościołów drewnianych ziemi gliwickiej

pochodzące ze zbiorów Muzeum w Gliwicach a także zachowane na szklanych kliszach fotografie z pierwszej połowy XX w. Niezwykłą oprawę artystyczną zapewnił zespół *Perfugium*, założony w 1997 r. przez grupę młodzieży śpiewającej w scholi



Bojszów, ołtarz boczny i ambona.

dominikańskiego duszpasterstwa Przysiań w Krakowie. W trakcie koncertu zaprezentowano XVI- i XVII-wieczną muzykę z różnych okresów roku liturgicznego.

Tegoroczne GDDK wzbogaciły wystawy „Piórkiem i pędzlem” (Willi Caro), gdzie można było podziwiać obrazy, rysunki i grafiki górnośląskich kościołów drewnianych autorstwa m.in. Ireny Nowakowskiej-Acedańskiej, Lukasa Mrzygłoda (Mrzygłód), Georga Rasela, Hansa Sattlera i Pawła Stellera.

(MS)

Foto Hubert Kalla

Człowiek od zarania opisuje miejsce, w którym żyje, przed wiekami zataczał kręgi na ziemi i ustawiał w ich środku słupy, by tak oddzielić przestrzeń własną, ale i świętą od innej, obcej, nieprzystajnej. Niezależnie jak miejsce owo zastaje, ważne jest, by istniała w nim silna potrzeba wyrażenia tego, co Merlau-Ponty nazwie niepodzielną całością, by powstające obrazy nie były aluzją świata, ale pozwalały odczuć obecność pełni, jaką przecież z rzeczywistością wiążemy: „Wyrażenie tego, co istnieje, jest zadaniem ogromnym.”

(Maria Popczyk)

Tego zadania podjął się również wybitny malarz, współtwórca katowickiej uczelni – Rafał Pomorski. Przez kilkadziesiąt lat spędzonych w Katowicach, portretował oblicze miasta, w którym przyszło mu żyć. W ten sposób pozostawił niezwykle pejzaże, dające możliwość spojrzenia wstecz na to miejsce przez pryzmat jego emocji, wrażliwości. To one mówią dziś o nim najwięcej. My chcemy, przynajmniej częściowo, tę opowieść dopełnić.

Mało kto już pamięta, iż Rafał Pomorski pochodził z Poznania, urodził się tam w 1921 roku. Niewiele zachowało się informacji o jego wczesnej młodości. Przed wojną uczył się w Miejskiej Szkole Sztuk Zdobniczych w Warszawie, a następnie w Instytucie Sztuk Plastycznych w Krakowie. Tam zastała go wojna. Dzięki publikowanym już na łamach naszego miesięcznika, wspomnieniom jego drugiej żony, Amelii Pomorskiej-Lange, wiemy, że w czasie okupacji pracował jako kelner w kawiarni „Plastyków” przy ul. Łobzowskiego w Krakowie. Kierownikiem sali był tam wówczas Stanisław Marcinów, artyści zaprzyjaźnili się. Po wojnie Marcinów przyjechał do Katowic, gdzie zaczął energicznie działać w związku z organizacją szkolnictwa artystycznego. Dzięki jego staraniom powstało Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych. Jak wspomina Amelia Pomorska-Lange: *Dyrektorem szkoły został Stanisław Marcinów, który sam sobie dobierał grono pedagogiczne. Tylko z obsadzeniem malarstwa były kłopoty, nikt Marcinowowi nie odpowiadał. Sprowadził z Krakowa Rafała Pomorskiego, z którym w czasie okupacji pracował. I tak w 1945 roku młody malarz trafił do Katowic, angażując się w pracę pedagogiczną oraz odbudowę artystycznego środowiska regionu, m. in. zakładając wraz z innymi artystami katowicki oddział ZPAP. W tym samym roku odbył się również jego malarski debiut – pokazał swoje prace na wystawie Salonu Wiosennego w Krakowie. Przeprowadzka do Katowic zbiegła się w czasie z końcem jego pierwszego małżeństwa z Urszulą Kadlec. Amelia Pomorska-Lange tak wspomina swoje pierwsze spotkanie z ówczesną żoną artysty: *Była to brunetka o krótkim czole, zrosniętych brwiach i dużych, szerokich ustach, co nadawało jej efektowny, egzotyczny wygląd. Mówiła, że studiuje historię sztuki, ale wybiera się na dziennikarstwo. Wspominała o swoim okupacyjnym małżeństwie, które uchroniło ją od wywiezienia na roboty do Niemiec (...) Rafał Pomorski wyraźnie niezadowolony, nie brał udziału w tej rozmowie. Okazało się, że już wówczas nie układało się im. Stanisław Marcinów chcąc ratować to małżeństwo, załatwił jej pracę w Liceum Plastycznym w Katowicach. Nie-**

TWÓRCY KATOWICKIEJ ASP



Rafał Pomorski – malarz śląskiego pejzażu

stety niedługo potem Pomorscy rozeszli się, ona wyjechała do Warszawy, potem do Szczecina a Rafał Pomorski przeniósł się z Krakowa do Katowic na stałe. Jego drugie małżeństwo z autorką cytowanych tutaj wspomnień – Amelią, z domu Wieczorkówną, przetrwało dłużej, ale i tak zakończyło się również rozwodem.

Po dwóch latach pracy w liceum plastycznym, Rafał Pomorski objął posadę kierownika pracowni malarskiej w nowo powstałej, artystycznej szkole wyższej, później filii krakowskiej ASP. Amelia Pomorska-Lange wspomina Pomorskiego z początków jego pracy na uczelni: *... był młody, miał 24 lata, chudy, powłóczył jedną nogą, nosił opadające wąsiki i robił smutne wrażenie. Rzadko się śmiał, za to szybko swoimi ciętymi, często uszczypliwyymi uwagami, budował swój autorytet wśród studentów – młodzi czuli respekt, a starsi woleli mu się nie narażać. Pracownię malarską w katowickiej uczelni artysta prowadził aż do 1974 roku, tytuł docenta otrzymał w 1956 r. Przez wiele lat był również kierownikiem Katedry Kształcenia Ogólnoplastycznego, a w latach 1963 i 1964 był kierownikiem Wydziału. Wciąż rozwijał się twórczo. Organizował wystawy indywidualne, między innymi w Pradze, Bratysławie, Budapeszcie, Sofii, Berlinie, Bautzen. Brał też udział w wielu wystawach malarskich i sztuki polskiej w kraju i zagranicą. Jego prace pokazywane były na przeglądach malarskich w Paryżu, Nowym Jorku, Pekinie, Szanghaju, Moskwie, Londynie i Oslo. Był wielokrotnie wyróżniany nagrodą Ministerstwa Kultury i Sztuki, w 1953 roku otrzymał nagrodę państwową III stopnia, w 1962 Nagrodę II stopnia Ministra Kultury i Sztuki, w 1968 roku Nagrodę Wojewódzką a w 1971 Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Na dwa lata*

przed śmiercią został uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł w Katowicach w 1974 roku, w wieku zaledwie 53 lat.

Rafał Pomorski zajmował się malarstwem sztalugowym, ściennym, rysunkiem i grafiką. Oś jego twórczości stanowi malarstwo sztalugowe, najczęściej olejne (rzadziej sięgał po akwarele i gwasz). Co ciekawe, początki jego twórczości oscylowały wokół sztuki abstrakcyjnej, był wtedy pod dużym wpływem malarstwa Marii Jaremy. W kolejnym etapie swojej twórczości zwrócił się ku ideom Paula Cezanne’a i zainteresował pejzażem. Podczas pierwszych lat spędzonych w Katowicach, artysta mówił już o sobie jako o przedstawicielu realizmu, podkreślał, iż zależy mu na zapisie otaczającej rzeczywistości. Był to jednak zapis nie chłodny i obiektywny, ale pełen refleksji i indywidualnych odczuć. Zapis urzekający malarskością – kompozycją poszczególnych płaszczyzn, zestawieniem geometryzujących form. Z biegiem lat jego styl konkretyzował się, coraz bardziej balansował pomiędzy realnym, a na poły abstrakcyjnym – kubistycznym przedstawieniem otaczającego świata. Motywem przewodnim wciąż był przemysłowy pejzaż Górnego Śląska. Lata 60. uznawane są za okres w jego malarstwie najważniejszy i najbardziej indywidualny. To też moment, kiedy jego wieloletnia praca twórcza zaczęła przynosić efekty – zyskał uznanie, a nazwisko stało się rozpoznawalne. Jego obrazy zaczęły intensywniej niż kiedykolwiek, dzielić się na poszczególne, geometryczne płaszczyzny organizowane, opisywane za pomocą linearnego szkieletu. Pejzaż śląski był dla nich inspiracją, jednak artysta wykorzystując go „wędrował” o wiele dalej, tworząc subiektywne, złożone ze szlachetnej materii, malarskie światy. Jak zauważa Maria Popczyk, obrazy miasta Rafała Pomorskiego są *nade wszystko konstrukcją płaszczyzn, dającą wrażenie zwartej, racjonalnej struktury, zapełniającej szczerne kadr obrazu. Kompozycje nie malowane z natury przywołują myślenie o mieście jako przestrzeni poddanej abstrakcyjnej myśli, subtelna gama szarości ma za zadanie czysto malarskie, ale – jak mówi sam malarz – przypomina przydymiony krajobraz samego Śląska. Patrząc na płaskie formy, nie szukamy odniesień do jakiegos konkretnego, zapamiętanego widoku, ale czerpiemy przyjemność z owej władzcej jedni, jaką zawarł artysta w obrazie. (...) Liczne pejzaże śląskie Rafała Pomorskiego stały się lekcją uważnego spostrzegania świata.*

Dzięki takiemu podejściu do sztuki, artysta uczynił swoje prace ponadczasowymi i wciąż atrakcyjnymi w odbiorze. Ze względu na podejmowaną tematykę, jego twórczość była akceptowana i nagradzana w czasach, w których ustrój polityczny nie uznawał istnienia wielu artystów. To niestety negatywnie wpływało na postrzeganie jego malarstwa przez część, będącego w opozycji, środowiska artystycznego. Wydaje się, iż tak naprawdę dopiero dziś, kiedy jesteśmy wolni od tego typu myślenia, możemy talent Rafała Pomorskiego w pełni docenić. „Spotkać się” z jego sztuką w szczery i bezpośredni sposób. I zobaczyć wybitnego artystę śląskiego pejzażu, który w swojej twórczości pozostał wierny tylko jednej ideologii – malarstwu.

MICHALINA
WAWRZCZEK-KLASIK



Spławik, ok. 1970, olej, 80x60 cm,
zbiory Muzeum Śląskiego w Katowicach



Pejzaż śląski, b.d., olej, 58x80 cm,
zbiory Muzeum Śląskiego w Katowicach



Brama, olej, płótno



Pejzaż śląski, 1962, olej

Rafał Pomorski

malarstwo



Przystań, 1970, olej



Widok na Nesseber, olej, płótno

Misterna robota...

... to nasza pasja!

od projektu do druku

PROFESJONALNE STUDIO GRAFICZNE

KORGRAf

40-081 Katowice
ul. Dąbrówki 15/12
korgraf@korgraf.com.pl

tel./fax: 32 354 09 88
tel. 32 781 06 48
tel. kom. 602 256 039

www.korgraf.com.pl